

JOHN FLANAGAN

AUTOR BESTSELLEROWEJ SERII *ZWIADOWCY*



DRUZYNA

NIEZNANY ŁĄD

JOHN FLANAGAN



KSIĘGA SZÓSTA

NIEZNANY ŁĄD

Tłumaczenie
Zuzanna Byczek



Tytuł oryginalny: *Brotherband. The Ghostfaces*

First published by Random House Australia 2016

This edition published by arrangement with Random House Australia Pty Ltd

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Copy right © John Flanagan 2016

All rights reserved.

Redakcja: Anna Pawłowicz

Skład i łamanie: Ekart

Typografia na okładce: Rafał Sadowski

ISBN 978-83-7686-475-4

Cover illustration © by Jeremy Reston

Cover design and typography © by www.blacksheep-up.com

Heron illustration © by David Elliot

Map © by Mathematics and Anna Warren

Copy right for the Polish edition © 2016 by Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

Książka dla czytelników w wieku 11+

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://www.youtube.com/wydawnictwojaguar)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat:jaguar_książki

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

virtualo

konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Mapa

Część pierwsza. Sztorm

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Część druga. Niedźwiedź

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Część trzecia. Plemię Mawagansettów

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Część czwarta. Ludzie-Upiory

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

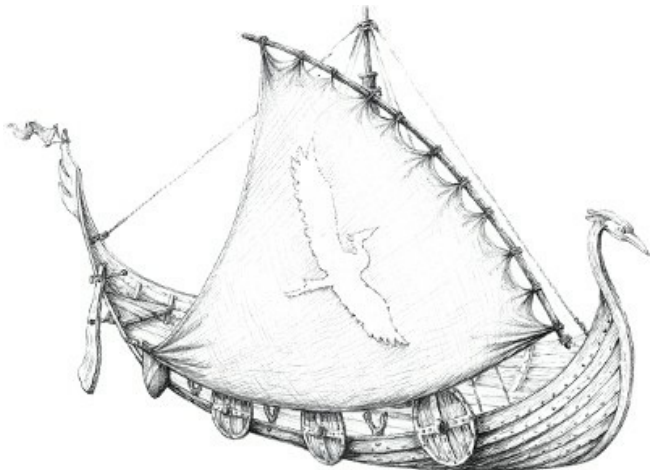
Epilog

Nota od autora

SKANDIA i kraje sąsiednie



CZĘŚĆ PIERWSZA



SZTORM

ROZDZIAŁ 1



Nie podoba mi się to – stwierdził Thor, marszcząc nos i niuchając wilgotne słone powietrze.

Thor i Hal stali na falochronie osłaniającym niewielką przystań opodal zamku Dun Kilty w Clonmelu. Sam zamek wznosił się kilka kilometrów dalej, w głębi łądu, ale z przystani korzystała flota rybacka, dostarczająca ryb zarówno na zamek, jak i do wsi rozciągającej się za jego murami, oraz statki kurierskie przywożące wieści władcy Clonmelu, królowi, imieniem Sean.

Jedną z takich jednostek była „Czapla”. Niedawno dostarczyła plik zapieczętowanych dokumentów – odnowienie traktatu między Skandią i Clonmelem. Podobne papiery zawiozła również do trzech innych królestw leżących na hibernijskim wybrzeżu. Erak lubił wykorzystywać „Czapłę” do zadań tego rodzaju. Była szybka i zwrotna, Hal zaś mógł się pochwalić sporymi umiejętnościami w dziedzinie nawigacji.

Teraz zakończyli misję, nadszedł czas, by wracać do domu. Tylko że pogoda nie zapowiadała się zbyt obiecująco.

Obaj wpatrywali się w szare rozszalałe fale pędzące po oceanie, gnane ostrym północnym wichrem.

Thorn jeszcze raz wciągnął powietrze w nozdrza.

– Czeką nas trudna przeprawa. Nieźle znokniemy, zanim minimy północny kraniec Pikty.

Hal wzruszył ramionami.

– Nieraz mokiśmy – odparł i krzywo się uśmiechnął. – Jak powiadają, taki już los żeglarza.

– Tylko po co moknąć bez potrzeby – zauważył Thorn. – Zaczekamy dzień czy dwa, może wiatr ustanie.

– Albo się nasili, a wtedy zostaniemy tu jak w pułapce z wiatru i fal. To może potrwać nawet tydzień albo i dłużej.

– Ale byłoby nam sucho.

Hal potrząsnął głową.

– Zanudziłobyśmy się na śmierć. Tu nie ma nic do roboty. – Hal urwał, jeszcze raz popatrzył na zdżczale fale, kierując wzrok na północ. I podjął ostateczną decyzję. – Wypływamy. Chodźmy zwołać załogę.

Szybkim krokiem wrócili do miasteczka. Czaple podczas misji dyplomatycznych zatrzymywały się w tamtejszym zajeździe. Hal i Thorn weszli do karczmy, wpuszczając do środka zimny powiew, który sprawił, że płomienie mocniej rozbłysły na palenisku. Członkowie drużyny akurat jedli śniadanie. Osiem par oczu spojrzało wy czekująco na nowo przybyłych.

– Wypływamy – oznajmił Hal.

– Najwyższy czas – stwierdził Stig. Podzielał opinię Hala co do mało rozrywkowego charakteru tutejszego portu. Stefan, Ulf i Wulf połknęli resztki pożywej owsianki, którą podał im właściciel. Pozostali już zdążyli zjeść, ale jeszcze dopijali wyśmienitą kawę, wiedząc, że prędko takiej przyjemności nie zazną.

Hal spojrział na Edvina.

– Mamy wystarczającą ilość zapasów?

Edvin kiwnął głową.

– Tak jest. I wodę, i jedzenie. Możemy wyruszać. – Po namyśle dodał: – Chociaż chciałbym zabrać jeszcze kilka bochenków chleba.

Podczas długich morskich wypraw musiały im wystarczać suchary, ale zawsze to przyjemnie przynajmniej na początkowym etapie podróży pojeść świeżego chleba. Hal kiwnął głową i Edvin pospieszył do piekarni znajdującej się kilka domów dalej. Pozostali członkowie drużyny zebraли plecaki i resztę rzeczy osobistych, i ruszyli do portu.

– Zrefujcie żagle, zanim je podniesiecie! – zawołał Hal do Ulfa i Wulfa. – Wiatr przybiera na sile.

Blizniacy w milczeniu kiwnęli głowami. Tak, na pewno lepiej zrefować żagle zawczasu, później nie będzie trzeba opuszczać ich i przymarszczać, by zredukować powierzchnię płótna, gdyby wiatr rzeczywiście się wzmógł.

Hal został w zajeździe, by sprawdzić rachunek, który podał mu właściciel. Przesunął palcem w dół kolumny cyfr – tyle a tyle pokoi za tyle a tyle nocy, wszystkie posiłki, które zjadła drużyna podczas swego pobytu. Podpisał rachunek i oddał karczmarzowi. Ponieważ brali udział w misji dyplomatycznej, rachunek miał trafić na zamek Dun Kilty.

– Dziękujemy za gościnę – powiedział.

– Jesteście zawsze mile widziani – odparł mężczyzna. Czaple dostarczały mu dobrego zarobku w tym okresie roku, kiedy interes zamierał. Po chwili uśmiechnął się krzywo i dorzucił: – Chociaż swego czasu nigdy bym nie uwierzył, że kiedyś powiem takie słowa do Skandianina.

Hal również się uśmiechnął. Jeszcze kilka lat wstecz pojawienie się wilczego okrętu w porcie

oznaczałoby cały szereg nieprzyjemności dla lokalnych mieszkańców, a skłoniłby ich do zapłaty za jedzenie i picie swojej załogi. Po prostu, argumentując przy użyciu miecza, zażądałby wszystkiego za darmo, łącznie z noclegami.

– Czasy się zmieniły – powiedział Hal. Odnalazł spakowany tobołek, który zostawił w karczmie tego ranka, zarzucił go na plecy i wyszedł.

W porcie szalał zimny wiatr. Hal przyspieszył kroku, zmierzając w kierunku molo, przy którym cumowała „Czapla”.

Kilka metrów przed nim siedł Edwin, dźwigając siatkę pełną bochenków świeżego chleba. Lekko zeskoczył z molo na pokład i umieścił zapasy w wodoszczelnej części śródkręcia. Nawet tutaj, w zatoce, morze było niespokojne i łódź podskakiwała na wodzie, szarpiąc cumami i objając się o wiklinowe odbijacze, które wydawały przeciągły pisk.

Hal przeszedł na rufę, schował bagaż w miejscu przeznaczonym na rzeczy osobiste i wszedł na platformę. Spojrzał na Stiga.

– Wszystko gotowe? – zapytał, chociaż znał odpowiedź. Stig doskonale się spisywał w roli pierwszego oficera.

– Jeśli ty jesteś gotowy – odparł przyjaciel.

Hal odwiązał linę blokującą rumpel i powiódł wzrokiem dokoła. Żadna inna jednostka nie szykowała się do wyjścia do morza. Niewielka flota łodzi rybackich unosiła się na wodzie, bezpiecznie przycumowana kawałek dalej.

Rybacy mają głowy na karku, pomyślał ponuro, podnosząc kołnierz przy kaftanie z baraniej skóry. Wsunął rękę za pazuchę i wyjął wełnianą czapkę ozdobioną wizerunkiem czapli, naciągnął ją mocno na uszy i spojrzał na wskaźnik wiatru przyczepiony do masztu. Mieli wiatr boczny, od lewej burty.

– Prawy żagiel! – zawołał, a Stefan i Jesper chwycili fały, aż smukła wygięta rejka uniosła się i zaczęła o maszt. Ulf i Wulf wy czekująco patrzyli na Hala.

– Odebrać cumę dziobową! – krzyknął Hal do Thorny. Ten odczepił linę i dziób łodzi zaczął oddalać się od molo. – Odebrać cumę rufową! – zwrócił się Hal do Stiga, a potem zawołał do bliźniaków: – Wybrać szoty!

Kiedy Ulf i Wulf wypełnili polecenie, łódź natychmiast nabrała prędkości. Oddaliła się od molo i zaczęła dzielnie przeć poprzez krótkie wysokie fale. Hal pozwolił, by skrzyła w prawo i przecięła zatokę. Czuł wibrowanie rumpla w dłoni i jak zwykle wypełniło go znane, lecz za każdym razem zdumiewające wrażenie, że sprawuje kontrolę nad żywym stworzeniem.

Ocecił, że kąt jest prawidłowy, skrzyła w lewo, a bliźniacy momentalnie zareagowali, mocniej ściągając żagiel. Teraz „Czapla” kierowała się w lewo od wyjścia z portu, lecz Hal wiedział, że zdryfuje w prawo pod siłą wiatru; kiedy dotrą do końca falochronu, ustawi się

idealnie pośrodku. Nie potrafił wyjaśnić, skąd to wie – była to kwestia instynktu skrzyżowanego z doświadczeniem i dogłębną znajomością „Czapli”.

Po chwili łódź przepłynęła między dwoma granitowymi falochronami i skierowała się na pełne morze. Kiedy tylko opuścili bezpieczne schronienie portu, wiatr gwałtownie przybrał na sile, spychając łódź na prawo. Ulf i Wulf, nie czekając na polecenia, połuzowali szoty, by zmniejszyć napięcie żagla i „Czapla” znów ustawiła się odpowiednio do wiatru. Wspięła się na grzbiet pierwszej fali, po czym ześliznęła się w dolinę, rozbijając dziobem kolejną falę i zalewając pokład i całą załogę prysznicem spienionej wody.

– Co byś teraz dał, żeby siedzieć w ciepłym suchym zajeździe?! – zawołał Thorn.

Hal posłał mu szeroki uśmiech.

– Jak chcesz, mogę cię zaraz odstawić z powrotem na ląd. Wrócimy po ciebie za rok

„Czapla” wspięła się na kolejną falę i ześliznęła, kolejny prysznic z wody morskiej zalał pokład. Ci członkowie załogi, którzy akurat nie pełnili żadnych obowiązków, szybko skulili się pod płachtami brezentu.

Hal uśmiechnął się do siebie. Było zimno. Było mokro. I bardzo mu się podobało. Właśnie takiego życia pragnął: wolności, którą dawała dobra łódź, radości i ekscytacji tymi chwilami, kiedy stawał naprzeciw wiatrowi i morzu, kiedy zdobywał kontrolę nad żywiołami.

Nagle dostał po twarzy strumieniem wody. Zaczął dławić się i kaszleć. Poczul, że ktoś daje mu kulszańca w bok otarł oczy i zobaczył Lydię.

– Ubierz się, idioto – powiedziała, podając mu brezentową pelerynę – bo jeszcze utoniesz.

Położyła dłoń na rumplu, żeby mógł się owinąć. Posłał jej pełen wdzięczności uśmiech.

– Dzięki, mamó.

Uniosła brew.

– Sam jesteś mamą – mruknęła, po czym schowała się z powrotem między ławkami wioślarskimi. Nagle o burtę rozbiła się potężna fala, zalewając cały pokład. Kluf, przywiązana do masztu, obszczekała wodę i próbowała ją ugryźć. Wyglądało na to, że świetnie się bawi.

Przez cały poranek płynęli, halsując, na północ, wzdłuż wybrzeża. W południe zostawili za sobą Hibernię i ujrzeni po prawej stronie zamglone szare brzegi Araluenu i Pikty. Było zimno i mokro, i bardzo nieprzyjemnie, ale oni za bardzo nie przejmowali się takimi drobiazgami. Byli młodzi i wytrzymali, przywykli do podobnych warunków. Wypuszczali się na morze podczas takiej pogody praktycznie od chwili, kiedy zaczęli stawiać pierwsze kroki. Mieszkańcy Skandii nie zwykli zostawać w porcie z powodu kiepskiej pogody.

Poza tym wracali do domu i ta świadomość wystarczająco rekompensowała drobne niedogodności.

Wczesnym popołudniem okrążyli najbardziej wysunięty na północ punkt Pikty. Hal,

trzymając odpowiednią odległość od wybrzeża, skierował łódź na wschód. Teraz mieli wiatr od lewej burty, żeglowali półwiatrem, co w przypadku „Czapli” było nadzwyczaj korzystne. Mknęła po falach niczym prawdziwy ptak. Szybkie tempo i wizja powrotu do domu wprawiły wszystkich w euforię.

Po paru godzinach Thorn opuścił swą zwyczajową pozycję u stóp masztu, gdzie siedział przez cały czas, tuląc się do ciepłego futra Kluf, i ruszył w stronę steru. Pozostali za przykładem Lydii przycupnęli po zawietrznej w zagłębieniu między ławkami, owinięci w peleryny i kawałki brezentu, z nisko opuszczonymi głowami, by nie tracić cennego ciepła.

Thorn wskazał kciukiem na północ.

– To mi się naprawdę nie podoba – powiedział.

Hal pobiegł wzrokiem we wskazanym kierunku. Nad oceanem unosiła się czarna ściana gęstych ciężkich chmur burzowych, przetykana tu i tam światłem błyskawic.

Jeszcze daleko, ale parła prosto na nich.



ROZDZIAŁ 2



Hal prędko spojrział w prawo. Szara poszarpana linia piktyjskiego wybrzeża ciągnęła się aż po horyzont. Wiedział, że nie zdąży dotrzeć do jej krańca przed nadejściem sztormu. Znajdą się zbyt blisko zawietrznego brzegu, rozszałały wicher i fale rzucą ich na ostre skały. Podjął błyskawiczną decyzję.

– Do zwrotu! – krzyknął. Upewniwszy się, że cała załoga na niego patrzy, pokazał w lewo. – Dalej!

Skreślił rumplem i „Czapla” gładko ustawiła się na linii wiatru, a potem ją przecięła. Jednocześnie Stig i Stefan opuścili prawą rejkę z żaglem, a kiedy dziób wykonał obrót, podnieśli rejkę lewą. Ingvar, Lydia i Jesper szybko zajęli się luźną łopoczącą masą płótna, zebrali ją i ciasno zwinęli. Wiatr wypełnił lewy żagiel, a kiedy bliźniacy wybrali szoty, zmienił się w gładki napięty łuk. Łódź ruszyła do przodu z nową siłą i energią. Fala rozbiła się o prawą burzę, znów opryskując wszystkich na pokładzie. Nikt nie zwrócił na nią uwagi – za wyjątkiem Kluf, która zaczęła szczekać radośnie i kłapać pyskiem na bryzgi słonej wody.

„Czapla” pędziła teraz z maksymalną prędkością na zachód. Hal powiódł wzrokiem od wybrzeża do zbliżającej się masy chmur. Brzegi Pikty na pewno zdołają wyminać, ale dalej na południe leży z kolei Hibernia. Muszą oddalić się od wybrzeża, bo kiedy uderzy sztorm, wiatr zacznie ich spychać w stronę lądu.

Thorn stanął obok niego, nie odrywając wzroku od nadciągającej burzy. Czarne chmury przecinało coraz więcej błyskawic, a ich uszu dobiegł daleki pomruk grzmotu.

– Trzeba opuścić rejkę – powiedział Thorn, a Hal zgodnie kiwnął głową. Smukłe wygięte drzewce i przymocowany do niego żagiel na pewno nie wytrzymałyby konfrontacji z rozszałałym wichrem.

– Na razie jest mi jeszcze potrzebna, by łódź nie wytraciła prędkości – odparł. – Musimy oddalić się od hibernijskiego wybrzeża. Im szybciej będziemy płynąć, tym szybciej tego

dokonamy.

Thorn zagryzł wargi i pomyślał, że Hal ma rację. Ufał jego umiejętnościom. Hal na pewno opuści żagiel w odpowiednim momencie.

Hal dał znak Stigowi, który przypatrywał się im od pewnego czasu, a teraz ruszył lekkim krokiem po koły szącym się pokładzie. Nie potrzebował niczego się trzymać.

– Coś planujecie? – zapytał.

– Chcemy zaczekać z opuszczeniem rejki do ostatniej chwili – odparł Hal. – Przygotuj kotwicę pływającą i żagiel sztormowy.

Żagiel sztormowy jest to niewielki trójkątny żagiel wciągany na forsztąg przy maszcie. Dzięki niemu można zachować prędkość przy bardzo mocnym wietrze, bez ryzyka przeciążenia masztu czy olinowania. Stig kiwnął głową, wrócił na dziób i zawołał Stefana, by ten pomógł mu przygotować kotwicę pływającą, zwaną też dryfłotwą – długi stożek wykonany z płótna rozpiętego na obręczy z giętkiej trzciny. Miał on za zadanie utrzymać jednostkę dziobem do fali i zmniejszać dryf do czasu, aż Hal odzyska panowanie nad „Czapłą” dzięki żaglowi sztormowemu.

Kiedy dryfłotwa już leżała na dziobie, obok zwoju przyczepionej do niej liny, Stig i Stefan zaczęli mocować żagiel sztormowy do forsztąga za pomocą pierścieni, po czym przyczepili do niego fał, zamocowany na stałe, by w każdej chwili był gotowy do użytku. Stig wstał, odwrócił się w stronę Hala i pomachał.

– Teraz czekamy – powiedział Hal. Zastanawiał się, czy powinien skierować łódź na północ, by mieć większe pole do manewrów. Doszedł jednak do wniosku, że tym samym zwolniłby tempo posuwania się na zachód. Pomyślał, że lepiej utrzymać prędkość, by jak najszybciej minąć wybrzeże Hibernii. Wiatr i tak zepchnąłby go z wytyczonego na północ kierunku. Zerknął nerwowo na linię brzegową. Posuwali się w dobrym tempie. Jeszcze piętnaście minut i będzie po wszystkim. O ile sztorm zechce łaskawie zacząć te piętnaście minut.

– Wiatr się zmienia – stwierdził Thorn. – Wieje teraz z północnego wschodu.

To była bez wątpienia bardzo dobra wiadomość. Teraz wiatr popychał ich na południowy zachód, co znaczyło, że szybciej oddalą się od wybrzeża na pełne morze.

A to, pomyślał Hal, zasadniczo wszystko zmienia.

Nagle wiatr wałnął w „Czapłę” z całą mocą – niczym wyjąca rozszalała siła, niemal żywa istota. Bryzgi wody i piany zalały pokład, oslepiając członków załogi.

Sztorm z niespotykaną prędkością pokonał dzielącą ich odległość i uderzył z impetem.

„Czapła” gwałtownie przechyliła się w lewo, burta na moment znalazła się pod powierzchnią, nabierając wielkie ilości wody. Hal otworzył usta, by wydać rozkazy, ale załoga zdążyła go uprzedzić. Ulf i Wulf odwiązali fały, żagiel stracił napięcie i zaczął dziko łopotać, trzaskać i walić na boki niczym gigantyczny bic. W tym samym czasie Stig wyrzucił dryfłotwę za burtę,

a Stefan i Ingvar opuścili lewą rejkę i zaczęli związać żagiel. Trzepoczący skraj uderzył Stefana w czoło i zostawił głębokie skaleczenie, ale po chwili udało się go okiełznać, z pomocą pozostałych członków załogi, którzy chwycili za płótno, ściągając je w dół własnym ciężarem.

Pozbawiona żagla „Czapla” drgnęła, podskoczyła i zaczęła kołysać się gwałtownie na falach, aż woda chlupotała w tę i z powrotem w zagłębieniach między ławkami. Na szczęście środkowa wodoszczelna część zapewniła łodzi jako taką pływalność. Również dryfkotwa spełniła swe zadanie, ciągnąc dziób łodzi na spotkanie z wiatrem i morzem.

Hal otarł oczy ze słonej wody i zobaczył, że Stig wciąga żagiel sztormowy. Po chwili odczuł jego działanie, rumpel znów ożył w dłoni, a „Czapla” zaczęła powoli posuwać się do przodu pośród szalejącego wichru. Hal wiedział, że nadal trochę ich znosi, ale jednak zmierzali w kierunku zachodnim i istniała nadzieja, że oddalą się od wybrzeża, zanim będzie za późno.

Na to w każdym razie liczył.

Nagle niebo rozświetliły błyskawice i zaraz potem rozległ się ogłuszający grzmot. Hal skulił się, a Kluf, przywiązana do masztu, zawyla ze strachu.

Thorn pochylił się w stronę Hala.

– Nie podobało jej się! – zawołał.

Hal wyszczerzył się nerwowo.

– Mnie też nie – odparł. Ucieszył się, że reakcja psa na chwilę zajęła uwagę członków drużyny.

Nikt nie spostrzegł, jak ich skłó podskoczył ze strachu.

Nagle poczuł mrowienie na skórze. Włoski na larku uniosły się. Sądząc po minie, Thorn również to poczuł.

– Zbliża się kolejny – ostrzegł. I niemal w tej samej sekundzie rozbłysła kolejna błyskawica, rozświetlony grot z ogłuszającym traskiem przeciął niebo tuż obok nich. Wodę na chwilę zasnuła para, lecz zaraz rozwiął ją szalejący wichur.

Kluf znowu zawyla w proteście przeciwko żywiołom. Hal potrząsnął głową, zamrugał powiekami. Na jego siatkówce odbił się powidok błyskawicy, tak że jeszcze przez chwilę Hal widział kanciasty fioletowy kształt. Wiedział, że błyskawice zwykle mierzą w najwyższy punkt w okolicy i trochę się dziwił, że ta nie trafiła w maszt. Pochylił się w stronę Thorny i podzielił swoimi wątpliwościami, a stary wilk morski potrząsnął głową i wskazał na potężne fale.

– Są wyższe od masztu – stwierdził i w tym momencie Hal uświadomił sobie, że faktycznie tak jest.

Ześliznęli się po grzbiecie fali i znów zaczęli pracować wspinać się na kolejną. Kiedy znaleźli się wyżej, wiatr znów uderzył w nich z pełną mocą. „Czapla” ponownie przechyliła się, wyprostowała i zjechała w dolinę, ciężła wodę dziobem, aż z obu stron trysnęły pióropusze spienionej wody, i w końcu powoli zaczęła się wspinać po grzbiecie następnej fali. Woda pocięła

wzdłuż pokładu i wy leciała spływnikami.

Ta kolejna fala to był prawdziwy potwór – jedna z tak zwanych fal monstualnych, które czasem wznoszą się podczas sztormu, wyższa co najmniej o połowę od innych. Hal uświadomił sobie, że jej wysokość przekracza też długość łodzi – kiedy „Czapla” wspinała się po niej, wytracając przy tym prędkość, serce podeszło mu do gardła. Już myślał, że za chwilę osuną się z powrotem w dolinę. Ale „Czapla” jednak rozpruła falę jakieś trzy metry poniżej grzbietu, wbiła się w ścianę wody, otrząsnęła się niczym mokry pies i zsunęła w dolinę po drugiej stronie.

Znów wbiła się dziobem w wodę. I znów po obu stronach eksplodowały bryzgi wody i piany. Stig, który właśnie próbował dotrzeć na rufę, chwycił się jednej z lin, oplótł ją rękami i nogami, czekając, aż przez pokład przewali się masa wody, sięgającej mu aż po uda.

Potem puścił linę i chwiejnym krokiem pokonał ostatnie kilka metrów dzielące go od platformy, na której stał ster.

– Dobrze się trzyma – powiedział.

Hal musiał się z im zgodzić. „Czapla” pokonywała potężne fale i rozszalałe wichry niczym prawdziwy ptak. Ale przesądna strona jego natury nie pozwalała mu na zbyt ni optymizm. Wiedział, że bogowie morza zwykle surowo karzą wszelkie przejawy pychy.

– Póki nie zerwie się żagiel sztormowy albo nie odpadnie klepka poszycia – odparł.

Stig otarł oczy i zmarszczył brwi.

– Jaka pozytywna postawa – mruknął.

Hal wzruszył ramionami. Zawsze istniało ryzyko, że gwałtowne wstrząsy i uderzenia fal o burtę doprowadzą do uszkodzenia poszycia i łódź zacznie przeciekać. Hal nie sądził, by miało do tego dojść – w końcu sam ją zbudował, znał na pamięć każde złączenie. Ale jednak musiał liczyć się z takim rozwojem wydarzeń.

Spojrzał w stronę rufy i nagle serce podeszło mu do gardła. Linia brzegowa znajdowała się bardzo blisko, brew wszelkim obliczeniom. Widocznie sztorm przez cały czas spychał łódź z powrotem w stronę brzegu.

Nie mógł nic zrobić. Utrzymał ją na optymalnym kursie, starał się w miarę możliwości kierować na zachód. Ramiona bolały go od ściskania za rumpel, nie zamierzał jednak ustąpić miejsca nikomu z członków załogi. W końcu to była jego łódź, jego odpowiedzialność. Nie ulegając fałszywej skromności, wiedział też, że jest najlepszym człowiekiem do tego zadania. Jako sternik znacznie przerastał umiejętnościami resztę załogi.

Thorn położył rękę na jego ramieniu i ruchem głowy wskazał w kierunku rufy. Hal pobiegł wzrokiem w tamtą stronę. Poczł ukłucie strachu – linia czarnych skał wystawała z morza niczym rząd kłów; w jednej chwili brzeg znikł za zasłoną pryskającej wokół wody, by w następnej znów ukazać ostre jak brzytwa wierzchołki, jakby wypatrywał znoszonej w jego stronę łodzi.

Wszyscy trzej milczeli. Hal przytknął jedno oko i zapatrzył się na tylną stewę i brzeg w tle. Po minucie dostrzegł, że kąt się zmienia, powoli, lecz na tyle skutecznie, że już nie groziło im rozbicie o skały.

– Miniemy je – stwierdził.

Thorn i Stig mieli sceptyczne miny. „Czapla” wzniosła się na kolejnej fali, przecięła jej grzbiet i opadła w dolinę. Przez chwilę wyszczerzone skały znikły z ich pola widzenia. Po chwili, kiedy łódź znowu zaczęła się wznosić, ukazały się ich oczom – teraz po prawej stronie. Przemkną się, na pewno. Ledwo, ledwo, ale na pewno się uda.

Hal aż podskoczył, gdy nagle zaledwie kilka metrów od rufy ze spienionych odmętów wyrosła skała i przesunęła się błyskawicznie wzdłuż prawej burty. Mało brakowało, pomyślał.

Znów niebo rozdarły błyskawice, a kilka sekund później rozległ się ogłuszający grzmot. Ale tym razem dalej niż poprzednio, jak stwierdził obojętnie Hal. Stig wskazał na hibernijskie wybrzeże, które teraz znajdowało się daleko na wchodzie.

– Udało się – powiedział.

Hal pokiwał głową. Przesunął rumpel i skierował dziób łodzi na zachód. Wiatr wypełnił żagiel sztormowy, „Czapla” przechyliła się pod siłą podmuchu.

– Wypłynimy dalej w morze, trochę tu ciasno – powiedział Hal i skierował łódź na nieznaną wodę Oceanu Nieskończonego.

ROZDZIAŁ 3



Mijały kolejne dni, a sztorm nie tracił na sile.

– Jak długo może trwać taka pogoda? – spytał Stig Thorn. Członkowie załogi siedzieli skuleni, szukając wątpliwej ochrony w zagłębieniu między ławkami, owinięci w brezentowe płachty, które jednak niewiele dawały w zetknięciu z szalejącymi żywiołami. Hal i Stig stali przy sterze, Hal zaciskał ręce wokół rumpła, Stig zaś, na szeroko rozstawionych nogach, by nie stracić równowagi, podpierał przyjaciela ramieniem. Hal już od wielu dni nie zaznał porządnego odpoczynku. Od czasu do czasu pod naciskiem Stiga i Thorna zgadzał się oddać na chwilę rumpel i łapał krótkie drzemki. Ale najdrobniejsza zmiana w ruchu łodzi czy uderzenie fali niezgodne ze stałym rytmem sprawiały, że natychmiast zrywał się na równe nogi, chwycił ster i znów przejmował kontrolę nad „Czapłą”.

Thorn uniósł głowę i spojrzał w szare niebo, po którym mknęły chmury – i od razu pożałował, bo pod wpływem ruchu strużka lodowatej wody pociekła mu po karku.

– Nawet wiele dni – odparł.

– Już minęło wiele dni – zauważył Jesper. Thorn spojrzał na niego, tym razem poruszając ciałem z najwyższą ostrożnością, by uniknąć kolejnego niechcianego prysznicza.

– No to ty godni – powiedział. – Raz przeżyłem sztorm, który trwał ponad dwa tygodnie.

– Tak gwałtowny jak ten? – spytał Stefan.

Po namyśle Thorn potrząsnął głową. I zaklął, bo w tym samym momencie kolejna porcja wody spłynęła mu pod ubranie.

– Nie. Czegoś takiego nie pamiętam.

– Bardzo pocieszające – mruknęła Lydia, która siedziała z pochyloną głową, owinięta brezentową płachtą ciasno otaczającą jej twarz i szyję.

Interesujące, pomyślał Thorn. Miała najmniejsze doświadczenie w żeglarstwie z całej załogi. Oni wszyscy praktycznie dorastali na pokładzie okrętów, od najwcześniejszych lat wypływali

w morze. A mimo to zdawała się żywić niezłomne przekonanie, że przetrwają ten sztorm. Niejedna dziewczyna na jej miejscu trzęsłaby się ze strachu. Tak samo zresztą jak niejeden mężczyzna, poprawił się w myślach.

– Nie martwisz się? – zapytał.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Owszem. Ale niewiele mogę w tej sytuacji zrobić, więc nie ma sensu się temu poddawać – odparła. – Poza tym ciągle mi powtarzasz, że Hal to najlepszy sternik, jakiego kiedykolwiek znałeś. Jestem pewna, że nas z tego wyciągnie.

Bez wątpienia miała rację. Thorn zastanawiał się jednak, jak długo Hal jeszcze wytrzyma. Stał u steru praktycznie bez przerwy od chwili, gdy uderzył w nich sztorm. Oczywiście miał czerwone od soli i ze zmęczenia, garbił się nad sterem jak staruszek. Wcześniej czy później ktoś będzie musiał go zmienić. Hal potrzebował snu – wielogodzinnego snu – czy mu się to podobało czy nie.

Thorn zerknął na niego. W tym momencie łódź wykonała gwałtowny ruch, sternik zachwiał się, a Stig podparł go czym prędzej. Hal wymamrotał ciche podziękowanie. Otrząsnął się i wyprostował plecy, zmrzył podrażnione oczy i zaczął tupać, by pobudzić krążenie. Thorn pomyślał, że ramiona i nogi muszą go potwornie boleć. Po kilku sekundach Hal znów zachwiał się ze zmęczenia, a Stig znów wsparł go muskularnym ramieniem.

– Dosty tego – powiedział Thorn do siebie. Odrzucił brezent i ruszył w stronę steru po gwałtownie kołyszącym się pokładzie.

Stig spojrzał na niego pytająco. Hal uparcie patrzył przed siebie, mocno zaciskając dłonie na rumplu.

– Przecież on ledwo trzyma się na nogach – powiedział Thorn.

– Wiem. Ale się uparł. Proponowałem, że go zastąpię, ale tylko kręci głową i powtarza, że nic mu nie jest.

– Co oczywiście nie zgadza się z faktami – odparł Thorn. Chwycił prawą rękę Hala i próbował oderwać ją od rumpla. Skirł jeszcze mocniej zacisnął dłoń na gładkim drzewcu. Thorn puścił i przysunął się bliżej.

– Musisz zrobić sobie przerwę – powiedział.

Wargi Hala poruszyły się bezgłośnie.

Thorn wskazał na pędzące fale, na których łódź wznosiła się i opadała w regularnym rytmie. „Czapla” doskonale sobie radziła, parla do przodu gładko i wytrwale. Kilka godzin wcześniej wciągnęli dryfłotwę i teraz łódź popychał jedynie żagiel sztormowy. Płynęli z wiatrem i nic im nie groziło. Po zawietrznej nie czyhało na nich żadne niebezpieczne wybrzeże – nic, wszędzie tylko nieskończone morze. Łódź nadal wspinała się po wysokich grzbietach fal, by po chwili zsunąć się i zaryć dziobem w dolinę, przy okazji pryskając wodą na pokład. Ale ruch, choć nadal

gwałtowny, nabral regularności i stał się bardziej przewidywalny.

– Jest pod kontrolą – podjął Thorn, zbliżając wargi do ucha skarla. – Stig może stanąć przy sterze. Powinieneś odpocząć, w razie gdyby pogoda się zmieniła.

Zaczerwienione oczy popatrzyły prosto na niego. Hal był wyczerpany. A raczej półżywy ze zmęczenia. Thorn jeszcze raz usiłował oderwać dłoń Hala od rumpla – i tym razem ten niechętnie mu pozwolił. Słowa Thorna widać do niego trafiły. Thorn zabrał się za drugą rękę.

– Przejmij ster – zwrócił się do Stiga. Thorn otoczył ramieniem plecy Hala i zaprowadził go między ławki.

Pozostali rzucili się na pomoc i wspólnie ułożyli Hala na pokładzie.

– Przyńś suchy koc – polecił Thorn Edwinowi.

Medyk otworzył kłapę, za którą kryła się wodoszczelna część śródpokładzia i wyjął mniej więcej suchy koc. Potem razem z Thornem ściągnęli z Hala barani kubrak i wełnianą koszulę, i zaczęli rozcierać jego skórę kocem, aż poczerwieniała i wróciło normalne krążenie. Wargi, wcześniej sine, również odzyskały zwykły kolor. Wulf sięgnął do schowka i wyjął suchą koszulę.

Kiedy przebrali w nią Hala, Thorn opatulił go kocem i przysunął się blisko, obejmując go ramieniem. Edvin przykrył ich obu brezentową peleryną. Hal drżał jak liść, bezwładnie oparł się o potężne ciało przyjaciele.

– Śpij – powiedział Thorn, głosem zaskakująco miękkim i łagodnym. Edvin zerknął na niego z zacięciem. Przywykł do Thorna hałaśliwego i zgryźliwego. Stary wilk morski bardzo rzadko zdradzał się z czułością. Thorn uniosł wzrok, spostrzegł, że Edvin mu się przygląda i domyślił się, co mu chodzi po głowie.

– Padłby ze zmęczenia, gdybyśmy nie interweniowali – powiedział, wskazując na Hala ruchem głowy.

– Na Stiga też musimy mieć oko – zauważył Edvin.

Thorn kiwnął głową.

– To prawda. Stoi na zimnie i wietrze niemal tak długo jak Hal. – Obrócił się i spojrzął na Stiga. Pomyślał, że w razie chyba nic mu nie grozi. Stig uchwycił jego wzrok i wyszczerzył się szeroko, po czym szybko skulił ramiona, chroniąc się przed kolejną kaskadą, która w tym momencie przelała się przez dziób i prawie go zatopiła.

Thorn pozwolił Stigowi stać przy sterze jeszcze przez godzinę, po czym ostrożnie przelał śpiącego Hala Ingvarowi.

– Myślę, że jesteś w stanie zapewnić mu wystarczającą ilość ciepła – powiedział.

Ingvar, chłopak potężnej postury i łagodnego usposobienia, zgodnie się uśmiechnął.

Szorm dalej wył dokoła, olinowanie buczało, szarpane porywami wichru. Łódź niezamordowanie wspinała się po kolejnych falach, opadała i znów się wznosiła w niekończącej się

sekwencji, aż zdawało się, że cały świat porusza się w tym rytmie. Od monotonnego ruchu mieli odrętwiałe umysły, podobnie jak dłonie i całe ciała odrętwiałe od przejmującego zimna.

Thorn stał przy sterze przez dwie godziny, aż i tak nikłe światło dnia zaczęło ustępować ciemności. Czasem jeszcze błyskawica przecinała czarne chmury, na krótką chwilę ukazując kontury łodzi. A potem rozlegał się oghuszający grzmot, na który Kluf odpowiadała gniewnym szczełaniem. Ale błyskawice następowały po sobie coraz rzadziej i rzadziej.

Thorn oddał ster Stigowi i spojrział na śpiącego Hala.

– Nie będziemy go budzić – powiedział. – Musi porządnie wypocząć.

W pewnym momencie na szczycie masztu pojawiło się migotliwe niebieskie światło, by po chwili rozbiec się po całym olinowaniu. Stig krzyknął ostrzegawczo, myśląc, że może maszt zajął się ogniem z powodu burzy. Thorn wstał i popatrzył na tajemnicze zjawisko. Członkowie załogi wydali stłumiony okrzyk przerażenia.

– To Ogień Lokiego – zawołał Thorn. – Ogień Łgarza, jak mówią niektórzy.

Loki był bogiem kłamstwa, znanym oszustem i kawalarzem. Niebieskie płomyki nie miały nic wspólnego z ogniem – było to zjawisko czasem występujące na morzu podczas burzy. Thorn widział je kilka razy podczas licznych wypraw i wiedział, że te migotliwe światła są całkowicie nieszkodliwe.

Stefan nie wyglądał na przekonanego.

– Według mnie wyglądają jak prawdziwy ogień.

Kilku innych członków załogi było tego samego zdania. Ich głosy brzmiały nieco nerwowo.

Thorn uśmiechnął się.

– Gdyby to był ogień, do tej chwili maszt zdążyłby doszczętnie spłonąć – zauważył.

Wszyscy trochę się uspokoiли – choć nie do końca. Niebieskie światło jeszcze przez kilka minut migotało na maszcie i smolowanych linach, najwyraźniej nie czyniąc łodzi najmniejszej szkody.

– Kilka razy widziałam coś takiego w lesie – powiedziała Lydia – tylko nie wiedziałam, jak to się nazywa. Thorn ma rację. Te płomyki nic nam nie zrobią.

Te słowa ostatecznie uspokoiły resztę drużyny. Skoro Lydia się nie bała, to oni też nie zamierzali się przejmować. Ale i tak od czasu do czasu zerkali podejrzliwie na tajemnicze światło – aż nagle zniknęło, tak samo raptownie jak się pojawiło.

– Trochę mi go brakuje – wyznał Jesper, gdy znów otoczyła ich gęsta czerń nocy. – To było takie ładne.

Nagle ogromna fala zakradła się podstępnie i walnęła w prawą burtę, tuż koło dziobu, przechyliła „Czaple” na bok i zalała pokład masą słonej wody. Łódź zadrżała, zaraz jednak wróciła do normalnej pozycji. Ale zmiana ruchu wystarczyła, by wyrwać Hala ze snu. Odrzucił brezentowe okrycie i rozejrzał się niespokojnie.

Stig sprowadził łódź z powrotem na prawidłowy kurs. Zaczęli się wspinać na kolejny wody szczyt. Ale między ławkami wiosłarskimi zebrało się tyle wody, że spłyniki sobie z nią nie radziły. Łódź zrobiła się ciężka i ospała. Hal lekkim krokiem pobiegł na rufę, by przejąć ster. Stig oddał mu go z wyraźną ulgą. Mocno odczuł uderzenie fali – na chwilę stracił dech w piersiach i całkiem przemókł.

– Nie zauważyłem jej – powiedział.

– Wysusz się – odparł Hal. – Teraz ja postoję przy sterze.

Dłuższy odpoczynek pomógł mu odzyskać siły. Stig ruszył więc w stronę ławek w poszukiwaniu suchego koca.

Thorn westchnął i zwrócił się do reszty załogi:

– Każdy chwytaj za wiadro. Trzeba wyzerpać wodę.



ROZDZIAŁ 4



Zeglowali poprzez ciemne nocne godziny, wspinając się na potężne fale, w towarzystwie wichru, wyjącego niczym żywa dzika bestia.

Ich życie mijало w jednolitym rytmie – łódź wjeżdżała do góry po grzbiecie fali, przecinała ją i ześlizgiwała się w dolinę, zatapiała dziób pod powierzchnią i od nowa.

Było to nieprzyjemne i mało komfortowe, ale z czasem sztorm nieco stracił na sile i teraz ufali, że, oczywiście pomijając nieprzewidziane okoliczności, ich łódź wyjdzie z tego cała.

Wiatr nadal wiał jednak z tak dużą siłą, że Hal nie zamierzał ryzykować stawiania delikatnych rejek i rozpinania żagli. Niewielki żagiel sztormowy napinał się mocno niczym membrana bębna i zapewniał „Czapli” tak zwaną prędkość sterowną na rozszalałych wodach. Ale, chociaż łódź niby ostrzyła w kierunku północnego wschodu, wszyscy zdawali sobie sprawę, że tak naprawdę siła wiatru i fala pcha ich na południowy zachód.

Czuli z tego powodu narastający niepokój. Znosiło ich coraz dalej i dalej na wody Oceanu Nieskończonego, po których nikt z nich wcześniej nie żeglował. Ale, jak zauważyła Lydia, niewiele mogli na to poradzić, więc zamartwianie się do niczego nie prowadziło. Jej spokój pomógł wielu członkom drużyny zachować jako taką równowagę. W podobnych sytuacjach strach i panika bywają zaraźliwe. Ale tym razem w ich grupie panował stoicyzm.

Przywykli do warunków i wykonywali wszystkie zadania rutynowo. Najbardziej wyczerpującą pracę miał sternik, stojący na platformie i wystawiony na podmuchy wiatru i bryzgi wody. Nie licząc tych chwil, na szczęście niezbyt częstych – kiedy musieli wybierać wodę. Hal wreszcie pogodził się z faktem, że sam nie da rady sterować przez cały czas i podzielił grafik między siebie, Stiga, Thorna i Edvina.

Podczas pierwszego rejsu „Czapla” Edvin oczywiście ćwiczył umiejętności sternika. Nie miał fizycznej siły Hala, nawet nie wspominając o Stigu czy Thornie. Ale za to umiał bardzo sprawnie posługiwać się rumplem i doskonale wyczuwał ruchy łodzi, dzięki czemu potrafił utrzymać ją

w kursie za pomocą minimalnych ruchów sterem. Umiał przewidzieć zachowanie łodzi na rozszalałych falach – i dlatego nie potrzebował aż tyle siły, by je korygować.

Lydia, która siedziała obok, ponieważ uznała, że sternik jest raczej samotny i należy dotrzymać mu towarzystwa, przyglądała się Edwinowi z podziwem.

– Dobrze ci idzie, co? – rzuciła.

Edvin zarumienił się i posłał jej uśmiech, zadowolony, że dostrzegła jego talent.

– Łatwiej skłonić kłódz, by płynęła tam, gdzie chcesz, jeśli nie pozwoli jej się płynąć tam, gdzie ona chce.

Po namyśle Lydia z powagą kiwnęła głową.

– Chyba tak należy na to patrzeć – przyznała. Podczas wcześniejszych wypraw również stawała przy sterze. Hal uważał bowiem, że każdy z członków załogi powinien nauczyć się kierować łodzią, niezależnie od przypisanych mu zadań i posiadanych umiejętności. Wraz ze Stigiem strasznie się namęczyli, by rozwinąć w dziewczynie wyczuwanie i zdolność przewidywania, które Edwinowi przychodziły z taką łatwością. Dowiedziała się, że należy nieustannie poruszać sterem, przez cały czas dokonywać drobnych poprawek. Jeśli pozwoli się, by wiatr czy fale zepchnęły kłódz z kursu, potem potrzeba dwa razy większego wysiłku, by przywrócić ją na kurs prawidłowy.

Oczywiście, teoria a praktyka to dwie zupełnie różne rzeczy.

– Chcesz pić? – zapytała.

Edvin energicznie pokiwał głową. Mimo zimna i wilgoci wyczerpująca praca przy sterze wymagała spożywania płynów w dużej ilości.

– Co proponujesz? – zapytał, szczerząc się szeroko, aż zaszczypały splekane wargi pokryte kryształkami soli.

– Wodę. Albo wodę – odparła Lydia.

Przez chwilę udawał, że się zastanawia.

– W takim razie poproszę wodę – powiedział w końcu.

Oczywiście nie mieli do picia nic ciepłego, choć wszyscy o tym marzyli. Przy takim kołysaniu byłoby szaleństwem rozpalać ogień na pokładzie, nawet jeśli chodziło o mały olejowy piecyk, który Edvin trzymał wśród kuchennego wyposażenia.

Lydia zanurkowała między ławki i nalała do kubka wody ze skórzanego bukłaka, pochylając się, by w razie czego ochronić naczynie przed bryzgami słonej wody, które z monotonną regularnością zalewały pokład. Potem wróciła na rufę i podała kubek Edwinowi. Z przyjemnością wziął głęboki łyk. Oczywiście woda była zimna i tym samym bardzo orzeźwiająca. Przy drugim łyku lekko zmarszczył brwi. Teraz wyraźnie wyczuwał słony posmak. Lydia, dostrzegłszy skrzywioną minę i domyślając się przyczytny, powiedziała:

– Wybacz. Ciężko ochronić tu cokolwiek przed kontaktem z wodą morską.

– Jasne – odparł i na wszelki wypadek bardzo szybko dopił wodę.

Popatrzył w niebo, na nieprzerwaną pokrywę ciemnoszarych chmur, a potem na wskaźnik wiatru przy mocowany na szczycie masztu i tworzący niemal prostą linię.

– Raczej trudno powiedzieć, że pogoda się poprawia – mruknął.

A jednak, tylko działa się to tak powoli i stopniowo, że nie dostrzegali różnicy.

Czwartego dnia wiatr stracił nieco na swej straszliwej nieprzewidywalnej sile, skończyły się nagle przerażające zrywy, grożące przewróceniem łodzi, jeśli załoga straci czujność choćby na bardzo krótką chwilę.

Owszem, wiatr nadal był niebezpieczny, nadal miał w sobie brutalną siłę, ale wszystko wskazywało na to, że już nie może wziąć ich z zaskoczenia. Po prostu był, jak stałe tło dnia.

Płynęli dalej. Cztery dni. Pięć. Sześć. I z każdym dniem, z każdą godziną, zapuszczali się coraz dalej w niezmany przestwór Oceanu Nieskończonego.

Szóstego dnia nawet wyszło słońce. Hal przyglądał się, jak zatacza łuk nad ich głowami.

Nigdy dotąd nie widział słońca stojącego tak wysoko. Dokonał pomiarów za pomocą specjalnego instrumentu. Nawet nie znając dokładnej pory dnia, widział, że zniosło ich bardzo daleko na południe, tak daleko, jak jeszcze nigdy nie dotarł.

A może nawet dalej, niż dotarł jakikolwiek człowiek na świecie.

Siedział między ławkami, dla rozgrzewki bijąc się ramionami, gdy podszedł do niego Stig, wyraźnie zmartwiony.

– Co się stało?

Stig rozejrzał się, by sprawdzić, że nikt ich nie słyszy.

– Zostało nam bardzo mało wody – powiedział ściszym m głosem.

Hal znarszczył brwi.

– Jak to możliwe? Przecież jeszcze nawet nie skończyliśmy pierwszej beczki. Jest jeszcze cała druga.

Zawsze zabierali ze sobą na wyprawy dwie beczki wody pitnej umieszczone pod pokładem, w wodoszczelnej części śródpokładzia. Każdego ranka Stig napełniał wielki bukłak i kładł go na pokładzie, tak by każdy z członków załogi miał łatwy dostęp do wody. Oczywiście napełnili obie beczki przed opuszczeniem Hibernii. Nawet jedna starczyłaby na podróż powrotną, ale Hal wołał zachować ostrożność. W końcu nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć – ich obecna sytuacja dowodziła tego aż nazbyt wyraźnie.

– Druga beczka przecieka. – Stig gniewnie potrząsnął głową. – Nie mam pojęcia, jak to się stało. Może kępka poluzowała się od tego całego rzucania i bujania.

Stig jako pierwszy oficer miał obowiązek pilnować takich spraw jak zapasy i sprzęt. A teraz

czuł się winien.

– Ile zostało? – zapytał Hal. To była zasadnicza kwestia.

Po namyśle Stig odparł:

– Może jakaś jedna trzecia. A w tej pierwszej trochę mniej.

– Przede wszystkim trzeba zatrzymać wyciek

Stig machnął ręką.

– Już się tym zajmę. Ale trudno było znaleźć uszkodzenie, po prostu przelałem wodę do pierwszej beczki.

– To chyba nie robi różnicy, prawda? – spytał Hal z zaniepokojeniem. Skoro jedna beczka została uszkodzona, istniało ryzyko, że z drugą stanie się to samo. Może mało prawdopodobne, ale jednak A Hal spędził na morzu wystarczająco dużo czasu, by wiedzieć, że jeśli coś jest prawdopodobne, to może się wydarzyć – i wydarza się aż za często. Ale Stig zapewnił:

– Nie. Pierwsza jest cała. Sprawdziłem trzy razy. Ale chodzi o to, że beczka wypełniona w dwóch trzecich wystarczyłaby nam do końca podróży. W normalnych warunkach. – Urwał znacząco. Hal rozumiał, o co mu chodzi. Popatrzył na szare rozpedzone fale.

– Ale to nie są normalne warunki – rzucił.

– Otóż to – odparł Stig ponuro. – Nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy ani jak długo zajmie nam powrót.

– Co znaczy, że trudno policzyć, ile wody potrzebujemy – dokończył Hal.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu Hal podjął decyzję.

– Obetniemy dzienne racje o połowę.

Stig miał sceptyczną minę. I cieszył się, że nie on musi decydować w tym przypadku.

– Czy to wystarczy?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Zniosło nas daleko na południowy zachód. I dalej znosi. Nie da się nic powiedzieć, dopóki pogoda się nie zmieni i będziemy mogli zawrócić na północny wschód.

– Z namysłem podrapał podbródek – Na pewien czas zmniejszymy racje o połowę i zobaczymy, co dalej. Powiedz pozostałym – dodał. Nie chciał, żeby się dowiedzieli dopiero rano, kiedy dostaną zmniejszone porcje. Uznał, że lepiej, by teraz ponarzekali sobie i pomarudzili do woli.

Stig zacisnął wargi. Hal widział, że przyjaciel nadal martwi się i obwinia. Poklepał go w ramię.

– Nie zadręczaj się tak – powiedział. – Nie twoja wina.

Stig potrząsnął głową.

– Jestem pierwszym oficerem. Powinienem był wcześniej zauważyć.

Hal filozoficznie wzruszył ramionami. Nie zamierzał za bardzo drążyć tego tematu. Owszem, technicznie rzecz ujmując, należało do obowiązków Stiga pilnowanie tego rodzaju szczegółów

i Hal uważał w pewnym sensie za słuszne, że Stig ma wyrzuty sumienia. Dzięki temu z pewnością nie pozwoli, by coś takiego powtórzyło się w przyszłości.

O ile mamy przed sobą jakąś przyszłość, pisała dręczący głosik w głowie Hala.

– Przekaż pozostałym – powtórzył i Stig ruszył w stronę reszty towarzyszy, którzy siedzieli skuleni blisko siebie, by nie tracić ciepła.

Jak można się było spodziewać, pierwszy zaczął marudzić Jesper.

– Jak do tego doszło? – spytał urażonym i stanowczym tonem, kiedy Stig opowiedział o ciekającej beczcze. Stig wbił w niego stalowe spojrzenie.

– Jak, naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia – powiedział. – Istotne jest, że tak się stało. Obcinamy racje o połowę aż do odwołania.

– Może spadnie deszcz – rzucił Ingvar. – Musimy przygotować coś, w co w razie czego można nałapać wody.

Stig z uznaniem kiwnął głową.

– Słuszna myśl, Ingvarze. Jesper, Stefan, przy szykujcie jeden z zapasowych żagli.

– Dlaczego ja? – zapytał Jesper. Hal wznosił oczy do sztormowego nieba.

– Ponieważ ja tak mówię – odparł Stig.

Jesper wydał z siebie wzgardliwe prychnięcie.

– To żaden argument – mruknął.

Stig podszedł bliżej.

– A co powiesz na ten? Jestem pierwszym oficerem i jeśli nie będziesz wypełniać moich poleceń, dostaniesz po uszach.

Zapadła cisza. W końcu Jesper uciekł wzrokiem gdzieś w bok i podszedł do schowka, w którym trzymali zapasowe żagle.

– No, to był jakiś argument – przyznał obrażonym tonem.



ROZDZIAŁ 5



Ósmego dnia sztorm wreszcie postanowił się nad nimi zlitować. Wyjęcy wicher i bryzgi wody znikły z repertuaru podróży. „Czapla” już nie zalewała pokładu za każdym razem, gdy jej dziób rył doliny fal.

Ale chociaż siła sztormu zelżała i mogli nacieszyć się jakże upragnioną przerwą od ciągłego kulenia się między ławkami przerywanego wybieraniem wody, wiatr i fale wciąż bezlitośnie spychały łódź na południowy zachód. Kierunek wiatru był całkowicie niezgodny z kursem, który powinni utrzymać, by wrócić na wybrzeże Hibernii i, w końcu, do Skandii.

Thorn i Hal siedzieli w kucki przy sterze, a Stig usiłował utrzymać łódź pod kątem do kierunku wiatru. Pozornie zmierzali na północny wschód, a w rzeczywistości stale dryfowali pchani wiatrem na południowy zachód. Wiatrem, który, choć już nie przypominał tej wścieklej złośliwej siły, dręczącej ich przez osiem wyczerpujących dni i nocy, nadal wiał bardzo mocno, jakby uparł się, że nie pozwoli im wrócić do domu.

– Jak myślisz, istnieje szansa, że pogoda się zmieni? – spytał Hal Thorn, żeglarza najbardziej doświadczonego z całej załogi. W ciągu długich lat żeglowania po wszystkich morzach znanego im świata miał okazję poznać najróżniejsze kaprysy pogody.

Ale problem polegał na tym, że już nie znajdowali się w znanym sobie świecie. Ocean Nieskończony był dla nich wszystkich zagadką, miejscem obcym i niezbadanym. Owszem, w przeszłości wilczym okrętem zdarzało się zapuszczać na jego wschodni skraj. Ale nikt dotąd nie odważył się wypłynąć dalej, na niepomiarłą szarą masę wód, które teraz rozciągały się przed nimi po horyzont.

A jeśli nawet, to taki okręt nie wrócił.

Thorn wahał się z odpowiedzią. Zmarszczył nos i poniuchał powietrze, popatrzył na północny wschód, skąd brały początek wiatr i fale.

– Szczerze mówiąc – powiedział, przeciągając słowa – nie mam pojęcia. Nie znam tych wód

ani tutejszej pogody. Mogę powiedzieć jedno: niby czemu miałyby się zmienić? Wiatr wieje z północnego wschodu już od ośmiu dni. I nie widzę żadnych oznak zapowiadających zmianę. A jest nam ona bardzo potrzebna, jeśli mamy zmienić kurs o dziewięćdziesiąt stopni.

– Czyli można założyć, że to potrwa kolejne osiem dni.

Thorn wzruszył ramionami.

– Czemu tylko osiem? Może tak wiać nawet przez kilka tygodni. Najwyraźniej jest to jakiś potężny front. Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć nic bardziej optymistycznego.

Hal przez chwilę obgryzał postrzępiony paznokieć. W końcu spojrzął na Stiga i spytał:

– A jak nastroje wśród reszty?

W tego rodzaju sytuacjach starał się zachować dystans w stosunku do pozostałych członków załogi. Nie mógł sobie pozwolić na żadne dyskusje ani dzielić się myślami. Jeśli miał podejmować trudne i nieprzyjemne decyzje, musiał postępować w ten sposób. Jego rozkazy nie mogły stać się tematem debaty i kłótni. Ale Stig mógł trzymać się bliżej załogi i służyć Halowi za oczy i uszy.

– Jak wiesz, wczoraj znów obciąłem racje wody. Do dwóch kubków dziennie.

Hal zmarszczył brwi. Wiedział, że Stig zamierza ponownie obciąć racje, ale nie spodziewał się, że aż tak radykalnie.

– To bardzo mało. Jaktó przyjęli?

– Nie byli zachwyceni – odparł Stig. – Trudno się dziwić. Ale rozumiem, że to konieczne. W końcu nie są dziećmi. A jeśli nawet trochę marudzą, to dobrze, upuszczą żółci i po sprawie.

– A niech mnie, naprawdę nie mam pojęcia, czemu nie pada – wtrącił Thorn, spoglądając na niskie chmury pędzące po niebie. – Orlog jeden wie, starczyłoby tego na cały potop.

– Może jeszcze popada – powiedział Hal. Ton jego głosu zdradzał jednak, że raczej na to nie liczy. Pomyślał, że kiedy bardzo się czegoś chce, to na pewno tak się nie stanie. Ale nie powiedział tego głośno. Zmniejszenie racji wody do jednej czwartej to był poważny krok. Ilość ledwo wystarczająca do przeżycia. Owszem, jedzenia mieli pod dostatkiem, ale bez wody apetyty nie za bardzo dopisywały. A brak wody odczuwa się znacznie szybciej niż brak jedzenia.

– Nawet jeśli wiatr się zmieni – powiedział po chwili milczenia – potrwa co najmniej osiem dni, zanim wrócimy do punktu startu.

– Więcej – poprawił go Stig. – Będziemy płynąć pod wiatr, co oznacza halsowanie. Zrobi się z tego dwa razy większa odległość do pokonania.

– A więc dziesięć-dwanaście dni.

Stig kiwnął głową.

– Co najmniej. A woda skończy się za trzy.

Thorn, który bacznie przyglądał się Halowi, nagle zapytał:

– Coś ci chodzi po głowie?

Hal wziął głęboki wdech i wyznał:

– Tak sobie myślę, że moglibyśmy postawić żagiel i skierować się na zachód.

– Na zachód? – powtórzył Thorn z niedowierzaniem. – Jeszcze dalej na Ocean Nieskończony?

– To tylko nazwa – odparł Hal. – Wzięła się stąd, że nikt do tej pory się tam nie zapuszczał. Ale pomyśl tylko. Tam musi coś być.

Machnął ręką gdzieś w kierunku zachodniego horyzontu. Thorn i Stig pobiegli wzrokiem za jego ramieniem. Thorn miał bardzo sceptyczną minę. A Stig nawet zmartwioną.

– A jeśli on naprawdę jest nieskończony? – powiedział.

Hal potrząsnął głową.

– Niby dlaczego? Każdy ocean musi się kiedyś skończyć. Zawsze jest jakiś brzeg.

– Ale to jest Ocean Nieskończony – zauważył Thorn.

Hal niecierpliwie potrząsnął głową.

– Tak się tylko nazywa. Z pewnością jest ogromny. Ale twórcy map mają poetyckie skłonności. Żaden nie nazwałby go po prostu Oceanem Wielkim. Ocean Nieskończony brzmi znacznie bardziej dramatycznie.

– I przerażająco, jeśli chcesz znać moje zdanie – rzucił Stig.

Thorn przez cały czas przyglądał się im, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. W końcu zawyrokował:

– Myślę, że Hal ma rację. Nic, tylko podskakujemy na falach jak jakiś korek, wiatr ciągle spycha nas dalej na południowy zachód. Wkrótce skończy się woda i co wtedy?

– A jeśli wiatr się zmieni? – upierał się Stig.

Thorn wzruszył ramionami.

– Zawsze możemy zawrócić w kierunku Hibernii. – Urwał i po chwili dodał: – Ale ustaliliśmy, że nawet jeśli wiatr się zmieni, woda skończy się na długo, nim zdążymy tam dotrzeć.

– A jeśli zdecydujemy się popłynąć na zachód, utrzymamy dobrą prędkość – zauważył Hal. – To najkorzystniejszy dla „Czapli” kierunek w stosunku do wiatru. A wiatr na pewno jest wystarczająco silny. Może dotrzemy do lądu nawet za dzień-dwa, kto wie?

– Nikt. I właśnie na tym polega problem – odparł Stig.

– Cóż, możemy dalej tak siedzieć, słać na falach, kręcić się w tę i z powrotem i nigdzie nie dopłynąć. Ale możemy też spróbować coś zrobić. Wolę to niż biernie czekać na śmierć z pragnienia.

Powiodł wzrokiem po szarym posępnym morzu. Jakie to ironiczne, pomyślał, mówić o śmierci z pragnienia, kiedy otaczają cię nieprzeliczone masy wody.

– Pewnie masz rację – przyznał Stig. Zaczynał rozumieć sens rozumowania, które przedstawił

Hal. – Ale uważam, że w tym przypadku powinniśmy spytać o zdanie resztę załogi. W końcu ryzykujemy ich życie. Powinni mieć coś do powiedzenia.

– Nie podoba mi się ten pomysł – odparł Hal. – Lepiej nie tworzyć precedensów.

– W normalnych okolicznościach przyznałbym ci rację – wtrącił Thorn. – Ale w normalnych okolicznościach podjąłbyś decyzję w oparciu o wiedzę i fakty. A tym razem kierujesz się instynktem, przecuciem. Zgadza się ze Stigiem. Tym razem wszyscy powinni wyrazić swoje zdanie.

Hal uświadomił sobie, że mają rację. Podróż na zachód wiązała się z ogromnym ryzykiem. Nie miał nic na poparcie przekonania, że gdzieś tam na pewno jest jakiś ląd.

– Dobrze – odparł. – Zwołajmy zebranie.

Kiedy wszyscy przeszli na rufę, Stig stanął przy sterze, a Hal przedstawił im swój pomysł: obrać kierunek zachodni i postawić normalny żagiel.

Tak jak się spodziewał, wszyscy byli mocno zszokowani. Pomysł, by płynąć w nieznaną musiał wydawać się bardzo radykalny. Oczywiście jako pierwszy z argumentem przeciwko wystąpił Jesper.

– Chcesz odpłynąć jeszcze dalej od domu? – spytał z niedowierzaniem. – Jeszcze dalej na Ocean Nieskończony? – pokręcił głową i popatrzył na Hala jak na szaleńca.

– Moim zdaniem – odparł spokojnie skirl – to najlepsze wyjście, jeśli chcemy dotrzeć do lądu. Na pewno nie dokonamy tego, siedząc w miejscu.

Ingvar, nieco oswoiwszy się z pomysłem, powiedział:

– Przyznaję, że początkowo przeżyłem szok, ale po chwili zastanowienia stwierdzam, że to jedyne logiczne rozwiązanie.

– Logiczne? – wykrzyknął Jesper z oburzeniem. – Co jest niby logicznego w myśle, by jeszcze bardziej oddalić się od Skandii, wypłynąć dalej na wody Oceanu Nieskończonego? Nieskończonego – powtórzył z naciskiem. – To znaczy, że on się nigdy nie kończy.

– Tego nikt nie wie – stwierdził spokojnie Edvin. Wiedział, że wiele ryzykują. Ale był przekonany, że Hal zaproponował najlepsze rozwiązanie.

– Nikt też nie wie, czy się kiedyś kończy – odparował Jesper. Tak naprawdę wcale nie był aż tak sceptycznie nastawiony, ale słowa Hala uświadomiły mu w pełni, w jak trudnym znaleźli się położeniu. Musiał zmierzyć się ze świadomością, że być może czeka ich śmierć na morzu, tysiące kilometrów od domu.

– Powiedźcie mi, czy wszystko dobrze rozumiałam – odezwała się nagle Lydia. Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Lydia zdążyła zasłużyć na pozycję zaufanej i szanowanej członkini załogi. Miała analityczny umysł. Jako łowczyni nieustannie ćwiczyła się w rozważaniu za i przeciw i podejmowaniu ważnych decyzji. Nawet Jesper chciał poznać jej opinię. W głębi

serca ufał Halowi i wiedział, że umie on podejmować decyzje w trudnych sytuacjach. Ale ta była jedną z najtrudniejszych, z jakimi do tej pory przyszło im się zmierzyć. Zwykle Hal miał na poparcie swoich pomysłów fakty i racjonalne myślenie. Tym razem tego zabrakło.

– Zostało nam wody na trzy dni? – zapytała Lydia, patrząc na Stiga. Ten przytaknął w milczeniu. – Jeśli nawet wiatr się zmieni, gdzie będziemy za trzy dni? Chodzi mi o to, czy na wschodzie jest jakiś ląd, do którego można dotrzeć w tak krótkim czasie.

Stig, jako że nadal zwracała się do niego, potrząsnął głową. Hal uznał, że lepiej na razie się nie wtrącać. On jasno wyraził swoje stanowisko.

– Nie ma – odparł Stig. – Widziałeś, co jest na wschodzie. Hibernia to najbliższy ląd, w tym momencie odległy o jakieś dziesięć dni. Co najmniej.

– A wtedy już nie będziemy mieć wody – zauważyła.

– Wtedy – wtrącił Stefan – wszyscy będziemy martwi z powodu braku wody. A już od kilku ostatnich dni nie pijemy w wystarczających ilościach.

Lydia kiwnęła głową.

– Słuszna uwaga. – Znów spojrzała na Stiga. – A jeśli popłyniemy na zachód? Czy tam jest jakiś ląd?

Stig zawahał się. Wzruszył ramionami i odparł:

– Nie wiadomo.

– Ale wiadomo na pewno, że na wschodzie nic nie ma – powiedziała Lydia.

– Zgadza się.

Przez chwilę rozważała jego słowa w myślach. W końcu spojrzała na Thorna.

– Jak sądzisz? Czy ten ocean rzeczywiście się nie kończy? A może jest jednak możliwe, że istnieje ląd na zachodzie?

– Oczywiście, że jest to możliwe – odparł. – Powiem więcej, jest to założenie jak najbardziej zgodne z logiką.

– Dlaczego?

– Wszyscy znamy teorię głoszącą, że świat to wielki spodek stojący na grzbiecie gigantycznego żółwia. – Thorn nie był do końca pewien, czy wierzy w ten popularny mit. Ale widać kilku członków drużyny uważało go za prawdę objawioną, bo w milczeniu pokiwali głowami. – No to pomyślcie tylko. Wiemy, że na wschodzie znajdują się Hibernia, Araluen i wielka połać kontynentu, gdzie leżą między innymi Aslava i Stepy. Logika każe zakładać, że na zachodzie musi istnieć podobna masa lądu, by została zachowana równowaga. Inaczej świat przechyliłby się w jedną stronę i spadł z grzbietu żółwia.

Jesper otworzył usta, lecz zaraz znów je zamknął i zamyślił się nad słowami Thorna.

– No, wreszcie ktoś powiedział coś sensownego – stwierdził po chwili i spojrzał na Hala. –

Czemu od razu taknie mówileś?



ROZDZIAŁ 6



„Czapla” pchana bocznym wiatrem od sterburty pruła fale oceanu, błyskawicznie pokonując kolejne kilometry. Zniknął ten monotony i nieco mdlący ruch towarzyszący im podczas sztormu, gdy łódź wspinała się na wysokie grzbiety fal, by zaraz z nich zjechać i pruła dziobem nacierające na nich masy wody. Teraz płynęła pod kątem do fal i jej ruch stał się znacznie łagodniejszy. Owszem, nadal kołysała się i kiwała, lecz ten rytm był radosny i porywający. „Czapla” żyła. Takielunek poskrzypywał i jęczał w nieustającej pieśni. A oni wreszcie czuli, że dokądś zmierzają.

Jedyny problem polegał na tym, że nie bardzo wiedzieli, gdzie to „dokądś” dokładnie się znajduje.

Hal żywił irracjonalną nadzieję, że zobaczą ląd już pierwszego dnia. Zdążyli w końcu pokonać sporą odległość. Ale zapadła noc, wstał nowy dzień i nadal widzieli tylko nieskończone morze, rozciągające się po horyzont we wszystkich kierunkach.

Stig rozdzielił mizerne racje wody. Hal nie chciał przyjąć swojej, ale cała załoga wszczęła protest.

– Jesteśmy razem – powiedział Wulf. – Poza tym potrzebujemy zdrowego sternika.

Pozostali zgodnie zamruczeli i Hal ustąpił. Nabrał łyk wody w usta, pozwolił mu spłynąć do gardła, bardzo powoli, tak powoli, jak tylko się dało.

– Nie jestem pewien, czy to wystarczy, by zachować zdrowie – stwierdził ponuro mocno schrypniętym głosem i oddał pusty kubek Stigowi. Zauważył, że coraz trudniej im mówić. Wszyscy mieli tak suche i spuchnięte gardła i usta, że ledwo dobywali z nich dźwięki. Niewielkie porcje wody, które dostawali dwa razy dziennie, potrafiły temu zaradzić jedynie na krótką chwilę.

Zauważył również, że z barku wody robi się senny i ociężały. Zmuszał się, by zająć pozycję przy sterze, gdy nadchodziła jego kolej i pytał się w myślach, po co w ogóle to robi, skoro

w ciągu tygodnia pewnie wszyscy będą martwi.

Stefan zaproponował kóregoś razu, że mogliby pić wodę morską w niewielkich ilościach.

– Zawsze to woda – powiedział. Ale Thorn natychmiast odrzucił ten pomysł.

– Nawet o tym nie myśl! – odparł schrypnięty i zduszonym głosem. – Widywałem ludzi, którzy popadali przez to w szaleństwo.

Stefan spuścił wzrok, zawstydzony. Przez sekundę czy dwie pomysł wydawał mu się bardzo dobry. Ale musiał przyznać rację Thornowi. Woda morska jedynie wzmogłaby pragnienie.

– Może spadnie deszcz – powiedział z nadzieją Wulf.

– A może nie – dorzucił Ulf.

Minęła kolejna noc. Wiatr wiał z niezmienną siłą, „Czapla” wciąż mknęła na zachód. Wschodzące słońce oślepiło ich czerwonym blaskiem. Hal przyglądał mu się z lekkim niepokojem, ciekaw, na jakiej maksymalnie wysokości się znajdzie, nim zacznie wędrówkę w dół.

– Skręć w lewo! – zawołał Jesper zajmujący stanowisko obserwacyjne na dziobie.

Hal z zawstydzeniem stwierdził, że zasnął przy sterze. Czym prędzej przeciągnął rumpel i łódź skręciła w lewo. Za prawą burtą pokazał się czarny kształt – długi, zanurzony niemal całkowicie pod powierzchnią. Hal przyglądał mu się przez chwilę, zamroczony z pragnienia i braku snu. Na jednym końcu sterczała zakrzywiona gałąź. Uschły pień drzewa. Gdyby uderzyli weń przy tej prędkości, dziób „Czapli” zapewne roztrzaskałby się w drzazgi.

Pomyślał, że może byłoby to najlepsze wyjście z sytuacji. Przynajmniej mieliby szybką śmierć, zamiast tej powolnej agonii, okropnego pragnienia i osłabienia, które wszyscy cierpieli.

Ponownie zapadł w stan bezwładu i ośpienia. Teraz wiedział, że popełnił błąd. Na zachodzie nie ma żadnego ładu. Ten ocean naprawdę jest nieskończony, będą po nim żeglować, aż zmienią się w wysuszone skorupki. Statek-widmo z załogą złożoną z martwych mężczyzn – i jednej kobiety, jak zaraz poprawił się w myślach.

Lydia poczuła zmianę w ruchu łodzi – pozostali zresztą też, ale tylko ona zdobyła się na komentarz.

– Co to było? – Chociaż z powodu suchości w ustach i spuchniętego języka brzmiało to bardziej jak „So fo by o?”.

Hal wzruszył ramionami.

– Pień drzewa – odparł całkowicie obojętnym tonem. – O mało w niego nie przywaliliśmy.

Lydia zmarszczyła brwi. Czowała, że ta informacja jest w jakiś sposób istotna, nie potrafiła jednak tego sprecyzować. Myślenie wiązało się z ogromnym wysiłkiem. Łatwiej było nie myśleć. I pewnie również lepiej. Kiedy zdarzało jej się poświęcić energię na tę czynność, okazywało się, że myśli tylko o wodzie. Ale w końcu gdzieś z tyłu głowy zapaliła się lampka.

– Skąd przy płył? – zapytała.

Hal popatrzył na nią oszołomionym wzrokiem, trochę zirytowany, że wyrwała go z odrętwienia. Teraz będzie musiał się zastanowić, co właściwie powiedziała. Co skąd przyplęnęło? I jakie to ma znaczenie, tak w ogóle?

– Co? – spytał po chwili, widząc, że Lydia nie da mu spokoju, póki nie dostanie odpowiedzi.

Z wysiłkiem machnęła prawą ręką.

– Ten pień. O mało w niego nie uderzyliśmy – przypomniała mu. Też czuła irytację, sądziła, że Hal specjalnie się z nią drażni.

– Wiem – odparł.

– No to skąd on się tu wziął? – spytała wściekłym tonem.

– Z przodu – odparł cierpko. – Mało brakowało, a wałnęby w część dziobową po prawej stronie.

Lydia rzuciła mu mordercze spojrzenie. Co on dzisiaj taki tępy? Zwykle jest całkiem bystry, pomyślała.

– To było drzewo. A drzewo musi gdzieś rosnąć, zanim wpadnie do morza.

– Skąd, do licha, mam niby wiedzieć, gdzie rosło to drzewo? Nie jestem ekspertem w... – Nagle urwał. Słowa Lydii uderzył w niego niczym taran. Szczęła opadła mu do ziemi. – To było drzewo – powiedział w końcu.

– To już chyba ustaliliśmy.

Hal pomachał rękami w obronnym geście.

– Masz rację. Gdzieś musiało rosnąć. Drzewa nie wyskakują tak po prostu pośrodku oceanu. Musiało przyplęnąć od strony lądu. Wyspy. Albo i czegoś większego.

Unieruchomił rumpel i niezgrabnie wdrapał się na nadburcie, trzymając się baksztagu, żeby nie stracić równowagi. Po raz kolejny uświadomił sobie, jak mocno wpłynęło na niego odwodnienie organizmu. Normalnie wskakiwał na reling z lekkością kota. Dzisiaj nieźle się namęczył. Przysłonił oczy dłonią jak daszkiem i skierował wzrok przed siebie, w gęstniejący zmierzch, wbrew wszystkiemu mając nadzieję, że zobaczy ląd.

– I co? – spytała Lydia wyczekująco.

Potrząsnął głową ze smutkiem.

– Nic, tylko morze.

Lydia zmarszczyła brwi.

– Ale to drzewo musiało skądś przyplęnąć – upierała się. Hal zszedł z relingu i znów stanął u steru.

Thorn, który dostrzegł rozgrywającą się między nim i scenkę, podszedł bliżej.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Drzewo – odparł Hal. – Zjawiło się nagle i przepłynęło tuż obok łodzi.

Thorn popatrzył na nich dwoje. Od razu zrozumiał, co znaczą słowa Hala.

– Skoro jest drzewo, musi też być łąd.

– Wiemy – odparła Lydia. – Pytanie, jak daleko stąd. I w którym kierunku.

– Chyba nie dowiemy się tego przed nadejściem świtu – stwierdził Thorn. – Robi się ciemno, nic nie widać.

Hal szybko podjął decyzję. Przywołał Stiga. Ten podszedł do nich znużonym krokiem, unosząc brwi w niemym pytaniu.

– Ile wody zostało? – zapytał Hal. Stig z namysłem wyduł wargi, suche i splełane, oblizal je. Samo wspomnienie wody wystarczyło, by sobie uświadomił, jak strasznie chce mu się pić.

– Dwa-trzy litry. Starczy na dwa kubki dla każdego... może.

– Rozdziel wszystko – polecił Hal.

Stig spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Wszystko?

Hal kiwnął głową.

– Tak Mam już serdecznie dosyć pustyni w ustach. Niech każdy z nas wreszcie się napije. Jutro rano zobaczymy łąd.

Zaskoczenie na twarzy Stiga ustąpiło powątpiewaniu. Zastanawiał się, czy Hal przypadkiem nie postradał zmysłów.

– Tak?

Hal stanowczo pokiwał głową.

– Tak

Ale nie zobaczyli łądu.

Świt zastał ich pośrodku oceanu. Nieuzasadniony optymizm Hala sprawił, że wraz z pierwszym brzaskiem wszyscy zebrali się przy relingu i wpatrzyli w horyzont. Jesper wdrapał się na dziobnicę, ale nawet jego sokole oczy nie wypatrzyły łądu.

Wspomnienie poprzedniego wieczoru, luksusu, jakim było wypicie porządnej porcji wody, zostało daleko za nimi. Wiedzieli, że nie ma więcej ani kropli. W ustach im zaschło, języki znowu spuchły. Mówienie przychodziło z trudem, więc przeważnie milczeli.

Usiedli w zagłębieniu między ławkami, przybici i zniechęceni, garbiąc ramiona i nisko chowając głowy na piersi. Teraz w pełni zdawali sobie sprawę z dramatyzmu sytuacji. Nikt jednak nie winił Hala z powodu pochopnej decyzji. Wszyscy byli zdania, że lepiej raz porządnie się napić niż dzielić sobie po kilka ostatnich kropli.

Pogrążeni w rozpacz, nie zauważyli mewy, która usiadła na czubku rejkę, rozłożyła skrzydła dla zachowania równowagi, zaraz znów je złożyła i zaczęła muskać sobie piórka. Po dziesięciu minutach wydała donośny skrzek, zerwała się do lotu i zanurkowała, by złapać rybę, którą

wypatrzyły jej bystre oczy tuż pod powierzchnią wody.

Usiadła na falach, odwróciła zdoby cz, by łatwiej było się do niej dostać, i położyła.

– To mewa – powiedział Edvin.

Lydia popatrzyła na niego obojętnie.

– I co?

Wskazując na ptaka, odparł:

– Mewa. Nie albatros ani fregata. One potrafią latać na odległość setek kilometrów od lądu, zapuszczają się daleko nad morza i oceany. Ale mewa trzyma się blisko lądu.

W tym momencie biało-szary ptak uniósł się na falach, energicznie zatrzepotał skrzydłami i zerwał się do lotu. Zatoczył krąg wysoko w powietrzu, by znów znaleźć się w pobliżu łodzi. Patrzyło nań dziesięć par oczu. Przez chwilę jakby zamierzał ponownie usiąść na rejece.

Ulf podniósł się i zaczął machać rękami z całej siły, krzycząc schrypniętym załamującym się głosem:

– Sio! Wynocha! Leć do domu!

Przestraszona gwałtownym ruchem, mewa zawróciła i skierowała się prosto na zachód. Popatrzyli na siebie. Nadzieja znów zagościła w ich sercach.

– Poleciał do domu – powiedział Ulf.

Mimo dramatycznych okoliczności Wulf jak zwykle nie mógł sobie darować słownej utarczki z bratem.

– Skąd wiesz, czy to nie ona?

Ulf z rezygnacją opuścił ramiona.

– Dobra. Poleciała do domu – poprawił się. – Prosto na suchy ląd. – Nietypowa reakcja dowodziła, jak bardzo jest zmęczony.

– A my musimy po prostu za nią płynąć – dodał Hal.

Stig uśmiechnął się szeroko, z trudem rozciągając suche splekane wargi.

– Skąd wiesz, że to ona?

Hal nie odpowiedział. Obrócił rumpel, by skierować łódź w ślad za znikającym w dali ptakiem.

ROZDZIAŁ 7



Od chwili, gdy zobaczyli mewę minęło pół dnia. Ptak dawno temu znikł im z oczu, a oni nadal znajdowali się pośrodku morza. Początkowy entuzjazm znikł, ustąpił rozczarowaniu i zniechęceniu.

Stefan siedział na pokładzie, na brzegu zagłębienia między ławkami po prawej stronie, bujając nogami.

– Zastanawiam się, czy taki sam los spotkał „Wilczego Ptaka” – powiedział, bardziej do siebie niż do pozostałych. Kilka lat wcześniej „Wilczy Ptak” opłynął Przyładek Schronienia, wypuścił się na wody Morza Zamarznętego i znikł bez wieści.

Thorn powiódł wzrokiem po zasmuconych twarzach. Pomyślał, że trzeba ich rozweselić, wyrwać z apatii.

– Moim zdaniem zaatakował go gigantyczny morski potwór – rzucił od niechcienia.

Nikomu nie przyszło do głowy spytać, skąd to wie. Od czasu, gdy „Wilczy Ptak” minął Przyładek Schronienia, nie mieli żadnych wieści na temat jego losów. Ale wizja morskiego potwora skutecznie odebrała wszystkim zdolność logicznego myślenia.

– Morski potwór? – powtórzył Jesper. – Ale jaki morski potwór?

– Duży – odparł Thorn. – A nawet ogromny. „Duży” to stanowczo nieodpowiednie słowo.

– Ale jak wyglądał? – zapytał Stefan.

Niesamowite, pomyślał Thorn. Połąknił haczyk jak nic. Przeszukiwał we wspomnieniach przeróżne niesamowite opowieści zasłyszane od żeglarzy.

– Był w kształcie tak jakby łopaty – powiedział – i miał wielkie wyłupiaste oczy umieszczone po bokach głowy. I czarnaście długich giętkich nóg, podobnych do macek ośmiornicy – dodał, coraz mocniej angażując się w sprawę. – I dziób jak papuga, takich rozmiarów, że bez trudu zdołałby rozerwać człowieka na dwoje.

– A potrafił mówić jak papuga? – zainteresował się Edvin.

Thorn spojrział na niego. Zauważywszy sceptyczną minę, uśmiechnął się w duchu. Edvina nie

tak łatwo było nabrać. Zapewne dostrzegł w historii Thorną podstawową usterkę.

– Nie – odparł Thorn z udawanym oburzeniem. – Nie potrafił. Ale potrafił rozerwać okręt na dwoje.

Brwi Edvina podjechały do góry. Przejrzałem cię, mówił wyraz jego twarzy. Thorn puścił do niego oczko.

Reszta nadal przerabiała w myślach słowa Thorną.

– A jak ten potwór się nazywał? – zapytał Ulf z trwogą w głosie. Wyraźnie widział w myślach namalowany przez Thorną portret gigantycznego stworzenia.

– Jakiś chciał – odparł Thorn. Właściwie miał ochotę wyznaczyć, że taki stwór nie istnieje, gdy nagle, jakieś dwadzieścia metrów od prawej burty, woda gwałtownie się zakotłowała i z głębin powoli wynurzyła się ogromna czarna istota. Woda kłębiła się wirami wokół jego lśniącego cielska i wielkiej głowy, pojedyncze oko zdawało się patrzeć prosto na nich. Stwór mierzył co najmniej półtora raza tyle co „Czapla” i bez trudu utrzymywał wyznaczane przez nią tempo, płynąc równoległym kursem.

I nagle, ze świszczącym rykiem, z czubka jego głowy wytrysnął strumień wody. Wiatr przywiał chmurę cuchnących rybą kropel.

Thorn poczuł, jak włoski na karku stają mu na baczność z przerażenia. Potwór zjawił się jakby na jego wezwanie, w odpowiedzi na żarcik Thorn zwykle nie ulegał przesądom, ale teraz pomyślał, że może za bardzo kusił los, opowiadając o morskich potworach pośrodku tego wielkiego niezbadanego oceanu.

Na chwilę zapadła absolutna cisza. A potem wszyscy rzucili się z wrzaskiem do lewej burty, byle dalej od przerażającego stworzenia – tak jakby cztery metry robiły jakąkolwiek różnicę, gdyby potwór postanowił zaatakować. Hal skrzył rumpel, kładąc się na nim całym ciężarem ciała, by odwrócić łódź jak najdalej w drugą stronę i jednocześnie wydając polecenia bliźniakom. Bestia bez problemu powtórzyła ich manewr, utrzymując od łodzi stałą odległość dwudziestu metrów.

– Thorn? – zawołał Hal nerwowo. – Co to jest?

Ale tym razem stary wilk morski nie znał odpowiedzi. Nie odrywał wzroku od gigantycznej ryby. Jej lewe oko – zakładał, że po drugiej stronie jest też prawe – zdawało się patrzeć prosto na niego.

Usłyszeli potężny świszczący wdech. Potwór powoli wygiął grzbiet, machnął wielkim rozdwojonym ogonem i ponownie znikł pod powierzchnią, zostawiając za sobą wir wzburzonej wody.

Wszyscy natychmiast rzucili się z powrotem do prawej burty i przechylili nad relingiem, próbując dojrzeć coś w szarej kąpieli, wypatrując śladów tajemniczego stwora. Nagle wszyscy

zaczęli gadać nerwowo i z podekscytowaniem jeden przez drugiego, dając wyraz zdumieniu tym, co przed chwilą ujrzeli. Owszem, z zachwytem słuchali opowieści Thorny, lecz tak do końca w nią nie uwierzyli. W końcu morskie potwory należą do świata mitów i legend. Może istnieją, a może nie. W każdym razie tak myśleli aż do teraz. Ale dostali dowód, że w morskich głębinach naprawdę żyją ogromne stworzenia i ta wiedza budziła niepokój u wszystkich bez wyjątku – również u Hala i Edvina, którzy sceptycznie traktowali opowieść Thorny.

Sam Thorn przeżył prawdziwy wstrząs. Do dzisiaj największym morskim stworzeniem, jakie miał okazję oglądać, był samiec morsa – lecz w porównaniu z potworem, którego właśnie widzieli, przy pominął niegroźną kruszynkę.

Zresztą wszyscy byli bardzo poruszeni. Nie mieli najmniejszych wątpliwości, że wielka ryba, gdyby tylko przyszła jej ochota, mogła roztrzaskać łódź na drzazgi.

Wypatrywanie śladów stwora tak ich pochłonęło, że to, co powiedziała Lydia kompletnie ich zaskoczyło.

Chwilę wcześniej wspięła się na nadburcie tuż obok dziobu, wypatrując tajemniczej wielkiej ryby, ale niczego nie znalazła, przesunęła wzrok trochę dalej.

– Chyba widzę łódź – oznajmiła z wyraźnym zdumieniem.

Podkaszany gwar nagle ucichł. Wszyscy odwrócili się i ruszyli na dziób. Na horyzoncie rozciągała się ciemnoszara linia, nikała w dali z obu stron.

– To chmura – powiedział Jesper.

Lydia potrząsnęła głową.

– Nie sądzę. Wcześniej dwa razy popełniłam ten błąd. Ale ta linia wygląda jakby bardziej solidnie niż wszystkie chmury, jakie kiedykolwiek widziałam.

Thorn wskoczył na nadburcie, chwytając się takielunku, by nie stracić równowagi.

– Lydia chyba ma rację – stwierdził po chwili. – Według mnie to bezdyskusyjnie wygląda jak łódź.

Natychmiast zapomnieli o morskim potworze. Członkowie załogi głośno wyrazili, że zgadzają się z tą opinią – za wyjątkiem paru osób, nastawionych trochę bardziej sceptycznie. Należał do nich Hal. Czuł, że nie zniesie rozczarowania, jeśli uwierzy, że to naprawdę łódź, a potem okaże się to pomyłką. Ale w miarę jak łódź parła dalej na zachód, zamazana szara linia zaczęła przybierać coraz wyraźniejszy zarys i w końcu Hal dołączył do radosnego chóru.

– To ziemia – powiedział. – To bez wątpienia ziemia. Udało się.

Thorn spojrział na młodego przyjaciela i uśmiech ulgi malujący się na jego twarzy.

– Gdziekolwiek ta ziemia leży – mruknął.



ROZDZIAŁ 8



Widok lądu, jakkolwiek niezwykle ekscytujący, w żaden sposób nie rozwiązał palącego problemu: braku wody pitnej.

Kiedy podpływały bliżej, okazało się, że nie mają jak przybić do brzegu. Ciągnął się na południe i północ nieprzerwaną linią skalistych klifów gęsto porośniętych drzewami. Fale rozbijały się o podstawy skał, w jednostajnym rytmie bryzgając białą pianą wysoko w powietrze.

– Mnóstwo drzew i zieleni – powiedział Edvin z nadzieją. – To znaczy, że musi być tu woda.

– Trzeba tylko jakoś tam się dostać – zauważył Stefan. Wszyscy zaczęli wypatrywać miejsca, w którym mogliby podpłynąć do brzegu. Na próżno.

Znajdowali się teraz zaledwie czterysta metrów od skał, w linii prostopadłej do wybrzeża. Za chwilę będą musieli skręcić w prawo lub w lewo. Ten wybór mógł okazać się decydujący. Potrzebny był im przesmyk czy zatoka, miejsce, gdzie mogliby dobić do brzegu i znaleźć wodę. Takie miejsce mogło się znajdować gdzieś niedaleko, kilka kilometrów w jedną lub w drugą stronę. Ale równie dobrze dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów dalej. Nie mieli żadnych wskazówek

Thorn i Hal wymienili spojrzenia.

– W którą? – spytał Thorn.

Hal zamyślił się i jak zresztą robił niemal za każdym razem, kiedy musiał podjąć decyzję, odruchowo spojrzął na wskaźnik wiatru. Nadal wiało z północy, tak jak od wielu dni. Oczywiście doskonale o tym wiedział. Ale zawsze musiał się upewnić – to był odruch.

– Na południe – zawyrokował. – Gdybyśmy skręcili na północ, musielibyśmy płynąć pod wiatr i halsować. A w drugą stronę będziemy mieć wiatr od rufy.

Skręcił w lewo, jednocześnie wydając polecenia bliźniakom, którzy połuźnili szoty, aż lewy żagiel ustawił się niemal prostopadle do osi kadłuba. Kiedy nieco wybrali szoty, wiatr natychmiast wypełnił płótno i „Czapla” pomknęła na południe.

– Wszyscy mają oczy szeroko otwarte – polecił. – Nie chcemy przegapić odpowiedniego miejsca, o ile w ogóle takie istnieje.

Ustawili się przy prawej burcie, uważnie wpatrzeni w przesuwany się brzeg. Przez długi czas klify ciągnęły się nieprzerwaną ścianą. Ani śladu choćby najmniejszej zatoki, która pozwoliłaby dobić do brzegu.

A kiedy już się pojawiła, mało brakowało, a by ją przegapili. Dwa cyple stały tam bardzo blisko siebie, a trzeci wyrosła z wody tuż za wejściem, tworząc iluzję nieprzerwanej linii skał. Ale Stefan dostrzegł liczącą pięćdziesiąt metrów przerwę, w której fale nie rozbijały się wysoko o brzeg, przyjrzał się uważniej i stwierdził, że jest tam bardzo wąskie, ledwo widoczne przejście.

– Tam! – wykrzyknął, wskazując przed siebie.

Hal wychylił rumpel, aż „Czapla” skręciła w prawo, Ulf i Wulf wybrali szoty, by dostosować żagiel do nowego kierunku wiatru. Stefan podszedł do steru i wskazał na puste miejsce między skałami.

– Widzisz? Tam jest przerwa. Zapewne płynie tam niewielka rzeka.

Hal kiwnął głową, nie odrywając wzroku od ledwo widocznej przerwy.

– Przygotujcie wiosła – polecił Stigowi. – Chyba nie mam ochoty wpływać w przesmyk pod żaglami.

Stig kiwnął głową i wydał polecenia. Rozległ się grzechot wiosel wsuwanych w dulkę. Wszyscy zajęli miejsca.

Hal odczekał do chwili, kiedy od ujścia rzeki dzieliło ich zaledwie sto metrów. Dał znak Stigowi, który kazał bliźniakom opuścić żagiel i zasiąść na ławkach. Pozbawiona żagla łódź stopniowo zwalniała. W końcu Stig również zajął miejsce i wydał rozkaz do wiosłowania.

Siedem wiosel jednocześnie zanurzyło się w wodzie i pchnęło łódź do przodu. Hal poczuł, jak rumpel ożywa w jego dłoni. „Czapla” cięła fale pod kątem, wspinając się na ich grzbiety i zsuwając się w doliny.

Bez przeszkód wpłynęli między cyple. Lydia, której obowiązki nie obejmowały wiosłowania, stała przez cały czas na dziobie, wypatrując podstępnych skał i płycizn. Ale nic nie stanęło im na drodze.

Z obu stron wznosiły się wysokie klify, które blokowały dostęp promieniom słonecznym i rzucały głębokie cienie na powierzchnię wody. Jeszcze chwila i znaleźli się w zatoce. Hal krzyknął, zaskoczony.

Zakładał, że wąski przesmyk to ujście rzeki, ale okazało się, że jest to wejście do obszernej zatoki, mierzącej co najmniej cztery kilometry. Dokładnie naprzeciwko wznosił się długi wąski cyple, który zdawał się wypełniać pustą przestrzeń między klifami, ale było to tylko złudzenie, zatoka tworzyła bowiem naturalną obszerną przystań.

Pozostali, słysząc zdumiony okrzyk Hala, obejrżeli się i przerwali wiosłowanie. Stig zdenerwował się i kazał im natychmiast wracać do pracy. Nie posłuchali, wciąż zapatrzeni na zatokę i brzeg, gęsto porośnięty drzewami.

– Na północy jest chyba rzeka – zawołał Thorn i wszystkie spojrzenia zwróciły się w tamtą stronę.

Między drzewami widniała przerwa, która jak najbardziej mogła być ujściem rzeki. Hal kiwnął głową, ale wypatrywał innego źródła wody. Wiedział, że jeśli to prawdziwa rzeka, a nie strumień, na pewno występują w niej pływy. Musieliby pokonać kilka dobrych kilometrów, by dotrzeć do słodkiej wody.

– Na południe – powiedział, wyciągając rękę w tamtych kierunku.

Ciągnął się tam jasny pas piaszczystej plaży. A powyżej wzdłuż skalnej ściany spływał spieniony wodospad. Hal nieświadomie oblizał suche wargi, podobnie zresztą jak kilku innych członków załogi.

Skierował „Czapkę” w lewo. Wszyscy ze zdwojoną energią zabrali się do wiosła. Też zauważyli srebrną wstęgę spływającą z klifu wody.

„Czapla” nabierała tempa, gładko cięła wody zatoki. Wszyscy wpatrywali się w upragnioną strugę, oblizując spierzchnięte usta i myśląc tylko o tym, że za chwilę wreszcie napiją się do woli, bez żadnych ograniczeń. Tylko Thorn zachował przytomność umysłu.

– Rozglądajcie się uważnie – powiedział. – Tu mogą być ludzie.

Dotąd nikomu nie przyszło to do głowy. Uważnie zaczęli omiatać wzrokiem nieznany brzeg, wypatrując znaków świadczących o obecności mieszkańców – którzy mogli się przecież okazać niezbyt przyjaźnie nastawieni.

Ale brzeg wyglądał na pusty. Spokój panujący w zatoce, stanowiący ostry kontrast z ciągłym szumem wiatru i fal na pełnym morzu, zdawał się wszystkim udzielać, napełniał ich poczuciem bezpieczeństwa.

– Nikogo nie widzę! – zawołał Hal.

– Co nie znaczy, że nikogo tu nie ma – odparł Thorn. – Kiedy dobijemy do brzegu, ani się wazicie biec prosto do wodospadu. Trzymajcie broń w pogotowiu, najpierw musimy się upewnić, czy to miejsce rzeczywiście jest tak opuszczone, na jakie wygląda.

Lydia spojrzała na Thorną i zgodnie skinęła głową. Odczepiła atlatl od pasa, wyjęła strzałkę z kołczanu na plecach i umieściła ją w zagłębieniu na końcu atlatlu.

Stig zerknął na pokład, by się upewnić, że jego topór leży w pobliżu. Tarcza wisiała na burcie tuż obok niego. Pozostali członkowie załogi postąpili podobnie. Edvin sięgnął po miecz, wysunął go dosłownie kilka centymetrów z pochwy, po czym znów chwycił za wiosło. Hal upewnił się, czy ma kuszę pod ręką. Miecz już miał przy sobie – wisiał on w pochwie, przerzucony przez ramię.

– Czy ty zawsze spodziewasz się najgorszego? – spytał Thorna, krzywiąc się.

Stary wilk morski uniósł jedną brew.

– Zawsze. W ten sposób nigdy nie spotyka mnie rozczarowanie.

Od plaży dzieliło ich jeszcze dwadzieścia metrów. Widać już było gruboziarnisty piach i kamyczki w kolorze brudnej bieli. Łódź zaszurała o dno.

– Zajmijcie pozycje! – zawołał Hal.

Jesper wciągnął wiosło i pobiegł po kotwicę leżącą na zwoju przychepionej do niej liny. Ulf i Wulf ustawili się tuż za jego plecami, uzbrojeni w topory. Tarcze, które wcześniej wisiały na burcie obok ławek wiosłarskich, zarzucili na plecy, by mieć wolne ręce.

Kiedy wszyscy zajęli odpowiednie pozycje, Lydia również przeszła na dziób, trzymając w ręku atlatl z założoną strzałką, gotową do wypuszczenia w razie niebezpieczeństwa.

Hal dał znak Stigowi.

– Wciągnąć wiosła! – zawołał pierwszy oficer.

Stefan, Edvin i Ingvar wyciągnęli ociekające wodą wiosła i ułożyli je równolegle do osi kadłuba. Kilka sekund później łódź zaryła dziobem o szorstki piach na plaży, a po kilku metrach przechyliła się na bok. Jesper wyskoczył na brzeg, pobiegł z kotwicą dalej, aż dotarł do suchego piachu powyżej linii przyływu i wcisnął kotwicę w ziemię. Ulf i Wulf postępowali tuż za nim, osłaniając go przed potencjalnym atakiem. Broń trzymali w pogotowiu i uważnie obserwowali ciągnącą się wzdłuż plaży linię drzew. Lydia stanęła na dziobie, a Thorn przywiązał linę cumowniczą do drewnianej knagi przy prawej burcie.

Teraz, kiedy już nie towarzyszyły im szcęk wiosła ani pluskanie wody obmywającej kadłub, usłyszeli zupełnie inny dźwięk – dźwięk wody rozbijającej się o skały, zaledwie pięćdziesiąt metrów od łodzi.

Hal i Stig spojrzeli na siebie. Hal poczuł się tak, jakby ktoś zdjął mu z ramion wielki ciężar. Udało się. Znaleźli łódź i, co ważniejsze, źródło słodkiej wody. Byli uratowani – przynajmniej na razie.

Stig, odgadując jego myśli, pochylił głowę i szeroko się uśmiechnął. Z lekkim zaskoczeniem stwierdził, że właściwie nigdy nie wątpił w pomyślne zakończenie tej przygody. Wierzył, że pod przewodnictwem Hala przetrwają wszelkie niebezpieczeństwa i trudności.

Hal przywiązał rumpel, zarzucił na lewe ramię kuszę i kołczan pełen bełtów i ruszył na dziób. Wszyscy odsunęli się, robiąc mu przejście, po czym ruszyli za nim.

Hal przerzucił nogi przez nadburcie i zsunął się na twardy mokry piach. Zrobił kilka kroków, zatrzymał się obok Jespera i bliźniaków. Ci trzej nadal obserwowali rosnące niedaleko drzewa. Nic nie wskazywało na to, by ktoś tam był. Ciszę przecięła ostry krzyk ptaka, wiatr zawiął pośród drzew, aż wąskie wysokie pnie zakołysały się zgodnym ruchem.

Thorn, Stig i pozostali członkowie załogi przystanęli za Halem. Podobnie jak on, bacznie przyglądali się ceniom pośród drzew, wypatrując sygnałów świadczących o tym, że nie są sami na tym nieznanym lądzie.

W końcu Jesper przerwał ciszę – jego głos zabrzmiał w niej nienaturalnie głośno i jakby obco, nie na miejscu.

– Co robimy?

Hal spojrział na niego i uśmiechnął się ze znużeniem.

– Nie wiem, jak ty – odparł schrypniętym, ledwo słyszalnym głosem – ale ja zamierzam coś wypić.



ROZDZIAŁ 9



Na te słowa wszyscy natychmiast ruszyli w stronę wodospadu. Ale głos Thorn'a kazał im się zatrzymać.

– Stać! – ryknął. Załoga momentalnie zareagowała na rozkazujący ton. Popatrzył na nich groźnie. – Pójdziemy ustawieni w formację. Grot. Stig na czele. Oczy szeroko otwarte, broń w gotowości.

Dobrze wiedział, że jeśli pobiegną po wodę bezładną grupą, będą wystawieni na atak Oszołomieni perspektywą zaspokojenia pragnienia, staliby się bardzo łatwym celem. Na szczęście dzięki wieloletnim ćwiczeniom pod jego komendą zachowali dyscyplinę i szybko ustawili się w kształt V zwróconego do przodu ostrym końcem. Na samym czubku stał Sig, tuż za nim Hal i Ingvar i dalej cała reszta. Thorn z zadowoleniem kiwnął głową.

– Stig, ruszamy – rozkazał. Stig pobiegł truchtem po miękkim piachu, który pisał pod jego krokami.

Posuwali się w stronę wodospadu, przez cały czas tworząc formację, z Thornem na samym końcu, bacznie obserwując pobliskie drzewa.

Kiedy znaleźli się blisko podnóża wodospadu, w miejscu, gdzie woda tworzyła niewielkie rozlewiska lśniące między skałami, Jesper nie wytrzymał. Wyłamał się z szeregu, i pobiegł dalej, rzucił się do pierwszej z sadzawek i zaczął chleptać wodę jak pies.

– A niech cię, Jesper – mruknął Thorn. Pozostali wychwycili gniewny ton w jego głosie i grzecznie szli dalej. Kiedy dotarli do wody, Thorn zwrócił się do Lydii:

– Zostań, będziemy razem trzymać straż.

Zakładał, że dzięki długoletniemu doświadczeniu w łowiectwie i tropieniu zwierzyny Lydia wykazuje się znacznie większą samodyscypliną niż pozostali. Kiwnęła głową i stanęła z boku. Wszyscy czekali.

– No dobra – powiedział szorstko Thorn – Ruszajcie.

Natychmiast rzucili się w stronę oczek wodnych. Jesper nadal leżał na brzuchu, chlepcząc wodę. Edwin, zawsze przezorny, zabrał z łodzi kubki i bukłak. Rozdał naczynia, a wszyscy napełnili je, stojąc lub kłęcząc w cudownie chłodnej wodzie. I pili. Ponownie napełnili kubki i pili. Edwin również zaczerpnął wody i wziął głęboki łyk. A potem napełnił dwa kubki i zaniósł je Lydii i Thornowi.

Stary wilk morski nagroził jego troskę pełnym uznania kiwnięciem głowy. A Lydia posłała mu promienny uśmiech.

– Dzięki, Edwinie – powiedziała. A potem wzięła pierwszy łyk i z rozkoszą poczuła, jak zimna orzeźwiająca woda spływa po wyschniętym gardle.

Thorn poszedł za jej przykładem. Wziął porządną łyk, po czym oderwał naczynie od ust.

– Nie za szybko – ostrzegł. – Jeśli wypijecie za dużo naraz, wszystko zwymiotujecie.

I oczywiście Jesper, który przez cały czas leżał z twarzą w sadzawce, łapczywie wciągając ogromne ilości wody, wybrał dokładnie ten moment. Na szczęście zdążył się podnieść i oddalić na bezpieczną odległość, między najbliższe skałki.

Thorn popatrzył za nim, unosząc jedną brew.

– Zawsze się jakiś znajdzie – mruknął.

– Zwykle Jes – zauważyła Lydia z uśmiechem.

Wymienili konspiracyjne spojrzenia i wzruszyli ramionami. A potem wrócili do obowiązków, i znów zaczęli bacznie przeszukiwać wzrokiem okolicę. Po chwili podeszli do nich Stig i Hal, którzy zdążyli zaspokoić pierwsze pragnienie.

– Wasza kolej – powiedział Hal, wskazując kciukiem na wodne rozlewisko. – Teraz my staniemy na straży.

Thorn z wdzięcznością kiwnął głową.

– Cho... – zaczęła, ale Lydia już biegła w stronę wody. Uklęka, napełniła kubek i wychyliła, odrzucając głowę do tyłu. Thorn uśmiechnął się od ucha do ucha, uznał, że może sobie pozwolić na chwilowe poluznienie żelaznej samodyscypliny i ruszył w ślady Lydii.

Wszyscy wydawali okrzyki i jęki rozkoszy. Po tylu dniach wreszcie napili się do woli. W dodatku była to zimna świeża woda, nie zatęchła ciecz z beczki. Kiedy zaspokobili najgorsze pragnienie, napełnili kubki i zasiedli na skałach otaczających sadzawki i sączyli wodę powoli, ciesząc się wilgocią w ustach i gardłach, czując, jak suche spuchnięte języki odzyskują normalny kształt.

Jesper usiadł z bólu ze zwieszoną głową, raz po raz ohydnie bełając. Edwin napełnił kubek i ruszył w jego stronę, ale Thorn wyciągnął rękę, by go zatrzymać.

– Zostaw go – powiedział. – Nic mu nie będzie. Przynajmniej czegoś się nauczył.

Ale Edwin, jako medyk, czuł się odpowiedzialny za zdrowie członków drużyny. Zawahał się

i wyminął Thorną.

– Chcę po prostu zanieść mu ten kubek

Thorn wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. Ja raczej wylałbym mu go na głowę.

Edvin podszedł do Jespera, który siedział skulony, głośno jęcząc, i dotknął kubkiem jego ramienia.

– Jes – powiedział. – Trzymaj, tylko wypij powoli.

Jesper uniósł głowę, spojrział na Edvina, przyjął kubek i wziął głęboki łyk. Edvin położył rękę na kubku, by go powstrzymać.

– Powoli, powiedziałem.

Jesper potrząsnął głową.

– Nic mi nie będzie – powiedział, po czym donośnie beknął.

Lydia uniosła brwi.

– Hm, jeśli w promieniu dziesięciu kilometrów są tu jacyś ludzie, to już o nas wiedzą.

Kiedy zaspokobili pragnienie, ruszyli do łodzi.

Hal szedł przed siebie, ze zmęczenia powłóczę nogami, a jednocześnie mierząc odległości wzrokiem, wypatrując miejsca na obóz. Oczywiście wyborem było miejsce w pobliżu wodospadu. Po pierwsze mieliby pod ręką źródło wody, a po drugie wysokie skały, po których ściekała woda stanowiły dobrą ochronę w razie ataku.

Cofnął się o kilka kroków, wyciągnął ramiona i rozglądał się na wszystkie strony w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na zbudowanie ogrodzenia. Nagle ramiona osłabły ze zmęczenia i musiał je natychmiast opuścić. Potrząsnął głową, by odgonić znużenie, butem zrobił znak w piasku. Pomyślał, że tutaj mogłoby się zaczynać ogrodzenie. I nagle się zreflektował. Tylko z czego niby mają je zbudować? Nie było tu kamieni w wystarczającej ilości, by wznieść solidny mur. Znowu potrząsnął głową. Czuł obezwładniające zmęczenie, a dylematy związane z budową obozu nagle go przerosły.

– Co robisz? – Thorn popatrzył na niego z zatroskaną miną.

Hal wziął głęboki wdech.

– Musimy zbudować obóz. I ogrodzenie wokół niego. Lepiej weźmy się do roboty.

Thorn potrząsnął głową.

– Nie. Lepiej my weźmy się do roboty – odparł. – Stig, Lydia i ja się tym zajmujemy. Ty powinienes wreszcie porządnie odpocząć.

– Ale jestem skirlem – zaprotestował Hal.

Thorn kiwnął głową.

– Zgadza się. I na morzu ponosisz pełną odpowiedzialność za drużynę. Ale na łodzi możesz

scedować część obowiązków na mnie i pozostałych.

– Ja nie... – zaczął Hal, ale Thorn chwycił go za ramię i zaprowadził ku grupie pobliskich skałek

– Siadaj – rozkazał i Hal po chwili wahania posłuchał. Nagle poczuł, że ze zmęczenia nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

– Hal, musisz odpocząć. Od kilku tygodni sam dźwigasz na barkach ogromny ciężar. Podejmujesz trudne decyzje.

– Ale to moja praca...

Thorn kiwnął głową.

– Kiedy jesteśmy na morzu, tak I doskonale sobie poradziłeś. Ale teraz możemy zdjąć część tego ciężaru z twoich ramion. – Bacznie przyglądał się Halowi, dostrzegał jego ściągnięte rysy i skrajne zmęczenie w oczach. Rozumiał znacznie lepiej niż pozostali członkowie drużyny, jak trudna bywa odpowiedzialność. I nie chodziło tylko o aspekt fizyczny, ale również o obciążenie psychiczne, z którym musi borykać się każdy skirł – konieczność podejmowania decyzji, od których zależy ludzkie życie, nieustanną gotowość i odpowiedzialność w najtrudniejszych sytuacjach. Thorn wiedział, że bywa to ogromnie wyczerpujące. I widział, że Hal po tych kilku pełnych grozy tygodniach znalazł się na skraju wytrzymałości.

Ingvar, którego Thorn wysłał do wypakowania sprzętu, podszedł do nich, niosąc zwinięte koce.

– To posłanie Hala – powiedział cicho.

Hal spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Moje posłanie?

– Dzięki, Ingvarze – wtrącił Thorn. – Rozłóż je tutaj. – Thorn zwrócił się teraz do Hala: – Kładź się i porządnie się wyśpij. Obudzę cię, kiedy będziesz nam potrzebny.

Posłanie, choć spartańskie, wyglądało niezwykle kusząco. Hal wsunął się pod koc i przykrył aż po szyję. Ingvar ukląkł i zdjął mu buty.

– O, jak dobrze – powiedział sennie Hal. – Może masz rację. Może zdrzemnę się ze dwadzieścia minut, a potem...

Nie dokończył. Powieki mu opadły, a z gardła dobyło się zadowolone westchnienie – które po chwili zmieniło się w ciche pochrapywanie.

– Taaa. Dwadzieścia minut – powiedział Thorn. Potem zwrócił się do Ingvara: – Zabierzmy się za budowę obozu.

Thorn zaostrzonym patykiem narysował w piasku półokrąg, którego końce przylegały do skalnej ściany, obejmujący obszar wielkości dziesięć metrów na trzydzieści.

– Chcę, żebyście zbudowali wzdłuż tej linii ogrodzenie – powiedział. – Ma mierzyć osiem metrów wwyż, składać się ze słupów stojących co pięć metrów i podwójnej barierki. Obłożymy

całość gałęziami i w ten sposób powstanie całkiem skuteczny mur obronny. Gdyby udało się znaleźć krzaki kolczaste, byłoby idealnie. – Powiedział wzrokiem po zatoce, spojrzał na zakotwiczoną łódź. – Nie podoba mi się, że „Czapla” stoi na widoku – stwierdził. – Sądzę, że lepiej byłoby przenieść ją dalej.

Wskazał na wąską rzeczkę płynącą opodal, po południowej stronie planowanego ogrodzenia. Miała zaledwie dziesięć metrów szerokości i osłaniały ją korony drzew rosnących na obu brzegach.

Thorn odwrócił się z powrotem w stronę załogi.

– Stig, Stefan, Edwin. Pójdziecie ze mną, przeprowadzimy „Czapkę” w nowe miejsce. Ingvarze, zacznij ścinać drzewa na ogrodzenie. Lydio, możesz mu pomóc i trzymać wartę. Ktoś może się zainteresować, słysząc takie odgłosy.

Wszyscy z zapalem przystąpili do nowych zadań.

Zepchnęli łódź na wodę, a Thorn wszedł po pas do wody, chwycił za linę przychepioną do rufy i przerzucił ją sobie przez ramię, by przeciągnąć „Czapkę” te kilka metrów dalej, do ujścia rzeczki, w taki sposób, by stała zwrócona dziobem w stronę morza.

– W razie gdybyśmy musieli w pośpiechu wypłynąć, nie będziemy musieli jej odwracać – wyjaśnił.

Łódź posłusznie płynęła za Thornem. Na wodzie ważyła wprawdzie niewiele, ale Stig dołączył do Thorn, by mu pomóc.

Rzeczka była niewielka, lecz było tam dosyć miejsca, żeby skutecznie ukryć „Czapkę” przed niepowołanym wzrokiem. Wciągnęli ją pod osłonę drzew i przywiązali dwiema cumami do pni na jednym i drugim brzegu. Potem wrócili do obozu. Tylko Edwin został, by zakryć „Czapkę” ściętymi gałęziami.

Przez ten czas Ingvar zdążył naciąć ponad tuzin drzewek na słupki ogrodzenia. Przenieśli je w wyznaczone miejsce i zaczęli kopać w piasku wąskie głębokie dziury. Thorn ruszył w stronę linii drzew, gdzie Ingvar nadal pracował z zapalem, rozebrany do pasa. Przy każdym ciosie wydawał z siebie cichy jęk, mięśnie mocno prężyły mu się pod skórą. Thorn z dużym podziwem patrzył, jak za każdym razem ostrze topora wchodzi głęboko w drewno.

Lydia patrolowała teren kilka metrów dalej, a Kluf dzielnie dotrzymywała jej towarzystwa, węsząc dokoła, aż nozdrza jej drżały.

– Widać coś ciekawego? – spytał cicho Thorn.

Lydia pokręciła głową.

– Na razie nic. Ale jeśli w promieniu pół kilometra znajdują się jacyś ludzie, to na pewno słyszeli rąbanie Ingvarowego topora.

Rzeczywiście, miała rację. Dzielny wielkolud zadawał mocne ciosy toporem, a przy każdym

z nich rozlegał się donośny dźwięk, rozchodzący się echem po lesie. Thorn odchrząknął.

– Miej oczy szeroko otwarte – powiedział. – Pójdę powiedzieć reszcie, żeby przyszli po drewno.

Wrócił do obozu i zobaczył, że trzy słupki już stoją na swoich miejscach. Stig wbił je głęboko w piach z pomocą wielkiego drewnianego młota, który zabrali ze sobą na wyprawę.

Thorn uchwycił spojrzenie Jespera i przywołał go ruchem ręki.

Jesper odwrócił wzrok z miną winowajcy.

– Jesper – zawołał miękko Thorn – chciałbym zamienić z tobą słowo.

Łagodny ton i neutralne słowa były oczywiście tylko przykrywką. Jesper niespiesznie ruszył w jego stronę, kciuk lewej ręki założył za szeroki skórzany pas.

– Tak? – zagaił, siląc się na naturalny ton. Dobrze wiedział, co zaraz nastąpi.

Thorn uśmiechnął się, podszedł bliżej, aż ich nosy znalazły się w odległości zaledwie dziesięciu centymetrów. Nagle uśmiech znikł i stary wilk morski przemówił, tłumiąc głos, by nie usłyszeli go chłopcy pracujący przy ogrodzeniu.

– Jeśli jeszcze raz, jeden raz, złamiesz dyscyplinę tak jak zrobiłeś to dzisiaj, kopnę cię w tylną część ciała, aż ci oczy z orbit wyskoczą.

Jesper zwiesił głowę pod palącym spojrzeniem Thornia.

– Tak jest – mruknął.

Ale Thorn nie zamierzał mu tak łatwo odpuścić.

– Na pewno zrozumiałeś? – zapytał.

Jesper pokiwał głową.

– Tak, Thornie – odparł, wciąż nie podnosząc wzroku.

– Jesteśmy daleko od domu – podjął Thorn. – Nie wiemy nawet gdzie, nie wiemy co lub kogo możemy tutaj napotkać. Musimy polegać na sobie nawzajem. Musimy utrzymać dyscyplinę w grupie. Inaczej ktoś może przypłacić to śmiercią. Jeśli jedna osoba zawiedzie pozostałych, może to doprowadzić do końca nas wszystkich. Jasne?

– Tak, Thornie.

– A niech cię, Jesper, patrz na mnie, kiedy ze mną rozmawiasz!

Jesper niechętnie uniósł głowę. Gniew, który zobaczył w oczach Thornia był naprawdę przerażający.

– Ostrzegam cię tylko raz. Jeśli przez twoje lenistwo czy brak dyscypliny ktoś zostanie ranny bądź zginie, odpowiesz za to. Jasne?

Jesper pokiwał głową. Nie wątpił, że Thorn dotrzy małby słowa.

Thorn nie był jednak zadowolony.

– Powiedz to. Chcę usłyszeć, jak to mówisz.

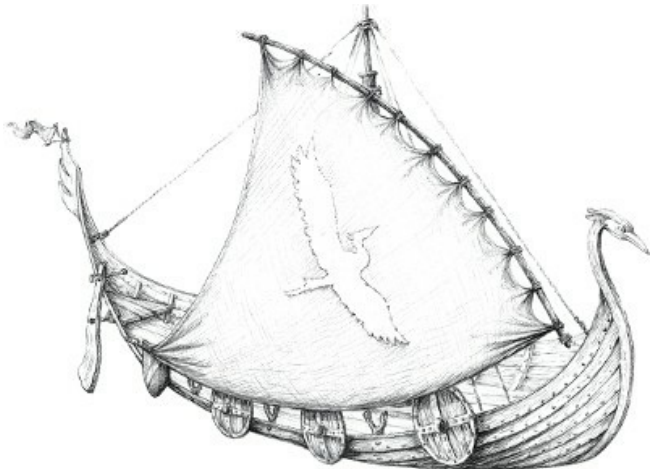
Jesper oblizał wargi. Nagle znowu wyschły, jak podczas ostatniego tygodnia na morzu. Ale tym razem nie z powodu pragnienia – lecz ze strachu.

– Rozumiem, Thornie – wyduśił w końcu.

Thorn jeszcze przez chwilę patrzył na niego w milczeniu.

– Miejmy nadzieję – powiedział.

CZĘŚĆ DRUGA



NIEDŹWIEDŹ

ROZDZIAŁ 10



Nim zapadła noc, ogrodzenie było gotowe. Pozostało im wypełnić gałęziami przestrzeń między dwiema barierkami, postanowili jednak odłożyć to do rana.

Kiedy cienie się wydłużyły, Thorn zarządził koniec pracy i wszyscy przystąpili do wznoszenia jednoosobowych namiotów, których konstrukcję tworzyły pocięte gałęzie przykryte płachtami brezentu. Edvin i Ingvar zbudowali palenisko i rozpalili ogień. Edvin zawiesił na trójnogu kociołek, umieszczając go nisko nad płomieniami.

Stefan stanął po uda w wodzie zatoki i zarzucił wędkę zrobioną z giętkiej gałązki, którą wyciął w zaroślach wierzbowych nad rzeką i wypróbował kolejne przynęty, by znaleźć taką, która spodoba się lokalnym rybom.

– Skąd on je wziął? – zaciekawiał się Stig.

Hal, który zdążył się porządnie wyspać, po raz pierwszy od kilku tygodni, i odświeżyć, a teraz siedział z kubkiem kawy w dłoniach – na szczęście mieli spory jej zapas po wizycie w Hibernii, uśmiechnął się i odparł:

– Stefan wszędzie zabiera ze sobą sprzęt wędkarski. To uzależnienie.

Stig kiwnął głową.

– Widywałem podobne przypadki.

Przerwał im okrzyk triumfu dzielnego wędkarza. Odwrócili się. Wędkła drżała, wygięta pod ciężarem ryby próbującej zerwać się z haczyka. Stefan odczekał dziesięć minut, żeby się zmęczyła, po czym uniósł wędkę i zaczął zbierać linkę, metodycznie i powoli. Kilka metrów od brzegu woda się zakotłowała i po chwili ryba pokazała się na powierzchni. Stefan wycofał się na plażę, ciągnąc zdobycz za sobą, aż znalazła się na brzegu, rzucając się i podskakując. Posłał publiczności szeroki uśmiech.

– To dorada. Dorodna dorada.

– Przyda się – stwierdził Hal, a Stefan ukląkł na piasku i dobił rybę jednym ciosem kamienia.

Wrzucił ją do wypełnionego wodą zagłębienia w skałe, po czym założył przynętę, ponownie wszedł do wody i zarzucił wędkę.

Przez kolejne piętnaście minut Stefan co chwila czuł charakterystyczne szarpanie na końcu wędkę. Może i była bardzo prosta, zdołał jednak złapać na nią trzy kolejne dorady, wszystkie tuste i olązałe.

Ale nagle się skończyło. Zarzucał wędkę raz za razem, ale bez skutku, przynęta pływała nienaruszona po powierzchni wody.

– Wystraszyłeś je – zawołał Stig.

Stefan potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

– Czasem tak już bywa – powiedział. – Przenoszą się na kolejne żerowisko.

– Gdzie nie czyha na nie ten dwunogi potwór, który lubi wbijać rybom haczyki w usta i wyciągać je na ląd – dorzucił Stig.

Stefan jeszcze raz potrząsnął głową.

– Nie. Tak po prostu się zdarza.

Znow zaczął wyciągać linkę, owijając ją stopniowo wokół kija. Hal wskazał na cztery sztuki moczące się w płytkim oczku wodnym.

– Oczyszcmy je i zanieśmy Edwinowi. Najlepiej zjeść je świeże.

– Nic nie może się równać ze świeżą rybą – zgodził się Stig.

Pomogli Stefanowi wypatroszyć i oczyścić ryby. Ścinki i wnętrzności wrzucili do morza i w wodzie natychmiast zakłębiło się od maleńkich rybek, które chwyciły zdobycz i błyskawicznie czmychały. Stefan powiesił ryby na pętli splecionej z giętkich pnączy, przewlekając ją przez pyszczki i skrzela i ruszyli z powrotem w stronę niedokończzonego ogrodzenia, przeszli pod obiema jego częściami i skierowali się w stronę ogniska płonącego w głębi zagrodzonego obszaru. Edwin zdążył znieść sprzęt i zapasy z łodzi i starannie porozstawiał przeróżne garnki i naczynia po jednej stronie paleniska. Kiedy nadeszli, właśnie kroił cebule, ostrym nożem gładko dzielił je na równiutkie krążki. Uniósł głowę i uśmiechnął się na widokryb.

– Dobra robota – pochwalił. – Przyrządzą je na kolację.

Hal usiadł na skałce obok i przyglądał się pracy Edvina. Jego mama była kucharką, potrafił więc docenić zręczność kolegi, który kroił cebulę szybko i precyzyjnie. Spod ręki Hala zawsze wychodziły brzydkie nierówno porąbane kawałki.

– Jak stoimy z zapasami? – spytał, spoglądając na rzędy beczuleki naczyń.

Edvin był przygotowany na to pytanie. Kiedy tylko zwolniono go z pracy przy palisadzie, zabrał się za przegląd.

– Zapasów mamy mnóstwo – odparł. – W końcu uzupełniłem je, nim opuściliśmy Hibernię, tak by starczyło na całą podróż powrotną do domu. – Urwał. Słowo „dom” miało słodko-gorzki

posmak. Potrząsnął głową i podjął: – Oczywiście, świeże wiktuały poszły na marne. Zabrałem całą wielką siatkę warzyw i chleba, niestety, albo uszkodziła je woda morska, albo zmyła fala. Nie brakuje nam jednak rzeczy suszonych i solonych: wieprzowina, wołowina, suchary, parę worków suszonego grochu. Głód nam nie grozi.

Hal wyczuł jednak w głosie kucharza nutę niezadowolenia.

– Ale? – zapytał.

Edvin wzruszył ramionami.

– Ale będzie to potwornie nudne jedzenie – odparł. Edvin poczytywał sobie za punkt honoru dostarczać załodze smacznych i ciekawych posiłków, nagradzanych okrzykami uznania. W obecnej sytuacji, z dala od domu, na obcej ziemi, smakowite i różnicowane jedzenie na pewno pomogłoby im podtrzymać morale.

Hal również to docenił. Kiwnął głową i odwrócił się w stronę Lydii siedzącej kilka metrów dalej, przed niewielkim namiotem, który postawili dla niej Ulf i Wulf – chociaż tak naprawdę sama lepiej poradziłaby sobie z tym zadaniem. Siedziała oparta plecami o kamień, z przymkniętymi oczami.

– Śpisz, Lydio? – zapytał Hal.

– Aha – odparła, nie otwierając oczu.

Hal uśmiechnął się.

– A umiesz chodzić we śnie? Bo może podeszłabyś do nas na chwilę.

Lydia westchnęła, niechętnie otworzyła oczy i podniosła się miękko, pełnym gracji ruchem. Domyślała się, o czym Hal chce porozmawiać. Jego słowa tylko to potwierdziły.

– Sądziś, że w tych lasach może być zwierzy na? – zapytał.

Powiodła wzrokiem dookoła.

– Bardzo bym się zdziwiła, gdyby nie było – odparła. – Jest tu słodka woda, dużo zieleni i gęste zarośla. Przypuszczam, że są tu jelenie i króliki, zapewne również dzikie ptactwo. A dzisiaj słyszałam dochodzący spomiędzy drzew głos jakiegoś dziwnego ptaka. Wydawał z siebie takie *gul gul gul*. Sądząc po hałasie, z jakim przemieszczał się wśród poszycia, pewnie jest bardzo duży.

Hal spojrzął na Edvina.

– Jelenie, króliki i wielki ptak robiący *gul gul gul* – powiedział. – Co o tym sądziś, Edvin?

Edvin uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Brzmi nieźle. Chociaż zachowałbym ostrożność w stosunku do stworzenia, które robi *gul gul gul*.

– Moim zdaniem może smakować wyśmienicie – odparł Hal.

Edvin wzruszył ramionami.

– Albo może okazać się kuzynem tego mitycznego ptaka bongo o mięsie twardym jak żelazo.

Przyrządzenie go trwa wiele, wiele godzin i jest to proces bardzo skomplikowany.

– A na czym polega? – spytała Lydia.

Edvin powiedział z całkowitą powagą na twarzy:

– Trzeba znaleźć kamień tej samej wielkości, wsadzić go do garnka razem z upolowanym ptakiem i gotować przez cztery godziny.

– Cztery godziny? – spytała sceptycznie Lydia. Edvin energicznie pokiwał głową.

– Cztery godziny. Potem wyrzucasz ptaka, a kamień zjadasz.

Stig i Hal, chociaż znali ten stary dowcip, wybuchnęli śmiechem.

– Zawsze się śmieję, Edvin genialnie to opowiada – powiedział Stig.

Lydia, widząc, że Edvin ją nabrał, spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Hm, ja jednak spróbuję upolować jutro tego *gul gul gul*-a. Nie musisz jeść, jeśli nie chcesz.

– A co będę jadł? – spytał Edvin. Lydia popatrzyła na niego i po chwili odparła:

– Specjalnie dla ciebie upoluję kamień.

Następnego ranka zaraz po śniadaniu wszyscy członkowie załogi prócz Lydii wrócili do pracy przy palisadzie: cięli całe naręcza gałęzi, nosili je do obozu, a potem przeplatali je między sztachetami, by wypełnić pustą przestrzeń.

Lydia zaś sprawdziła atlatl i kołczan, upewniła się, że jest w nim jeszcze kilka tępo zakończonych strzałek, których używała przy polowaniu na ptactwo. Hal wyszedł ze swojego namiotu i zaproponował:

– Może powinnaś zabrać Ingvara. Te lasy wydają się spokojne, ale nigdy nie wiadomo.

Uśmiechnęła się i wsunęła strzałki z powrotem do kołczana, między warstwy skóry, tak by nie grzechotały.

– Ingvar jest kochany – odparła – lecz podczas polowania mógłby trochę przeszkadzać. Nawet w tym patrzalłach, które dla niego zrobiłeś, zdarza mu się wykonywać bardzo niezdarne ruchy, deptać po suchych gałęziach leżących na ziemi i wpadać na drzewa. Wystraszyłby całą zwierzynę w promieniu pół kilometra.

Hal rozważył w myślach jej słowa, lecz nadal nie miał ochoty puścić jej samej.

– A może Stig...

Lydia położyła mu dłoń na ramieniu.

– Potrafię sama o siebie zadbać – powiedziała. – A jeśli nawet napotkam na jakieś kłopoty, to nie chcę, żeby ktoś mnie spowalniał, kiedy będę uciekała. Pamiętaj, poluję od wczesnego dzieciństwa.

Hal musiał przyznać jej rację.

– No dobrze. Ale uważaj. I miej oczy szeroko otwarte.

– My śliwi zwykle tak właśnie robią – odparła.



ROZDZIAŁ 11



L Lydia zanurzyła się w chłodną zieleń lasu. Stopniowo milkiły odgłosy dochodzące z obozu, uderzenia toporów i młotów, okrzyki nawołujących się członków załogi, aż wreszcie całkiem znikły.

Lydia przystanęła, rozkoszując się wszechwładną ciszą i samotnością. Owszem, uwielbiała chłopców z drużyny Czapli, traktowała ich wszystkich jak braci, ale zdarzało jej się tęsknić za czasami, kiedy w samotności biegła po lasach w rodzinnych stronach, kiedy zakradała się i tropiła zwierzynę. Oczy zaszyły mgłą na wspomnienie dziadka, który po śmierci rodziców był jej jedynym towarzyszem i opiekunem. On też już nie żył, zabity podczas najazdu piratów pod wodzą Zavaca.

Potrząsnęła głową, by odegnać od siebie melancholijne rozmyślania. Wiodła dobre życie. Miała przyjaciół i swoje miejsce w drużynie. Wszyscy cenili jej umiejętności w tropieniu i posługiwaniu się atlatlem.

– Nie powinnam się nad sobą rozczulać – powiedziała pod nosem i ruszyła dalej, uważnie wpatrując się w ziemię, krzaki jeżyn i paprocie po obu stronach ścieżki. Przymuszczała, że wydeptały ją zwierzęta chodzące do wodopoju. W niektórych miejscach ścieżka miała tylko pół metra szerokości i Lydia musiała przechodzić bokiem, by zmieścić się między drzewami.

Nagle zauważyła zaczepiony o krótką gałązkę brązowy kosmyk. Pochyliła się, dotknęła go. Jakby zwierzę otarło się o pień i zostawiło na nim fragment futra. Jakieś spore zwierzę, bo gałązka rosła ponad metr nad ziemią.

– Jeleń – mruknęła, zadowolona, że jej przypuszczenia okazały się słuszne. Przyklekła i zaczęła bacznie przyglądać się poszyciu. Ziemię pokrywała gruba warstwa gnijących liści, nie zostały na niej żadne ślady. Ale w jednym odsłoniętym miejscu widniał wyraźny odcisk kopyta.

Serce Lydii przyspieszyło, jak zawsze, kiedy znajdowała trop zwierzyny łownej.

Podniosła się i ruszyła dalej. Nagle dostrzegła kopczyk czegoś przypominającego czarne

kamyki. Królicze bobki, pomyślała z uśmiechem.

– Jelenie, króliki i ryby – powiedziała cicho. – Nie będziemy chodzić głodni.

Zmarszczyła brwi. No tak najpierw trzeba je schwytać, upomniała się w myślach. Znów przystanęła, umieściła na ścieżce wnyki i rozsyłała garść suchego grochu z zapasów Edvina. Ruszyła przed siebie. Kilka metrów dalej dostrzegła na jednym z drzew kilka ułamanych cienkich gałązek, mniej więcej na tej samej wysokości co znaleziony wcześniej fragment sierści. Przyjrzała im się uważnie. Nadal były lekko wilgotne. A więc jeleni, jeśli to był jeleni, przechodził tędy nie tak dawno temu.

Może dziesięć, piętnaście minut. Słońce jeszcze świeciło dość słabo i nie zdążyło wysuszyć drzewnych soków. W późniejszej porze, kiedy znajduje się wyżej na niebie, jego ciepło szybko zamknęłoby ułamane końce gałązek.

Lydia wyciągnęła strzałkę z koczana. Z nawyku, dyktowanego wieloletnią praktyką, sprawdziła ostry jak brzytwa grot. Powtórzyła sobie w myślach, że nie ma sensu wyrzucać tępych strzałek. Zadowolona z oględzin, wsunęła końcówkę strzałki w zagłębienie atlatlu. Trzymała broń blisko przy ciele, gotowa jej użyć, pionowo, by nie zaczepiała o poszycie.

Szła dalej śladem jelenia. Wąska ścieżka kręciła się i zawijała, lecz przez cały czas wiodła w jednym określonym kierunku. Nagle z przodu dobiegł szelest – Lydia zatrzymała się w pół kroku, ledwo dotykając ziemi prawą stopą i cały ciężar ciała opierając na lewej.

Ostrożnie, poruszając się nieskończenie powoli, sprawdziła ziemię pod prawą stopą. Cienka podszwa sięgających kolan butów pozwalała wyczuć podłoże. Lydia szukała gałązek, które mogłyby trzasnąć w chwili, kiedy na nie stąpnie. Niczego nie znalazłszy, zrobiła kolejny krok i powtórzyła operację z lewą stopą. I kolejny, za każdym razem zatrzymując się i sprawdzając, co leży na ziemi.

Znów zaszeleściło poszycie, tym razem głośniejsz. A więc znalazła się bliżej celu. Maksymalnie skupiona, starała się poruszać jak najciszej, gładko przemykać między ciasno rosnącymi drzewami, wśród splątanych roślin porastających dno lasu. Szelest przeszedł teraz w grzechot. Wiedziała, że to jeleni ociera się porożem o konary drzew. Robią tak w pewnych porach roku, próbując pozbyć się irytującej warstwy porastającej poroże, zwanej scypulem.

A czasem postępuje tak młody byk, trenujący na drzewach przed prawdziwą walką z żywym przeciwnikiem.

Okazało się, że chodzi o drugi przypadek. Między drzewami coraz bardziej jaśniało – wyraźny znak, że zbliżała się do polany, gdzie korony drzew nie bronią dostępu światłu słonecznemu.

Polana, o kształcie niemal równego okręgu, zapewne powstała dzięki zwierzętom szukającym ochrony przed zimowymi wichrami. A może powstała całkiem przypadkowo. Tak czy inaczej na przeciwległym krańcu stał młody byk. Płasał lekko na smukłych nogach i raz po raz pochyłał łeb

i uderzał w pnie drzew nie do końca wykształconymi rogami. W pewnym momencie chwycił między rogi gałąź i energicznie pokręcił łbem, aż się złamała i spadła na ziemię. Skoczył do tyłu, czujny, z pionowo postawionymi uszami, jakby spodziewał się reakcji ze strony drzewa.

Lydia powoli przesunęła ramię, ustawiając strzałkę w poziomie. Z tej odległości nie miała prawa chybić.

Musiała jednak wykonać drobny nieostrożny ruch – może zaskrzyphiał skórzany łubrak czy rękaw otarł się o gałąź. W każdym razie jeleni zareagował błyskawicznie, odskoczył dalej, odwrócił się i spojrzał w jej stronę, cały spięty i drżący, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Lydia zamarła, że strzałką niemal gotową do rzutu, przez kilka sekund ona i jeleni stali dokładnie naprzeciwko siebie. Wiedziała, że zwierzę nie jest pewne jej obecności. Nadal znajdowała się w cieniu, a jeleni w ostrym blasku słońca wypełniającym polanę. Lekki wiatr wiał z lewej strony w prawą, więc miała pewność, że jej zapach nie dociera do jelenia. Dopóki się nie poruszy, jeleni nie ucieknie.

To była dla niej znajoma sytuacja. Czekał. Nie ruszaj się. Zaczekał, aż jeleni się uspokoi i wróci do walki z drzewem. Prawe ramię, uniesione do połowy, znajdowało się w bardzo niewygodnej pozycji, ani opuszczone, ani całkiem wyciągnięte. Ale Lydia przez długie lata trenowała wytrzymałość i ignorowanie tego rodzaju niedogodności. Uśmiechnęła się w duchu. Ludziom polowanie kojarzy się z szybką akcją i dużym wydatkiem energii. Ale jakże często polega ono na tym, by stać spokojnie i nawet nie drgnąć.

Impas trwał. Wielkie uszy jelenia, ustawione tak, by łapać najłżejsze dźwięki, poruszały się na boki, nasłuchując oznak zagrożenia. Mięśnie, wciąż napięte, drżały od czasu do czasu.

Lydia starała się rozluźnić ciało, na ile to tylko było możliwe, ale jednocześnie stać całkiem nieruchomo. Ignorowała narastający ból prawego ramienia, skupiła się na tym, by oddychać jak najciszej. Zastanawiała się, czy jeleni, w stanie najwyższej czujności, potrafi dosłyszeć bicie jej serca. Krew dudniła jej w uszach i była niemal przekonana, że zwierzę też to słyszy.

Zaraz jednak odsunęła od siebie tę myśl. Ramię zaczynało porządnie dawać się we znaki. Wiedziała jednak, że jeśli choćby lekko nim poruszy, jeleni czmychnie, nim ona zdąży wyrzucić strzałkę.

No dalej, zaklinała zwierzę w myślach. Rozluźnij się. Opuść łeb. Skubnij tej pysznej trawki. Ale jeleni zastygł w czujnej pozycji jakby na całą wieczność. Co gorsza, patrzył dokładnie w kierunku, gdzie stała Lydia. Najdrobniejszy ruch i zaraz ją zauważy. Jedyna szansa, by pozostać niewidzialną, to stać w absolutnym bezruchu.

Nagle dostrzegła, że z ciała jelenia powoli schodzi napięcie. Mięśnie już nie drżały, uszy nie poruszały się niespokojnie.

Zaraz, za chwilę, pomyślała, przygotowując się do rzutu, powtarzając w głowie wszystkie ruchy. Utkwiła wzrok w punkcie tuż za lewą przednią nogą zwierzęcia. Jeden szybki rzut, cios prosto w serce i jeleni padnie martwy. Poczła nagle ukłucie żalu na myśl, że ma zabić tak piękne stworzenie. Ale nie polowała przecież dla sportu ani dla rozrywki. Polowała z konieczności, ponieważ potrzebowała jedzenia. I czuła żal za każdym razem, gdy miała oddać strzał.

Ale to było pięćdziesiąt kilo mięsa – jedzenie na dwa lub trzy dni dla całej załogi. Nie mogła przegapić takiej okazji.

No dalej, ponaglała jelenia w myślach. I ten, jak na zawołanie, zaczął opuszczać łeb, bardzo, bardzo powoli. Poczła przyptył w triumfu. Jeszcze tylko minuta, powtarzała sobie, i...

Gul gul gul! – rozległ się donośny wrzask. Jeleń z szybkością błyskawicy obrócił się wokół własnej osi i skoczył między drzewa. Lydia usłyszała jeszcze trzask gniesionego kopytami poszycia, coraz cichszy i cichszy.

Wypuściła długo wstrzymane powietrze. Spomiędzy drzew po prawej stronie wylazł cudaczny ptak.

Miał duży ciężki korpus, na oko ważący około dwudziestu kilogramów, pokryty czarno-białymi piórami i zakończony imponującym ogonem w kształcie wachlarza. Wyjątkowo brzydka głowa tkwiła na długiej węzowatej szyi, przy dziobie wisiała czerwona narośl przyominająca korale.

Gul gul gul! – wrzasnął ptak jeszcze raz i dumnym krokiem wyszedł na środek polany, wyraźnie bardzo z siebie zadowolony. Zatrzymał się i spojrzał na Lydię. Zawahała się.

Masz na sobie sporo mięsa, pomyślała. O ile nie jesteś mitycznym ptakiem bongo, będzie z ciebie parę obiadów.

I z tą myślą odciągnęła ramię do końca i wyrzuciła strzałkę. Nie zdążyła zmienić jej na taką z tępym zakończeniem, które używała na ptaki, ale ten miał wyjątkowo duże rozmiary. Strzałka trafiła go w pierś. Ptak wydał zduszony okrzyk, poleciał do tyłu i padł na ziemię. Jeszcze poruszył nogami i zastygł bez ruchu.

Lydia przypuszczała, że mięso wokół rany będzie zniszczone, ale w skali ogólnej była to niewielka strata. Ruszyła po zdobycz. Jeleń będzie musiał poczekać. Ale teraz przynajmniej miała pewność, że w tym lesie rzeczywiście żyją jelenie.

Wyciągnęła strzałkę z ciała martwego ptaka. Strzałka przebiła go na wylot, co oznaczało straty wokół dwóch ran, wlotowej i wylotowej. Lydia wytarła grot z krwi i włożyła strzałkę do kołczanu, chwyciła ptaka za nogi i ruszyła w drogę powrotną.

– Edvin cię oczyści – powiedziała.

Ptak nic nie powiedział.

Okazało się, że we wnyki złapał się całkiem pokalony królik. Ciskał się i rzucał, próbując się uwolnić. Lydia chwyciła go i prędko złamała mu kark, uderzając krawędzią dłoni. Wyjęła królika

z wnyków, na nowo ustawiła je na ścieżce i rozsypała kolejną porcję grochu. Pozostałe pułapki były puste.

Prostując plecy, dostrzegła na pniu ślad, który widocznie wcześniej jej umknął. Zresztą nic dziwnego, kiedy szła w przeciwną stronę, nie mogła go zauważyć – znajdował się po drugiej stronie pnia. Podeszła bliżej, by mu się przyjrzeć.

Była to cała grupa śladów – cztery równoległe nacięcia w korze. Lydia widywała już takie ślady, zwykle jednak po obu stronach pnia. Znajdowały się powyżej jej głowy, ponad dwa metry od ziemi.

Dotknęła ich palcem. Były suche. A więc stare, pewnie liczyły kilka dni. Zrobił je niedźwiedź, przeciągnął pazurami po korze, by je naostrzyć albo zaznaczyć terytorium. Ogromny niedźwiedź, sądząc po tym, jak wysoko się znajdowały. Musiał mierzyć prawie trzy metry, pomyślała z niedowierzaniem. Nigdy nie widziała w Skandii osobników takich rozmiarów, chociaż starzy żeglarze opowiadali o wielkich białych niedźwiedziach żyjących w krainie wiecznych śniegów i lodów na dalekiej północy.

Nagle poczuła, jak włoski na jej karku stają na baczność. Była przekonana, że ktoś ją obserwuje. Wyciągnęła strzałkę z koczczanu. Nieraz insty nkt ostrzegał ją w podobnych sytuacjach, nauczyła się, że nie wolno go ignorować. Owszem, nie zawsze okazywał się słuszny, ale pomógł jej wystarczająco wiele razy.

Obróciła się powoli, spodziewając się, że zaraz zobaczy stojącego kilka metrów dalej ogromnego niedźwiedzia. Nie było tam jednak nikogo.

Ale nadal czuła na sobie czyjś wzrok. Coś ją obserwowało – albo ktoś. Powoli przesunęła wzrokiem dokoła, wypatrując między drzewami śladów ukrytego obserwatora – człowieka czy zwierzęcia.

Nic.

Nagle uświadomiła sobie, że popełniła częsty błąd – szukała na poziomie własnych oczu. Teraz celowała powyżej. Jeszcze raz powiodła wzrokiem dokoła. Znowu nic. Ale nadal czuła czyjąś obecność.

Potem skierowała spojrzenie na ziemię. I wreszcie coś znalazła. Na wolnym od liści wilgotnym fragmencie ziemi widniało długie wgłębienie. Podeszła bliżej, przykłęka na jednym kolanie, by przyjrzeć się bliżej. Miało jakieś dwadzieścia pięć centymetrów długości i dziesięć szerokości i było zaokrąglone na obu końcach.

Ślad ludzkiej stopy w miękkim bucie bez obcasa.



ROZDZIAŁ 12



Lydia wychynęła spomiędzy drzew i zatrzymała się, by popatrzeć na postępy w budowie palisady. Już ponad dwie trzecie długości pokrywała gęsta płatanina gałęzi. Załoga pilnie pracowała przy ostatnim odcinku. Ingvar i Stig ścinali krzaki i nieduże gałęzie, Stefan i Jesper nosili je na miejsce, a Hal, Thorn i bliźniacy przepłatali między równoległymi barierkami, szczepiając razem tak, by tworzyły nieprzenikloną ścianę.

Tylko Edvin nie brał udziału w pracach budowlanych. Siedział w kucki obok paleniska, otoczony garnkami i naczyniami.

Lydia przeszła przez ogrodzenie w niedokończony części, podeszła do Edvina i rzuciła mu upolowanego ptaka.

Brwi Edvina podjechały do góry. Wyrażnie był pod wrażeniem.

– Niezły okaz – powiedział.

Lydia kiwnęła głową.

– Mam nadzieję, że jest jadalny. Musiałam go zabić zwykłą strzałką, więc część mięsa na pewno się zmarnowała.

Edvin obejrzał martwego ptaka, badawczo przesuwając po nim dłonie.

– Nic takiego się nie stało – uspokoił Lydię. – Zostało mnóstwo mięsa.

– Oby nie okazało się twarde jak koczko kolano – rzuciła.

Edvin jeszcze raz obmacał zdobycz i wyduł wargi.

– Wydaje się tłusty i dorodny. Nie zdziwię się, jeśli okaże się bardzo smaczny. Domyślam się, że to ów sławny ptak *gul gul gul*? – zapytał z uśmiechem.

– Zgadza się – odparła Lydia. Potem odwiązała przytroczonego do pasa królika i również rzuciła go na ziemię. – Te stworzenia również żyją w okolicy.

– Doskonałe. – Edvin miał zadowolony minę. Już sobie wyobrażał, jak przyrządza ciekawe i różnorodne dania dla całej załogi. – Potem pójde poszukać ziół – powiedział.

Lydia uniosła dłoń ostrzegawczym gestem.

– Tylko nie zapuszczaj się za daleko. I nie idź sam. Widziałam ślady niedźwiedzia. Bardzo dużego niedźwiedzia.

Edvin uniósł brwi.

– Tak myślałem, że nie czekają nas wyłącznie dobre wieści. Skoro żyją tu króliki i ptaki *gul gul*, to czemu nie niedźwiedzie.

– Powiem pozostałym. – Kiwnęła głową Edwinowi, który już zabrał się za skubanie ptaka, i ruszyła w stronę drużyny zajętej budową ogrodzenia. Najbliżej stali Thorn i Hal, wypełniali gałęziami przestrzeń między palikami. Stary wilk morski dzięki hakowi zastępującemu dłoń wykazywał się niezwykłą zręcznością.

– Dobre wieści? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– To się jeszcze okaże. Zastrzeliłam jednego z tych wielkich ptaków i złapałam królika we wnyki. Plus o mało nie upolowałam jelenia. Tak więc w okolicy jest chyba mnóstwo zwierzyny. Niestety, nie wszyscy jej przedstawiciele mają przyjazną naturę.

Hal, który właśnie zaginał kolejną gałązkę, by przepleść ją za górną barierką, przerwał pracę i spojrzął na Lydię.

– Po okolicy łązi niedźwiedź. I to wielki. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Może mierzyć trzy metry, jaknie więcej.

Thorn cicho gwizdnął.

– Faktycznie spory. Widziałś go?

– Nie. Widziałam ślady na drzewie, w miejscu, gdzie ostrzył pazury. Zastanawiające, że zostawił ślady tylko prawej łapy, co wskazuje, że lewa jest kaleka lub ranna.

– Co czyni go jeszcze bardziej niebezpiecznym – wtrącił Hal, gdy Lydia przerwała, by jej słuchacze przyswoili niepokojące wieści.

Spojrzała na Hala i kiwnęła głową.

– Tak z rannym niedźwiedziem lepiej nie zadzierać.

Thorn wyczuł, że Lydia ma coś jeszcze do powiedzenia.

– Czy to koniec złych wiadomości? – zapytał.

Pokręciła głową. Podeszła trochę bliżej i odparła, ścisząc głos, tak by nie słyszeli jej Ulf i Wulf, którzy pracowali kilka metrów dalej, jak zwykle urozmaicając sobie czas sprzeczkami.

– Widziałam też ludzkie ślady.

Thorn wyprostował się i oparł o ogrodzenie. Z namysłem ściągając brwi, zapytał:

– Ile?

Wzruszyła ramionami.

– Tylko jeden. Ale bez wątpienia należał do człowieka. Ten ktoś nosi miękkie buty bez obcasa, pewnie takie wciągane botki ze skóry.

Hal i Thorn wymienili spojrzenia. To było zbyt piękne, by było prawdziwe, pomyślał Hal. Takie miejsce, ze źródłem słodkiej wody, liczną zwierzyną w lasach i wystarczającą ilością drewna na opał nie mogło być przecież niezamieszkałe.

– Odniosłam też wrażenie, że ktoś mnie obserwuje – dodała Lydia. Thorn i Hal nie zamierzali lekceważyć tej uwagi. Lydia nie należała do osób, które pozwalają, by zawaładnęła nimi zbyt bogata wyobraźnia czy nerwy. Ufali jej instynktowi.

– Ale nikogo nie widziałaś? – spytał Hal.

– Nie. Czulałam jednak wyraźnie czyjś wzrok. Sam wiesz, jakie to wrażenie, prawda? – Spojrzała z powagą na Thorną. – To nie było przywidzenie – dodała takim tonem, jakby kazał jej się bronić. Thorn jednak potrząsnął głową.

– Wcale tak nie uważam – odparł. – Polujesz od tak dawna, że wyrobiłaś w sobie szósty zmysł, który podpowiada ci takie rzeczy. Poza tym widziałaś ślad.

Zapadła cisza. Wszyscy zastanawiali się, co to dla nich znaczy. Thorn w końcu podjął decyzję. Oderwał plecy od ogrodzenia, wyprostował je mocno i oznajmił:

– Dobra. Lepiej od razu powiedzmy reszcie. Od tej chwili nikt nie chodzi sam do lasu. – Zauważył, że Lydia unosi rękę w proteście i poprawił się: – Za wyjątkiem ciebie, Lydio. Ty potrafisz słutecznie się ukrywać, poza tym jesteś mądra i będziesz starała się uniknąć spotkania z niedźwiedziem. Tymczasem proponuję wyciąć kilka włóczni z myślą o nim.

– Włócznie leżą przecież w łodzi – zauważył Hal.

– Owszem, nadają się do walki z człowiekiem. Być może lepiej przenieść je do obozu – dodał po namyśle. – Ale na niedźwiedzia tak potężnego, jak opisała Lydia, potrzebne jest drzewce dłuższe i mocniejsze. Możemy użyć młodych drzewek, naostrzyć końcówki a następnie utwardzić je w ogniu i przybić do nich jelce.

Lydia kiwnęła głową, ale Hal miał jeszcze pytanie techniczne.

– Jelce? Jakie znowu jelce?

– Z żelaznych szpikulców – wyjaśnił Thorn. – Jeśli niedźwiedź cię zaatakuje i dźgniesz go włócznią, dzięki jelcowi nie zsunie się po drzewcu i cię nie dopadnie.

– A mógłby to zrobić? – spytał Hal, a Thorn i Lydia zgodnie przytaknęli.

– Ależ oczywiście – odparł Thorn. – Widziałem coś takiego podczas łowieckiej wyprawy w górach wokół Hallasholmu. Jeden z mężczyzn przebił niedźwiedzia włócznią, ale ten tak bardzo chciał go dostać w swoje łapy, że parł dalej do przodu, aż cała włócznia przeszła przez jego ciało i wyszła z drugiej strony.

– Ale w takim razie niedźwiedź musiał zginąć – zaprotestował Hal.

– Owszem. Ale najpierw jednym ciosem łapy urwał myśliwemu głowę. A potem umarł, z uśmiechem na paszczy.

Hal zmarszczył brwi, próbując zobaczyć tę scenę w wyobraźni. Wiedział, że Thorn lubi czasem ubarwiać swoje opowieści o łowieckich i wojennych wyprawach. Czuł jednak, że tym razem stary przyjaciel mówił całkiem poważnie.

– Poszukam odpowiednich kawałki metalu – powiedział. Zawsze woził na wyprawy zapas gwoździ, nitów, żelaznych sztabek i innych przydatnych drobiazgów.

– A my powiadomimy pozostałych – odparł Thorn. Wetknął palce w usta i głośno gwizdnął. Wszystkie Czaple przerwały swoje zajęcia i odwróciły się w jego kierunku. Machnął ramieniem na znak, że mają podejść i zawołał:

– Edwin! Jak tam obiad?

Kucharz podniósł głowę i przytknął złożone dłonie do ust – niestety, nie dysponował donośnym głosem Thorna, od którego trzęsła się ziemia.

– Będzie gotowy, kiedy zechcesz.

– Dziesięć minut – odparł Thorn.

Kiedy wszyscy się zebrali, przywołał ich bliżej. Na ogrodzeniu wisiał bułdak z wodą i niektórzy skorzystali z okazji. Picie wody do woli i tak często, jak tylko się chciało, stanowiło wspaniałą odmianę po tych kilku tygodniach, kiedy musieli zadowalać się skąpyimi racjami. Potem usiedli w półkolu wokół Thorna, Hala i Lydii, ciekawi, co za chwilę usłyszą. Thorn, upewniwszy się, że wszyscy uważają, oznajmił:

– Po pierwsze, nie jesteśmy tutaj sami. Lydia widziała w lesie ślady człowieka.

– Jednej stopy – uściśliła Lydia, lecz on tylko machnął ręką.

– Jak sądzę, możemy założyć, że nie mamy do czynienia z jednonogim pustelnikiem. Na pewno są też inni. Można również przypuszczać, że kłókolwiek to był, nie chciał się zdradzić ze swoją obecnością. Inaczej zostawiłby więcej śladów.

Lydia z namysłem przekrzywiła głowę.

– Pewnie tak – przyznała.

Thorn podjął:

– Założmy, że tak było. Jak wiesz, zawsze lepiej...

– ...zakładać najgorsze – dokończyli chórem Ulf, Wulf, Jesper i Stefan. To był jedno z ulubionych zdań Thorna.

Pozwolił sobie na uśmiech.

– Cieszę się, że zapamiętaliście. Może jednak coś z was wyrośnie. A teraz druga sprawa. Po okolicy krąży niedźwiedź.

Ta informacja wywołała lawinę pytań. Jakiego rodzaju? Jak duży? Gdzie go widziałas?

Wszyscy chcieli szczegółów. Thorn uniósł ramię zakończone drewnianym hakiem, by ich uciszyć. Spojrzał na stojącą obok dziewczynę.

– Lydio? – powiedział, dając jej znak, by przejęła pałeczkę.

– Nie wiem, co to za niedźwiedź – odparła. – Nie widziałam go. Widziałam tylko ślady pazurów, które zostawił na pniu drzewa. – Urwała. Niektórzy pokiwali głową. Nieraz widywali takie ślady. – Ale – tu urwała, by upewnić się, że wszyscy słuchają – na podstawie wysokości, na której się znajdowały, powiedziałabym, że mierzył co najmniej trzy metry.

Jesper gwizdnął z niedowierzaniem.

– Trzy metry? – powtórzył. – Nigdy nie widziałem tak wielkiego niedźwiedzia.

– Ja też nie – odparła Lydia. – W korze widniały ślady tylko prawej łapy, co znaczy według mnie, że lewa jest uszkodzona. A ranny niedźwiedź...

– ...jest bardzo niebezpieczny – dokończył za nią zgrany chórek

Lydia, podobnie jak Thorn, pozwoliła sobie na uśmiech.

– Otóż to. Jeśli go zobaczycie, starajcie się nie robić nic, co mogłoby go sprowokować.

– Na przykład? – spytał Wulf.

Lydia nie zdążyła odpowiedzieć, bo Ulf wszedł jej w słowo.

– Na przykład nie pokazywać mu twojej gęby. Wystarczy, żeby niedźwiedź wpadł w szał i nas zaatakował.

– Mojej szpetnej gęby? – powtórzył Wulf urażonym tonem. – A co z twoją szpetną gębą? Jesteś dwa razy szpetniejszy ode mnie!

– A więc przyznajesz, że jesteś szpetny? – odparował Ulf. Wymiana argumentów nie miała najmniejszego sensu. Żaden z nich nie był brzydki, a poza tym byli identyczni.

Wulf wziął głęboki wdech, szykując się do odpowiedzi, ale Thorn ostrzegawczo zrobił pół kroku w stronę bliźniaków.

– Chyba na tym poprzestaniemy – powiedział. Wulf, widząc niebezpieczny błysk w jego oku, stwierdził, że chyba mądrzej będzie ustąpić. Niepewnie machnął ręką i cofnął się o krok. Ulf wyszczerzył się szeroko, zadowolony, że ostatnie słowo należało do niego. Thorn zwrócił się do całej grupy:

– Musimy zrobić włócznie na niedźwiedzia. Mocne drzewce o długości około trzech metrów. Niech każdy wytnie jedno, zaostrzy koniec i utwardzi w ogniu. Hał przy mocuje do nich metalowe szpikulce.

Wszyscy pokiwali głowami. Widzieli, że ten pomysł ma sens.

– Musimy również zbudować ogniska wzdłuż plaży, w odległości mniej więcej dziesięciu metrów od palisady. Użyjcie krzaków, drobniejszych gałęzi i dużo podpałki. Mają się palić łatwo i szybko.

– Ale po co? – zapytał Jesper. Miał dość niepewną minę, bo wiedział, że często irytuje Thorną swoimi komentarzami. Thorn jednak uznał, że jest to uzasadnione pytanie. I zawsze chętnie wyjaśniał kwestie taktyczne.

– W razie gdyby ktoś się zjawił. Siedząc tutaj, za ogrodzeniem, w blasku naszego ogniska, nie dostrzeżemy niczego w czerni nocy. A tak będziemy mogli rozpalic ogień na plaży i sprawdzić, kim jest intruz. – Spojrzał na Hala i Lydię. – Przygotujcie zapas płonących strzał do łuku i strzałek do atlatla. – Oboje pokiwali głowami. – Poza tym ognie utrzymają niedźwiedzia na dystans – dodał, spoglądając na Jespera.

Ten również kiwnął głową, zadowolony z wyjaśnienia.

– Teraz zjedzmy, a potem zabieramy się do pracy – powiedział Thorn. – Musimy zrobić włącznie i dokończyć budowę ogrodzenia. Sugeruję, byśmy postarali się uczynić je tak odporne na ataki niedźwiedzia, jak to tylko możliwe.

ROZDZIAŁ 13



O zachodzie słońca ogrodzenie było gotowe. Hal, Thorn, Stig i Lydia obejrzeni je starannie i z zadowoleniem uznali, że powinno się sprawdzić.

– Nawet niedźwiedź miałby kłopot, by je pokonać – stwierdził Hal, przyglądając się plątaninie pnączy i gałęzi, których ostre końce mierzyły na zewnątrz. Chwycił jedną gałąź i pociągnął. Nie poruszyła się. Czaple solidnie zbudowały palisadę i spłoty wypełnienie bardzo ciasno.

– Niedźwiedź jest silniejszy od ciebie – zauważył Thorn.

– Może, ale ja jestem mądrzejszy – odparł Hal, szczerząc się szeroko.

Brwi Thorna podjechały do góry.

– Zobaczymy.

Ale ogólnie był zadowolony z rezultatów. Palisada nie mogłaby być mocniejsza. Spojrzał w stronę plaży, gdzie w równej odległości wzdłuż linii ogrodzenia wznosiły się cztery spore kopczyki z drobnymi gałązkami podpałki, przeznaczone na ogniska.

– Czy ten niedźwiedź może tu przyjść? – zapytał Stig.

Thorn wzruszył ramionami i spojrzał na Lydię.

– Niby czemu miałby nie przyjść? – odparł, ale był gotów zdać się na jej wiedzę doświadczonej łowczyni.

Po namyśle Lydia powiedziała:

– Naprawdę trudno powiedzieć. Niedźwiedzie robią, co im się podoba. Możliwe, że hałasy dochodzące z obozowiska skutecznie go wystraszą. Ale równie dobrze mogą rozbudzić jego ciekawość i skłonić do sprawdzenia, co tu się dzieje. Aha, jedna uwaga – dodała Lydia. – Musimy powiedzieć Edwinowi, żeby nie zostawiał na wierzchu żadnych resztek jedzenia na terenie obozowiska. Inaczej misiek natychmiast się tu zjawi. Wszelkie pozostałości po posiłkach należy chować pod drzewem za ogrodzeniem.

Stig krytycznie popatrzył na palisadę.

– A więc niedźwiedź mógłby ją pokonać.

– My ślę, że niedźwiedź może bez trudu pokonać każde ogrodzenie. Jeśli tylko zechce.

Stig uniósł brwi.

– Dzięki za słowa otuchy.

Hal powiódł wzrokiem po pustej plaży. Światło dnia szybko słabło. Przeniósł spojrzenie na las pełen głębokich ciemnych cieni. Pomyślał, że gdzieś tam może kryć się bestia.

– Chyba postawimy dzisiaj podwójną straż – zauważył.

Zza palisady dobiegł cichy chóralny śpiew. Wszyscy siedzieli wokół ognia. Dołóła unosił się zapach pieczonego mięsa – wielkiego ptaka, którego upolowała Lydia. Edvin podzielił go na kawałki, ponieważ na tak małym ogniu nie dałoby się go upiec w całości. Skrzydła i uda nadział na rożen, a korpus podzielił na pół, otoczył korą i gliną, umieścił w zagłębieniu w ziemi i przysypał żarem. Tłuszcz kapał na gorące węgle, aż tu i tam strzelały płomienie. Edvin popatrzył na palenisko z miną właściciela.

– Sporo tłuszczu na tym ptaku – stwierdził. – To znaczy, że mięso będzie delikatne i smakowite.

Sądząc po zapachu, rzeczywiście zapowiadała się wspaniała uczta. Wszyscy przyglądali się z lekkim zniecierpliwieniem, jak Edvin obraca rożen. Ciężko pracowali przez cały dzień i apetyt im dopisywał.

Stefan zaintonował kolejną piosenkę. Miał ładny tenor, pozostali członkowie drużyny chętnie pozwalali mu prowadzić i również tym razem z przyjemnością włączyli się do wspólnego śpiewu. Była to piosenka o tym, jak to jest być z dala od domu.

Ulf przypomniał sobie mamę i wygodną chatę w Hallasholmie i natychmiast ogarnęła go nostalgia. Uniósł rękę, by otrzeć łzę.

Wulf, chociaż podobnie jak brat wzruszony do głębi słowami piosenki i melancholijną melodią, wzgardliwie prychnął.

– Ha! Piosenka doprowadziła cię do łez, bekszo? – zapytał, zadowolony, że nadarzyła się okazja, by szyderstwem zakamuflować własne uczucia.

– Coś mi wpadło do oka – bronił się Ulf, ostentacyjnie trąc powieki.

– Jasne – rzucił zjadliwie Wulf.

Ulf popatrzył spokojnie na brata.

– Jak się nie zamkniesz, to zaraz będziesz miał też moją pięść w oku.

Wulf otworzył usta, by udzielić riposty, ale siedzący obok Ingvar uciszył go groźnym pomrukiem:

– Obaj się zamknijcie.

Spojrzeni na niego ze zdumieniem, które jeszcze przybrało na sile, gdy spostrzegli łzy toczące się bez przeszkód po jego policzkach. Tak Ingvar także się wzruszył i jakś wcale nie wydawał się

z tego powodu speszony. Ulf i Wulf wymienili zakłopotane spojrzenia. Ingvar był odważny jak lew – wielki, silny i przerażający podczas walki. Skoro nie wstydił się okazywać emocji, to niby czemu oni mieliby się z nimi kryć? Wulf uniósł dłoń i potarł oczy knykciami. Ulf miał wielką ochotę odpowiednio ten fakt skomentować – ale jednak się powstrzymał.

Wielki ptak okazał się bezwarunkowym sukcesem. Mięso było delikatne i przepyszne – szczególnie te kawałki, które piekły się w glinie – miejscami ciemne, miejscami jasne, z łatwością odchodziło od kości. Oba rodzaje smakowały wyśmienicie.

Do tego zjedli smażoną cebulę i kartofle z szybko topniejących zapasów, które zabrali ze sobą z Hibernii. Niestety, kilka worków zaplesniało pod działaniem słonej wody, która tyle razy zalewała pokład w czasie sztormu.

Ingvar rozparł się wygodnie, oblizał tłuszcz z palców i stwierdził:

– Hm, Lydio, jeśli dalej będziesz nam przynosić ptaki gulgul, to zacznij mi się tu bardzo podobać.

Lydia uśmiechnęła się i przy pomniła sobie widok dumnego i zadowolonego z siebie ptaszyska wracającego na polanę.

– Chyba nie będzie z tym problemów – odparła. – Nie wydają się szczególnie bystre. – Po chwili dodała z namysłem: – Ale chętnie złapałabym tego jelenia, który mi umknął. Dostarczyłby nam mięsa na trzy-cztery dni. Może jutro pójdę go poszukać.

Thorn podniósł wzrok

– Pójdę z tobą.

– Zdaje się, że mówiłeś... – Zmarszczyła brwi.

Uniósł hak, by jej przerwać.

– Wiem, co mówiłem. Ale chciałbym rzucić okiem na tego niedźwiedzia. Może oznaczać poważne problemy.

Hal, oparty plecami o leżący pień drzewa, z twarzą zwróconą w stronę gorącego ognia, kiwnął głową. Czuł się najedzony. Jego drużyna była bezpieczna. Obowiązki związane z organizacją obozu spoczywały na Thornie. Hal przyjął to rozwiązanie z przyjemnością i ulgą. To była miła odmiana po tych kilku tygodniach wytężonej pracy na morzu podczas sztormu. Przez chwilę rozważał, czy nie przyłączyć się do Lydii i Thorny. Zaraz jednak zrezygnował z tego pomysłu. Wiedział, że niedługo znów będzie musiał podjąć się zwykłych obowiązków. Ale na razie wolał pozostawić innym poczucie odpowiedzialności i wszystkie zmartwienia.

Popatrzył na zatokę, na której wschodzący księżyc wyświecił srebrną ścieżkę. Pomyślał, że trafili w piękne miejsce.

Potem zerknął na niebo. Lśniły na nim konstelacje, których nigdy wcześniej nie widział. A te, które rozpoznawał, znajdowały się daleko po północnej stronie. Nagle poczuł, że od domu dzieli go

bardzo daleka droga.

W nocy padało i wszyscy spali mocno otuleni kocami i wygodnie zwinięci w swoich niskich namiotach. Hal słuchał miękkich uderzeń kropli o płótno zaledwie kilka centymetrów od twarzy. Pomyślał, że wkrótce trzeba będzie zbudować porządniejsze schronienie – może coś w stylu pokrytej płótnem chaty, którą skonstruowali na samym początku istnienia drużyny, kiedy przechodzili trening.

Stefan i Edwin, którzy pełnili pierwszą wartę, chodzili wzdłuż ogrodzenia, zawinięci w brezentowe peleryny.

– Oby ten niedźwiedź się teraz nie zjawił – powiedział Stefan. – Ogniska na nic się nie zdadzą w takim deszczu.

Edvin uniósł twarz, wystawiając ją pod uderzenia lekkich kropeł.

– Czy ja wiem. Hal pokrył drewno sporą ilością smoły. Powinno łatwo się palić. Poza tym niedźwiedzie nie są takie głupie, żeby wychodzić w czasie deszczu. Zostawiają podobne przyjemności takim idiotom jak my.

Stefan nie odpowiedział, tylko skrzywił się, gdy zimna strużka znalazła drogę do wnętrza jego peleryny i spłynęła mu po karku.

Rano deszcz ustał, nad zatoką wzeszło słońce. Namioty parowały w ciepłe. Edwin już działał przy ognisku, dokoła rozchodził się zachęcający zapach kawy. Powoli kolejne osoby wyłączyły spod koców, wyczołgiwały się z namiotów i kierowały w stronę ogniska, gdzie stał na węglach czajnik z upragnionym napojem, wszyscy zaspani i okropnie potargani.

Mimo że słońce wisiało nisko na niebie, poranek był chłodnawy, ale kawa powoli napełniła ciepłem ich ciała i skutecznie rozbudziła do reszty. A zapach smażonej solonej wieprzowiny i gorących naleśników dodatkowo podniósł ich na duchu.

Lydia schowała się za specjalnie wzniesionym dla niej płóciennym parawanem przy jednym z rozlewisk i zaczęła poranną toaletę. Zgodnie z niepisaną umową pozostali członkowie odczekali, aż skończy, i dopiero wtedy sami przystąpili do ablucji przy większych oczkach wodnych. Lydia, z zarumienioną twarzą i mokrymi parującymi włosami usiadła przy ogniu i łapczywie zaczęła pochłaniać zwinięty naleśnik z kawałkami mięsa w środku.

– Jeśli dalej będziesz nas tak karmił – powiedziała do Edvina – to może kiedyś za ciebie wyjdę.

Edvin uśmiechnął się szeroko i odparł:

– Miło, że pytasz, ale miałem lepsze oferty.

– Możesz wyjść za mnie, Lydio – zaproponował wesoło Stefan, który jako pierwszy wrócił z łazienki, nalał sobie kolejny kubek kawy i zaczął dmuchać, by ją ostudzić.

Lydia przez chwilę przyglądała mu się z namysłem.

– Ale ty nie umiesz gotować – stwierdziła w końcu.

Stefan wzruszył ramionami, niezrażony.

– Mam inne ukryte talenty.

Uśmiechnęła się.

– Bardzo skutecznie ukryte, rzekłabym.

Kiedy wszyscy wrócili do ogniska, z mokrymi włosami i twarzami rumianymi od zimnej wody i tarcia szorstkimi ręcznikami, Thorn wychynął ze swojego namiotu, podniósł się i podrapał, po czym ruszył w ich stronę, przeciągając się i sapiąc.

Lydia pomyślała, że sam jest jak niedźwiedź.

– Gotowa na polowanie? – zapytał, biorąc od Edvina kubek z kawą.

Lydia kiwnęła głową, a potem zerknęła na wodne rozlewiska pod skałami.

– Ja tak. Ale może najpierw się umyjesz?

Thorn zmarszczył nos, przejechał dłonią po twarzy i potrząsnął głową.

– Eeee. Niech się myją ci, co są brudni – odparł.



ROZDZIAŁ 14



Po śniadaniu załoga podzieliła się na grupy. Hal, Stig, Stefan i Jesper ruszyli w stronę cumującej na rzece „Czapli”. Hal chciał sprawdzić zęzy – podejrzewał, że zgromadziło się tam sporo wody. Szstorm tak szarpał łodzią, że mogła pęknąć klepka poszycia, może nawet niejedna. W takim przypadku będą musieli naprawić szkody i uszczelnić złączenia smołą i pałkami – czyli włóknem ze starych niepotrzebnych lin.

Trzeba będzie zlokalizować uszkodzone klepki i odpowiednio przechylić kadłub, by się do nich dostać. Mogliby w tym celu zaczepić biegnące od masztu liny o drzewa.

Thorn i Lydia udali się do lasu z nadzieją, że tym razem upolują jelenia. Thorn wierzył, że Lydia nie myliła się, twierdząc, że ktoś ją obserwował. Chciał jednak sprawdzić to osobiście oraz trochę rozejrzeć się po najbliższej okolicy.

Ingvar został z Edvinem i pomógł sprzątać po śniadaniu. Zapakowali resztę jedzenia i starannie pochowali je pod płachtami płótna i w małych drewnianych beczułkach. Nawet gdyby Lydia ich nie ostrzegła, dobrze wiedzieli, że niedźwiedź potrafi wyniuchać jedzenie z daleka, jeśli nieopatrznie zostawi się je na wierzchu. Potem Ingvar zabrał niepotrzebne resztki i przeszedł na drugą stronę palisady po dwóch drabinach złączonych u szczytu i ustawionych po obu stronach ogrodzenia. Wrzucił resztki do morza – a kiedy okruchy chleba i wieprzowiny wylądowały w wodzie, natychmiast zaroiło się wokół od maleńkich rybek.

Ulf i Wulf planowali, że spędzą ten dzień, wylegując się na piachu i grzejąc w słońcu. Niestety, tuż przed opuszczeniem obozu Thorn spojrzął na zapas drewna i stwierdził, że szybko się kurczy. Owszem, wiedział, że Edvin uzupełniłby zapasy bez słowa skargi, czuł jednak, że chłopak ma stanowczo za dużo obowiązków w stosunku do pozostałych członków drużyny: gotuje dla całej grupy, sprząta i pielęgnuje ich skaleczenia i dolegliwości. Wskazał kciukiem na bliźniaków rozwalonych na plaży w coraz mocniej przygrzewającym słońcu.

– Wy dwaj. Przynieście drewna na opał.

Ulf otworzył usta, by zaprotestować, ale wystarczyło spojrzenia na twarz Thorn. Kiwnął głową i odparł:

– Tak jest.

– Weźcie włócznię na niedźwiedzia i rozglądajcie się uważnie – upomniał Thorn i ruszył w ślad za Lydią.

– Czemu nie powiedziałeś mu, gdzie może sobie wsadzić swoje drewno? – zapytał wojowniczo Wulf. Ulf zauważył, że zaczął z tym pytaniem do chwili, aż Thorn znajdzie się na tyle daleko, że ich nie usłyszy. W dodatku starał się mówić niezbyt głośno.

– A czemu ty mu tego nie powiedziałeś? – spytał Ulf.

Wulf wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej zwracał się do ciebie.

– Niby czemu najwyraźniej?

– Gdyby mówił do mnie, dodałby na końcu „proszę”. Darzy mnie wielkim szacunkiem.

Wulf wziął do ręki jedną z długich zaostrzonych włóczni, które przygotowali poprzedniego dnia, i uważnie przyjrzał się poprzecznemu kawałkowi metalu. Stwierdził z zadowoleniem, że wygląda dość solidnie.

– Rusz się i weź płachtę do noszenia drewna – powiedział do brata. Był to duży kawałek płótna zaopatrzonego w uchwyty ze sznura. Kładło się go na ziemi, zbierało na nie kawałki drewna, po czym chwyciło za sznurki i obwiązywało płótno dookoła, by nic nie wypadło po drodze.

– A ty co będziesz robił, podczas gdy ja będę zbierał opa? – spytał Ulf.

Wulf lekko wzruszył ramionami.

– Będę stał na straży. Sam słyshałeś, że Thorn kazał mi zabrać włócznię na niedźwiedzia.

– Nie słyshałem, żeby powiedział „proszę” – odparował Ulf – więc na pewno mówił do mnie.

Wulf potrząsnął głową.

– Na pewno do mnie. „Proszę” było ukryte.

– „Proszę” było nieobecne – odparł Ulf. Mimo to podniósł płótno, zwinął je i wsadził pod pachę. Przeszli po drabinach przez ogrodzenie i skierowali się w stronę lasu, machając na pożegnanie Ingvarowi i Edwinowi.

Przez całą drogę oczywiście nadal się przekłómarzali. Taka już była ich natura. Gdyby ktoś ich zapytał, o co właściwie się kłóć, żaden nie umiałby odpowiedzieć.

Ale kiedy weszli między drzewa, nagle zamilkli, stali się czujni i skupieni. Las był obcym i niepokojącym miejscem. Wysokie drzewa rosły ciasno, tworząc ciemne plamy i gęste cienie, w których czaiło się nie wiadomo co. Podczas budowy palisady załoga zebrała wszystkie zwalone pnie i gałęzie w pobliżu obozowiska, więc teraz bliźniacy musieli wejść głębiej w poszukiwaniu odpowiedniego drewna na opa. Mieli wrażenie, że drzewa zamykają się za ich plecami zwartą

ścianą, tłumiąc znany wesoły dźwięk fal rozbijających się o brzeg. Nieświadomie ściszyli głosy, jakby bali się zakłócić ciszę lasu.

Ulf dostrzegł spory stos suchych gałęzi pod jednym ze starszych drzew. Pewnie uschły i strącił je wiatr – a może spadły pod własnym ciężarem. Ulf wszedł między drzewa i rozłożył płótno na ziemi.

– Patrz, czy nie zbliża się niedźwiedź – powiedział, po czym obiema rękami chwycił spore naręczne gałęzi. W chwili, kiedy układał je na płachcie, rozległ się dziwny grzechoczący dźwięk. Ulf wyskoczył na ścieżkę.

– Co to było? – zapytał Wulf, widząc spanikowanego brata.

– Gałęzie na mnie zagrzechotały – odparł Ulf niepewnie.

– Nie wygłupiaj się. Jak gałęzie mogą grzechotać?

Ulf wskazał na splątany stos i wykonał zapraszający gest. – Sam się przekonaj. Spróbuj to podnieść.

Ale Wulf też dosłyszał grzechotanie – brzmiało bardzo groźnie. Na pewno nie zamierzał wsadzać tam ręki. Zatrzymał się w odległości kilku metrów, wyciągnął daleko przed siebie włócznię na niedźwiedzie, wetknął w stos i jednocześnie odwrócił, aż jelec zahaczył o rozszczipioną gałąź.

Znów zagrzechotało – tym razem głośniej bardziej stanowczo. Wulf cofnął włócznię wraz z gałęzią, naruszając przy tym cały stos.

Grzechotanie przybrało na sile. Wulf poczuł dwa uderzenia na końcu włóczni. Przekręcił ją i prędko wyciągnął spomiędzy gałęzi.

Grzechotanie ustało.

Wulf zbliżył włócznię do oczu. Tuż za wypalonym w ogniu i zaostrzonym końcem widniała plamka wilgoci.

Ulf przykucnął, przysłonił oczy przed blaskiem słonecznym sączącym się między drzewami i zajrzał pod gałęzie. Widział, że coś tam jest. Coś brązowego i cętkowanego, co zlewało się z kolorami kory i próchniejących liści. Po chwili przybrało wyraźniejsze kształty.

To był wąż. Leżał zwinięty, a łeb i ogon miał uniesione. Nagle ogon zawibrował i rozległ się niski ostrzegawczy dźwięk. Ogon składał się jakby z serii twardych dysków, które grzechotały pod wpływem szybkiego ruchu. Ulf zrobił krok w przód. Wibrujący ruch jeszcze bardziej nabrał tempa, grzechotanie stało się głośniejsze i bardziej przenikliwe. Ulf cofnął się, a wtedy znów osłabło.

– To wąż – oznajmił. – Ma coś w rodzaju grzechotki w ogonie.

– Tak przy puszczałem – stwierdził Wulf z wyższością. Nie lubił, kiedy wychodziło na to, że o czymś nie wiedział.

Ulf spojrział na brata i pokręcił głową.

– Myślę, że jest jadowity – dodał Wulf.

Ulf wskazał na plamkę znaczącą końcówkę włóczni.

– Przyczyniam się do tej opinii, o ile to nie jest dzięki miód – odparł sarkastycznie.

Wulf jeszcze raz popatrzył na drzewce, bardzo uważając, by nie dotknąć lepkiej plamy.

– Co robimy? – zapytał, porzucając przemądrzały ton.

Ulf nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Zostawimy go w spokoju. Grzechocze tylko wtedy, kiedy podejdziesz się za blisko. Próbuje nas ostrzec. Jeśli go zostawimy w spokoju, nic nam nie zrobi.

– Skąd ta pewność? – zapytał Wulf.

Ulf rzucił mu cierpiętnicze spojrzenie.

– Przeszkadzamy mu już od dłuższej chwili, a jakoś nie rusza się z miejsca. Można wywnioskować, że jeśli sobie pójdziemy, nie będzie nas ścigał.

– Ale może lepiej jednak go zabić – powiedział niepewnie Wulf.

Brat rzucił mu kolejne litościwe spojrzenie.

– Czym?

Wulf spojrział na włócznię, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo Ulf go uprzedził.

– Nie dostaniesz go tym zaostrozonym patykiem – zauważył. – Po drodze jest przeszkoda w postaci splątanych gałęzi. A jak zaczniesz tam grzebać, wąż może się zdenerwować i przypuścić atak

– Moglibyśmy go zabić za pomocą noży saksońskich – zaproponował Wulf, kładąc dłoń na rękójści. – Odrąbać mu głowę. – Pomyśl bardzo mu się spodobał. Nauczył gadzinę, żeby więcej na niego nie grzechotała. Jednakże brat znów zbył propozycję sarkastyczną uwagą.

– Proszę bardzo, spróbuj, jeśli masz ochotę. Ale ja raczej nie wsadzałbym ręki w tę plątaninę gałęzi, z nożem czy bez. Trochę zbyt ryzykowne.

– No to jaki masz pomysł? – zapytał Wulf tonem kogoś, kto zaproponował szereg świetnych pomysłów i spotkał się z dezaprobatą kogoś, kto sam niczego sensownego nie potrafił wymyślić.

– Mówiłem. Powinniśmy po prostu odejść i zostawić go w spokoju. Posłuchaj – tu Ulf wskazał na stos gałęzi – od chwili, kiedy rozmawiamy i już nie robimy zamieszania wokół jego legowiska, przestał grzechotać.

– Tak czy inaczej, próbował mnie ugryźć – zaprotestował Wulf.

– Próbował ugryźć twój kijek – sprostował Ulf. – Gdybyś mnie nim dźgnął, pewnie zrobiłbym to samo.

Wulf popatrzył na brata z zainteresowaniem.

– Ugryzłbyś mój kijek, gdybym cię nim dźgnął? – zapytał takim tonem, jakby rozważał ów

pomysł.

Ulf spokojnie odwzajemnił jego spojrzenie, przez chwilę nic nie mówił.

– Nie. Gdybyś dźgnął mnie kijkiem – odparł – ugryzłbyś mnie.

Coś w jego głosie kazało Wulfowi wierzyć, że mówi serio. Doszedł do wniosku, że jednak nie będzie dźgał brata kijkiem.

– No to co zrobimy? – powtórzył.

Ulf westchnął. Pomyślał, że czasem to jak tłumaczyć coś dziecku.

– Odejdziemy. Zignorujemy węża, a on zignoruje nas. Od kiedy zostawiliśmy go w spokoju, nawet nie pisał.

– On nie piska. On grzechocze. Albo brzęczy – odparł Wulf, przypominając sobie, jakie przenikliwe tony przybrało grzechotanie, kiedy wetknął włócznię głębiej w stos gałęzi. Potem dodał z namysłem: – Oczywiście, może być tak, że wąż próbuje wzbudzić w nas fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Słyszałem, że węże czasem tak robią. Może czeka, aż odejdziemy, i wtedy za nami popędzi. A słyszałem, że węże potrafią poruszać się z niezwykłą szybkością, jeśli tylko chcą.

– I? – zapytał Ulf.

– No i co zrobimy, jeśli zaczną nas gonić?

– Nie wiem, co ty zrobisz. Ja na pewno ucieknę.

– A potrafisz biegać szybciej niż wąż? Podobno są naprawdę szybkie – upierał się Wulf.

– Nie muszę biec szybciej niż wąż – odparł Ulf roztropnie. – Wystarczy, że będę biegł szybciej od ciebie.

Zapadła cisza. Potem Wulf zapytał:

– A co powiesz mamie? Że zwałeś i zostawiłeś mnie na pastwę grzechoczącego węża?

– Nie. Powiem jej, że zwałem, a ty dzielnie rzuciłeś się na węża, by mnie uratować. Powiem, że zginąłeś bohaterską śmiercią i oboje uronimy łzę na twoją pamiątkę.

Oczywiście obaj doskonale wiedzieli, że żaden z nich nie zostawiłby drugiego w obliczu niebezpieczeństwa. Przeciwnie, wiedzieli, że każdy z nich oddałby życie za tego drugiego. Ale żaden z nich tego nie powiedział.

ROZDZIAŁ 15



W odległej części lasu Lydia znalazła ślady niewielkiego stada jeleni.

Wiodły krętą ścieżką między gęsto rosnącymi drzewami, tu i tam Lydia znajdowała kępki sierści na ostro zakończonych gałązkach, a także – w miejscach, gdzie zwierzęta przedzierały się przez gąszcz – gałązki połamane, przygniecione i ociekające świeżymi sokami.

Był to nieomylny znak, że trop jest świeży.

– Trzy sztuki – powiedziała stłumionym głosem. – Dwie lanie i jelonek

– Skąd wiesz? – zapytał Thorn, również mówiąc jak najciszej. Ale ich zachowanie wcale nie wynikało z onieśmienia półmrokiem i ciszą panującymi w lesie, tak jak w przypadku bliźniaków. Lydia spędziła połowę życia tropiąc zwierzęta pośród leśnych cieni, czuła się tutaj jak u siebie. Thorn z kolei nie był podatny na wpływy. Nie tak łatwo ulegał panującej w danym miejscu atmosferze. Szukał faktów i twardych dowodów – i dlatego zadał Lydii to pytanie.

Lydia przykłęka i wskazała na ślad dwóch kopyt pośród próchniejących liści. Znajdowały się bardzo blisko, niemal na siebie nachodziły.

– Te ślady zostawiły dwa różne zwierzęta – wyjaśniła. Thorn przekrzywił głowę, gotów zadać kolejne pytanie, lecz Lydia podjęła: – Widzisz, odległość między nimi wynosi zaledwie jakieś dwa centymetry. Nie mógł ich zostawić jeden jeleń. Z pewnością były to dwie sztuki, szły bardzo blisko siebie.

Thorn kiwnął głową. Pomyślał, że kiedy ktoś to wyjaśni, robi się bardzo proste. Zresztą podobnie jak większość spraw w życiu, dodał zaraz.

– Widać, że jeden ślad jest trochę większy i głębszy – tłumaczyła dalej.

Thorn pochylił się i przez chwilę przyglądał się tropom. Nie widział żadnej różnicy, ale zgodnie mruknął.

Lydia zerknęła na niego.

– Nie widzisz? – spytała z niedowierzaniem. W jej oczach te dwa ślady ewidentnie się różniły,

nie potrafiła zrozumieć, jak można tego nie dostrzegać.

– No, może trochę – odparł Thorn wymijająco.

Potrząsnęła głową.

– To który jest większy?

Thorn wyciągnął rękę, zawiesił ją nad śladami, w końcu dotknął pierwszego śladu.

– Ten – powiedział, bardzo się starając, by nie zabrzmiało to jak pytanie.

Lydia westchnęła i nie powiedziała nic więcej.

– Zgadza się? – spytał, ale wnioskował z reakcji, że nie trafił.

– Jeszcze pytasz?

Wzruszył ramionami. Nagle zamarł, z ręką wciąż uniesioną nad śladami. Kątem oka dostrzegł nieznaczny, ledwo zauważalny ruch pośród drzew po lewej stronie – przesunięcie cienia. Z nadludzkim wysiłkiem powstrzymał się przed odwróceniem głowy w tamtą stronę.

– A skąd wiesz, że był z nimi jelenek? Nie odwracaj się. Właśnie zauważyłem, że ktoś nas śledzi – powiedział tym samym tonem zwykłej rozmowy.

Lydia lekko zeszywniała. Po chwili odzyskała zimną krew i odparła:

– Jelenie, przedzierając się przez leśny gąszcz, zwykle ocierają się o gałęzie piersią i łopatkami, czyli najszerszą częścią ciała. Widzę, że niektóre kępki sierści znajdują się na mniejszej wysokości niż pozostałe, mniej więcej na poziomie ud, co znaczy, że zostawił je znacznie mniejszy osobnik. Gdzie go widziałeś?

Raczej nie miało sensu ciągnąć pogawędki na temat jeleni. Nawet jeśli ktoś ich obserwował, istniało spore prawdopodobieństwo, że nie posługuje się tym samym językiem. Starali się jednak zachować rzeczowy i zwyczajny ton głosu.

– Po lewej stronie, jakieś piętnaście metrów od nas, trochę w tył – odparł Thorn, muskając palcem jeden ze śladów na ziemi. Lydia powtórzyła jego gest, jakby mu pokazywała jakąś ważną cechę tropu.

– Właśnie znów się poruszył – powiedziała spokojnie. – Kto- czy cokolwiek to jest. – Pomyślała, że ich przedstawienie na pewno wzbudziło w obserwatorze fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Thorn wyprostował plecy i podniósł się, cicho stępkając i pocierając krzyż obiema rękami.

– Sądziś, że to nie jest człowiek? – zapytał.

Lydia sprężystym ruchem wstała z łucek. Jak z żalem skonstatował Thorn, nie stękała i nie pocierała krzyża. Wskazała między drzewa, w stronę, w którą prowadził trop jeleni.

– Nie wiem. Nie było widać – odparła.

Thorn skrzywił usta i zagryzł koniuszek wąsów. On też nie zdążył nic zauważyć. Ale instynkt podpowiadał mu, że to był człowiek, nie zwierzę. Zwierzę w ogóle by się nie poruszyło. Zwierzęta

są znacznie sprytniejsze.

– Moim zdaniem to człowiek – powiedział.

Lydia jeszcze raz popatrzyła między drzewa śladem jeleni.

– Co robimy?

Po namyśle odparł:

– Nic. Robimy dalej to, co do tej pory. Na razie nam nie dokuczają.

– Powiedział i w tym samym momencie spomiędzy drzew ze świstem wyleciała włócznia – rzuciła Lydia sarlasky cznie. Thorn wzruszył ramionami.

– Gdyby chcieli nas zaatakować, już dawno mogli to zrobić – zauważył. Lydia przyjęła jego słowa do wiadomości, ale nerwy nadal miała napięte i odczuwała ogromną chęć, by odwrócić się i dokładnie sprawdzić, co się dzieje pośród drzew za ich plecami i po lewej stronie.

Okazja pojawiła się kilka minut później. Między drzewami zaśnił blask słoneczny – znak, że zbliżają się do polany. Co z kolei mogło znaczyć, że grupka jeleni zatrzymała się tam na popas. Lydia sprawdziła kierunek wiatru. Wiał prosto na nich, więc nie istniało ryzyko, że zwierzęta poczną ich zapach. Lydia spojrzała na Thorną.

– Zbliżamy się do polany – powiedziała. – Zwolnij.

W momencie, kiedy odwróciła się w stronę Thorną, jakiś ciemny kształt schował się w gęstych wysokich zaroślach. Bez wątplenia był to człowiek. Zwierzę nie szukałoby kryjówki. Zastygłoby w miejscu albo zerwało się do ucieczki.

– Dobra – powiedziała – tym razem go widziałam. Stoi jakieś dwadzieścia metrów dalej, kryje się w krzakach. Co robimy?

Thorn przez chwilę rozważał pytanie, wreszcie odparł:

– Nic nie zmieniamy. Nasz cel teraz to złowić jednego z tych jeleni.

– Skoro tak mówisz. Bardzo prawdopodobne, że zatrzymały się na tej polanie, więc uważaj na każdy krok.

Lydia dzięki wieloletniej praktyce przemyślała między drzewami właściwie bezgłośnie. Thorn czasem robił trochę hałasu, ale jak na tak potężnego mężczyznę poruszał się zaskakująco lekkim krokiem. Lydia zauważyła to już przy wcześniejszych okazjach, ale i tak za każdym razem robiło to na niej spore wrażenie.

Wyciągnęła strzałkę z kocznanu i wsunęła ją do atlatlu. Wyraźnie mając w pamięci wydarzenia z poprzedniego dnia, uniosła broń i przygotowała się do rzutu, by w razie czego nie wykonywać żadnych dodatkowych ruchów, które mogłyby ostrzec ofiarę.

Lewą ręką dała znak Thornowi, by się zatrzymał, sama zaś ruszyła dalej w stronę prześwitu między drzewami.

Owszem, jelenie tam były, pasły się na odległym krańcu polany, w odległości mniej więcej

piętnastu metrów od miejsca, gdzie stali Thorn i Lydia. Dwie łanie i jelonek, u boku tej młodszej i drobniejszej, trykał ją łebkiem, szukając mleka. Druga lania była cięższej budowy. Energicznie zajadała trawę, ale widać coś ją zaniepokoiło, bo nagle uniosła głowę, strzygąc uszami, i wciągnęła powietrze w nozdrza, szukając obcych zapachów.

Lydia wiedziała, że jeszcze sekunda i zwierzęta czmychną. Nie miała czasu do stracenia. Wycelowała w starszą samicę, odciągnęła strzałkę o kilka ostatnich centymetrów i wyrzuciła. Strzałka pomknęła przez polanę. Lania błyskawicznie odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Grot trafił ją z lewej strony, tuż za łopatką, prosto w serce. Napięcie mięśni zelżało, nogi ugięły się pod zwierzęciem, które osunęło się na ziemię, nie wydając najlżejszego dźwięku.

Pozostałe zwierzęta nie czekały na rozwój wydarzeń, lecz natychmiast skoczyły między drzewa. Lydia usłyszała jeszcze trzask łamanych gałązek.

– Trafiłam jedną sztukę – powiedziała cicho.

Thorn podszedł bliżej i spojrział na leżące wśród trawy brązowe ciało. Wyciągnął nóż.

– Mam pomysł. – Podszedł do zwierzęcia i ukląkł. – Oprawimy ją i zostawimy kawałek na drzewie jako prezent dla naszego tajemniczego obserwatora. Pokażemy, że nie mamy złych zamiarów.

– Dobry pomysł – pochwaliła Lydia, lecz powstrzymała go ruchem ręki. – Nóż saksoński jest za duży – powiedziała i wyciągnęła własny nóż, bardzo ostry i przeznaczony do oprawiania zwierzy ny. – Obedrę ją ze skóry i wypatroszę, a ty możesz odrąbać udziec.

Zabrała się do pracy. Thorn obserwował jej zręczne ruchy. Ściągnęła skórę, otworzyła jamę brzuszną i ostrożnie wyciągnęła żołądek i wnętrzności, uważając, by nie przebić jelit czy woreczka żółciowego.

Ułożyła wnętrzności na skórze – smakowity kąsek natychmiast przyciągnął muchy – otarła dłonie w gęstą trawę i wskazała na nagie lśniące zwłoki zwierzęcia.

– Odrąb udziec – powiedziała.

Thorn wyciągnął nóż saksoński – który wsadził z powrotem do pochwy, kiedy Lydia pracowała. Chwycił za tylną lewą nogę łani drewnianym hakiem zastępującym mu dłoń i podniósł wysoko, odsłaniając staw biodrowy.

Odrąbał nogę dwoma celnymi i mocnymi ciosami. Popatrzył na nią z zachwytem.

– Mnóstwo mięsa – stwierdził. – Mam nadzieję, że nasz przyjaciel to doceni.

Potrząsnął udźcem w kierunku, gdzie ostatnio mignęła tajemnicza postać.

– To dla ciebie – zawołał i uśmiechnął się do ściany zieleni, a potem umieścił udziec w rozwidleniu gałęzi jakieś dwa metry nad ziemią.

I w tym momencie usłyszeli niski pomruk

Dochodził z boku. Thorn zamarł, wciąż ściskając w dłoniach udziec. Oboje odwrócili się

i zobaczyli wielki brązowy kształt poruszający się między drzewami w kierunku polany i gniotący drobniejsze drzewka jak zapałki.

– Na zęby Orloga! – powiedział cicho Thorn. – Ale wielki.

Nawet stojąc na czterech łapach, niedźwiedź robił wrażenie. W kłębie mógł mierzyć około półtora metra.

A potem wspiął się na tylne łapy. Górował nad nimi, chociaż nadal stał w odległości dwudziestu metrów. Lewa przednia łapa zwisała bezwładnie wzdłuż boku, ale prawa wściekle machała w powietrzu, zagięte szpony przypominały czarne szable. Futro było gęste, brązowe i matowe, tu i tam widniały ślady dawnych ran i wyłysiałe miejsca, dowód stoczonych w przeszłości walk. Obnażył kły, by znowu zamruczeć, żółte i ogromne. Thorn pomyślał, że w pozycji stojącej bestia mierzy chyba ze trzy i pół metra. Przez kilka sekund stał jak wmurowany w ziemię, krew w żyłach zastygła, przypominała lodowatą wodę.

– Odłóż udziec – powiedziała cicho Lydia. – Połóż go przed sobą i wycofaj się.

Thorn zastosował się do polecenia. Spojrzał na niedźwiedzia. Ten wciąż stał w tym samym miejscu. Ale teraz wydał z siebie ryk, potężny przejmujący ryk, który przyprowadził o ciarki na plecach i zdawał się wypełniać cały las. Znow machnął prawą łapą. Najwyraźniej próbował też poruszyć lewą, która jednak tylko lekko drgnęła.

– Nie patrz na niego – ostrzegła Lydia, cofając się między drzewa ze spuszczoneym wzrokiem. Thorn pospiesznie posłuchał.

– Cofnij się – powtórzyła i Thorn, ze wzrokiem wbitym w ziemię, powoli zrobił krok w tył. Potem kolejny. – Nie pokazuj mu, że się boisz.

– Chyba sam się domyślił – wycedził Thorn. Niedźwiedź znow opadł na cztery łapy i ruszył przed siebie, nie odrywając oczu od martwej łani.

– Czy niedźwiedzie jedzą jelenie? – zapytał Thorn. Niedźwiedź uniósł łeb i odsłonił potężne żółte kły.

– Myślę, że niedźwiedź je wszystko, co uda mu się złapać.

Powoli cofali się w stronę drzew, byle jak najdalej od przerażającej bestii. Thorn spojrział w punkt na ziemi obok zwłok łani, gdzie zostawił włócznię. Pomyślał, że ten naostrzony patyczek i takraczej na nic by się tu nie zdał.

– Korzeń za tobą – ostrzegła Lydia. Gdyby upadł, niedźwiedź prawdopodobnie natychmiast by się na niego rzucił. Posuwał się dalej do tyłu, ostrożnie macając stopą. Odnalazł korzeń i przestąpił przezeń.

– Dzięki – wydyśzał.

Niedźwiedź podszedł do zwłok łani i na próbę pchnął je prawą łapą. Opuścił łeb i poliznął zaschniętą krew w miejscu, gdzie Thorn odrąbał udziec od reszty ciała. Potem niedźwiedź

zagarnął zdobycz łapą i przyciągnął do siebie. Niezgrabnie trzymając ją między kłęką lewą łapą i sprawną prawą, oderwał kawał mięsa ogromnymi kłami. Usiadł na ziemi obok martwej łani i wziął kolejny gryz. Warknął z zadowoleniem, całkowicie skupiony na trzydziestu kilogramach świeżego mięsa, zapominając o dwunożnych istotach.

Lydia i Thorn nadal wycofywali się w głąb lasu przy wtórce niedźwiedziej uczy. Bestia z chrzęstem pożarła udziec i zabrała się za resztę.

– A niech to – powiedziała Lydia. – Znow straciłam jelenia.

Thorn spojrzął na nią.

– Mamy chyba większy problem – stwierdził. – Od dzisiaj niedźwiedź będzie nas kójarzył ze świeżym mięsem.

ROZDZIAŁ 16



Stig i Ingvar stali tej nocy na straży jako drudzy z kolei – od północy do trzeciej nad ranem. Niestrudzeni chodzili wzdłuż ogrodzenia, wodząc wzrokiem po plaży. Księżyc znikł kilka godzin wcześniej, teraz ciemności rozświetlały tylko gwiazdy, ale było ich mnóstwo i dawały całkiem jasne światło.

Początkowo rozważali, czy prowadzić patrole w pojedynkę, postanowili jednak trzymać się razem. Thorn i Lydia opowiedzieli o niedźwiedziu oraz tajemniczym obserwatorze, więc uznali, że w tej sytuacji lepiej uważnie się rozglądać. Ingvar miał przy sobie halabardę – długie drzewce będące kombinacją włóczni, topora i piki, które jakiś czas temu stało się jego standardową bronią. Stig niósł topór przewieszony przez pierścień u pasa oraz jedną z długich włóczni na niedźwiedzia. Popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Sądząc po opisie niedźwiedzia, który przedstawiła nam Lydia, zaostzony patyk raczej go nie wystraszy – zauważył.

Ingvar uśmiechnął się.

– Ale to zaostzony patyk z metalowym jęczem – odparł. – Na tym polega różnica. Będziesz się cieszył z tego patyka, kiedy niedźwiedź postanowi wspiąć się na ogrodzenie.

Stig miał ochotę powiedzieć przyjacielowi, by nawet nie wspominał o takich rzeczach. Zbyt często zdarza się, że podobne słowa spełniają się niczym przepowiednia. I dokładnie w tym samym momencie z południowego krańca palisady dobiegł trzask i pomruki dzikiego zwierzęcia.

– Szybko! – zawołał Stig i rzucili się biegiem w tamtą stronę.

Potężna bestia uczepiła się przednią łapą ogrodzenia i próbowała na nie wejść, ale przeszkodziły jej dziesiątki ostrych sterczących na zewnątrz gałęzi, które wbijały się boleśnie w jej ciało. A płatanina lekkich krzaków i młodych drzewek nie dawała oparcia potężnemu cielsku. Ogrodzenie zatrzęsło się i rozwibrowało na całej długości.

– Na brodę Lokiego, ale wielki! – wykrzyknął Ingvar. Nagle uświadomił sobie, jak muszą czuć

się w jego towarzystwie osoby przeciętnych rozmiarów.

Stig rzucił się naprzód, ściskając włócznię w obu dłoniach i unosząc ją na wysokość ramion. Wymierzył cios z całych sił. Czubek włóczni tylko drasnął łopatkę niedźwiedzia. Nie przebił grubego futra, lecz widocznie zadał ból, bo niedźwiedź ryknął z wściekłości, zamachnął się na włócznię prawą łapą i wytrącił ją Stigowi z ręki. Siła uderzenia sprawiła, że Stig stracił czucie w dłoniach. Poblądł i pomyślał, że ma do czynienia z poważnym przeciwnikiem. Podniósł włócznię i zaczął zadawać drobne krótkie ciosy, mierząc w łeb, kark, oczy i miękką skórę wokół pyska.

Ingvar wałnął zza głowy halabardą, ostrze drasnęło niedźwiedzia do krwi, ale niestety trafiło w lewą łapę, i tak uszkodzoną. Kiedy ostrze przebiło skórę, niedźwiedź obrócił się błyskawicznie i wałnął w drzewce, wytrącając je Ingvarowi z rąk. Ingvar zrobił krok do tyłu.

– Przynies płonącą gałąź z ogniska! – krzyknął Stig.

Ingvar kiwnął głową i pobiegł, szczęśliwy, że ma na nosie patrzalki, które zrobił dla niego Hal kilka miesięcy wcześniej.

Ale i tak z powodu słabego światła kilka razy się potknął, a raz nawet wyrznął jak długi na zimny piasek. Ingvar przypomniał sobie, że wcześniej, w słońcu, piach był gorący. Dziwne, jak szybko stracił ciepło.

W obozowisku panowało ożywienie, wszyscy wyskakiwali z namiotów, nawołując się i pytając, co się dzieje. Kluf biegała w tę i z powrotem, głośno szczelając. W jej głosie wyraźnie było sły chać ostrzegawczy ton.

– Niedźwiedź! – krzyknął Ingvar. – Próbuje wspiąć się na palisadę!

Chwycił z ogniska dwie duże żagwie i zawrócił. Kątem oka spostrzegł, jak Hal wraca do namiotu i zaraz wynurza się z niego z kuszą i kołczanem pełnym bełtów, i pobiegł dalej, tym razem bardziej uważając na każdy krok i ciągnąc za sobą deszcz iskier.

Niedźwiedź nadal gniewnie ryczał na Stiga, który wytrwale dźgał go włócznią, zadając bardzo szybkie ciosy, takby bestia nie zdążyła zmiażdżyć drzewca silnym ciosem łapy. Ingvar dostrzegł, że zwierzę zdołało wspiąć się niemal na samą górę ogrodzenia. Na ciemnym tle nieba rysował się potężny kształt, który górował nad Stigiem i zdawał się tłumić światło gwiazd. Ingvar pomyślał z przerażeniem, że jeszcze chwila, a potwór stoczy się na drugą stronę, wprost do obozowiska.

I rozpęta się prawdziwe piekło.

Ingvar zamierzył się i cisnął jedną z żagwi w łeb potwora. Płomienie, które na chwilę przygasły podczas lotu w powietrzu, teraz ponownie obudziły się do życia.

Niedźwiedź cofnął się, oderwał łapy od palisady i spadł na piasek z donośnym hukiem, aż ziemia zadrżała.

Zaczął uderzać w futro, które w kilku miejscach zajęło się ogniem i z narastającym wściekłym

rykiem oddalił się od palisady i ruszył wzdłuż plaży, w kierunku, gdzie wznosił się jeden z gotowych do podpalenia stosów gałęzi. Żagiew spadła na ziemię tuż obok palisady, więc Ingvar szybko odsunął ją za pomocą halabardy dalej na plażę, nim wypełnienie z krzaków zdążyło zająć się ogniem.

– Jeszcze tego by brakowało – mruknął.

Nagle poczuł, że ktoś do niego podbiegł. Odwrócił się i zobaczył Hala, który opuścił kuszę, by umieścić bełt w karbie i naciągnąć cięciwę.

– To nie powstrzyma niedźwiedzia – powiedział Ingvar, ale Hal wskazał na koniec bełtu owinięty nasączonym smołą kawałkiem tkaniny.

– Podpal – polecił.

Ingvar, domyśliwszy się jego zamiarów, przytknął do bełtu drugą z żagwi, którą wciąż trzymał w ręku. Płomień zamigotał, a po chwili żywo rozbłysnął.

Hal uniósł kuszę, prędko wymierzył i zwolnił cięciwę. Płonący bełt – mały czerwony punkt w ciemnościach – pomknął w stronę ogniska, przy którym urzędował niedźwiedź. Płomień znowu ożył. Przez chwilę widzieli żółty jeżor pośród nasączonych smołą gałęzi.

Po chwili stos zajął się ogniem i ŁUMP – płomienie buchnęły do góry. W ich blasku pokazał się wyraźny kształt niedźwiedzia.

Zwierz, przestraszony nagłą eksplozją, odrzucił łeb do tyłu i warknął z przerażenia. Potem opadł na cztery łapy i pobiegł w stronę lasu, tam, skąd przyszedł, nie zatrzymując się nawet na chwilę i nie oglądając.

Hal wypuścił z płuc wstrzymywany oddech.

– Dalej tak być nie może – stwierdził. – Musimy coś zrobić z tym przekłętym niedźwiedziem.



ROZDZIAŁ 17



Wydawało się, że problem sam się rozwiązał – zwierz więcej się nie pokazał.

Hal przypuszczał, że pod wpływem szoka, który wywołał wybuch płomieni w odległości zaledwie paru metrów, niedźwiedź doszedł do wniosku, że tych dwunożnych istot lepiej unikać. Thorn podtrzymał jednak zakaz samotnych wypraw do lasu, obejmujący wszystkich z wyjątkiem Lydii. Od czasu do czasu, na polecenie Edvina, chodzili grupkami po drewno na opał, jadalne rośliny i dzikie warzywa. Po opowieści bliźniaków o grzechoczącym wężu bardzo uważali i pamiętali, by nie zaglądać pod zwalone pnie drzew, gałęzy czy stopy uschniętych liści.

Lydia chadzała na polowania i któregoś dnia wreszcie przyniosła zdobycz w postaci średniej wielkości jelenia.

– Widziałam ich całkiem sporo – powiedziała Halowi – ale nie ma sensu zabijać więcej zwierząt, niż jesteśmy w stanie przejeść. A zostawione na dłużej mięso szybko by się popsulo.

Hal z namysłem potarł podbródek

– Można by je zasolić bądź uwędzić – powiedział, ale Lydia odrzuciła ten pomysł.

– Po co wędzić mięso, kiedy mamy dostęp do świeżego? Jak już mówiłam, w lesie nie brakuje zwierzyzny.

– Ale kiedyś i tak będziemy musieli się tym zająć – odparł Hal. – Zgromadzić zapasy na podróż powrotną.

Po raz pierwszy wspomniał o powrocie do domu. Owszem, Lydia zdawała sobie sprawę, że któregoś dnia opuszczą to miejsce, ale słowa Hala jakby wyraźniej jej to uświadomiły. Do tej pory za bardzo się nad tym nie zastanawiała.

– A kiedy wyruszamy? – zapytała. Nie zadała drugiego pytania, które przyszło jej do głowy: *jak tego dokonamy?* Szorstym zepchnął ich z kursu na odległość setek, może nawet tysięcy kilometrów. Nie miała pojęcia, jak teraz odnajdą drogę.

– Jeszcze nie teraz – odparł Hal. – Trwa zima, nie chcę wypływać na Ocean Nieskończony,

półki istnieje ryzyko sztormów.

– Ale kiedy w końcu wypłyniesz... kiedy wypłyniemy, skąd będziesz wiedział, w którą udać się stronę?

Lydia doskonale potrafiła odnaleźć drogę w lesie – czy jakimkolwiek innym miejscu, byle znajdowało się ono na lądzie. Na morzu traciła zmysł orientacji. Widziała w nim nieskończoną przestrzeń i tyle. W dodatku wystarczyła chwila nieuwagi, żeby zaliczyć prysznic z lodowatej wody.

Hal uśmiechnął się, podnosząc wzrok – właśnie splatał cienkie buczynowe gałązki na sznur do przywiązania rumpla. Zauważył, że stary bardzo się wystrzępił.

– Gwiazdy – odparł. Wskazując na niebo, dodał: – Nie rozpoznaję zbyt wielu pośród tych, które teraz widzimy, ale na północnym niebie widzę kilku starych znajomych. Oni zaprowadzą nas do domu.

Ton głosu zdradzał ufność we własne umiejętności i Lydia od razu poczuła się pewniej. Wiedziała, że Hal jest wyśmienitym nawigatorem. Nawet Thorn, mimo że sam posiadał bogate i wieloletnie doświadczenie, zdawał się na wiedzę Hala na temat wiatru i fal, na instynktowne wyczuwanie prądów, które potrafią zepchnąć okręt z kursu. Zauważyła, że Hal jest bardzo cichy od czasu, kiedy przybyli do tej dziwnej obcej ziemi i obawiała się, że sztorm nadszarpnął jego poczucie wiary we własne możliwości.

– Kolejny powód, by zacząć, aż zima się skończy – dodał. – Latem gwiazdy przesuwają się na południe, więc łatwiej dostrzegę znajome drogowskie.

– Przesuwają się na południe? Jak to?

Hal wzruszył ramionami.

– Może wolą się przenieść w cieplejsze strony – odparł żartobliwie, ale zaraz dodał poważnym tonem: – Nie wiemy, czemu tak się dzieje. Ale wiemy, że takie zjawisko występuje. Tak więc możesz tymczasem przynieść zapasy świeżego mięsa.

Lydia kiwnęła głową. W ciągu kilku ostatnich dni widziała sporo ptaków gulgul, ale ignorowała je, kierowana niemal obsesyjnym pragnieniem, by upolować jelenia. Teraz pomyślała, że może czas złapać kilka sztuk. Ten pierwszy smakował wyśmienicie.

Ruchem głowy pokazała oprawione go jelenia leżącego u jej stóp.

– Zaniosę to Edwinowi – powiedziała. – Może będzie dziczyzna na kolację.

Hal uśmiechnął się.

– Miła odmiana po solonej wieprzowinie – zauważył i wrócił do splatania uchwytu.

Lydia ruszyła przez obozowisko, witając się z pozostałymi członkami załogi, zajętymi budowaniem solidniejszego schronienia. Z młodych drzewek skonstruowali szkielet w kształcie chaty, a teraz pokrywali boki płachtami płótna, a dach splecionymi gałęziami sosny. Budowla

wyglądała na przytulną i wodoodporną. Stig jako pierwszy oficer stał zarazem na czele grupy i kierował pracami, ale sam projekt był autorstwa Hala. Lydia nie kryła podziwu dla tempa, z jakim postawili chatę, lecz Hal wyjawiał, że bardzo podobne schronienie stworzyli pierwszego dnia treningu drużyn i teraz jedy nie korzy stali z tamtych doświadczeń.

W jednym rogu wydzielono płótnem osobne pomieszczenie – Lydia wiedziała, że jest to prywatny pokój przeznaczony specjalnie dla niej. Uśmiechnęła się. Podobało jej się, że chłopcy tak o nią dbają, starają się zapewnić jej komfort i szanują jej prywatność. Czuła się dzięki temu wyjątkowo. Thorn na jej widok odłożył młotek, którym przybijał poprzeczne belki. Pomyślała, że mimo braku jednej ręki Thorn świetnie sobie radzi przy wbijaniu gwoździ. Stosował minimalną liczbę drobnych ruchów i zawsze trafiał idealnie, tak że gwoździe nigdy się nie odkształcały.

– Nie widziałas naszego kudłatego przyjaciela? – spytał, podchodząc bliżej.

Uśmiechnęła się.

– Aż do tej chwili nie.

– Coś się robisz za bardzo wygadana – odparował. Potem dodał poważnym tonem: – Ani śladu niedźwiedzia?

Potrząsnęła głową.

– Może wystraszyliśmy go na dobre.

Popatrzył na nią uważnie.

– Naprawdę takuważasz?

Po namyśle odrzekła:

– Nie. Sądzę, że jeszcze wróci. Musimy się zastanowić, co z nim zrobić.

Thorn kiwnął głową.

– Nie mam bladego pojęcia. Nasza broń nie robi na nim wrażenia.

– Pewnie gdybym trafiła go czterema-pięcioma strzałkami – powiedziała Lydia z namysłem – to najprawdopodobniej załatwiłoby sprawę. Ale wówczas cierpiałby powolną i bolesną śmierć, a tego naprawdę wolałabym uniknąć.

Thorn już wcześniej dostrzegł w niej tę cechę. Lydia była łowczynią, bardzo skuteczną łowczynią. Ale nie znajdowała radości w zabijaniu i zawsze starała się, by zwierzę umarło szybko i bez zbędnego cierpienia. Wizja niedźwiedzia powoli wykrwawiającego się na śmierć kłóciła się z jej zasadami. Thorn bardzo ją za to podziwiał.

– Ale – zauważył – być może okaże się to konieczne.

Lydia krótko kiwnęła głową. Zdawała sobie sprawę, że Thorn ma rację.

Szybko zmienił temat.

– A jak nasz drugi przyjaciel? Dał znak życia?

– Nie. Sprawdzalam kilka razy, ale nic nie wskazywało na to, by ktoś mnie śledził.

Thorn podrapał się po brodzie.

– Może doszedł do wniosku, że tylko połujesz – powiedział – i w żaden sposób mu nie zagrażasz.

– Całkiem możliwe.

Kiedy podeszli do ogniska, Edvin spojrział z uśmiechem na zdobycz.

– Jeleń! – zawołał radośnie. – Rozumiem, że tym razem nie musiałaś karmić miśka?

Wziął mięso od Ly dii. Podała mu jeszcze wątrobę i język, zawinięte w skórę jelenia.

– I smakowite podroby! – dodał. Edvin wiedział, że wiele osób nie chce jeść takich części zwierzęcia, on jednak uważał je za prawdziwy delikates.

– Potrzebujesz pomocy przy dzieleniu mięsa? – spytał Thorn.

– Byłbym wdzięczny.

Thorn wyciągnął nóż i zabrał się do roboty. Najpierw oddzielił tylne nogi, następnie przednie, a Lydia odcięła część zadnią. Potem znów do pracy przystąpił Thorn i odrąbał nożem żebra. W krótkim czasie jeleń zmienił się w zbiór zgrabnych gotowych do przyrządzenia kawałków.

Podczas pracy Ly dia powtórzyła Thornowi swoją rozmowę z Halem.

– Wspominał o powrocie do Skandii.

Thorn kiwnął głową z zadowoloną miną.

– To dobrze. Miałem nadzieję, że zacnie myśleć w ten sposób. Trochę się martwiłem, że czuje się zagubiony, dosłownie i w przenośni. Ten sztorm mógł nieźle nadszarpnąć jego poczuciem własnej wartości.

– Odniosłam wrażenie, że z ulgą przeleżał tobie i Stigowi odpowiedzialność za obozowisko – zauważyła. Thorn nie mógł się z nią nie zgodzić.

– Tak właśnie działamy. Każdy z nas wykorzystuje swoje umiejętności i doświadczenie w tych dziedzinach, gdzie sprawdza się najlepiej. Na morzu Hal nosi na swoich barkach wielką odpowiedzialność. Decyzja, by popłynąć na zachód, wiele go kosztowała. Takie sytuacje mogą sprawić, że człowiek zaczyna wątpić we własne umiejętności. Załoga potrzebuje przywódcy silnego i pewnego siebie. Na morzu nikt z nas nie umiałby go zastąpić.

Wyczuła lekką nutę dumy w głosie Thornia. Kochał młodego skirla jak syna i cieszył się jego niezwykłymi umiejętnościami w sterowaniu łodzią i czytaniem gwiazd i morskich prądów.

– Jak byś go ocenił? – zapytała. Zawsze po prostu sądziła, że Hal jest wyśmienitym sternikiem i nawigatorem, ale nie miała przecież z kim go porównać.

Nim Thorn zdążył odpowiedzieć, Edvin, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie, wtrącił:

– Według mnie to geniusz. Każdy z nas sporo wie na temat nawigacji i sterowania okrętem. Ale Hal znacznie przewyższa nas wszystkich. Ma niezwykły wrodzony talent, niesamowite wyczucie, potrafi przewidzieć, co się za chwilę wydarzy, i potrafi z niespotykaną trafnością

określać kąty i prądy. Potrafi skierować łódź precyzyjnie tam, gdzie chce, w dokładnością co do metra. Chyba zgodzisz się ze mną, Thornie? – zapytał, zdając się na bardziej doświadczonego towarzysza.

Thorn kiwnął głową.

– Jeśli zdołamy dotrzeć do Hallasholmu, a wierzę, że tak, to tylko dzięki jego umiejętnościom i instynktowi. – Uśmiechnął się szeroko. – Gdybym to ja miał nas zabrać do domu, nie wiedziałbym nawet, jak zacząć.

Lydia otworzyła usta, lecz nie zdążyła nic powiedzieć, ponieważ w tym momencie rozległ się aż nazbyt dobrze znany im dźwięk – ryk wściekłego niedźwiedzia.

– O, na włochate pachy Orloga! – wykrzyknęła, posługując się przekleństwem zasłyszonym od załogi. – Wrócił.



ROZDZIAŁ 18



W obozie zapanowało ożywienie. Wszyscy rzucili się do broni, pokonali ogrodzenie i skierowali się w stronę niepokojących dźwięków.

Kluf biegła w tę i z powrotem, szczekając jak oszalała, szukając kogoś, kto pomógłby jej się wydostać. W końcu, kiedy wszyscy sobie poszli, wspięła się po drabinie, zeskoczyła lekko na miękką piach i pognąła w stronę lasu.

Stig, który biegł na czele, jako pierwszy usłyszał inny dźwięk, wcześniej zagłuszany wściekłym rykiem niedźwiedzia. Cienkie pełne przerażenia głosiki.

Krzyki dzieci.

Przyspieszył kroku. Słyszając kroki na piasku za swoimi plecami, odwrócił się i zobaczył Thorną i Halę. Thorn w prawej ręce ścisnął dużą tarczę, a w lewej topór. Hal niósł jedną z długich włóczni, które zrobili na niedźwiedzia, chociaż doświadczenie pokazało, że raczej nie na wiele mogą się one przydać. Stig dzierżył w dłoni topór bojowy.

Jesper minął ich, jakby stali w miejscu. Zawsze był najszybszym biegaczem z całej załogi – zawdzięczał to między innymi zakończony już karierze złodzieja. On również trzymał w ręku włócznię, ścisnął ją w połowie drzewca, kierując prosto przed siebie.

– Tam są dzieci! – krzyknął Stig. Wszyscy pokiwali głowami. Oni również usłyszeli krzyki. Dźwięki przybierały na sile.

Byli już blisko, między drzewami pośród cieni migały gwałtowne ruchy. Po chwili obraz się wyostrzył. Tuż za linią pierwszych drzew stał niedźwiedź i walił całym ciężarem ciała w smukły cętkowany pień, aż echo szło. Na wysokości jakichś czterech metrów, tuż za zasięgiem niedźwiedziich łap, siedziało skulonych dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka. Stig dostrzegł długie czarne włosy i śniade twarze. I dwie pary przerażonych oczu.

Dzieci próbowały wspiąć się wyżej, byle dalej od niedźwiedziich pazurów, ale w chwili, kiedy się poruszyły, bestia znów uderzyła o pień całym ciężarem ciała, aż całe drzewo się zatrzęsło,

a dziewczynka, siedząca niżej, niechcący puściła gałąź i zaczęła spadać. Krzyknęła z przerażenia. Jej towarzysz chwycił ją za bluzkę na plecach i podciągnął. Niedźwiedź gniewnie zaryczał i znów zaczął potrząsać drzewem. Przez jedną straszną chwilę zdawało się, że dzieci zaraz stracą równowagę i spadną na ziemię, prosto w łapy bestii.

Ale Jesper do tego nie dopuścił. Rzucił się przed siebie, unosząc włócznię wysoko nad głowę, jak oszczep gotowy do rzutu. Zatrzymał się w odległości pięciu metrów od niedźwiedzia, wymierzył, cofnął ramię i wrzasnął ile sił w płucach w nadziei, że odwróci uwagę bestii.

– Hej, misiek! A co powiesz na to?

I z całej siły cisnął włócznię w niedźwiedzia.

Trafiła go w żebra, tuż pod wyciągniętą w górę prawą łapą, ale nie przecięła skóry – koniec nie był wystarczająco ostry. Ale uderzyła z pewną siłą, aż niedźwiedź zatoczył się w bok i puścił pień drzewa.

Odrzucił łeb w tył i wydał z siebie potężny ryk, odsłaniając wielkie żółte łby. A potem opadł na cztery łapy i ruszył na Jespera, który nie miał teraz żadnej broni.

Jesper zauważył uszkodzoną lewą łapę. Wiedział, że przy skręcie w prawo niedźwiedź będzie musiał zwolnić. Jesper skoczył w lewo – czyli w prawo od strony niedźwiedzia. Ten rzucił się za nim, przenosząc cały ciężar ciała na bezużyteczną lewą łapę, potknął się i ryknął z wściekłości. Dwunożna istota znów mu uciekała.

Teraz Stig rzucił się do przodu, zadając cios toporem w poziomie. Zrozumiał podstęp Jespera i zaatakował z lewej strony. Niedźwiedź dostrzegł go i podniósł się na tylnych łapach, odsłaniając zęby. Stig wymierzył kolejny cios i trafił w lewą łapę. Krew trysnęła z rany, lecz nie mogło to w żaden sposób osłabić sił niedźwiedzia, bo łapa i tak przecież była uszkodzona i bezużyteczna. Zwierz zamachnął się na Stiga prawą łapą, on zaś uniósł topór, by odparować cios.

To był błąd. Pod siłą uderzenia Stiga wypuścił topór z ręki i zatoczył się do tyłu.

Niedźwiedź nie miał jednak szans go dogonić. Thorn zaatakował z prawej strony, mierząc toporem trzymany w lewej dłoni. Niedźwiedź dostał w żebra, zawył z bólu i wściekłości. A potem zamachnął się na niego prawą łapą, ruchem szybkim jak błyskawica. Thorn zdążył zasłonić się tarczą utrzymaną w prawej dłoni – a właściwie w szczypcach drewnianego haka – i zablokować cios. Ale pod siłą uderzenia tarcza naparła w jego klatkę piersiową, aż stracił równowagę i poleciał kilka metrów do tyłu. Niedźwiedź rzucił się w jego stronę, ale w tym momencie na drodze stanął mu Hal.

Ścisnął włócznię w obu dłoniach, uniósł ją, mierząc w pysk i oczy niedźwiedzia i zaczął zadawać krótkie prędkie ciosy od dołu. Niedźwiedź, pozornie wielki i niezgrabny, okazał się zdumiewająco szybki. Odskoczył do tyłu, jednocześnie robiąc unik w bok, by uciec przed ostrą włócznią i zamachnął się na nią jedną łapą.

Ale Hal spodziewał się tego ruchu i w odpowiednim momencie szarpnął włócznią w bok, tak że znalazła się poza zasięgiem. Nim niedźwiedź zdążył zareagować, Hal wymierzył kolejny cios, potem kolejny, drugi i trzeci, całą serię drobnych ciosów w szybkim tempie. Niedźwiedź zdezorientowany i poirytowany, zaczął ustępować.

Hal rozejrzał się dookoła. Stefan i Edvin odciągali półprytomnego Thorna w stronę palisady. Bliźniacy, uzbrojeni we włócznie, czekali na odpowiedni moment, by włączyć się do walki. Kluf biegła dookoła niedźwiedzia, wściekle ujadając. Kiedy pojawiał się odpowiedni moment, atakowała go od tyłu. Krew z licznych ran znaczyła grube matowe futro bestii. Ale żadna z ran nie była śmiertelna, jedynie dodatkowo podsyciła gniew niedźwiedzia.

Hal znów dźgnął włócznią jego pysk. Ale zwierzę, które zdobył niemałe doświadczenie w licznych bitwach, poznał się na jego taktyce i kiedy włócznia zbliżyła się do jego oczu, odchylił się na bok i kłapnął potężną paszczą, kiedy końcówka włóczni minęła jego pysk. Hal poczuł, jak pcha go do przodu niepowstrzymana siła. Zachwiał się, ale niedźwiedź niechcący go ocalił – pacnął prawą łapą w drzewce i złamał je na pół z donośnym KRACH!

Hal, niespodziewanie uwolniony, padł jak długi na ziemię i zaczął szybko czołgać się do tyłu, byle dalej, poza zasięg niedźwiedziej łapy. Kluf wyczuła, że jej pan jest w niebezpieczeństwie i przypuściła atak na zwierza, by odwrócić jego uwagę. Nagle dosięgnął ją cios potężnej łapy i poleciała do tyłu, skomląc z bólu i przerażenia. Na szczęście grube futro uchroniło ją przed poważnymi obrażeniami. Ciężko uderzyła o piach, przetoczyła się kilka razy, podniosła się z trudem, gotowa znów stanąć w obronie Hala. Wiedział, że w tym stanie, obolała i pośluczona, nie zdąży umknąć przed ciosami niedźwiedzia.

– Kluf, uciekaj! – krzyknął głosem załamującym się z napięcia, desperacko machając rękami. Widząc, że na razie nic mu nie grozi, odeszła na bok utykając.

Teraz do ataku przystąpili uzbrojeni we włócznie bliźniacy. Wulf, tak jak Hal, ciął i dźgał, zadając drobne ciosy, a Ulf natarł z całej siły. Niedźwiedź spokojnie odepchnął jego włócznię, a broń Wulfa chwycił i złamał jak gałązkę.

– Te kijki są do niczego! – krzyknął Wulf, odrzucając złamane drzewce.

Stig, którego topór leżał gdzieś na ziemi, stał między bliźniakami z nożem saksońskim w ręku. Wiedział, że taka broń na nic się nie przyda w starciu z bestią, ale innej broni nie miał.

Hal dołączył do ich grupy. Jesper stał z boku, gotów w razie potrzeby rzucić się do pomocy.

Na chwilę zapanował impas. Niedźwiedź wodził wzrokiem od jednego prześladowcy do drugiego, widać nie mogąc się zdecydować, którego zaatakować najpierw. Czaple nie zamierzały go pospieszać. Nikt nie miał ochoty na bezpośrednią walkę. Próbowali i ponieśli porażkę.

Teraz swoją szansę dostrzegli Lydia i Ingvar, którzy stali z tyłu, planując atak. W powietrzu świsnęły dwie strzałki i trafiły niedźwiedzia w pierś, wchodząc głęboko w jego ciało i zadając

bolesne rany. Niedźwiedź ryknął z bólu, a wtedy do ataku przystąpił Ingvar.

Zamienił halabardę na jeden ze słupów przeznaczonych na budowę chaty – teraz zakręcił nim nad głową, jak lekką gałązką i walnął z hukiem w łeb niedźwiedzia.

Ogłuszony zwierz aż przysiadł. Ale zaraz się podniósł – a Ingvar popełnił błąd i próbował powtórzyć cios. Niedźwiedź zrobił unik i belka uderzyła go w bark. A potem błyskawicznym ruchem odepchnął belkę.

Ingvar, wcześniej zamierzywszy się całym ciałem do ciosu, nie zdążył odzyskać równowagi. Poczł, jak belka porusza się w jego dłoniach. A potem jej koniec podskoczył do góry i przejechał po twarzy, otwierając głęboką ranę i zaczepiając o oprawę patrzalek, aż zsunęły się z nosa. Ingvar praktycznie stracił wzrok.

Hal natychmiast dostrzegł niebezpieczeństwo. Rzucił się do przodu, chwycił przy jaciela za rękę i odciągnął na bezpieczną odległość. Niedźwiedź zatoczył się po zadanych ciosie, a wtedy do ataku przystąpili bliźniacy.

Ulf zdążył podnieść z ziemi włócznię i teraz dźgnął nią niedźwiedzia. Ten, wciąż oszołomiony i krwawiący z licznych ran, powoli ustępował pola. Hal widział jednak, że bynajmniej nie zamierza się poddać, że zbiera siły do kolejnego ataku.

Nagle Hal doznał ośnienia.

– Rozbiegnijcie się! Schowajcie się za palisadą! – krzyknął. – Jesper, spróbuj pokierować go w stronę łodzi!

Hal uświadomił sobie bowiem, że jedyna broń, która może powstrzymać rozszalałą bestię, znajduje się na pokładzie „Czapli”. Znów chwycił rękę Ingvara, który bezskutecznie szukał patrzalek.

– Zostaw! Chodź ze mną! Biegniemy!

Kiedy reszta popędziła w stronę wątpliwej kryjówki za palisadą, Hal ruszył w stronę miejsca, gdzie cumowała łódź. Ingvar potykał się na piachu, ale Hal, czerpiąc siły chyba tylko z czystej desperacji, za każdym razem powstrzymywał go od upadku i ciągnął dalej za sobą.

Jesper, domyślając się planu Hala, zaczął płaszc dokoła przed niedźwiedziem, który nie mógł się zdecydować, za którą z uciekających istot ruszyć w pościg. Jesper pomógł mu podjąć decyzję – zebrał kilka sporych ostrych kamieni i zaczął nimi ciskać w czoło i nos bestii.

– Hej, miśku! Chodź tu, paskudo! – wrzeszczał, wciąż skacząc i płasząc tuż poza zasięgiem niedźwiedźnich łap.

Zwierz ryknął i natychmiast zapomniał o pozostałych dręczycielach. Opadł na cztery łapy i ruszył do ataku.

Biegł niezgrabnie, ale zadziwiająco szybko i Jesper ledwo zdołał umknąć. Z prędkością błyskawicy przebiegł kilka kroków, by zwiększyć odległość, obejrzał się i zobaczył, że wszyscy są

już bezpieczni za palisadą – Stig właśnie pochylał się na szczycie drabiny, by wciągnąć Kluf do środka.

Tak, wszyscy byli bezpieczni – za wyjątkiem Hala i Ingvara, którzy wytrwale pędzili w stronę rzeczki.

Jesper jeszcze raz skoczył do przodu i z bojowym okrzykiem cisnął kolejny kamień. Niedźwiedź uniósł się na tylnych łapach, a Jesper rzucił się w bok i przetoczył po ziemi, unikając ciosu. Szybko się podniósł, a niedźwiedź znów ruszył do ataku.

Jesper znów zaczął tańczyć dookoła niego, zmuszając, by się obracał, śledząc jego ruchy, a potem błyskawicznie zmienił kierunek. Niedźwiedź ryknął z wściekłości.

– Zamknij się! – krzyknął Jesper i rzucił kolejny kamień. Dostrzegł, że Hal i Ingvar dotarli do końca palisady i właśnie znikają między drzewami, kierując się wąską ścieżką w stronę rzeczki. – Czas ruszać – powiedział i lekkim krokiem pobiegł za nimi. Obejrzał się, by sprawdzić, czy niedźwiedź za nim idzie. Ten, skupiony na jednym przeciwniku i rozwścieczony z powodu jego szybkich zręcznych uników, goniłby za nim pewnie i na koniec świata. Jesper oglądał się co jakiś czas i robił zwody, ale przez cały czas wiódł bestię w kierunku wąskiej ścieżki między drzewami.

Hal i Ingvar dotarli już do rzeczki i łodzi zacumowanej kilka metrów od brzegu. Wskoczyli do płytkiej wody, brodząc, dotarli do łodzi, podciągnęli się i wskoczyli na pokład. Hal znów chwycił Ingvara za rękaw i zaprowadził go na dziób, gdzie pod brezentową osłoną królował Zadymiarz.

Nie tracił czasu na rozwiązywanie rzemieni podtrzymujących brezent, wyciągnął nóż, przeciął je szybkimi ruchami i odsłonił brezent.

– Naciągnij! – krzyknął.

Ingvar chwycił za lewary i odciągnął pętlę ze sznura, aż ta zahaczyła o czopy po bokach łoża. W tym samym czasie Hal otworzył schowek z amunicją, wyjął jeden z potężnych bełtów z żelazną końcówką i wsunął w zagłębienie, łącząc nacięcie na końcu z cięciwą.

Usadowił się na siedzeniu z tyłu i przesunął kuszę w lewo, gdzie, jak wiedział, za chwilę pojawią się Jesper i niedźwiedź.

I rzeczywiście, kilka sekund później rozległ się tupot biegnących nóg i wściekłe warczenie zwierzęcia. Jesper pojawił się w polu widzenia i pomknął w stronę łodzi. Niedźwiedź znajdował się w odległości zaledwie pięciu metrów za nim, biegł bardzo szybko mimo uszkodzonej łapy.

Hal nie zdążył wypuścić bełtu. Zbyt szybko znikli z linii strzału. Jesper podbiegł do burty i wspiął się na pokład, aż „Czapla” zakołysało. A po kilku sekundach – gwałtownie nią zatrzęsło, gdy niedźwiedź, po pas w wodzie, walnął o burzę.

Znajdowali się za daleko od dziobu, by oddać strzał. Hal przestraszył się, że wpadli w pułapkę, uwięzieni na pokładzie przez wielką żadną zemsty bestię.

Ale Jesper dostrzegł problem i zadziałał instynktownie. Oderwał się od burty, rozpedził, skoczył

wysoko w powietrze ponad głową zwierzęcia, wylądował na brzegu rzeczki, przeokołował, podniósł się i pobiegł w stronę dziobu.

Niedźwiedź ruszył za nim, powoli, ponieważ nie pozwalała mu się rozpędzić głęboko na metr woda, w końcu wylał na brzeg i przyspieszył.

Jesper, wykazując się niebywałą odwagą, skręcił gwałtownie i znów wszedł do wody, skulił się pod dziobem łodzi. Niedźwiedź zatrzymał się na brzegu i znowu wspiął się na tylne łapy, tym samym idealnie wystawiając się na strzał.

Zadymiarz wydał z siebie groźne BAM!, ciężki bełt pomknął do przodu i trafił niedźwiedzia w środek piersi, przebił skórę i mięśnie, roztrzaskał kości i pchnął zwierza do tyłu, aż ten padł w gęstą trawę. Raz próbował się podnieść, ale jego oczy zaszyły mgłą i ostatecznie osunął się na ziemię, martwy.

Hal zaś osunął się na gładki drewniany korpus Zadymiarza. Napięcie uszło z niego niczym powietrze z przekutego pęcherza. Ingvar położył rękę na jego ramieniu. Żaden z nich nic nie powiedział.

Na burcie pojawiła się dłoń, a zaraz za nią szeroko uśmiechnięta twarz Jespera.

– To była łatwizna – stwierdził, zeskakując na pokład.



ROZDZIAŁ 19



Kiedy wrócili do miejsca, gdzie zaczęła się historia z niedźwiedziem, dzieci już tam nie było. Hal, Jesper i Stig szukali przez chwilę, ale na próżno. Na ziemi pod drzewem widniało kilka śladów dziecięcych stóp, ale parę metrów dalej znikły pośród próchniejących liści pokrywających dno lasu.

– Może Lydia ich wyśledzi, jak skończy – powiedział Stig.

Lydia była nad rzeczką, zgłosiła się na ochotnika do oprawiania niedźwiedzia. Grube futro z pewnością mogło się przydać na zimniejsze dni.

– Pewnie da się z niej wykroić ze dwa płaszcze albo parę sporych pledów – stwierdziła, przyglądając się potężnemu cielsku. – Będzie jak znalazł w czasie morskiej podróży.

Ingvar zaproponował jej pomoc, a Lydia chętnie się zgodziła. Wiedziała, że trzeba sporo siły, żeby unieść i przewrócić cielsko bestii i zedrzeć z niej skórę.

– Czy niedźwiedzia można jeść? – zapytał Ingvar, mierząc wzrokiem ogromną górę mięsa.

Lydia z powątpiewaniem wyduła wargi.

– Wiem, że niektórzy jedzą. Ale smak jest bardzo silny i specyficzny. A ten osobnik był tak umięśniony, że pewnie ciężko byłoby go przeżuć.

Hal powiódł wzrokiem dookoła.

– Przypuszczam, że gdzieś niedaleko jest wieś czy osada – powiedział. – Może za lasem.

Do tej chwili strach przed niedźwiedziem nie pozwalał im na dalsze wyprawy po okolicy, choć dzięki obserwacjom Lydii i Thorna mieli świadomość, że mieszkają tu ludzie. Pytanie brzmiało: kim są ci mieszkańcy i ilu ich jest?

Stig spojrział w ciemność pod drzewami, przyślaniając oczy przed jaskrawym słońcem.

– Poszukamy ich? – zapytał.

Po namyśle Hal potrząsnęła głową.

– Raczej zaczęłajmy, aż sami do nas przyjdą. Do tej pory nie wyszli nam na spotkanie, może

wcale nie byliby zachwyceni, gdybyśmy włoczyli na ich teren. – Urwał. – Zobaczmy, co powie Thorn.

Thorn mocno oberwał, kiedy niedźwiedź złapał jego tarczę i wepchnął mu w żebra brzeg okuty metalem. Był niezłe posiniaczony, a najprawdopodobniej miał też pęknięte żebro. Kiedy wrócił do obozu, Edvin posadził go przy ognisku, zdjął z niego kosałkę i ciasno obwiązał żebra długim lnianym bandażem. Kiedy Thorn posłusznie podniósł ręce, Edvin z odrazą zmarszczył nos.

– Faj! – wykrzyknął. – Może jednak powinieneś częściej się myć.

Thorn rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Niech się myją ci, co są brudni – warknął.

Brwi Edvina podjechały do góry.

– Chyba zaliczasz się do tej grupy – stwierdził. – Może jak skończę, coś z tym jednak zrobisz.

Thorn mruknął. Ale musiał przyznać Edwinowi rację. Kiedy uniósł ramiona, sam wyraźnie poczuł, że raczej trudno go nazwać wykwintnym i eleganckim. Ale nie żeby zaraz miał to głośno przyznać.

Edvin cierpliwie owijał jego żebra bandażem. Z początku nie za mocno, ale w miarę jak narastały kolejne warstwy, coraz ciaśniej i ciaśniej.

– Spokojnie – wysapał Thorn. – Ledwo mogę oddychać.

– Właśnie o to chodzi – odparł Edvin. – Kiedy oddychasz, twoje żebra się ruszają, cała klatka piersiowa rozszerza się i kurczy. Jeśli żebra są pęknięte, tak jak przypuszczam, ich końce będą ocierać się o siebie i nigdy się nie zrosną. A tak będziesz zmuszony oddychać płytko, żebra będą unieruchomione i w ten sposób się wyleczą.

Skinięciem głowy podziękował Halowi i Stigowi, którzy podeszli do ogniska i usiedli na jednym z pni służących za ławki za wygodne siedziska.

Edvin przerwał bandażowanie i Thorn z ulgą opuścił ramiona.

– Jak niby będę teraz walczył? – burknął Thorn.

Edvin popatrzył na niego bez uśmiechu.

– Nie będziesz. Ludzie z pękniętymi żebrami mają odpoczywać, a nie walczyć. Szczególnie kiedy w grę wchodzi wymachiwanie maczugą czy toporem. Podobne rozrywki nie są wskazane przy leczeniu takich urazów.

Thorn skrzywił się z niezadowoleniem. Wiedział, że w tej dyskusji nie ma szans z Edvinem. Medyk występował z pozycji władzy. Wiedział, o czym mówi. Thorn mrucał gniewnie pod nosem.

– Możesz się krzywić – odparł Edvin spokojnie. – Im bardziej przyłożysz się do odpoczynku, tym szybciej żebra się zagoją.

Thorn niechętnie pogodził się z porażką i ponownie uniósł ramiona.

– No to dawaj dalej – powiedział. – Miejmy to już z głowy.

Edvin spojrzął na Stiga i Hala i potrząsnął głową.

– Jaki wdzięczny pacjent. *Dziękuję, Edvinie. Jak miło, że mi pomagasz, Edvinie. Powiedz, co mam robić, Edvinie, zastosuję się do wszystkich twoich zaleceń.*

Edvin bardzo udanie naśladował burkliwy ton głosu Thorn'a i obaj nagrodzili go szerokim uśmiechem.

Hal, widząc, że Thorn zakończył dysputy z medykami, nachylił się i zapytał go:

– Jak mamy postąpić w kwestii lokalnych mieszkańców? Ich osada musi znajdować się gdzieś w pobliżu.

Thorn wyduł wargi.

– Zostawmy ich w spokoju – odparł zdecydowanie. – Sami przyjdą, kiedy uznają, że nadszedł stosowny moment.

– Dlaczego tak uważasz?

Thorn wzruszył ramionami – i natychmiast skrzywił się z bólu. Edvin wymruczał pod nosem przekleństwo. Thorn odetchnął i powiedział, tym razem bardziej uważając:

– Cóż, uratowaliśmy życie tym dzieciom. Mało brakowało, a niedźwiedź zrobiłby sobie z nich obiad.

– Na szczęście Jesper uprzedził jego kulinarne zapędy.

Thorn zrobił zamysłoną minę.

– Tak Świetnie sobie poradził, nie sądzicie? Zaatakował niedźwiedzia włócznią i odciągnął go od dzieci.

– A jeszcze lepszy popis dał nad rzeczką – powiedział Hal.

Oczywiście Thorn nie widział, jak Jesper zwiódł niedźwiedzia, wystawiając go na cel kuszy. Spojrzął pytająco na Hala.

– Staliśmy na dziobie, a niedźwiedź zaszedł od tyłu i próbował wspiąć się po burcie. Jesper dosłownie przekosiłkował nad nim, zeskokczył na ląd i pobiegł w stronę dziobu, żeby niedźwiedź znalazł się na linii strzału, a sam stanął tuż obok łodzi. Gdybym spudłował, niedźwiedź momentalnie by się na niego rzucił.

Thorn potrząsnął głową.

– Nigdy nie przestanie mnie zdumiewać – powiedział – jak to jest, że czasem ktoś doprowadza cię do szału, nieustannie kwestionuje decyzje, lekceważy rozkazy, skarży się i marudzi. A potem przychodzi taki moment, że okazuje się bohaterem numer jeden.

– Wydaje mi się, że nie do końca znamy Jespera – rzucił Edvin, nie przerywając pracy.

Hal kiwnął głową.

– Pewnie tak. Przyłepisz mu łatkę marudy, a on nagle wszy stkich nas zawsty dza.

– Właśnie tacy są ludzie – powiedział Stig bardzo mądrym tonem. Wszyscy spojrzeli na niego.

– Doprawdy? – zapytał Hal. – Znasz jeszcze kogoś, kto zachowuje się podobnie?

– Ty – odparł Stig bez wahania. – Marudzisz, że mamy podnosić i opuszczać żagle, wybierać szoty, luzować szoty i tak dalej, doprowadzasz wszystkich do szału. A w następnej chwili odnajdujesz dla nas bezpieczny port, jak ten tutaj. – Zatoczył ramieniem dokoła i wyszczerzył się do skirła. – A już mieliśmy wrzucić cię do morza.

– Och, wybacz – odparł Hal sarkastycznym tonem. – Czyżbym przerwał ci miły odpoczynek podczas sztormu? Naprawdę aż taki to był dla ciebie dyskomfort?

– No, trochę – odparł Stig. – W przyszłości spróbuj zachowywać się nieco spokojniej i nie panikuj, jak tylko wiatr odrobinę przybierze na sile, dobrze?

– Ja nie panikowałem – odparł Hal. A kiedy wszyscy popatrzyli na niego z niedowierzaniem, dodał: – Byłem przerażony. A to znaczna różnica. – Potem Hal wrócił do zasadniczego tematu rozmowy: – W każdym razie, Thornie, sądzisz, że powinniśmy zacząć, aż to miejscowi pierwsi do nas przyjdą?

Thorn ostrożnie nabrał powietrza w płuca. Musiał przyznać, że teraz, kiedy bandaż ścisnął żebra i trzymał je w miejscu, ból nie był tak dotkliwy. Owszem, ucisk sprawiał pewien dyskomfort, ale nieporównywalny z tym ostrym przenikliwym bólem, który mu wcześniej dokuczał. Z wdzięcznością kiwnął głową do Edvina.

– Dzięki. Znacznie lepiej.

Edvin wrzucił ramionami, co najmniej lekko zdumiony zmianą w postawie Thornia.

Potem stary wilk morski zwrócił się do Hala:

– Gdybyśmy mieli wyruszyć na zwiedzanie okolicy, musielibyśmy pójść w pełnym uzbrojeniu. I sporą grupą. Nigdy nie wiadomo, co nas może spotkać.

Hal kiwnął głową.

– Brzmi rozsądnie.

– Dla ciebie, tak Ale zastanów się, co by pomyśleli tubylcy. Wyglądalibyśmy jak armia. Raczej nie byliby zachwyceni. Istnieje też spore prawdopodobieństwo, że mają nad nami przewagę liczebną.

– Moglibyście pójść we dwoje, ty i Lydia – zaproponował Stig. – Jest bardzo zwinna i pewnie dałaby radę jakoś cię schować. Może nawet ciebie by schowała, chociaż jesteś taki niezdarly.

Thorn wbił w niego kamienne spojrzenie. Stig, niezrażony, wciąż szczerzył się od ucha do ucha.

– Niesamowicie, jacy beczelni stają się wszyscy, kiedy człowiek jest ranny i nie może machać maczugą – powiedział Thorn. – Jak słusznie zauważyłeś, Lydia potrafi poruszać się bardzo zwinnie. Ale nasz tajemniczy obserwator i tak nas dostrzegł i siedł wczoraj za nami, śledził ją również poprzedniego dnia.

– To co, siedzimy i czekamy? – zapytał Hal. Podzielał zdanie Thorny, chciał jednak poddać tę opinię pod dyskusję.

Thorn kiwnął głową.

– Damy im jeszcze dzień czy dwa, zobaczymy, coś się wydarzy. A potem pomyślimy.

– Jest jeden bardzo pomysłny aspekt ostatnich wydarzeń – dodał Hal. – Ponieważ niedźwiedź już nam nie zagraża, możemy wprowadzić pojedyncze warty. Dzięki temu wszyscy porządnie się wyśpią.

– Jestem bardzo za – odparł Stig z głębokim przekonaniem.



ROZDZIAŁ 20



Hal spał sobie smacznie, otulony kocem. Nareszcie miał okazję przespać całą noc. Ponieważ już nie musieli trzymać podwójnej warty, poprzedniego wieczoru zwolnił się z obowiązków strażnika. Było wystarczająco dużo osób, które mogły się tym zająć.

Teraz cieszył się najprzyjemniejszą chwilą – obudził się wcześniej, kiedy nad zatoką zajaśniał świt, stwierdził, że nie czekają go żadne pilne zadania, westchnął z zadowoleniem i znów zasnął.

– Nie ma nic lepszego – mruknął. Ale, jak mu się przy najmniej zdawało, ledwo zamknął oczy, poczuł, że ktoś potrząsa jego ramieniem. Zmarszczył brwi. – Idź sobie – warknął, z nadzieją, że jeśli zabrzmi wystarczająco groźnie, intruz na pewno zostawi go w spokoju. Niestety, Stefan, bo to właśnie on zakłócił sen skłarla, nie dał się zbyć tak łatwo.

– Hal, lepiej wstań. Musisz coś zobaczyć.

Hal niechętnie odrzucił koc i usiadł na posłaniu, pocierając oczy. Mieszkali teraz w ukończonej chacie, a on zajmował uprzywilejowaną pozycję przy wejściu. Spojrzał na słońce. Chyba nie minęło więcej niż dziesięć minut od chwili, kiedy uznał, że należy mu się więcej snu. Powiódł wzrokiem po wnętrzu chaty i stwierdził, że większość członków drużyny nadal śpi. A więc tyle w temacie dodatkowej porcji odpoczynku, pomyślał. Wstał, włożył spodnie i kubrak z baraniej skóry, zapiął pas z przytroczoną saksą i ziewając, ruszył za Stefanem.

Thorn, który wołał spać oddzielnie, wyczołgał się z niskiego namiotu. Mimo że Stefan mówił bardzo cicho, właściwie szeptem, Thorn i tak go usłyszał.

– Śpi z otwartymi oczami – skomentował Hal. I zaraz się poprawił: – Albo przynajmniej jednym uchem.

– Co się dzieje? – spytał Thorn.

– Spytaj Stefana. – Hal wzruszył ramionami.

– Mamy gości – odparł Stefan, wskazując na palisadę.

Te słowa przegnały resztki snu z umysłów Hala i Thorn. Hal przyspieszył kroku, kierując się

w stronę drabiny. Nagle przyszło mu do głowy, że skoro Stefan opuścił stanowisko, to widać przybysze nie stanowią zagrożenia. Mimo to nie zwolnił, a Thorn idący kilka metrów za nim zaczął biec, by go dogonić.

– Tam – powiedział Stefan, kiedy znaleźli się obok drabiny opartej o wewnętrzną stronę palisady. Drabinę zewnętrzną również wciągali na noc do środka.

Hal wspiął się po kilku szczeblach i spojrzął we wskazany kierunek.

– Na wielkiego żółwia, który trzyma świat na grzbiecie – powiedział. – A to dopiero.

W odległości jakichś piętnastu metrów od palisady, obok jednego z ognisk, stało trzech mężczyzn: dwaj młodzi i muskularni, wyglądający na wojowników, a między nimi drobniejszy starszy mężczyzna.

Wszyscy mieli na sobie podobne stroje: długie obszyte frędzlami tuniki, chyba ze skóry jeleniej, przewiązane w pasie i sięgające tuż przed kolano, a pod spodem nogawice z tego samego materiału, na nogach zaś miękkie płaskie buty obszyte wełną.

Mieli śniadą skórę i ostre rysy twarzy, ciemne długie włosy nosili splecione w dwa warkoczki. Włosy starszego przetykały pasma siwizny. Z tyłu głowy tkwiło wielkie orle pióro podtrzymywane prostą skórzaną opaską.

Młodszy mężczyźni trzymali okrągłe kryte skórą tarcze i drewniane włócznie z kamiennymi grotami. Wszyscy trzej mieli noże u pasa.

Na widok Hala starszy wydał rozkaz. Jego towarzysze pochylili się i złożyli broń na ziemi. Potem wszyscy stanęli, unosząc ręce nad głowę, zwracając je stroną wewnętrzną do palisady – wyraźny znak, że są nieuzbrojeni i przychodzą w pokojowych zamiarach.

– Chodźmy z nimi porozmawiać – powiedział Hal, wspinając się na kolejny szczebel drabiny.

Thorn położył mu rękę na ramieniu.

– Nie tak szybko. Stefan, biegnij po Lydię. Powiedz, żeby wzięła atlat i strzałki. Potem obudź resztę. Niech wezmą broń i też tu przyjdą.

– Chyba nie spodziewasz się kłopotów? – zapytał Hal. – Jest ich tylko trzech.

– Widać tylko trzech – zauważył Thorn.

Stefan pobiegł z powrotem do obozowiska. Najpierw podszedł do wydzielonej przesłoniętej części, w której rezydowała Lydia. Przez chwilę wszyscy słyszeli jego podekscytowany głos. Minutę później zza zasłony wyszła Lydia, z kołczanem w lewej dłoni, prędko zarzuciła na plecy skórzaną kubrak. Lekkim krokiem pobięła w stronę palisady.

– Co się dzieje? – spytała.

Hal ruchem głowy wskazał na trzy obce postaci.

– Przybyli miejscowi – odparł. – Chcę do nich wyjść i porozmawiać.

– Ja też idę – oznajmił Thorn. – Ty zostaniesz tutaj, na pierwszy sygnał, że mamy kłopoty,

wyceluj w tego pośrodku.

Lydia kiwnęła głową i wyciągnęła z kołczanu jedną z długich strzałek

– Ty ch dwóch pozostałych też mogę załatwić – powiedziała.

Thorn uśmiechnął się szeroko.

– Zostawię to twojej ocenie sytuacji – odparł. – Nie chcemy rozpętać jatki.

Tymczasem przybyli Stig i bliźniacy, a zaraz za nimi Stefan. Pozostali członkowie drużyny jeszcze walczyli ze snem. Hal pokrótce opowiedział Stigowi, co się dzieje i co zamierza. Stig zrobił krok w stronę drabiny.

– Idę z tobą – oznajmił, ale Hal potrząsnął głową.

– Zostaniesz i w razie kłopotów obejmiesz dowodzenie.

Stig miał przez chwilę buntowniczą minę, ale w końcu ustąpił. Rozumiał, że nie ma sensu, by trzej najstarsi rangą członkowie załogi jednocześnie narażali się na niebezpieczeństwo.

– Dobrze – powiedział. – Tylko nie rób nic głupiego.

Hal nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Jak na przykład: nie wychodź bez broni do trzech nieznanomych? Nie ma mowy.

– Jedna sprawa. Jak zamierzasz się z nimi porozumieć? Jakim posługują się językiem?

Hal wciągnął zewnątrz drabinę, przerzucił ją za palisadę i ustawił w odpowiedniej pozycji.

– Jakoś sobie poradzimy – odparł. – W razie potrzeby posłużymy się językiem gestów.

Thorn, wszedłszy za Halem na drabinę, pochwalił się:

– Doskonale sobie radzę w języku gestów. Potrafię przekazać zdania w rodzaju *Tylko spokojnie, bo przywalę*.

Stig dopiero teraz zauważył, że Thorn zamienił hak na bitewną maczugę. Thorn wydawał się nieuzbrojony, a tak naprawdę miał bardzo groźną broń przytroczoną do prawego ramienia.

Hal zszedł na sam dół, zaczął na Thorną, a gdy ten również znalazł się na dole, wyciągnął nóż z pochwy i wetknął go w piach. Thorn, po krótkiej chwili wahania, zrobił to samo.

– Czuję się teraz goły – mruknął półgębkiem, gdy ruszyli w stronę nieznanomych.

– Nie zostałeś całkiem bez broni – zauważył Hal. – Masz całkiem skuteczny kijek na końcu ręki.

W ciszy ich kroki skrzyślały na piasku. Obcy wciąż trzymali ręce wysoko uniesione nad głową, ale kiedy Hal i Thorn zatrzymali się w odległości kilku metrów, najstarszy mężczyzna wydał krótki rozkaz i wszyscy opuścili ramiona.

– Hal? – usłyszeli głos Lydi.

Hal, nie oglądając się, wiedział, że Lydia trzyma atlatl gotów do wypuszczenia strzałki, i że stoi na ostatnim szczeblu drabiny, by w razie czego błyskawicznie zareagować.

– Wszystko w porządku, Lydio – powiedział, nie odwracając spojrzenia utkwionego w stojącym pośrodku mężczyźnie.

Kiedy Lydia zawołała, ten na chwilę spojrzął w jej kierunku. W jego oczach pojawił się czujny błysk, ale zaraz znikł. Widocznie Lydia opuściła atlatl.

Hal przyglądał się uważnie całej trójce. Mieli ciemne oczy i wystające kości policzkowe, wydatne orle nosy i gładką skórę na twarzy, za to włosy długie, rozdzielone pośrodku głowy i splecione w zwisające po bokach warkocze. Ich ubrania były uszyte z wielkim kunsztem i starannością. Skóra robiła wrażenie miękkiej, elastycznej i doskonale wyprawionej. Długa tunika przywódcy była bogato zdobiona kolorowymi paciorkami i skomplikowanymi wzorami ułożonymi z długich szpil w kształcie piór. Miękkie wiązane na rzemienie buty sięgały do połowy łydki.

Nagle Hal uświadomił sobie, że obcy również przez cały czas mu się przyglądają. Zawahał się, nie bardzo wiedząc, jak rozpocząć rozmowę. W krajach leżących za Morzem Białych Szstormów, tam, gdzie ludzie nie znali takzwanego wspólnego języka, posługiwano się handlowym językiem znaków. Hal wątpił jednak, by tutaj mógł się on na coś przydać. Zdecydował się na najprostsze możliwe rozwiązanie.

Wskazał na siebie i powiedział:

– Hal. Jestem Hal.

Dostrzegł błysk zrozumienia w trzech parach ciemnych oczu. Zachęcony powodzeniem, obrócił się i położył dłoń na ramieniu towarzysza.

– Thorn. To jest Thorn.

Starszy mężczyzna kiwnął głową i powtórzył imiona.

– Hal... i Thorn – powiedział, wskazując po kolei.

Hal był zachwycony, że tak świetnie się dogadali. Również kiwnął głową z uśmiechem.

– Hal... Thorn. – Jeszcze raz wskazał na siebie i przyjaciela.

Thorn jednak zwrócił uwagę na drobny szczegół.

– On powiedział *i* – szepnął do Hala. Ten spojrzął na niego, trochę zdezorientowany. Thorn powtórzył: – Powiedział *i*. Ty nie powiedziałeś *i*. Skąd wiedział, że trzeba użyć *i*?

Hal z zaskoczeniem stwierdził, że Thorn ma rację. Obcy dodał *i*, i w dodatku użył łącznika w prawidłowy sposób. Może, pomyślał Hal, *i* to słowo uniwersalne. Ale jego zdumienie jeszcze wzrosło, gdy mężczyzna powiedział, bardzo powoli i wyraźnie, posługując się wspólnym językiem:

– Ja jestem Mohegas. Z plemienia Mawagansett. A to moi bratankowie.

ROZDZIAŁ 21



Hal aż się cofnął, słysząc, że mężczyzna mówi we wspólnym języku. Spojrzył na Thorn. Ten miał równie zdumioną minę. A potem znów na szpakowatego mężczyznę – Mohegasa, poprawił się w myślach.

– Posługujecie się wspólnym językiem? – Było to pytanie, a nie stwierdzenie. Mohegas uśmiechnął się bardzo lekko, ale zaraz spowaźniał.

– Niezbyt dobrze – odparł przeproszającym tonem. – Ale trochę.

– A jak..?

Mohegas przerwał mu:

– Mieszka z nami jeden z waszych ludzi. Białe Włosy, tak jak wy. – Dotknął własnych włosów. Nie licząc pasm siwizny, były kruczoczarne. Hal i Thorn mieli włosy bardzo jasne, podobnie jak reszta drużyny. Tylko Edvin nieco odbiegał od normy – jego czupryna była koloru jasnobrązowego. Hal pomyślał, że „Białe Włosy” to trafne określenie, biorąc pod uwagę kontrast z ciemnymi warłoczami tubylców.

Ale najważniejsze wrażenie robiła informacja, że wśród plemienia Mawagansett żyje człowiek zwany Białe Włosy, najprawdopodobniej Skandianin. Hal, marszcząc brwi, próbował dojść, kto to może być. Nie przypominał sobie, by ostatnimi czasy uznano kogoś za zaginionego. Mohegas zauważył jego minę i domyślił się, o co chodzi.

– Dołączył do nas dwanaście słonecznych cykli temu – powiedział i zaraz się poprawił: – Dwanaście lat temu, jak byście powiedzieli. Nauczył wspólnego języka wielu członków naszego plemienia, również dzieci.

To tłumaczyło, dlaczego Halowi nie przychodził do głowy nikt mu znany, kto mógłby być owym tajemniczym Skandianinem. Skoro ten człowiek przebywał tutaj już od dwunastu lat, kiedy zaginął, Hal był małym chłopcem.

Thorn za to mógł go doskonale pamiętać.

– Jak ma na imię? – spytał.

Mohegas przeniósł spojrzenie na starego wilka morskiego, spojrzął na twarde mięśnie, siewiące włosy i masywną maczugę-protezę na końcu prawego ramienia.

– Nazywamy go Polennis – odparł. – W waszym języku znaczy to „Ten, który Pływa”. Sam mówi o sobie... – urwał, próbując przypomnieć sobie skandyjskie imię, którego nie używali już od wielu lat. – Or-uik? Nie, Orvik.

Było to dość popularne imię i Thorn tylko wzruszył ramionami. Nie przypominał sobie żadnego Orvika, zaginionego dwanaście lat temu. Ale nie pamiętał wielu wydarzeń z tamtego okresu. Oglądał wówczas świat głównie znad brzegu naczynia z brandy. Spojrzął na Hala.

– Nic mi to nie mówi – stwierdził.

Hal kiwnął głową.

– Nawet nie wiadomo, czy pochodzi z Hallasholmu – zauważył. – Może być przecież z innego miejsca w Skandii.

– Najpierw sądziliśmy, że jesteście Ludźmi-Upiorami – podjął Mohegas – ale po dłuższej obserwacji doszliśmy do wniosku, że wasza skóra jest naturalnie biała. – Urwał, po czym dodał z wyraźną odrazą: – Upiory mają taką skórę jak wy, ale dlatego, że malują twarze na białą.

– Upiory – powtórzył Hal. – Domyślam się, że uczeni ludzie powinni ich unikać.

Mohegas ciągnął:

– Obserwowaliśmy was. Patrzyliśmy, jak polujecie. – Tu spojrzął na Thorna, który kiwnął głową.

– A my zauważyliśmy, że nas obserwujecie – powiedział. Mohegas znów się uśmiechnął.

– A potem widzieliśmy, jak niedźwiedź was goni, ciebie i dziewczynę. – Popatrzył na szczyt palisady. Hal pobiegł za jego wzrokiem. Lydia nadal stała na drabinie, z atlantem opartym na ugiętym kolanie, pozornie spokojna i rozluźniona, lecz tak naprawdę gotowa w każdej chwili wyrzucić strzałkę.

– Muszę przyznać, że nie był to mój najlepszy moment – powiedział Thorn.

– A wczoraj zaryzykowaliście życie, by uratować nasze dzieci – podjął Mohegas. – Mało brakowało, a niedźwiedź by was dopadł. – Mohegas spojrzął na Thorna, który dotknął obolałych żeber.

– Zgadza się – powiedział.

– A potem wszyscy połączyliście siły, by walczyć z bestią. Wy dwaj i ten wysoki. I dwóch jednakowych. I ten, który zawsze się skarży.

– Rzeczywiście nas obserwowali – mruknął Hal do Thorna.

– I w końcu zabiliście niedźwiedzia – zakończył Mohegas. W jego głosie pobrzmiwał ton zdumienia. – Jak tego dokonaliście?

Oczywiście, jeśli obserwatorzy przyglądali się obozowisku z miejsca w lesie, nie mogli wiedzieć ostatecznej rozprawy z niedźwiedziem.

– Mamy broń o potężnej sile rażenia – odparł. – Nazywamy ją Zadymiarzem, z niej ustrzeliliśmy niedźwiedzia.

Mohegas z powagą kiwnął głową.

– Musi być rzeczywiście mocna. Ten niedźwiedź terroryzował nasze plemię przez wiele lat. Nasza broń nie dawała mu rady. Zabił trzech wojowników.

– Cóż, cieszymy się, że mogliśmy pomóc – powiedział Thorn. – Nam też trochę przeszkadzał.

– I uratowaliście nasze dzieci. Mówiliśmy, że mają tu nie chodzić i was nie szpiegować. Że niedźwiedź krąży po okolicy. Ale to tylko dzieci, nie zawsze słuchają zakazów.

– Tak, dzieci już takie są – przyznał Hal tonem pełnym wyśzości.

Thorn popatrzył na niego z rozbawieniem. Zaledwie kilka lat temu Hal sam był dzieckiem, w dodatku nieustannie pakującym się w kłopoty.

– Jesteśmy wam za to bardzo wdzięczni. I za to, że uwolniliście nas od bestii. Ale przede wszystkim za uratowanie dzieci. To najważniejsze.

Hal lekko skłonił głowę.

– Jak już powiedzieliśmy, cieszymy się, że mogliśmy pomóc. – Poczł przyptył dumy, kiedy sobie przypomniał, jak cała załoga rzuciła się na pomoc dwójce dzieciaków kuczowo trzymających się gałęzi, pod którą szalał rozwścieczony niedźwiedź. Hal nie musiał wydawać żadnych rozkazów, wszyscy po prostu spontanicznie ruszyli na pomoc, nie bacząc na własne bezpieczeństwo.

– Chcemy ogłosić was przyjaciółmi plemienia Mawagansett. Przyszliśmy zaprosić was na ucztę. Dzieci, które uratowaliście, Minnela i Lahontas, pragną wyrazić wam wdzięczność. I przeprosić, że naraziły was na niebezpieczeństwo. Będą usługiwać wam podczas uroczystości.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział Hal, ale Mohegas odparł z powagą:

– Ależ owszem, jest. Tych dwoje sprzeciwiło się rodzicom. Dobrze im robi, jeśli przynajmniej w taki sposób naprawią swój czyn.

Thorn uśmiechnął się szeroko.

– Dobry pomysł – odparł. – Krnąbrne dzieciaki powinny ponieść karę.

– Nie są złe – powiedział Mohegas, pomyślawszy, że być może na podstawie jego słów odnieśli błędne wrażenie. – Po prostu uparte i ciekawskie.

– Też kiedyś znałem takiego chłopca – rzucił Thorn.

Hal uznał, że najwyższy czas zmienić temat.

– Z przyjemnością przyjmujemy zaproszenie na ucztę – powiedział, posyłając Thornowi ostrzegawcze spojrzenie. – Kiedy mamy przyjść?

– Dzisiaj wieczorem. Po zachodzie słońca. Przyjdę po was, gdy zapadnie zmrok i zaprowadzę do naszej wsi.

Hal kiwnął głową.

– Będziemy gotowi.

Mohegas z wahaniem powiódł wzrokiem od Hala do Thorn'a i z powrotem.

– Wybaczcie, że zapytam. Ale który z was jest przywódcą grupy?

– On – pospiesznie odparł Thorn, kładąc lewą rękę na ramieniu Hala. – Jest kapitanem naszej łodzi i przywódcą drużyny.

– Ale ty jesteś najstarszy? – zdziwił się Mohegas. W jego świecie autorytet wzrastał wraz z wiekiem.

Thorn uśmiechnął się.

– Ale nie najmądrzejszy – odparł. Nie miał problemu, by przyznać Hali wyższość w pewnych dziedzinach.

– Thorn za to dowodzi nami podczas bitew – wyjaśnił Hal. Mohegas kiwnął głową. Wśród ludu Mawagansett funkcje przywódcy podczas wojny oraz przywódcy plemienia często pełniły dwie osoby.

– Wyglądasz na wojownika – powiedział, zerkając na potężną maczugę. Zamilkł na chwilę i zamyślił się nad informacją na temat tajemniczych białych twarzy, którą przed chwilą usłyszał. Potem dał znak towarzyszom, którzy pochylili się i podnieśli z ziemi tarcze i włócznie.

– W porządku, Lydio – zawołał Hal, nie odwracając się. Wiedział, że w chwili, kiedy dotknęli broni, Lydia przygotowała się do strzału. Lekki uśmiech na twarzy Mohegasa potwierdził te przypuszczenia.

– Ona też jest wojownikiem.

Hal kiwnął głową.

– Należy do najlepszych w naszej grupie.

Mohegas uniósł rękę na pożegnanie.

– Wrócę po was tuż przed zachodem słońca – powiedział, a potem wydał rozkaz swoim ludziom i cała trójka odwróciła się i ruszyła w stronę lasu. Hal i Thorn odprowadzili wzrokiem nowych znajomych, zaczęli czekać, aż znikną w cieniach między drzewami. Potem wymienili pytające spojrzenia. Hal pomyślał, że to był dzień pełen niespodzianek.

– Wracajmy do obozu – powiedział Thorn. Ruszyli z powrotem. Zza palisady wystawał rząd zaciekawionych twarzy.

– Ale ja nie mam co na siebie włożyć! – wykrzyknęła Lydia, kiedy Hal oznajmił, że dostali zaproszenie na ucztę.

Z zaciekawieniem przekrzywił głowę.

– Żartujesz, prawda?

Pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Jasne. Słyszałam, że to takie dziewczęce wyrażenie, którym posługują się młode panienki przy podobnych okazjach.

Hal wysoko uniośł brwi.

– A więc niech mnie Loki strzeże przed dziewczęcymi panienkami.

– Nie musisz od razu wzywać imienia boga – wtrącił Stig. – Z tego, co zauważyłem, panienki, dziewczęce czy nie, raczej ci nie zagrażają. Większość z tych, które znam, zupełnie się tobą nie interesuje.

Oczywiście nie było to prawdą. W rzeczywistości Hal cieszył się sporą popularnością wśród młodych mieszkanek Hallasholmu. W końcu był odnośnym sukcesem i reprezentacyjnym skirlem, który mimo młodego wieku brał udział w wielu bitwach – i w dodatku je wygrywał – a także przywódcą drużyny, która odzyskała Andomal, święty skarb Skandian, z łap pirata Zavaca. Te wszystkie sukcesy zapewniały mu spory prestiż i czyniły atrakcyjnym w oczach młodych panien.

Nie potrafił zmienić tego nawet fakt, że to przez jego głupotę doszło do kradzieży bezcennego skarbu.

– Kto jest zaproszony? – spytał Edvin.

Hal i Thorn wymienili spojrzenia. Tej kwestii nie poruszyli w rozmowie z Mohegasem.

– Wydaje mi się, że wszyscy – odparł Hal, a Thorn zgodnie kiwnął głową.

Stig zmarszczył brwi.

– Może ktoś powinien zostać w obozie na straży?

Hal zawahał się. Sam się nad tym zastanawiał.

– Ale przed kim właściwie mamy się bronić?

Stig wzruszył ramionami.

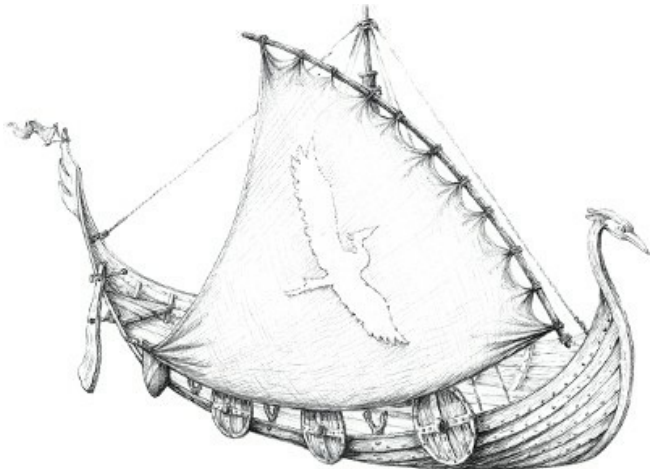
– A te Ludopiory, o których mówił Mohegas? Zdaje się, że to niezbyt przyjemni osobnicy.

– Ludzie-Upiory – poprawił go Hal. – Odniosłem wrażenie, że obecnie nikomu nie grożą. – Z namysłem zagryzł dolną wargę. – Uważam, że powinniśmy pójść wszyscy razem. Nasi nowi znajomi mogliby poczuć się urażeni, gdybyśmy zostawili kogoś do pilnowania obozu. W końcu nie ma tu nikogo prócz naszych gospodarzy, przed kim moglibyśmy się bronić.

– A jeśli zechcą nas ograbić, mogą nas po prostu zamordować podczas uczty – zauważył Ulf.

– Prawdziwie z ciebie słoneczko – stwierdził Hal.

CZĘŚĆ TRZECIA



PLEMIĘ MAWAGANSETTÓW

ROZDZIAŁ 22



Pozostała część dnia mijała powoli, godziny zdawały się ciągnąć w ślimaczym tempie. Wszyscy z podekscytowaniem czekali na spotkanie z lokalnymi mieszkańcami i bez końca dyskutowali, czego mogą się spodziewać, jacy są ci ludzie i jakie podadzą jedzenie.

– Oczy kozy – zawyrokował Jesper tonem znawcy. – Na pewno oczy kozy. To wielki delikates.

– Nie zjem niczego, co na mnie patrzy – zastrzegł Stig.

Ingvar popatrzył na Jespera, lekko marszcząc czoło i potrząsnął lekko głową, nie pojmując, jak można być tak głupim.

– Na jakiej podstawie tak twierdzisz? – zapytał. Jesper posłał mu pełne wyższości spojrzenie typowe dla kogoś, kto wie, że opowiada straszne farmazony, ale nie zamierza się do tego przyznać.

– To fakt znany powszechnie. Kozie oczy to przysmak wysoko ceniony wśród obcych ludów.

– A jakie to niby obce ludy kiedykolwiek częstowały cię kozimi oczami? – zapytał Ingvar. Jesper zawahał się. Nie przypuszczał, że dyskusja przybierze takie rozmiary, ale nie zamierzał ustąpić.

– Lud w Arydii – odparł. – Pamiętacie, jak podali kozie oczy na ucztę po bitwie pod Taborkiem?

– Pamiętam, że podali mieloną kozinę, sałatkę i podpłomyki – odparł Stefan. – Nie widziałem żadnych kozich oczu.

– Może i nie. Ale one widziały ciebie – odparł Jesper.

Ingvar wytoczył kolejny argument:

– Ci ludzie ani trochę nie przypominają Arydów.

– Też mają ciemne włosy.

– Owszem. Ale Arydowie są wysocy i smukli, a Mawagansettowie raczej krępi i muskularni.

Przy najmniej ci, których widzieliśmy.

– W takim razie nie jest wykluczone, że pozostali są wysocy i smukli jak Arydowie, prawda?

Ingvar z rezygnacją pokręcił głową.

– Czy ty potrafisz czasem przyznać, że się mylisz? – zapytał. Teraz Jesper pokręcił głową.

– Nigdy się nie mylę – odparł.

Ingvar zwrócił się do Hala, który rozmawiał z Thornem na temat wieczornego zaproszenia.

– Czy miałbyś coś przeciwko, gdybym wrzucił Jespera do morza?

Hal uniósł głowę i po namyśle odparł:

– Ależ proszę. W każdej chwili, Ingvarze. Ufam twojej ocenie sytuacji.

Ingvar z zadowoleniem kiwnął głową i ponownie spojrzął na Jespera. Zdołał odnaleźć patrzalki, które stracił podczas starcia z niedźwiedziem, ale teraz nie miał ich na sobie. Nie potrzebował ich, kiedy nie musiał patrzeć w dal. Jego niebieskie oczy zdawały się przewracać Jespera na wylot. Były złodziej widział w nich determinację i uświadomił sobie, że zaledwie sekundy dzieli go od niechcianej kąpieli z zimnej morskiej wodzie.

– Noooo... – zaczął – może jednak się pomyliłem co do tych kózich oczu.

Ingvar pokiwał głową.

– Może.

Stefan zachichotał. Ale Jesper nie zamierzał tak łatwo się poddać.

– Pewnie podadzą nam inną równie ciekawą potrawę. Zobaczysz. Na przykład słowicze języczki.

– Albo mrówki w miodzie – wtrącił Ulf.

Wulf spojrzął na brata.

– Ktoś słyszał o czymś takim jak mrówki w miodzie?

Ulf uśmiechnął się, zachwycony, że schwytał go w pułapkę.

– W domu mrówki zawsze wąż do miodu.

– Ale ich nie jem – zaprotestował Ulf.

– A mógłbyś. Tylko nie masz wystarczająco subtelnego podniebienia.

Thorn, siedzący opodal, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Miło słyszeć, że wszystko wraca do normy – powiedział.

Hal kiwnął głową. Przez ostatnie parę tygodni członkowie drużyny byli raczej w kiepskim nastroju. A teraz znów prowadzili idiotyczne dyskusje, Ulf i Wulf znów się przekomarzali, a Jesper opowiadał androny tonem osoby świecnie przekonanej o własnej racji. Hal pomyślał, że tę zmianę pewnie zawdzięczają spotkaniu z innymi ludźmi. Aż do dzisiejszego poranka odczuwali lęk i niepewność. Czy są sami? A jeśli mieszkają tu ludzie, czy potraktują ich przyjaźnie czy wrogo? Wizyta Mohegasa przywróciła spokój i poczucie normalności.

– Co robi Edvin? – zapytał Hal. – Nie musi przecież dzisiaj gotować.

Po odejściu Mawagansettów Lydia udała się na polowanie i wróciła z jednym z wielkich ptaków gulgul. Edvin oskubał go i oprawił, a Ulf i Wulf, którzy tego dnia mieli dyżur w kuchni, wykopali dołek i rozpalili w nim ogień, by powstał żar.

W tym czasie Edvin posiekał dużą cebulę i zioła zebrane w lesie i napchał nimi pusty ptasi brzuch. Następnie owinął gulgula korą i dokładnie posmarował grubą warstwą gliny. W końcu odgarnął węgle, by ułożyć go w zagłębieniu. Hal i Thorn podeszli bliżej, zaciekawieni. Edvin przysypał pieczeń węglami i spojrzął na Hala.

– Jakieś trzy godziny i będzie gotowy – oznajmił.

– Ale nie musisz przecież gotować. Tuby lcy zaprosili nas na ucztę – zauważył Hal.

Edvin potrząsnął głową.

– Nie idzie się na przyjęcie z pustymi rękami. Każdy to wie.

Hal spojrzął na Thorna.

– Wiedziałeś?

– Nie. Ale cóż, jestem zwykłym ignorantem.

– Może moglibyśmy zanieść trochę słodyczy? – zaproponował Hal. – Ptak gulgul wydaje mi się nieco ekstremalny.

– Jakie słodycze masz na myśli? – zapytał Edvin. – Może Wulfowe mrówki w miodzie?

– Hmm, nie – przyznał Hal. – Po prostu zabieranie ze sobą całej wielkiej pieczeni wydało mi się lekką przesadą.

– Moja mama zawsze tak robi, kiedy idzie do kogoś na przyjęcie – odparł Edvin i Hal musiał uznać swoją porażkę. W końcu matki są niezaprzeczalnym autorytetem w kwestii etykiety i właściwego zachowania.

W końcu dzień zaczął się chylić ku końcowi, cienie drzew wydłużyły się i pociemniały. Kiedy dosięgły linii wody, z lasu wynurzyli się Mohegas i jego towarzysze.

– No dobra – powiedział Hal – ruszamy.

Wszyscy przygotowali się do przyjęcia najlepiej, jak to było możliwe w tych warunkach. Nawet Thorn zgodził się umyć. Włożyli czyste koszule, starannie wyczyścili spodnie i kubarki i przywdziali czarne wełniane czapki z motywem czapli na przedzie – element najbliższy czemuś w rodzaju drużynowego uniformu. Hal uważał, że nadają im bardzo korzystny wygląd.

Cięższą broń zostawili w obozie, ale wszyscy mieli saksy przytroczone do pasa. Hal po namyśle uznał, że to zwyczajna rzecz i nie ma powodu z nich rezygnować, w końcu Mohegas i jego towarzysze również mieli przy sobie noże podczas porannej wizyty.

Kiedy Mohegas podszedł do ogrodzenia i uniósł prawą dłoń w pokojowym powitaniu, wspięli się po drabinie i zeszli na plażę. Na końcu rozległ się stukot ciężkich łap – Kluf również postanowiła im towarzyszyć.

Hal popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Czy to na pewno dobry pomysł?

Thorn wzruszył ramionami.

– Czemu nie? Należy do drużyny. I razem z nami walczyła z niedźwiedziem.

– O ile Mohegas nie ma na przykład laski o wielkiej wartości sentymentalnej – zauważył Hal.

W Hallasholmie Kluf wpakowała się w poważne kłopoty, pożarłszy bezcenną laskę należącą do oberjarla oraz jego topór – rodzinny skarb przekazywany z pokolenia na pokolenie. Hal pstryknął palcami i Kluf, która przyglądała mu się z zaniepokojeniem, jakby domyślała się, o czym mówią, podeszła do niego i grzecznie usiadła przy nodze.

– Widzisz? – powiedział Thorn z szerokim uśmiechem. – Muchy by nie skrzywdziła.

– Nie o muchy się martwię – odparł Hal.

Mohegas przyglądał się Kluf z zainteresowaniem.

– Duży pies – stwierdził.

Hal wzruszył ramionami.

– Ale jest bardzo łagodna. – Kluf, jakby wyczuła, że znów o niej mowa, uderzyła potężnym ogonem o piach i wywaliła jęzor w dziwnym grymasie, który sama zapewne uważała za rozbijający uśmiech.

– Słodka jak koteczek – dorzucił Thorn. Dość niefortunnie, ponieważ Kluf nie cierpiała kotów i na dźwięk znieawidzonego słowa wydała z siebie groźny głęboki pomruk.

– Nie gryzie – dodał Hal. – Chyba że jesteś niedźwiedziem.

Te słowa przypomniały Mohegasowi, że Kluf również brała udział w rozprawie z bestią.

– Walczyła u waszego boku – powiedział, a kiedy Hal kiwnął głową, podjął: – W takim razie jest również mile widziana w naszej wsi.

Kluf wyglądała na usatysfakcjonowaną. Podeszła do Mohegasa, machając ogonem. Dzielny człowiek nie ruszył się z miejsca, choć rozmiary Kluf, machającej ogonem czy nie, mogły mocno niepokoić. Kluf wsadziła wielki łeb pod jego prawą dłoń i podrzuciła ją kilka razy.

– Chce, żebyś ją pogłaskał – powiedział Hal.

Mohegas nieśmiało pogładził łeb Kluf, a ta przymknęła oczy z rozkoszy. Kiedy przestał, znów dźgnęła czołem jego dłoń, a gdy odpowiedział na grzeczne upomnienie, usiadła mu na stopach. Zrobił lekko zaskoczona minę.

– Tak też czasem robi – wyjaśnił Hal. – W ten sposób ma gwarancję, że sobie nie pójdiesz.

– Bardzo skuteczna taktyka – przyznał Mohegas. Pięćdziesiąt kilo żywej wagi na stopach rzeczywiście znacznie utrudniało ucieczkę, a może nawet całkiem ją uniemożliwiało.

Hal pstryknął palcami i wskazał na miejsce przy swojej nodze.

– Do mnie.

Kłuf niechętnie wstała i posłusznie podeszła do Hala. Na twarzy Mohegasa wyraźnie odmawiała się ulga. Wskazał na swoich towarzyszy.

– To moi bratanekowie. Tamorat i Hołas.

Młodszy mężczyźni skłonili głowy. Hal powtórzył ten gest. W Hallasholmie podszedłby do nowo poznanej osoby i stuknął się z nią przedramieniem, ale, jak zauważył, w tym kraju ludzie raczej witali się, unosząc prawą rękę skierowaną wewnętrzną stroną do przodu.

Potem przedstawił mężczyźni reszcie drużyny. Jego przypuszczenia okazały się słuszne – Mohegas pozdrowił każdego po kolei gestem uniesionej dłoni. Kiedy wszyscy się poznali, Mohegas wskazał linię drzew i wąską ścieżkę, którą przyszli do obozu.

– Ruszajmy – powiedział, ale Edvin wykrzyknął:

– Ptak! O mało byśmy o nim nie zapomnieli!

Pospiesznie wspiął się po drabinie, wołając Ulfa i Wulfa do pomocy. Podszedł do zagłębienia w ziemi, w którym piekł się ptak gulgul i rozgarnął żar, bliźniacy zaś przygotowali kawałek płótna i położyli na ziemi, a Edvin za pomocą rozszczerzonej gałęzi wytoczył ptaka. Glina stwardniała, zrobiła się niemal całkiem biała i parowała z powodu wysokiej temperatury. Edvin kiwnął głową z zadowoleniem.

– Zabierajcie pieczeń i idziemy – powiedział i ponownie zeszli po drabinie na plażę. Mohegas, Tamorat i Hołas popatrzyli z zainteresowaniem na pakunek w rękach bliźniaków. Przypominał ogromną grudę gliny.

– Co to jest? – zapytał Mohegas.

Edvin, nieco zdyszany z pośpiechu, machnął ręką w powietrzu, naśladując kształt przypominającego wachlarz ogona.

– To ptak gulgul.

Mohegas niepewnie przekrzywił głowę.

– Ptak gulgul? – powtórzył.

Edvin odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie dźwięk imitujący krzyk dziwnego ptaka.

– No wiesz: *gul gul gul!*

Hołas rozpoznał dźwięk i powiedział coś Mohegasowi do ucha. Wyraz zdumienia znikł z twarzy starszego mężczyzny.

– Ach, tak Nazywamy tego ptaka *comitarkinallita moricansett* – wyjaśnił.

– *Comitarkin-a* jak? – zapytał Edvin, marszcząc brwi i z wysiłkiem obracając na języku obce słowo.

– *Comitarkinallita moricansett* – powtórzył Mohegas. – To znaczy „wielki ptak o smakowitym mięsie”.

Edvin znów zmarszczył brwi i znów próbował powtórzyć, ale musiał się poddać.

– Chyba zostanę przy ptaku gulgul – stwierdził.

Mohegas uśmiechnął się.

– Mądry wybór – pochwalił. – Ale czemu go zabieracie? Mamy jedzenia pod dostatkiem.

Edvin przybrał uparty wyraz twarzy, więc Hal postanowił szybko interweniować.

– Jego mama tak go nauczyła. Twierdzi, że nie należy przychodzić w gości z pustymi rękami.

Mohegas powoli pokiwał głową i przez chwilę rozważał w myślach te słowa. W końcu uśmiechnął się do Edvina.

– Zawsze należy słuchać mamy – powiedział. – Słusznie, zabierzcie ze sobą ptaka gulgul.



ROZDZIAŁ 23



O tej porze las był ciemny i chłodny. Członkowie załogi szli gęsiego za trzema mężczyzami, wąską ścieżką między drzewami wydeptaną przez dziką zwierzynę i skręcającą raz po raz, by wyminąć większe pnie. Po jakichś pięciuset metrach ścieżka zmieniła się w szerszą drogę, na której mogło się zmieścić obok siebie dwóch-trzech ludzi. Droga wiodła prosto na północny zachód i najwyraźniej ludzie z plemienia Mawagansett często nią chadzali.

Teraz wszyscy szli w mniejszych i większych grupkach i rozglądali się z zaciękawieniem po nieznaną okolicę. Nie licząc Thorny i Lydii, do tej pory właściwie nikt nie zapuszczał się tak daleko. Z zafascynowaniem patrzyli na nowe egzotyczne gatunki drzew i krzewów, rosnące obok tych dobrze znanych jak sosna i świerk, które występowały również w Skandii.

Prawie nie rozmawiali. Panowało wśród nich lekkie napięcie, nikt nie miał ochoty na pogaduszkę. Raz Lydia wskazała na drzewo rosnące po lewej stronie – w korze widniały wyraźne głębokie nacięcia.

– Niedźwiedź – powiedziała cicho. Wszyscy spojrzeli na głębokie ślady pazurów znajdujące się na znacznej wysokości. Tak, to był bardzo duży niedźwiedź. Jesper wzdrygnął się na wspomnienie, jak w ogniu walki, niewiele myśląc, zaatakował bestię, drażniąc się z nią i ją prowokując, i jak potem ruszył biegiem po plaży. Po czasie uświadomił sobie, na jakie ryzyko się wystawił, stając między niedźwiedziem a dziobem łodzi. Znalazł się w pułapce. Pamiętał dźwięk towarzyszący wystrzeleniu bełtu z Zadymiarza i głuche uderzenie, kiedy bełt trafił w cel, a niedźwiedź mocno zatoczył się do tyłu.

Pomyślał, że na szczęście Hal potrafi celnie strzelać, ale w tamtym momencie, pod wpływem adrenaliny w ogóle się nie zastanawiał, co będzie, jeśli Hal spudłuje. Teraz na samą myśl poczuł, że krew krzepnie mu w żyłach. Zerknął na skirła, który siedł tuż za Mohegasem i wymruczał pod nosem słowa podziękowania.

– Co to było? – spytał Stefan, który siedł obok i myślał, że Jesper mówi do niego.

– Nic. Mam nadzieję, że przyjęcie będzie udane.

– W razie czego zawsze możemy zjeść gulgula – pocieszył go Stefan.

Lydia, idąca z przodu, wciągnęła powietrze w nozdrza. Las wypełnił się nowym i znajomym zapachem.

– Dym ogniska – powiedziała. Thorn i Stig również ponuowali. Rzeczywiście, oni też poczuli zapach ogniskopłonących we wsi Mawagansettów.

– Widocznie jesteśmy już blisko – stwierdził Stig.

Minęli ostry zakręt – i nagle ich oczom ukazały się zabudowania.

Stały na rozległej bezdrzewnej polanie ze wszystkich stron otoczonej drzewami, jakieś piętnaście-dwadzieścia sporych chat pokrytych skórami zwierząt bądź płatami kory. Zbudowano je na planie prostokąta i pokryto spiczastymi dachami z gałęzi sosny i ze skór. Widocznie skóry jelenie stanowiły najbardziej dostępny materiał budowlany w tej okolicy.

Każda z chat mierzyła jakieś osiem metrów na pięć i miała dwa metry wysokości, licząc do brzegu dachu, którego najwyższy punkt znajdował się trzy i pół metra nad ziemią. Nawet wysoki mężczyzna mógł więc stać w środku wyprostowany. Można było przypuszczać, że każda z chat służy jednej rodzinie. Wyglądały na stałe budowle. Widać Mawagansettowie nie należeli do nomadów. Nad niektórymi dachami unosił się dym, wydostający się ze środka przez otwór w tylnej części.

Chaty stały w równych rzędach, z jednej strony znajdował się otwarty teren, a na nim duże okrągłe palenisko wypełnione dymiącym żarem, nad którym piekło się mięso. Hal zauważył nadziane na różną jelenie udźce, kaczkę i tłuste króliki. Bezpośrednio na węglach piekły się owinięte w wilgotną korę i liście spore ryby, mniejsze zaś – pstrągi, jak przypuszczał – na świeżych zielonych kijach zatkniętych nad ogniem. W glinianych garnkach gotowały się warzywa.

Między ogniskiem a rzędami chat stali mieszkańcy, obserwując w milczeniu przybyszów wyłaniających się spod drzew. Hal ocenił na oko, że grupa liczy jakieś osiemdziesiąt-sto osób i składa się z mężczyzn i kobiet reprezentowanych mniej więcej po połowie oraz może trzydziściorga dzieci w różnym wieku.

Wszyscy mieli na sobie stroje podobne do tych, które nosili Mohegas, Tamorat i Hokas. Bluzy ze skóry jeleniej obszyte frędzlami i nogawice w przypadku mężczyzn bądź spódnice w przypadku kobiet. Niektórzy mieli też płaszcze z futra wilka czy skór mniejszych zwierząt, wyprawionych i zszytych razem. Okrycia te wyglądały na miękkie i wygodne.

Nad polaną wisiała pełna napięcia cisza. W końcu Mohegas wydał krótkie polecenie i wszyscy zaczęli śpiewać.

Była to pieśń na trzy głosy w języku Mawagansettów, więc Czaple nie mogły zrozumieć słów, ale melodia brzmiała ciepło i przyjaźnie. Lydia z trudem panowała nad uśmiechem, obserwując,

jak niektórzy chłopcy stojący w pierwszym rzędzie próbują naśladować głęboki baryton dorosłych mężczyzn, przyciskają podbródki do piersi i marszczą czoła z wysiłku, zmuszając młode piskliwe głosy do niższych tonów.

Mohegas obrócił się w stronę Czapli, które ustawiły się w pojedynczym rzędzie naprzeciwko gospodarzy.

– To pieśń powitalna – wyjaśnił. – Jej słowa mówią: przyjmijcie od nas ogień. Przyjmijcie nasze jedzenie. Przyjmijcie naszą miłość i podziękę.

– Jakładnie – powiedział miękko Thorn.

Lydia popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem. Nie podejrzewałaby go o zamiłowanie do poezji. Hal za to dobrze wiedział, że jego przyjaciel kryje w swej naturze sentymalny rys i pokiwał głową, słysząc ten komentarz.

Pieśń zakończyła się piękną przeciągniętą nutą. Kobiety i grupka młodszych dzieci dodały wysoki czwarty głos. Tony złączyły się w wieczornym powietrzu, tworząc harmonijną całość o naturalnym vibrato.

I nagle, chociaż nikt nie dał żadnego znaku, pieśń się urwała, dźwięk rozbrzmiewał echem już tylko w ich pamięci. Czaple spontanicznie zaczęły klaskać, a Hal wystąpił z szeregu, unosząc prawą dłoń w geście pozdrowienia.

– Dziękujemy wam – powiedział donośnym jasnym głosem. – Dziękujemy za piękne powitanie.

Na twarzach mieszkańców pojawił się uśmiech. A potem dorośli lekko wypchnęli z szeregu dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, ściskających w dłoniach bukieciki żółtych i niebieskich kwiatów. Dzieci zbliżyły się niepewnie do grupy obcych, szukając wśród nich wzrokiem tego konkretnego.

Jesper, który spodziewał się, że honory odbiorą Hal czy Thorn, bardzo się zdziwił, kiedy dzieci wyminęły ich, zatrzymały się przed nim i podały mu kwiaty.

– Dla mnie? – zapytał z niepomiernym zaskoczeniem w głosie.

Dzieci piśnęły chórem:

– Tak Dla tego, który jako pierwszy stanął do walki z niedźwiedziem. Przyjmij nasze podziękowanie. Zawdzięczamy ci życie. Będziesz znany wśród naszego ludu jako Hawasansat, Pierwszy, Który Walczy z Niedźwiedziem.

Jesper domyślił się, że są to dzieci, które siedziały na drzewie, kiedy przypuścił atak na niedźwiedzia. Szczerze mówiąc, w pierwszej chwili ich nie rozpoznał. Wszystko działo się bardzo szybko, nawet nie zdążył im się przyjrzeć. Z zakłopotaniem przyjął kwiaty.

– Cóż, dziękuję – powiedział niepewnie. Był całkowicie nieprzygotowany na takie honory, w dodatku nie znał miejscowych obyczajów i etykiety.

Przycisnął kwiaty do piersi i pomyślał, że może należałoby się uklonić. I tak zrobił. Chyba trafił, bo zebrani wydalili chóralny okrzyk uznania.

Jak na dany sygnał, Mawagansettowie, dotąd stojący w równych rzędach, otoczyli nowo przybyłych, zaczęli poklepywać ich po plecach, witać uśmiechami, a – w przypadku kobiet – nawet obejmować.

Jedna dość atrakcyjna dama upatrzyła sobie Thornę, ścisnęła w gorących objęciach i ani myślała puścić. Stary wilk morski, sądząc po minie, całkiem dobrze się przy tym bawił. Hal, widząc, jak chętnie odwzajemnił uścisk, uznał, że nawet trochę za dobrze. Odkasznął znacząco, a kiedy Thorn na niego spojrział, powiedział:

– Pamiętaj o mojej mamie.

Thorn zrobił głupią minę i wyplątał się z gorących ramion.

– A... tak Słusznie – przyznał, po czym uśmiechnął się do kobiety i poklepał jej dłoń. – Bardzo miło z twojej strony, moja droga. Bardzo miło. Ale jestem jakby zajęty, rozumiesz.

Najwyraźniej nie rozumiała, bo ponownie rzuciła mu się na szyję. Thorn bezradnie popatrzył na Hala ponad jej głową, mówiąc bezgłośnie: *I co ja mam zrobić?*

– Nie baw się zbyt dobrze – ostrzegł skłrł. W tym samym momencie miejscowa kobieta, młoda i zbudowana jak posąg, rzuciła się na niego i przyciągnęła do siebie z siłą, która zapała mu dech w piersiach i niemal zwała z nóg.

Próbował uwolnić się z uścisku, ale im bardziej próbował, tym mocniej go przytulała. W końcu pochyliła się – jako że była wyższa o głowę – i wycisnęła głośny całus na jego policzku.

– Dziękuję – wydyszał, z trudem łapiąc powietrze. Wreszcie Mohegas, na próżno usiłując ukryć uśmiech, powiedział coś do kobiety, która szybko i gwałtownie puściła Hala, aż zatoczył się kilka kroków do tyłu.

– To ciotka dzieci, które uratowaliście – wyjaśnił Mohegas. Hal kiwnął głową.

– Cóż... dziękuję. Z radością przyszedłszy im na pomoc. Wyglądają na... miłe dzieci – wymamrotał, przyglądając jej się czujnie, bo miała taką minę, jakby zamierzała znów przypuścić na niego atak z uścisków i całusów. Uśmiechnęła się promiennie, po czym, widąc uświadomiwszy sobie młody wiek skłrła i rozumiejąc jego zażenowanie, odeszła na bok. Ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Powiedziała coś w miejscowym języku do innej kobiety i obie wybuchnęły śmiechem.

– Co ona powiedziała? – spytał Hal Mohegasa. Czuł na policzkach palący rumieniec.

Mohegas potrzasnął głową z uśmiechem.

– Chyba lepiej, żebyś nie wiedział. – I tyle musiało Halowi wystarczyć.

Rozejrzał się dokoła. Wciąż trwały powitania i podziękowania. Największa grupa otaczała Jespera. Każdy chciał uścisnąć mu rękę, poklepać po plecach czy ramieniu. Bez wątplenia był

największym bohaterem wieczoru. Ha! pamiętając jego wyczyny, musiał przyznać, że Jesper zasłużył na te honory.

Nagle przez wrzawę przebił się donośny głos. Jego właściciel nie przemówił we wspólnym języku. Mówił po skandynawsku, z akcentem świadczącym o tym, że jest to jego język ojczysty.

– Thorn! Thorn Jednoręki! Na Słodkiego Morsa ze Skod! To naprawdę ty?



ROZDZIAŁ 24



Mawagansettowie rozstąpili się, by przepuścić Skan dianina, który już wyciągał prawą dłoń w geście pozdrowienia.

Nie licząc młodej damy, która z takim entuzjazmem powitała Hala, miejscowi byli dość niscy i krępej budowy. Ten mężczyzna górował nad większością z nich co najmniej o głowę. Miał na sobie taki sam strój jak pozostali, złożony ze skórzanej tuniki i nogawic, czesał się też tak samo, w warkocz po bokach głowy.

Tyle że Mawagansettowie mieli włosy kruczoczarne, a on jasne, przetykane siwizną, skóra, chociaż ogorzała i nosząca ślady lat spędzonych na słońcu i wietrze, była znacznie jaśniejsza, a oczy niesamowicie niebieskie.

Na jego twarzy widniał uśmiech zaskoczenia i radości. Podszedł do Thorn, chwycił jego prawą rękę, zorientował się, że w miejscu dłoni znajduje się drewniany hak, niezgrabnie chwycił lewą, w połowie przedramienia, i potrząsnął nią energicznie.

– Thorn Jednoręki! – powtórzył. – Nie sądziłem, że cię tu spotkam. – Urwał i po namyśle dodał: – Właściwie nie sądziłem, że żyjesz! Ostatnim razem, kiedy cię widziałem, konsekwentnie usiłowałeś zapisać się na śmierć.

– Cóż, jak widzisz, przestałem – odparł Thorn. Nie poczuł się urażony słowami mężczyzny. Rzeczywiście w pewnym okresie życia robił wszystko, by tak właśnie się stało. Bacznie przyglądał się pomarszczonej twarzy, ale wciąż nie potrafił skojarzyć, kim jest ten mężczyzna. – A więc ty jesteś Orvik? – powiedział, przypominając sobie imię, które wymienił Mohegas.

Orvik uśmiechnął się promiennie.

– Od wielu lat nikt się tak do mnie nie zwracał – powiedział. – Ale jak się tu dostaliście? Przyplynieście po mnie ze Skandii? I kim są ci chłopcy? – zapytał, spoglądając z zaciękawieniem na młode twarze towarzyszy Thorn, którzy przybiegli obejrzeć tajemniczego Skandianina.

Thorn uniósł lewą rękę, by powstrzymać lawinę pytań.

– Chwileczkę! Masz nade mną przewagę. Widzę, że mnie znasz, ale ja sobie ciebie nie przypominam, choć twoja twarz wydaje mi się znajoma. – Zmarszczył brwi, próbując wyobrazić sobie tę twarz dwanaście lat młodszą, bez tylu zmarszczek i siwizny w jasnych włosach.

– Nazywano mnie wówczas Łapacz Węgorzy – powiedział mężczyzna. – Orvik Ła...

Thorn, któremu nagle wróciła pamięć, dokończył:

– ...pacz! Orvik Łapacz Węgorzy!

Na twarzy mężczyzny pojawił się szeroki uśmiech.

– Zgadza się! – powiedział, zachwycony, że Thorn go rozpoznał. No, ściśle rzecz biorąc, wreszcie sobie przypomniał.

– Byłeś w drużynie Arnulfa Pogromcy Rekinów – powiedział Thorn, w miarę jak kolejne szczegóły stopniowo powracały w mglistej pamięci.

Orvik z zapalem pokiwał głową.

– Zgadza się. Trzecie wiosło na „Wilczej Łapie”.

– „Wilcza Łapa” – powtórzył Thorn z namysłem, ściągając brwi i próbując przywołać wydarzenia z przeszłości. – Któregoś lata wypłynęła na wyprawę i nie wróciła. Uznaliśmy, że zaginęła na morzu. – Popatrzył po zgromadzonych dookoła postaciach, szukając innych znajomych twarzy. – Czy ktoś jeszcze się uratował?

Orvik posmutniał i potrząsnął głową.

– Tylko ja – odparł. Thorn pożałował spontanicznej reakcji. Oczywiście, przecież Mohegas wspominał o tylko jednym Skandianie.

– Co się stało? – spytał Hal, widząc Thorną.

Orvik spojrział na niego z zacięciem, omiótł wzrokiem młodą twarz i błyszczące inteligentne oczy. Potem przeniósł wzrok na Thorną.

– Kto to? – zapytał.

Hal uśmiechnął się pod nosem. Skandianie raczej nie słynęli ze sztuki uprzejmej konwersacji. Przeważnie od razu przechodzili do rzeczy. Widać Orviknie zmienił się pod tym względem mimo wielu lat spędzonych wśród Mawagansettów.

Thorn, który wiele razy odpowiadał na to pytanie, położył dłoń na ramieniu Hala w geście szacunku i sympatii.

– To Hal Mikkelson. Pamiętasz Mikkeła, prawda?

– Jasne! – odparł Orvik bez namysłu. Mikkel był jednym z najprzedniejszych wojowników skandyjskich. Zginął podczas tej samej wyprawy, w której Thorn stracił rękę. Orvik jeszcze raz przyjrzał się Halowi. Mikkel był potężnym mężczyzną, a Hal – raczej drobnej budowy, niższy i szczuplejszy niż przeciętny Skandianin. – Nie za duży, co?

Hal pokręcił głową. Znów ten sławetny skandyjski takt.

Thorn groźnie skrzyżował ramiona.

– Akurat – odparł. – To nasz skirl. – W jego głosie pobrzmiwała ostrzegawcza nuta, lecz Orvik widać jej nie usłyszał.

– Dopiero co wyrósł z krótkich majtek – zawyrokaował, marszcząc brwi.

W tym momencie Stig utorował sobie drogę w tłumie i podszedł do niego, bardzo blisko, trochę bliżej, niż nakazuje uprzejmość. Orvik był wysoki, ale Stig jeszcze wyższy – i szerszy w ramionach.

– Ja za to już dawno wyrosłem z krótkich majtek – powiedział groźnie – i z radością spełniam wszystkie polecenia Hala. Jest doskonałym sternikiem i nawigatorem. I wybitnym budowniczym okrętów. Sam skonstruował naszą łódź.

Orvik stwierdził poniewczasie, że chyba przekroczył pewną granicę w swoich komentarzach na temat Hala. Wysoki młodzieniec był chyba w tym samym wieku, ale znacznie wyższy i barczysty, posiadał naturalny wdzięk atlety, która pozwalała przypuszczać, że nie jest łatwym przeciwnikiem.

Orvik zauważył również, że pozostali członkowie drużyny podeszli bliżej i ustawili się w półkolu tuż za plecami Stiga. A miny mieli bardzo niezadowolone.

– Spokojnie – powiedział cicho Hal i wszyscy nieco się rozluźnili. Wszyscy za wyjątkiem Stiga, który wciąż stał wściekły i najeżony z powodu afrontu, który spotkał jego skirla i przyjaciele.

Orvik uniósł dłoń w przeproszającym geście.

– Bez obrazy – powiedział. Po czym, próbując zmienić temat, zapytał: – Co się stało z waszą łodzią?

Skierował to pytanie do Thornia, ten jednak oddał głos Halowi.

– Nic się nie stało – odparł skirl. – Stoi schowana u ujścia rzeczki na południowym krańcu plaży. Kiedy odbiliśmy od brzegów Hibernii, złapał nas sztorm i zepchnął z kursu daleko na zachód. Kiedy dotarliśmy tutaj, akurat skończyła nam się woda. Przybiliśmy do brzegu w zatoce – wskazał za siebie – i rozłożyliśmy obóz. Ukryliśmy łódź do czasu, aż nawiążemy kontakty z tubylcami.

Oczy Orvika zapłonęły nadzieją.

– A więc jest sprawna? Któregoś dnia zamierzacie wrócić do domu?

– Któregoś dnia, tak – odparł cicho Hal. – Jak tylko ten wiatr z północnego wschodu wreszcie zmieni kierunek. Bo na razie nie pozwala nam na podróż powrotną do Skandii.

Orvik kiwał głową. Owszem, też zdawał sobie z tego sprawę. A dwanaście lat spędzonych na tej ziemi wiele go nauczyło o tutejszych warunkach pogodowych.

– Zmieni się w ciągu pięciu-sześciu tygodni – powiedział. – Zawsze się zmienia o tej porze

roku. Będzie wiał z południowego zachodu.

Wśród Czapli przeszedł pomruk zainteresowania.

– Idealnie na podróż do domu! – stwierdził Stig.

Hal z namysłem kiwnął głową. Tak, wiatr z południowego zachodu byłby idealny. Poczł ogromną ulgę. W końcu będą mogli wyruszyć w podróż powrotną.

Thorn wrócił do pytania, które zadał Hal.

– A więc co się stało z „Wilczą Łapą” i resztą twojej drużyny? – zapytał. Twarz Orvika ponownie zasnuł smutny cień.

– Wyprawiliśmy się do zachodniej Hibernii – zaczęł.

Thorn kiwnął głową. „Wilcza Łapa” wypłynęła na wyprawę łupieżczą, zanim Erak zakazał tego rodzaju rozrywek. Zachodnie wybrzeża Hibernii stanowiły ulubiony cel wilczych okrętów – mimo że pogoda bywała tam nieprzewidywalna, jak zresztą Czaple przekonały się na własnej skórze.

– Problem polegał na tym, że szło nam stanowczo za dobrze. Mnóstwo łupów i złota. Hibernijczycy nie spodziewali się napadu o tak późnej porze roku. Stanowczo nadużyliśmy gościnności. Kiedy wreszcie zebraliśmy się do powrotu, pogoda się zmieniła i uderzył w nas gigantyczny sztorm z północnego wschodu.

Czaple wymieniły spojrzenia. Brzmiało znajomo – jak to, co sami przeżyli kilka tygodni temu.

– Nigdy w życiu nie widziałem takich fal i takiego wiatru – podjął Orvik – W ciągu kilku minut zerwało żagiel, został goły maszt, ale dalej spychało nas na południowy zachód.

Thorn wtrącił:

– Dobrze wiemy, o czym mówisz. W nas też uderzył podobny sztorm.

Orvik spojrział na niego i kiwnął głową.

– Wyrzuciliśmy kotwicę pływającą, ale po godzinie czy dwóch zerwała się lina. Znosiło nas coraz dalej i dalej na Ocean Nieskończony. Niektórzy zaczęli panikować, że płyniemy prosto na skraj świata i zaraz spadniemy na grzbiet wielkiego żółwia. I będzie po nas.

Urwał i zamyślił się, wspominając tamte przerażające chwile. Jego oczy przybrały nieobecny wyraz.

– W końcu dojrzeliliśmy ląd, kilka kilometrów na północ stąd. Już sądziliśmy, że jesteśmy uratowani, ale po chwili okazało się, że są tam tylko skały i podstępne lawice. Wiatr spychał nas prosto na nie. Próbowaliśmy wiosłować, ale wiatr i fale były zbyt silne, nie mogliśmy nic zrobić. Po prostu dryfowaliśmy prosto do brzegu, prosto na te skały, które zdawały się na nas czekać. I w końcu rozbiliśmy się u podnóża klifu. Zginęła połowa załogi. Porwał ich bardzo silny prąd powrotny, zabrał prosto na pełne morze. Reszta jakoś zdołała wydostać się na brzeg. Pogromca Rekinów poprowadził nas dołem, wzdłuż klifu, tuż nad linią wody, aż znaleźliśmy wąską ścieżkę

wiodącą na szczyt.

– Mielicie szczęście – wyrwało się Halowi. Orvik zwrócił na niego swe przenikliwe niebieskie oczy i po chwili powiedział:

– Można by tak pomyśleć. Owszem, w tym momencie mieliśmy szczęście. Ale kiedy dotarliśmy na górę, oni już na nas czekali. – Głos Orvika brzmiał ponuro.

Thorn zadał nasuwające się pytanie:

– Oni? Jacy „oni”?

– *Insinnis skassak* – odparł Orvik – Tak się nazywają. A znaczy to Ludzie-Upiory.

Czaple znów wymieniły spojrzenia. Już drugi raz słyszały tę nazwę.

Orvik podjął:

– To plemię żyjące na północ stąd. Dzikie, wojownicze i bezwzględne. Kto nie jest jednym z nich, jest ich wrogiem. Nas też tak potraktowali. Zabijają bez litości. Byli w pełni uzbrojeni, mieli maczugi, dzidy i łuki. A my tylko noże, nic poza tym, w dodatku było ich dwa razy więcej. Kiedy Pogromca Rekinów wyprowadził nas na szczyt klifu, wypadli spomiędzy drzew i zaczęli rąbać i walić. Oczywiście byliśmy wyczerpani, nie mieliśmy siły stanąć do walki. Patrzyłem, jak moi towarzysze giną jeden po drugim. W końcu uciekłem. – Urwał, spuszczać wzrok na wspomnienie haniebnej chwili. – Zostawiłem ich na pewną śmierć – powiedział bardzo cicho.

Stig położył dłoń na jego ramieniu.

– Nie miało sensu składać się w ofierze.

Orvik uniósł wzrok. W oczach młodzieńca zobaczył tylko współczucie.

– Tak próbuję sobie powtarzać od tamtej pory. Tak czy inaczej, zwiąłem. Jeden mnie zauważył, ruszyli za mną jak ogary z piekła rodem, wrzeszcząc jak opętani z żądzy krwi. Skierowałem się w głąb łądu, zbiegłem w dół klifu co sił w nogach. – Pozwolił sobie na słaby uśmiech. – Zawsze umiałem szybko biegać.

– A więc zdołałeś im uciec? – zapytał Hal. Orvik potrząsnął głową.

– Mało brakowało, a by mnie dopadli. Byli tuż, tuż, kiedy dotarłem do wysokiego występu skalnego. Przede mną otwierała się przepaść, w dole płynęła rzeka. Już mnie doganiali. Zawahałem się, dosłownie na sekundę. A potem skoczyłem, w nadziei, że wyląduję w rzece. – Znów urwał i podjął po chwili: – Czy ktoś z was skakał kiedyś do wody z bardzo dużej wysokości? – zapytał. Wszyscy pokręcili głowami. – Myślałem, że woda będzie moim ratunkiem. A o mało nie połamałem nóg. Jakbym spadł na twardą skałę. Zanurzyłem się głęboko, zaparło mi dech w piersiach. Trwało chyba całą wieczność, nim znów się wynurzyłem. Przez cały czas krztusiłem się i łykałem wodę. Prąd porwał mnie jakieś dziesięć metrów dalej od miejsca, w którym skoczyłem. Taplałem się bezradnie jak zdychająca ryba, młóciłem wodę ramionami. Słyszałem, jak Upiory krzyczą i przeklinają na szczy cie skały. Żaden nie zaryzykował skoku. Oczywiście nie

miało to większego znaczenia. Wiedziałem, że jeszcze chwila i utonę. Ale nagle na coś natrafiłem ręką. To był pień drzewa niesiony nurtem. Wciągnąłem się na niego i straciłem przytomność. Gałęzie zaczepiły się o kaftan i tylko dlatego nie spadłem. Dławiłem tak przez kilka dni, na pół przytomny i na pół utopiony. W końcu dotarłem do zatoki. – Wskazał w kierunku obozowiska. – Wyrzuciło mnie na plażę i tak znaleźli mnie Mawagansettowie, bardziej martwego niż żywego, z płucami i żołądkiem pełnym morskiej wody. Przynieśli mnie tutaj, wypompowali wodę i owinęli w koce i futra, by przywrócić krążenie. Leżałem nieprzytomny przez trzy doby. Od czasu do czasu budziłem się, a wtedy karmili mnie gorącym bulionem. A znachor recytował nade mną zaklęcia i palił orle pióra i dziwne przyprawy w chacie, w której mnie położyli. Nie wiem, na ile podziałały, ale w końcu na dobre się ocknałem i zacząłem odzyskiwać siły. Nazwali mnie Polennis, co znaczy...

– Ten, Który Pływa – dokończył za niego Thorn.

Orvik kiwnął głową.

– No tak, Mohegas wam powiedział. Tak mnie znaleźli, wyrzuconego na brzeg jak fragment wraku. – Powiódł wzrokiem po kręgu śniadych twarzy. Mawagansettowie siedzieli w milczeniu, cierpliwie czekając, aż opowie Slandianom swoją historię. – To dobrzy ludzie – dodał. – Pomocni i wspaniałomyślni. Mieszkałam wśród nich już od dwunastu słonecznych cykli, to znaczy, lat – poprawił się i uśmiechnął. – I przez cały ten czas nie miałem szans na powrót do domu. Aż do tej chwili.



ROZDZIAŁ 25



Na sygnał dany przez Mohegasa ruszyli w stronę paleniska i kręgu biesiadnego.

Dzieciaki biegały dookoła Skandian, przyglądając się im z nieskrywaną ciekawością. Mohegas i kilku innych dorosłych upominali ich, ale niezbyt surowo. Za każdym razem dzieci cofały się, ale po chwili znów podbiegały do przybyszy z obcych stron. Szczególnie hak Thorn'a budził duże zainteresowanie. Któryś odważny chłopiec wyciągnął rękę, by go dotknąć, a Thorn zamierzył się na niego z groźną miną, kłapiąc hakiem jak stuknięty homar. Chłopiec cofnął się, podobnie jak reszta dzieci. Ale kiedy Thorn wybuchnął śmiechem i wyciągnął ramię, by mogli dokładnie obejrzeć protezę, nieśmiało wrócili.

Wielkie zainteresowanie budził również Ingvar. Wysoki i potężnie zbudowany, królował nad pozostałymi członkami grupy. A w porównaniu z Mawagansettami wydawał się olbrzymem. Szczególnie fascynujące były patrzaki na jego nosie. Zdjął je, w nadziei, że dzieci stracą zainteresowanie, ale widok przenikliwie niebieskich oczu wywołał kolejne komentarze – owszem, wszyscy Skandianie mieli oczy tego koloru, ale nie tak intensywne. Dzieci mówiły jednak w miejscowym języku, więc Ingvar nie miał pojęcia, co o nim sądzą.

Stefan, obdarzony niezwykłym talentem do naśladowania głosów i innych dźwięków, również robił furorę wśród najmłodszych Mawagansettów. W pewnym momencie zatrzymał się, rozrzucił szeroko ramiona i powiedział, idealnie oddając poważny ton Mohegasa:

– Jestem Mohegas, potężny król plemienia Mawagansettów!

Dzieci zrobiły krok w tył i nerwowo spojrzały na Mohegasa, który odwrócił się na dźwięk własnego głosu. Ale kiedy na jego zwykle poważnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, dzieciaki odetchnęły i same zaczęły się śmiać.

Nim śmiech umilkł, Stefan popisał się idealną imitacją krzyku wielkiego ptaka zamieszkującego okoliczne lasy.

– *Gul gul gull!* – zawołał i zachwycone dzieci znów zaczęły się śmiać. Hal pomyślał

z uznaniem, że imitacja była niezwykle udana.

Lydia widocznie się z nim zgadzała, bo rzuciła sucho:

– Zrób tak jeszcze raz, to cię upoluję.

Stefan uznał, że czas na kolejny punkt programu. Tym razem zaryczał jak wściekły niedźwiedź. Piszcząc z przerażenia, dzieciaki rozbiegły się na wszystkie strony, zatrzymały w odległości jakichś pięciu metrów i bacznie spjrzały na Stefana, badając, czy aby nie zmienił się nagle w dziką bestię. Stefan uśmiechnął się i zaskomlał jak pies proszący o wybaczenie, a młodzi Mawagansettowie znów zaczęli chichotać i oblegli go ciasnym kręgiem, prosząc o kolejną porcję rozrywki.

Stefan jednak, jako wytrawny artysta sceniczny, wiedział, że najważniejszy sekret sukcesu w tej dziedzinie to zostawić publiczność w niedosyć. Z zalem potrząsnął głową i poklepał się po brzuchu.

– Jestem głodny – oznajmił. – Najpierw muszę coś zjeść.

Kiedy Stefan wspomniał o jedzeniu, Hal uświadomił sobie, że również jest bardzo głodny i nagle wyraźnie poczuł apetyczne zapachy pieczonego mięsiwa. Mawagansettowie zaprosili wszystkich do zajęcia miejsc wokół ogniska. Hal usiadł na złożonym pledzie, po prawicy Mohegasa, Thorn z drugiej strony, a obok Orvik, w razie gdyby musiał tłumaczyć – choć do tej pory nie było takiej konieczności. Pozostałe Czaple zajęły miejsca na prawo od Hala, mieszając się z członkami plemienia. Hal pomyślał, że sądząc po przetykanych siwizną czuprynach, ci siedzący najbliżej zapewne należą do starszyzny.

Na widok siedzących obok siebie bliźniaków dzieci zareagowały chichotem.

– Z czego się śmiejecie? – zapytał Ulf.

– Pewnie nigdy nie widzieli bliźniąt – rzucił Wulf.

Ulf kiwnął głową.

– Tak. Możliwe. Na pewno sądzą, że jesteśmy bogami czy czymś w tym rodzaju – stwierdził tonem pełnym wyśzości.

Wulf skrzywił się. Żałował, że sam na to nie wpadł. Ale próbował odzyskać przewagę, po raz kolejny stwierdzając w znanym sobie stylu tak zwany fakt:

– Zapewne. To powszechnie znany fakt, że obce ludy nie znają zjawiska bliźniąt – oznajmił z przekonaniem, na jakie stać tylko wybitnych łgarzy.

W tym momencie ktoś kępnął go w bark. Odwrócił się i szczęka mu opadła. Stała tam niezwykle piękna dziewczyna w wieku około osiemnastu lat, z naczyniem pełnym kawałków mięsiwa. Obok niej stała identyczna dziewczyna i wyciągała takie samo naczynie w stronę Ulfa.

– Jestem Millika – powiedziała pierwsza z ujmującym uśmiechem. – Polecono mi usługiwać ci podczas uczty.

– A ja jestem Pillika – powiedziała jej siostra bliźniaczka. – Polecono mi usługiwać twemu bratu.

– Jakie to niezwykłe – rzekł Ulf do Wulfa. – Millika i Pillika. Niemal identyczne imiona. Czegoś takiego często się nie spotyka.

– A Ulf i Wulf? – wtrąciła Lydia, siedząca opodal. Bliźniacy spojrzeli na nią, marszcząc brwi.

– Co masz na myśli? Nasze imiona brzmią zupełnie inaczej – odparł Ulf.

– Właśnie – poparł brata Wulf. – W jego imieniu nie ma „W”.

Lydia z rezygnacją pokręciła głową.

– Wyrażenie „głupi jak but z lewej nogi” w waszym przypadku nabiera całkiem nowego znaczenia.

Ulf i Wulf wzruszyli ramionami, po czym odwrócili się z powrotem w stronę Milliki i Pilliki i sięgnęli po ofiarowane im talerze. Znaczące, że na początek obaj wybrali identyczny kawałek pieczenia jeleniej.

Każdemu z członków załogi usługiwał tubylec. Kilkoro dzieciaków mało się nie pobilo, komu przypadnie zaszczyt służenia Ingvarowi. W końcu Mohegas musiał interweniować i wyznaczyć dyżury.

Lydia z przyjemnością skonstatowała, że dostał jej się roślę młodzieniec. Hal poczuł lekkie ukłucie zazdrości, gdy powitała go olśniewającym uśmiechem. Ale zaraz upomniał się w myślach. Czemu jestem o nią zazdrosny?, zapytał się w myślach. Należy my do jednej załogi, jesteśmy przyjaciółmi, walczymy razem w bitwach. Nic więcej. Ale nie potrafił pozbyć się poirytowania, patrząc, jak niewątpliwie urodziwy Mawagansett jej nadskakuje.

Nagle zobaczył przed sobą naczynie pełne smaczkowych przekąsek a kiedy się odwrócił, nieco zaskoczony, ujrzał tę uśmiechniętą młodą kobietę, która zgotowała mu tak entuzjastyczne powitanie. Odruchowo lekko się cofnął, ze strachu, że znów będzie próbowała zniaździć mu zębra. Z wahaniem wziął w palce kawałek pieczenia.

– Emm, dziękuję – mruknął.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Mam na imię Sagana – powiedziała. – Kiedy was zobaczyliśmy, myśleliśmy, że jesteście Upiorami. Cieszę się, że to nieprawda. – Znów się uśmiechnęła i odeszła na bok.

Hal zmarszczył czoło. Już trzeci czy czwarty raz ktoś wspomniał o tajemniczych Upiorach. Zwrócił się do Mohegasa:

– Upiory. To ci, co zabili towarzyszy Orvika?

Mohegas zawahał się, po czym dał zapraszający znak Orvikowi. Obawiał się, że jego znajomość wspólnego języka może okazać się niewystarczająca. Skandianie pochylili się w jego stronę, by lepiej słyszeć. Hal zauważył, że niektórzy Mawagansettowie zaczęli oglądać się

nerwowo, jakby wrogie plemię miało nagle zmaterializować się pod wpływem opowieści. Zrozumiał, że to niebezpieczny temat. Orvik po chwili zastanowienia powiedział:

– Jak już wspominałem, żyją na północy. Jakieś dziesięć dni canoe w górę rzeki. Są znacznie liczniejsi od Mawagansettów. Mają nad nimi co najmniej trzykrotną przewagę. Grupa najeźdźców zwykle składa się z ponad setki wojowników. Podróżują największą rzeką, która biegnie na wschód stąd, całymi flotami, napadają na wszystkie osady napotkane po drodze i mordują mieszkańców. Wzdłuż rzeki na północ stąd żyje kilka innych plemion. Wszystkie cierpią ten sam los.

– Dlaczego nie połączycie sił, by z nimi walczyć? – zapytał Thorn.

Orvik potrząsnął głową.

– Nigdy nie ma czasu, żeby się zorganizować. Przemieszczają się cicho i szybko, w nocy. Zwykle zdążą najechać dwie inne osady, nim się zorientujemy, że znów przybyli. A potem następuje nasza kolej.

– I co wtedy robicie? – spytał Hal.

Orvik wzruszył ramionami.

– Niewiele można zrobić. Zazwyczaj jesteśmy w stanie zebrać około dwudziestu wojowników potrafiących walczyć bronią. A musimy stawić czoło przeciwnikowi cztery razy liczniejszemu. Najlepiej schować się w lesie i przeczekać, aż sobie pójdą. Jeśli nas złapią, zabijają mężczyzn, a kobiety i dzieci zabierają ze sobą i robią z nich niewolników. A jeśli nie mogą nas znaleźć, tylko plądrują wieś, kradną jedzenie i warzywa. Niszczą uprawy i palą domy. W końcu im się nudzi i wracają na północ.

– A co potem? – spytał Edwin.

– Widziałem tylko jeden najazd Upiorów – odparł Orvik – To było... – urwał i po namyśle dokończył: – ...osiem lat temu. Zgadza się? – spytał Mohegasa, który przytaknął z powagą. – Tak. Osiem lat. Ale mówiono mi, że za każdym razem wygląda to tak samo. Po ich odejściu Mawagansettowie odbudowują chaty i zaczynają od nowa. Zwykle w perspektywie mają głodną zimę, jako że stracili wszystkie zapasy.

Thorn gniewnie potrząsnął głową. Sam kiedyś brał udział w najazdach, w dawnych czasach, kiedy wilcze okręty dręczyły mieszkańców znanego świata i wiedział, że brak oporu tylko zachęca, by powtarzać ataki. Nic jednak nie powiedział.

Stefan zadał pytanie, które nurtowało ich wszystkich:

– Dlaczego nazywają się Upiory?

Pozostałe Czaple zgodnie zamruczały.

Tym razem odpowiedział Mohegas:

– Z powodu specyficznego wyglądu. Dokładnie gołą głowy i smarują twarze białą gliną,

a wokół oczu malują czarne kręgi. Przypomina to czaszkę. – Wskazując na patrzaliki Ingvara, dodał: – Kiedy go pierwszy raz zobaczyliśmy, przez te czarne kółka, które nosi na oczach i jasną skórę sądziliśmy, że może być jednym z Upiorów. Ale potem śledziliśmy Drewnianą Rękę – wskazał na Thornę – i Tę, Która Ciska Włócznią – tu z kolei wskazał na Lydię, która uśmiechnęła się, słysząc nadane jej miano – i stwierdziliśmy, że nie możecie być Upiorami i bardziej przypominać tego tu Polennisa.

– Czemu się nie ujawniliście? – zapytała Lydia.

– Nadal nie mieliśmy całkowitej pewności. Nie wiedzieliśmy, skąd przybywacie. Nie widzieliśmy waszej łodzi, więc doszliśmy do wniosku, że przyszlście z głębi łądu, z południa. Sprawialiście wrażenie dobrze uzbrojonych i zorganizowanych, sądziliśmy, że może jesteście przednim oddziałem większej grupy zbrojnych. Wyglądacie na wojowników. Nawet ty.

Lydia skłoniła głowę, przyjmując te słowa jako komplement.

– Pomyśleliśmy więc, że najlepiej pozostać w ukryciu i obserwować, zorientować się w waszych zamiarach. A potem dwójka krnąbrnych dzieci przyspieszyła bieg wydarzeń i uznaliśmy, że dobrze byłoby mieć was za przyjaciół. – Urwał i zatoczył ramieniem dokoła. – I oto jesteśmy – zakończył. – Ale dosyć gadania o wrogach i Upiorach. Od ich ostatniej wizyty minęło osiem lat. Pewnie już o nas zapomnieli.

Wśród zebranych przeszedł zgodny pomruk. Thorn spuścił głowę, potrasnął nią.

– Albo właśnie stwierdzili, że czas na kolejny atak – powiedział, ale bardzo cicho, żeby nikt go nie słyszał.

– A więc jedźmy i cieszmy się swoim towarzystwem! – zawołał Mohegas. Kilka kobiet podeszło do paleniska i zaczęło odcinać plastry smakowitego soczystego mięsa z nadzianych na rożen pieczeni.

Stig, któremu burczało w brzuchu, nagle poczuł na ramieniu dotyk lekkiej dłoni. Odwrócił się – i ujrzał parę najpiękniejszych oczu, jakie kiedykolwiek widział.

Dziewczyna miała idealny owal twarzy, jasnobrązową skórę bez skazy, prosty nos i doskonale wykrojone pełne usta. Ramą dla tej pięknej twarzy były długie lśniące czarne włosy podzielone pośrodku i splecione w warkocz. Dziewczyna, na oko kilkunastoletnia, miała szczupłą sylwetkę, długie nogi i poruszała się z miłą gracją kota. Ukłękła obok Stiga i powiedziała:

– Jestem Tecumsa. Do usług. Może masz ochotę na pieczeń z jelenia?

Miała ciepły łagodny głos, idealnie współgrający z doskonałością twarzy i ciała.

– A ja... Stig – wyduśił Stig ze ściśniętym gardłem.

Uśmiechnęła się.

– Witaj, Stig.

I w tym momencie po raz pierwszy w życiu Stig się zakochał, beznadziejnie i nieodwracalnie.



ROZDZIAŁ 26



Reszta wieczoru okazała się wielkim towarzyskim sukcesem. Mawagowie – właśnie tak o sobie mówili – i Czaple doskonale się razem bawili. Jedzenie było przepyszne. Jeśli czegoś brakowało Skandianom, to może tylko kawy, której miejscowi w ogóle nie znali. Podano jednak ziołową herbatę, która przypadła gościom do smaku, do wyboru mieli też wodę i soki wyciskane z owoców.

Prawdopodobnie szczytowym momentem uczy był ten, kiedy Edvin zaprezentował pieczonego w glinie ptaka gulgul. Pieczeń przez cały czas leżała zawinięta w kawałek płótna, dzięki czemu zachowała ciepło. Kiedy Edvin rozwiązał płótno i ukazała się nieapetyczna gruda zaschniętej białej gliny, kobiety z zacięciem podszły bliżej, a Edvin wyjaśnił, na czym polega ten sposób gotowania.

– Glina zamyka całe mięso w środku, więc wszystkie soki i aromaty nabierają intensywności, mięso wychodzi soczyste i wyjątkowo smaczne. Zauważyłem, że te ptaki mają na sobie niewiele tłuszczu, mięso mogłoby wyschnąć podczas normalnego pieczenia.

Niektóre starsze kobiety pokiwały głowami. Wiedziały o tej wadze ptaka gulgul. Mięso było smaczkowe, ale nieodpowiednio przyrządzone rzeczywiście robiło się zbyt suche. Technika Edvina doskonale rozwiązywała ten problem. Podeszły jeszcze bliżej, a Edvin wziął nóż i mocno uderzył ręką jeścią w stwardniałą skorupę. W glinie pokazało się nierówne pęknięcie, a wtedy Edvin uderzył jeszcze raz, tworząc kolejną rysę prostopadłą do tej pierwszej. Potem czubkiem noża odłupał kilka sporych kawałków gliny. Pokazała się warstwa kory.

– Kora oddziela glinę od mięsa – wyjaśnił. – Chyba nikt nie chciałby jeść pieczeni o glinianym posmaku, prawda?

Kobiety zgodnie pokiwały głowami. W pierwszej chwili metoda właśnie z tego względu wydała im się niezbyt zachęcająca. Kiedy Edvin nożem oddzielił korę od mięsa, ze środka dobieła się fala smaczkowego zapachu. Wszystkim ślina napłynęła do ust. Teraz również mężczyźni

podeszli bliżej, niektórzy już oblizywali usta.

Edvin zerwał kolejny fragment kory, odsłaniając złotobrazową skórkę i wśród zebranych rozszedł się niski pomruk uznania. Następnie sprawnie podzielił ptaka, kładąc uda i skrzydła na dużym talerzu podanym przez jedną z kobiet. Potem ostrym nożem zręcznie pokroił pierś na grube plastry i również ułożył je na talerzu.

– Częstujcie się – powiedział, wskazując talerz. Ani Mawagowie, ani Czaple nie potrzebowali dalszej zachęty.

Ha! prędko przysunął się bliżej.

– Lepiej szybko łapać, bo za chwilę nic nie zostanie – powiedział.

Thorn, który przyglądał się, jak Edvin błyskawicznymi ruchami noża zmieniał wielką pieczeń w stos smakowitych kawałków gotowych do jedzenia, powiedział:

– Mam nadzieję, że umył nóż po ostatniej bitwie. – Wątpliwości w tej kwestii nie przeszkodziły mu jednak, by chwycić kawałek skrzydła i kilka plasterów ciemnego mięsa z udźca.

Wystarczyło akurat, żeby każdy z dorosłych dostał po kawałku do spróbowania. Wszyscy wrócili na miejsca, rozkoszując się smakiem soczystego pachnącego mięsiva. Cebula i zioła, którymi Edvin nafaszerował pieczeń, dzięki pieczeniu w glinie dokładnie nasaczyły mięso wspaniałymi aromatami i nadały mu wyjątkowy smak. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że jest to doskonała metoda. W ciągu kilku minut z giganty cznego ptaka została kupka gołych kości.

Po raz pierwszy od przybycia do nieznannej ziemi Skandianie naprawdę odpoczywali. Leżeli wsparci na łokciach wokół ognia, wymieniając przeróżne historie z Mawagami. Ulf i Wulf cieszyli się przemiłym towarzystwem Milliki i Pilliki. Dziewczęta były niezwykle żywiołowe, śmiały się często i długo ze słownych utarczek skandyjskich bliźniaków.

Ulf szczególną sympatię poczuł do Milliki. A przynajmniej przypuszczał, że jest to Millika. Szepnął do brata na stronie:

– Ta jest moja. Znacznie ładniejsza od siostry.

– Widać jesteś równie ślepy, jak głupi – odparł Wulf. – Każdy widzi, że Pillika jest znacznie ładniejsza.

Dziewczęta uśmiechnęły się układkiem. Podobnie jak ci z Mawagów, którzy przyglądali się ich czwórce z rozbawieniem i zaciękawieniem. W przeciwieństwie do Ulfa i Wulfa zauważyli, jak kilka minut wcześniej Millika i Pillika zamieniły się miejscami. Ta pierwsza, która miała na włosach czerwoną skórzaną opaskę, dyskretnie podała ją siostrze, a ta prędko włożyła ją na głowę.

W rezultacie Ulf, któremu na początku uczy posługiwała Millika, teraz dostał się pod opiekę Pilliki. Wulf zaś, przekonany, że u jego boku siedzi Pillika, w rzeczywistości miał za towarzyszkę Millikę. Ta drobna zamiana miejsc nie była dla Mawagów niczym nowym. Bliźniaczki nabierały w ten sposób chłopaków i partnerów w tańcu, odkąd skończyły trzy naście lat.

– Uważam – rzucił Ulf – że powinniśmy zamienić się miejscami dla zabawy, żeby już nie wiedzieli, kto jest kto.

Poczuł się nieco zaskoczony, gdy jego słowa wywołały salwę śmiechu. Mawagowie, rzecz jasna, zrozumieli, co powiedział, nawet jeśli bliźniaczki udawały, że nic nie słyszą.

Stig, nieświadomy, co się wokół niego dzieje, siedział po turecku naprzeciwko pięknej Tecumsy, całkowicie zaabsorbowany jej pięknem i wdziękiem. Tecumsa z kolei nie pozostała obojętna na urok wysokiego muskularnego młodzieńca z dalekich stron. Domyślała się, że jest wojownikiem, i to bardzo biegłym w swoim kunszcie. Zauważyła też, że pozostali członkowie załogi odnoszą się do niego z wielkim szacunkiem – nie licząc Hala, przywódcy, i jednorękiego starszego mężczyzny. Ci dwaj traktowali go jak równego sobie, co według niej musiało oznaczać, że tak jak oni należy do osób wysoko postawionych w skandyjskim społeczeństwie.

Nie żeby takie zewnętrzne sprawy jak status miały dla niej większe znaczenie. Najważniejsze, że był przystojny i poruszał się z wdziękiem atlety. Że tak pięknie się uśmiechał i miał wspaniałe poczucie humoru, i ciągle doprowadzał ją do śmiechu.

Mijały godziny, a oni nie widzieli świata poza sobą. Pozostali Skandianie i Mawagowie zauważyli, co się dzieje, i skwitowali sprawę pobłażliwymi uśmiechami.

Ale nie wszyscy. Jeden Mawag przyglądał się parze wzrokiem, w którym płonął gniew. Orvik, znający powiązania towarzyskie w plemieniu Mawagansettów, dostrzegł jego reakcję i rozważał w myślach, czy powinien interweniować. Stwierdził jednak, że właściwie nie ma powodu się mieszać. Ale poważnie zastanawiał się, czy wzajemna sympatia Stiga i Tecumsy przypadkiem nie stanie się przyczyną kłopotów.

Minęło kilka dni. Czaple i Mawagowie umacniali więzi przyjaźni. Wciąż ktoś krążył między wsią a obozowiskiem. Edvina przywłaszczyły sobie lokalne kobiety, zafascynowane widokiem gotującego mężczyzny – w dodatku bardzo dobrze gotującego. Dały mu pełen dostęp do wielkiego warzywnika, w którym uprawiały fasolę, cukinię, cebulę i dziwną roślinę o nazwie kukurydza, którą miał okazję smakować podczas uczy. Było to warzywo o cylindrycznym kształcie, pokryte pysznymi złotymi ziarnami. Zewnętrzną warstwę tworzyły cienkie jedwabiste nitki i grube zielone liście. Kukurydza pieczona na żarze zyskiwała cudowny słodki smak. Ziarna można było również zemiać i uzyskać coś w rodzaju mąki. Edvin zaczął wypiekać z niej chleb. Warzywa nadały nowy wymiar skromnej mięsnej diecie Skandian.

Któregoś dnia zjawili się Orvik, Mohegas i kilku innych starszych mężczyzn, by obejrzeć „Czaple”, wciąż cumującą w ukryciu na wodach wąskiej rzeczki za obozowiskiem.

Mawagowie rzecz jasna nie mieli okazji widzieć „Wilczej Łapy”, okrętu, na który przyплыnęli Orvik i który rozbił się kilkanaście kilometrów na północ od ich osady. Nie widzieli też, jak „Czapla” przybiła do brzegu. Ich wyobrażenia na temat łodzi ograniczały się do canoe, którymi

podróżowali w dół i w górę rzeki oraz po zatoce, kiedy łowili ryby. Canoe były to nieduże łódki, których szkielet budowano z drewna, a poszycie robiono z kory brzoźowej, lekkie i zwrotne, ale oczywiście nie mogły się równać z pełną gracją łodzią Skandian. Mężczyźni weszli na pokład, ze zdumieniem przyglądając się solidnemu pokładowi. W canoe każdy musiał bardzo uważać, by nie przebić stopą poszycia. Na tej łodzi można by tupać do woli i nic by się nie stało.

Uważnie obejrżeli długie dębowe wiosła, porównując je w myślach do lekkich brzoźowych, którymi sami się posługiwali. Dokonawszy oględzin, doszli do wniosku, że przybysze z dalekich stron mają zupełnie inne podejście do kwestii transportu wodnego.

Tylko Orvik przeżył pewne rozczarowanie.

– Taka nie za duża ta wasza łódź – stwierdził. Zaraz się zreflektował, że mogą to odebrać jako słowa krytyki i szybko się poprawił: – To znaczy w porównaniu z wilczym okrętem. Na „Wilczej Łapie” mieliśmy po dziesięć wiosła z każdej strony. A tu macie tylko... – urwał, by policzyć. – Cztery... to razem tylko ośmiu wiosłarzy.

– Siedmiu, kiedy Ingvar siada do wiosła. Liczy się za dwóch. – Hal uśmiechnął się.

Orvik miał sceptyczną minę.

– A więc siedmiu. Ośmiu, skoro liczysz Ingvara podwójnie. Czy to wystarczy, by wiosłować pod wiatr?

Thorn poprawił go:

– My nie wiosłujemy pod wiatr, tylko żeglujemy.

Orvik popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Nie da się żeglować pod wiatr.

Thorn skłonił głowę.

– Tą łodzią się da. Zaprojektował ją geniusz.

– O, a niby kto taki? – zaciekawiał się Orvik.

Thorn wskazał kciukiem Hala.

– Ten tutaj. Wymyślił żagiel, dzięki któremu ta nieduża łódka potrafi przegonić typowy wilczy okręt wyposażony w prostokątny żagiel. – Thorn wciąż dostrzegał sceptycyzm w oczach Orvika, więc dał znak Halowi, by ten wyjaśnił wszystkie zalety wyjątkowego ożaglowania „Czapli”.

Przeszli na dziób i Hal zaprezentował rejki z trójkątnymi żaglami, które można podnosić i opuszczać, i dzięki którym można skutecznie ostrzyć.

– Oczywiście – dodał – nie da się żeglować prosto pod wiatr. Ale można robić zwroty, raz w prawo, raz w lewo, i w ten sposób posuwać się do przodu.

Mohegas słuchał uważnie, ale niewiele z tego rozumiał. Widział jednak po minie Orvika, wyrażającej coraz większe uznanie, że ta łódź i jej młody konstruktor to coś absolutnie wyjątkowego. Wskazał na spory kształt na dziobie skryty pod brezentową płachtą.

– Co to jest?

Hal uśmiechnął się. Z przyjemnością prezentował zakończone sukcesem wynalazki. Przemknęło mu przez głowę, że przez lata nabierało się sporo tych mniej udanych i nieraz stawał się celem żartów, kiedy okazywało się, że projekt nie wyszedł zgodnie z zamierzeniami. Uważał więc, że ma prawo pochwalić się tymi, które wypaliły.

– Nazywamy to urządzenie Zadymiarzem – powiedział, po czym podszedł do kuszy i rozwiązał rzemienie, wymienione niedawno, bo musiał je przeciąć podczas starcia z niedźwiedziem, i ściągnął brezent, odsłaniając maszyną groźnie wznoszącą się na platformie. Pokazał pokrótce, jak działa maszynieria: jak można nią obracać o czterdzieści pięć stopni w obie strony, i jak przygotowuje się ją do strzału.

– Tym zajmuje się Ingvar – powiedział z szerokim uśmiechem. – Tylko on ma tyle siły, by naciągnąć cięciwę.

Następnie otworzył schowek i pokazał różne rodzaje pocisków. Mohegas zważył w dłoni jeden z nich.

– Takim zabiliście niedźwiedzia? – zapytał.

– Zgadza się.

Orvik popatrzył na maszynę z wielkim zainteresowaniem.

– Nigdy nie widziałem takiego urządzenia na żadnym z okrętów – stwierdził.

Thorn kiwnął głową i położył dłoń na gładkim drewnie.

– To również wynalazek Hala – powiedział. – Kilka lat temu pokonaliśmy dzięki niemu niejakiego Zavaca.

Orvik zmarszczył brwi.

– Zavaca? A kóż to jest?

Thorn uśmiechnął się ponuro.

– Już nie jest. Był piratem, najechał na Hallasholm i skradł Andomal.

Brwi Orvika podjechały do góry. Andomal był najcenniejszym skarbem Skandian. Thorn podjął, nim Orvik zdążył zadać nasuwające się pytanie:

– Goniliśmy za nim przez pół świata. W końcu go dopadliśmy i pokonaliśmy w bitwie. Jego okręt był wielkości wilczego. Ale „Czapla” okazała się szybsza i bardziej zwrotna. Hal przechytrył go, rozwalili na drzazgi okręt, Zavaca i całą załogę tym tu Zadymiarzem i odzyskał Andomal.

Jak zawsze, kiedy wychwalał osiągnięcia swego skirła, Thorn i tym razem nie uznał za konieczne, by wspomnieć, że Andomal skradziono właśnie z jego winy. Uznał to za drobny nieistotny szczegół.

Orvik popatrzył na młodzieńca z szacunkiem.

Hal nieśmiało wzruszył ramionami. Lubił chwalić się wynalazkami swojego autorstwa, mniej chętnie opowiadał o innych osiągnięciach.

– Wracajmy już do obozu – powiedział i ruszył jako pierwszy trzem przetrzuconym między łodzią a brzegiem rzeczki.

Odwrócił się. Mohegas nadal stał na dziobie, przyglądając się ogromnej łuszy z zamysłoną miną. Nagle uświadomił sobie, że został sam i pospiesznie ruszył w ich ślady.

ROZDZIAŁ 27



Kiedy wyszli spośród drzew, dobiegł ich czyjś gniewny głos. Młody wojownik stał obok drabiny, krzycząc coś we własnym języku i najwyraźniej domagając się, by go wpuścili. Na palisadzie górował niewzruszony Ingvar, broniąc wstępu halabardą. Ostra stal lśniła w słońcu. Młody Mawag czujnie przyglądał się broni.

Hal pomyślał, że lepiej, by niczego nie próbował. Ingvar plus halabarda to było połączenie, z którym należało się liczyć. Mawag znów zaczął krzyczeć, a Hal przyśpieszył kroku.

Ingvar milczał. Twarz miał nieruchomą, oczy skryte za ciemnymi krążkami patrzalek. Kiedy młodzieniec zrobił krok w stronę drabiny, Ingvar momentalnie opuścił halabardę, tak że jej ostrze celowało wprost w pierś Mawaga. Gdyby się poruszył, nadziałby się na nie.

– Lepiej się pospieszmy – rzucił Hal.

Orvik powiedział cicho za jego plecami:

– To młody Simsinnet. Obawiałem się, że może do tego dojść.

Hal odwrócił się i rzucił mu gniewne spojrzenie. Skoro Orvik przeczuwał kłopoty, powinien ich może uprzedzić, pomyślał.

Kiedy byli już niedaleko palisady, Mohegas zawołał coś w miejscowym języku. Młodzieniec odwrócił się, nieco zawstydzony i cofnął się o krok od drabiny. Teraz, kiedy Hal mógł mu się przyjrzeć, stwierdził, że na oko ma jakieś osiemnaście lat. Był krępy i muskularny.

– Ingvar, co tu się dzieje? – spytał Hal.

Ingvar spojrział na niego, po czym wskazał na Mawaga końcem halabardy.

– Ten osobnik zjawił się kilka minut temu i zaczął wrzeszczeć, że chce się widzieć ze Stigiem. Powiedziałem, że Stiga nie ma, lecz widać nie uwierzył. Wrzeszczał dalej, w swoim języku, i próbował wspiąć się po drabinie. Oczywiście nie mogłem mu na to pozwolić, więc poprosiłem, żeby przestał.

Hal nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Za pomocą halabardy?

Ingvar zawahał się, ale kiwnął głową.

– Wydawała się najskuteczniejszym argumentem.

Hal zwrócił się do Mohegasa:

– O co mu chodzi? Czemu tak się wścieła?

Mohegas machnął ręką, spoglądając groźnie na młodzieńca.

– Simsinnet to dureń. Zachował się bardzo nieuprzejmie. To nic takiego. Porozmawiam z nim.

Ale Hal nie zamierzał tego zostawić. Najwyraźniej coś tu jednak było nie tak. Jeśli w jakikolwiek sposób uchybili młodemu Mawagowi, to chciał o tym wiedzieć. Rozumiał, że Mohegas czuje się zażenowany zachowaniem Simsinneta, lecz chciał poznać prawdę.

– Orviku, ty znasz ich język. Czemu ten człowiek tak się zdenerwował?

Jego ton zdradzał lekką urazę – skoro Orvik przewidział kłopoty, powinien był im o tym powiedzieć. Skandianin zawahał się, ale w końcu odparł:

– Jest wściekły na Stiga z powodu dziewczyny. Zaleca się do Tecumсы od sześciu miesięcy. Nie jest zainteresowana, lecz on widać uznał, że może rościć sobie do niej prawo, a Stig wszedł mu w paradę.

– A może? – zapytał Hal. Byłoby fatalnie, gdyby Stig rozbił zaręczoną parę.

Orvik potrząsnął głową.

– Nie. Jak już powiedziałem, Tecumса nie jest zainteresowana. On jednak widocznie poczuł się urażony, że jakiś obcy zdobył jej serce. Sam wiesz, jacy bywają młodzi mężczyźni.

Hal kiwnął głową, chociaż tak naprawdę nie miał pojęcia, bo sam był młodym mężczyzną, w dodatku bez doświadczenia w sprawach sercowych.

Mohegas znów zaczął krzyczeć coś do Simsinneta, wykonując przy tym gniewne gesty i zapewne nakazując mu, by natychmiast wracał do wsi. Hal położył dłoń na jego ramieniu. Wiedział, że nie mogą go tak po prostu wyprosić. Sprawę trzeba wyjaśnić. Spojrzał na Ingvara.

– Gdzie jest Stig? – zapytał. Poczul gniew. Czy Stig nie mógł trzymać się z daleka od tej dziewczyny? Musiał narobić sobie wrogów i narażać całą załogę na niebezpieczeństwo? Hal nie wątpił, że Simsinnet ma wielu przyjaciół, którzy staną po jego stronie, nawet jeśli Mohegas będzie próbował powstrzymać awanturnika. A to mogło oznaczać konflikt między Skandianami i całym plemieniem Mawagansettów.

– Jakś czas temu poszedł na spacer po plaży – odparł Ingvar. I dodał: – Z tą dziewczyną.

Simsinnet najwidoczniej wszystko rozumiał, ale sądząc po kolejnej porcji wrzasków, wolał wyrażać gniew we własnym języku. Mohegas krzyknął coś i młodzieniec wreszcie zamilkł.

– Niedobrze – powiedział cicho Orvik

Hal odwrócił się w jego stronę.

– Taaaak? Nie zauważyłem – powiedział sarkastycznie. – A jeśli widziałeś, co się szykuje, to czemu mnie nie ostrzegłeś?

Orvik otworzył usta, lecz nie potrafił wymyślić sensownej odpowiedzi i zaraz je zamknął. Thorn przyszedł mu na pomoc.

– O, idą – powiedział i wszyscy odwrócili się, by spojrzeć w kierunku, który wskazywał hakiem. Stig i Tecumsa szli wolno brzegiem morza, trzymając się za ręce. Stig coś powiedział, dziewczyna roześmiała się i dotknęła jego ramienia poufnym gestem.

– O, na rogi Orloga! – mruknął Hal.

Thorn uśmiechnął się szeroko. Nieraz widział tego rodzaju historie. Młodzi mężczyźni i młode kobiety, zawsze muszą narobić zamieszania, pomyślał.

– Orlog ma rogi? – spytał. – Słyszałem tylko o zębach i pazurach.

Hal rzucił mu mordercze spojrzenie. Łatwo mu żartować, pomyślał.

– Orlog ma rogi, jeśli chce, żeby miał rogi – odparował. – I łuski na wielkim tyłku, skoro tak mówię.

Simsinnet ruszył w kierunku pary spacerującej wzdłuż plaży, ale Mohegas powstrzymał go krótkim rozkazem.

Hal znów zwrócił się do Orvika:

– Czego możemy się spodziewać?

Orvik wzruszył ramionami.

– Z tego, co wiem, Simsinnet zechce walczyć ze Stigiem o prawo do załotów. Ale może się mylę. Może po prostu powie mu, co o tym myśli, i o wszystkim zapomni.

Hal spojrział na młodego Mawaga. Był mocno umięśniony i w świetnej formie, na pewno nie wyglądał na człowieka, który „powie, co o tym myśli” i sprawa załatwiona.

– Walczyć? – zapytał. – Chcesz powiedzieć, że Stig będzie musiał go zabić? – Nawet nie przyszło mu do głowy, że Stig mógłby przegrać. Wiele razy widział przyjaciela w walce i nie wątpił w jego umiejętności. Ale jeśli Stig zabije Simsinnet, może to oznaczać koniec przyjaźni z tubylcami – a mieli oni znaczną przewagę nad Czaplami, mniej więcej osiem do jednego. Na szczęście Orvik zaprzeczył.

– Nie. To nie będzie walka na śmierć i życie. Żadnej broni. Będą walczyć wręcz.

Co za ulga, pomyślał Hal.

Stig i Tecumsa byli już niedaleko. Stig popatrzył ze zdumieniem i rozbawieniem na grupę stojącą koło drabiny. Tecumsa, jak zauważył Hal, miała znacznie mniej rozradowaną minę.

– Co się dzieje? – zapytał Stig przyjaznym tonem. Odpowiedział mu grad wściekłych słów. Simsinnet oskarżycielsko wymierzył w niego palcem i zaczął wrzeszczeć. Tecumsa też zaczęła wrzeszczeć, a po chwili przyłączył się do nich Mohegas, który potrafił wrzeszczeć nawet głośniejsz

od nich. Posługiwali się lokalnym językiem. Hal rzucił Orvikowi gniewne spojrzenie, a ten zaczął tłumaczyć:

– Mówi, że Tecumsa jest jego dziewczyną. Tecumsa zaprzecza i zarzuca mu bezczelność. Mohegas próbuje przywołać oboje do porządku. Simsinnet twierdzi, że w ciągu ostatniego pół roku „doszli razem do porozumienia”. Tecumsa mówi, że może mu się tak wydaje, lecz jej nikt nie...

– Dobra. Mam z grubsza ogłęd sytuacji – mruknął Hal. W tym momencie sprawy zaczęły się komplikować. Simsinnet najpierw bardzo długo wydzierał się na Tecumse, po czym zrobił krok w jej stronę. Tego Stig już nie wytrzymał. Stał się między nimi, unosząc dłoń, by powstrzymać wściekłego młodzieńca.

– Wystarczy! – powiedział ostrzegawczo. – Cofnij się, kogutku.

Była to aluzja to dwóch orlich piór, które Simsinnet nosił we włosach za opaską z jeleniej skóry. Być może umknęło mu znaczenie tego słowa, lecz wystarczył obraźliwy ton głosu. Pochylił się i zebrał garść piasku.

– O nie... – zaczął Orvik, a Mohegas ostrzegawczo krzyknął.

Za późno. Simsinnet cisnął piachem prosto w pierś Stiga. Ten poczerwieniał z gniewu i zrobił krok w przód, unosząc zaciśniętą pięść. Hal, wnioskuje z reakcji Orvika i Mohegasa, że gest Simsinneta musi coś znaczyć, krzyknął:

– Stig! Zatrzymaj się!

Niegdyś Stig uległby porywczemu charakterowi i nie słuchając, od razu rzuciłby się na przeciwnika. Ale od tamtego czasu nauczył się samodyscypliny. Wiedział też, że kiedy Hal wydaje rozkaz, to oczekuje, że zostanie on spełniony. Zatrzymał się, rzucając skірlowi gniewne spojrzenie.

– To wyzwanie – powiedział Hal, domyślając się znaczenia gestu.

Orvik potwierdził te przypuszczenia.

– Tak, to formalne wyzwanie do walki. Jeśli je przyjmujesz, musisz również rzucić w niego piaskiem.

– Doskonale – powiedział Stig. Pochylił się, zgarnął garść piachu i cisnął w Simsinneta. – Bardzo proszę. Zaraz przyniosę tarczę i topór.

Simsinnet uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Żadnej broni – odparł, po raz pierwszy używając wspólnego języka. – Walczymy wręcz. Gołe pięści.

– Mnie pasuje – odpowiedział Stig. Zrozumiał, że to będzie formalna zorganizowana walka, a nie zwykła bójka na plaży. – Wyznacz czas i miejsce.

Simsinnet wyznaczył czas na jedną godzinę po południu, a jako miejsce pojedynku wskazał otwarty plac we wsi Mawagów, między chatami i paleniskiem. Stig usiadł na niskim stołku, a Hal

obwiązał jego dłonie rzemieniami z jeleniej skóry, wraz z knykciami, by je chronić, ale palce oczywiście zostawił wolne. Obok przykłąnął na ziemi Orvik

– Czy nie da się tego powstrzymać? – zapytał Hal. – To tylko wywoła złą krew między nami.

Orvik jednak potrząsnął głową.

– Nie. Przeciwnie, walka może oczyścić atmosferę. Nikt nie będzie winił Stiga, że odpowiedział na rzucone wyzwanie. Może dzięki temu zdobyć jedynie szacunek. Wszyscy uważają Simsinneta za wielkiego wojownika.

Hal westchnął, potrząsnął głową i wrócił do pracy.

– Jak będziemy walczyć? – zapytał Stig. – Mam na coś szczególnie uważać?

– Będzie próbował cię unieruchomić – odparł Orvik – Spróbuje duszenia bądź założy dźwignię na nogę lub szyję, by pozbawić cię możliwości obrony, zmusić do poddania się. Jest zapaśnikiem, i to dobrym. W ciągu sekundy jest w stanie rozłożyć cię na łopatki.

– Do tego na pewno nie dojdzie – odparł Stig. – Będzie boksował? Zadawał ciosy?

Orvik pokręcił głową.

– Nie znają takich technik

Stig na chwilę zatrzymał na nim spojrzenie.

– To poznają – powiedział ponuro.

Rozległ się sygnał rogu. Romanut, dowódca wojenny, mężczyzna znacznie młodszy od Mohegasa, zwołał do zawodników, by zajęli miejsca.

Stig wstał, witany okrzykami zachęty ze strony niewielkiej grupki Skandian. Zdjął koszulę i podał ją Halowi – żeby Simsinnet nie miał za co złapać. W samych spodniach do kolan, prowadzony przez Thorna, Hala i Orvika, ruszył w stronę wyrysowanego w piasku kręgu, w którym miała odbywać się walka. Z jednej z chat wyszedł Simsinnet w towarzystwie trzech mężczyzn. Pozostali członkowie plemienia zgromadzili się dokoła, niektórzy – ale nie wszyscy – powitali swojego człowieka okrzykami. Hal zauważył, że wargi Mohegasa ułożyły się w wąską gniewną kreskę. Tecumsa wraz z grupą innych młodych kobiet również stała w milczeniu, przyglądając się scenie z zainteresowaniem.

Simsinnet miał na sobie tylko przepaskę biodrową. Muskularne ciało lśniło od oleju.

– Niezbyt honorowo z jego strony – mruknął Stig do Hala.

Kiedy zawodnicy stanęli naprzeciw siebie, na brzegu okręgu, wśród zebranych zapadła całkowita cisza.

Romanut, wiedząc, że obaj młodzieńcy zaznajomili się z zasadami – zresztą bardzo prostymi – przytknął róg do warg i ponownie weń zadął. Po chwili przeciągły dźwięk ucichł – to był sygnał do rozpoczęcia walki.

Urwał się gwałtownie, a nagle cisza była niemal jak szok. Stig zrobił krok do przodu, lewą nogę

lekką wysunął, a pięści unosił w klasycznej pozie bokserkiej. Simsinnet, który nigdy dotąd czegoś podobnego nie widział, zawahał się, ale tylko na sekundę, po czym wydał z siebie okrzyk bojowy, skoczył wysoko i rzucił się na Stiga, unosząc przygięte ramiona, by założyć mu chwyt.

Stig, widząc gniew na jego twarzy, przypomniał sobie, jak Thorn zawsze mu mówił, że nie wolno stawać do walki wściekłym.

Kiedy Simsinnet był już blisko, Stig zrobił krok do przodu, prosto między uniesione ramiona i wymierzył prawy prosty. Cios trafił prosto w szczękę, z całą siłą, jaką nadał mu Stig – mimowolnie powiększoną przez samą szarżującą ofiarę. Simsinnet wyprostował się jak struna, oczy zaszyły mu mgłą, ramiona bezwładnie opadły wzdłuż ciała, kolana się pod nim ugięły. Stig szybko zrobił krok w przód, chwycił go i zaczękał, aż ciało łagodnie osunie się na piach, by zapobiec dalszym kontuzjom. Potem wyprostował plecy, cofnął się i powiódł wzrokiem po milczącej widowni.

– No to chyba po zawodach – powiedział spokojnie.



ROZDZIAŁ 28



Przewidywania Orvika okazały się słuszne. Po skończonej walce Mawagansettowie patrzyli na Stiga z mieszaniną podziwu i szacunku. Jeszcze długo omawiano przy ogniskach jego wyczyn, tempo i siłę, z jaką rozprawił się z przeciwnikiem – walka trwała w sumie może dziesięć sekund.

Simsinnet słynął jako świetny zapaśnik i wyśmienity wojownik. Większość spodziewała się, że to on wygra, chociaż wcale nie wszyscy byli zachwyceni tą perspektywą. Skandianie cieszyli się sympatią Mawagansettów i opinią miłych i dobrych ludzi.

Nie mówiąc o tym, że uratowali dwoje dzieci i zabili bestię, która od dawna nękała ich plemię.

Simsinnet, chociaż lubiany, miał z kolei opinię w gorącej wodzie kąpanego. A wielu kobietom nie podobało się jego aroganckie zachowanie wobec Tecumsy, którą uznał praktycznie za swoją własność. Tamtejsze kobiety cieszyły się niezależnością i pozycją społeczną równą mężczyznom. Same decydowały, kogo weznę za męża. Dlatego wiele z nich uznało, że Simsinnet przekroczył dopuszczalne granice.

By oddać mu sprawiedliwość, należy zaznaczyć, że wyciągnął wnioski z tego doświadczenia. Wciąż zachodził w głowę, jak to się stało, że Stig go pokonał. Wszystko wydarzyło się tak szybko, nawet nie zdążył zauważyć wymierzonej w niego prawej pięści. Pamiętał tylko ogłuszający cios w szczękę i ciemność. Kiedy po kilku minutach odzyskał przytomność, okazało się, że leży na posłaniu w jednej z chat. Zobaczył nad sobą zatroskane twarze Mohegasa i znachora i poczuł pulsujący ból w szczękę.

– Co się stało? – wymamrotał.

– Przegrałeś – odparł Mohegas. – Stig zadał ci potężny cios. Masz szczęście, że ci głowa nie odpadła.

Simsinnet potarł szczękę i poruszył nią na boki, by ją rozmasować, bo zaczynała dotkliwie sztywnieć.

– Będę walczył jeszcze raz... – zaczął impulsywnie, choć tak naprawdę wcale nie miał ochoty

ponownie przez to przechodzić. Próbował się podnieść, ale Mohegas położył rękę na jego piersi i pchnął go z powrotem na posłanie.

– Mowy nie ma – powiedział stanowczo. – Sam go wyzwaleś. Walczyliście. Stig wygrał. Wiesz dobrze, że na tym sprawa zakończona.

Simsinnet opadł na posłanie z ponurą miną. Mohegas miał rację. Historię należało uznać za zamkniętą. Walka miała na celu położyć kres nieporozumieniom, a od przegranego oczekiwano, że zawsze pokój z byłym przeciwnikiem i zapomni o niesnaskach. Mawagowie stanowili niewielką społeczność złączoną silnymi więzami, nie było tam miejsca na kłótnie i podziały.

– Jaktrochę rozjaśni ci się w głowie, pójdziesz do niego i zawrzesz pokój – rozkazał Mohegas.

Simsinnet kiwnął głową. I zaraz pożałował, bo jego szczękę i czaszkę przyszył gwałtowny ból.

– Musi być z niego wielki wojownik – powiedział. Znów zabolalo. Z powodu porywczego usposobienia często brał udział w bójkach, ale ani razu nie przegrał.

– Owszem – odparł Mohegas. – Żaden wstyd przegrać z takim przeciwnikiem.

– Tecumsa widziała moją porażkę? – zapytał Simsinnet żalonym głosem.

Mohegas wbił w niego spojrzenie, aż Simsinnet odwrócił wzrok

– Obraziłeś ją – powiedział, ale łagodnym tonem. – Oczywiście, że wszystko widziała. Pytała, czy aby nie odniosłeś poważnych obrażeń.

Simsinnet od razu się rozpromienił.

– Naprawdę? Martwiła się o mnie?

Mohegas lekko potrząsnął głową.

– Nie rób sobie płonnych nadziei. Oczywiście, że się martwiła. Lubi cię. Ale wydaje mi się, że tego drugiego darzy miłością.

– O. – Simsinnet odwrócił twarz w drugą stronę. Czuł, że zbiera mi się na płacz. – Chwilę odpoczne i zawrę z nim pokój – powiedział i zamknął oczy, zanim lzy pocięły mu na policzki.

Mohegas lekko poklepał jego dłoń.

– Tylko za bardzo z tym nie zwlekaj – powiedział.

Na brzegu strumienia płynącego za całą Mawagowie trzymali kilka canoe. Hal pożyczyl jeden z nich i w towarzystwie Orvika popłynął do zatoki i dalej, za północny cypel. Kiedy go mijali, Orvik wskazała na szerokie ujście rzeki, które widzieli pierwszego dnia, przybijając do lądu po podróży przez ocean.

– Rzeka płynie z głębi lądu, z północy. To dla Mawagów główna droga transportu, kiedy wybierają się na handel z innymi plemionami.

– Dużo ich mieszka nad rzeką? – zapytał Hal. Opowieść o Upiorach sprawiła, że z lękiem myślał o spotkaniu innych ludów na tej obcej ziemi. Orvik zamyslił się.

– Pięć-sześć – odparł po chwili. – Żyją w niewielkich grupach, tak jak Mawagowie.

Prawdopodobnie wszyscy pochodzą z jednego plemienia. Ich języki są bardzo podobne, bez trudu mogą się między sobą porozumieć.

– A więc to przyjaźnie nastawieni ludzie?

Orvik uśmiechnął się. Wiedział, o co chodzi Halowi.

– Wszyscy za wyjątkiem Upiorów. Ci mieszkają znacznie dalej na północy. Podczas poprzednich wypraw zawsze przyплыwali rzeką. Zjawiają się całą flotą, liczącą dwadzieścia-trzydzieści canoe. Zawsze atakują w nocy. Jesteśmy na samym końcu tego łańcucha, więc zanim tu dotrą, przynajmniej dostaniemy ostrzeżenie. W przeszłości zawsze mieliśmy czas, by zabrać, co tylko się da i ukryć w lesie.

– Ale wspominałeś, że ostatni najazd miał miejsce osiem lat temu?

Orvik przytaknął.

– Mawagowie opowiadają, że kiedyś zjawiali się co dwa-trzy lata. Może znaleźli sobie ciekawsze ofiary – powiedział z nadzieją.

Hal z namysłem zacisnął wargi. Skoro nie atakowali od tak dawna, raczej nie było powodu do niepokoju.

– Jeszcze tego brakowało – mruknął pod nosem.

Kiedy znaleźli się na wysokości północnego cypła, skierował canoe do brzegu. Wylądowali na wąskim pasie piachu. Wysiedli i przeszli wzdłuż brzegu za cypel, od strony otwartego morza. Hal sprawdził kierunek wiatru.

– Wciąż wieje z północnego wschodu – stwierdził ponuro. – Najgorszy dla nas możliwy kierunek

Rzecz jasna, by dotrzeć do domu, będą musieli obrać kierunek na północny wschód, czyli prosto pod wiatr.

– Chyba mówiłeś, że potrafisz żeglować pod wiatr? – powiedział Orvik

Hal wzruszył ramionami. Rzucił kawałek suchych wodorostów w powietrze i patrzył, jak odfruva z wiatrem za jego plecy.

– Nie wprost pod wiatr – wyjaśnił Hal. – Musimy płynąć halsami, co zajmuje znacznie więcej czasu. Biorąc pod uwagę odległość dzielącą nas od domu, w połowie drogi skończyłyby się zapasy i woda.

Orvik przysłonił oczy i zwrócił twarz na północny wschód. Poczuł na twarzy rozpyloną wodę morską. Słone powietrze i krople na twarzy przywołały wspomnienia dawnego życia.

– Cóż, starsi mówią, że wiatr wkrótce się zmieni – powiedział. – Zawsze zmienia się o tej porze roku. Na południowozachodni.

– Dla nas idealnie. Moglibyśmy żeglować półwiatrem, prosto na północ. Gdyby tylko potrafili określić, kiedy dokładnie się zmieni.

– Mohegas twierdzi, że wraz z nowym księżycem – odparł Orvik – Zwykle ma rację w tych kwestiach.

– Jak dla mnie, ani trochę za wcześnie – powiedział Hal. Do nowiu zostały dwa tygodnie. – Lepiej wracajmy. Trzeba sprawdzić, jakie nowe nieszczęścia wydarzyły się podczas naszej nieobecności.

Ale z przyjemnością odkrył, że nie zdarzyło się przez ten czas nic złego. A już zaczynał utwierdzać się w przekonaniu, że za każdym razem, kiedy opuszcza teren obozowiska, musi stać się coś wymagającego natychmiastowej interwencji z jego strony.

Tym razem jednak wszystko było w normie. Mając na uwadze przepowiednię pogody autorstwa Mohegasa, zwołał Edvina i Lydię i powiedział:

– Musimy zacząć gromadzić zapasy na podróż powrotną. To znaczy, że chcę, byś zaczęła przynosić więcej mięsa, Lydio. A ty, Edvinie, możesz zacząć je wędzić i solić.

Obaj pokiwali głowami.

– Wędzenie będzie lepszym rozwiązaniem – odparł Edvin. – Nie mamy tyle soli. Potrzeba naprawdę dużo.

– A nie można uzyskać soli morskiej przez gotowanie? – zapytał Hal.

Edvin miał sceptyczną minę.

– Wymagałoby to ogromnych ilości wody i bardzo długiego gotowania. Raczej powiem chłopakom, żeby zaczęli budować stojaki. – Spojrzał na Lydię. – Najlepsze będzie mięso jelenia. I trochę tych wielkich ptaków.

Lydia kiwnęła głową. Popatrzyła w stronę linii drzew i powoli się podniosła.

– Hej. A ten czego tu szuka?

Hal pobiegł za jej spojrzeniem i również wstał, pełen najgorszych przeczuc. Na dole koło drabiny stał Simsinnnet, rozmawiał z Ulfem pełniącym straż. W tym momencie z chaty wyszedł Stig i ruszył w stronę ogrodzenia. Hal rzucił się biegiem i zdążył akurat, by usłyszeć, jak Ulf tłumaczy Stigowi:

– Mówi, że chce z tobą porozmawiać. Chyba nie ma broni.

Słyszac ostatnie słowa, Simsinnnet wyciągnął ręce wewnętrzną stroną do góry. Wyglądała na nieuzbrojonego. Hal zauważył, że nie ma nawet noża.

– Nie chcemy żadnych kłopotów – powiedział do Mawaga. Ulf i Stig obejrzeni się, zaskoczeni. Żaden z nich nie go wcześniej nie zauważył.

Simsinnnet uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Żadnych kłopotów. Przychodzę jako przyjaciel.

Stig spojrział na Hala.

– Wpuść go. Jak znacznie się awanturować, zawsze mogę mu znów przywalić.

Simsinnet uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wydawał się szczerze rozbawiony.

– Tak Możesz mi przywalić – powtórzył, ostrożnie dotykając posiniałej szczęki.

Hal dał znak Ulfowi, by pozwolił Mawagowi wejść. Ulf, który przez cały czas dzielnie bronił dostępu do drabiny, zszedł z niej i odsunął się na bok. Simsinnet pokonał obie drabiny i podszedł do Stiga, który zrobił pół kroku w tył. Simsinnet wyciągnął prawą dłoń.

– Jesteś wielkim wojownikiem – powiedział. – Walczyłeś ze mną i mnie pokonałeś. To był dla mnie zaszczyt stanąć z tobą do walki. A teraz pozwól mi dostąpić honoru nazwania cię przyjacielem.

Stig zawahał się.

– Znokautowałem go, a on chce zostać moim przyjacielem?

Hal wzruszył ramionami.

– Jak dla mnie, to wystarczająco dobry powód – stwierdził. – Tak mu przyłożyłeś, że byłby głupi, gdyby chciał cię mieć za wroga.

– Nie roszczę sobie żadnych praw do Tecumсы – podjął Simsinnet. Widać było, że mówi szczerze. – Ustąpię ze względu na ciebie. I będę twoim przyjacielem, jeśli tylko chcesz.

Widząc, że Stig nadal ma wątpliwości, Hal wtrącił:

– Orvik powiedział, że taki jest ich obyczaj. Kiedy dwaj przeciwnicy rzucą sobie wyzwanie i odbędą walkę, potem zostają przyjaciółmi albo przegrany musi odejść z plemienia.

Stig wykrzywił wargi. Takie obyczaje panowały również wśród Skandian. Nieraz widział, jak walka między dwoma mężczyznami stawała się początkiem przyjaźni, przyjaźni trwającej długie lata. Hal pomyślał dokładnie o tym samym.

– Uściśnij mu dłoń – ponaglił Stiga.

Ten nagle uśmiechnął się od ucha do ucha, zrobił krok do przodu i spontanicznie chwycił Simsinnet za przedramię.

– To dla mnie zaszczyt mieć cię za przyjaciela, Simsiniecie – powiedział.

Magwag również szeroko się uśmiechnął.

– Koguciku – poprawił, wskazując na pióra zdobiące jego włosy.

Stig uniósł dłonie na znak zgody.

– Koguciku – powtórzył.



ROZDZIAŁ 29



Oprócz przygotowywania codziennych posiłków Edvin zajmował się teraz również gromadzeniem zapasów na drogę powrotną. Stefan, Jesper i Ingvar zbudowali wędzarnię z drewnianej ramy pokrytej namoczoną korą brzozy. W zagłębieniu w ziemi wypełnionym żarem tlił się ogień. Nad nim ustawili naczynie z wodą. Powyżej wznosił się trzypoziomowy stojak, na którym Edvin układał mięso. Dochodził stamtąd niezwykle smaczkowy zapach. Edvin musiał toczyć ciężką walkę z resztą załogi, bo wszyscy nieustannie mieli wielką ochotę posmakować wędzonego mięsiva.

– Jak tak będziecie smakować, to nic nie zostanie na podróż – powiedział gniewnie. Wszyscy ładnie się uśmiechnęli i ponowili próbę smakowania. Na szczęście Edvin odkrył, że drewniane szczytce, których używał podczas gotowania, doskonale nadają się do miażdżenia kłyki. I smakowanie szybko się skończyło.

Lydia większość czasu spędzała w lesie, tropiąc zwierzynę i znosząc kolejne porcje mięsa. Z czasem ptaki i zwierzęta nauczyły się bardziej wystrzegać milczącej postaci przemykającej między drzewami i Lydia musiała zapuszczać się coraz dalej w głąb lasu. Ale las obfitował w zwierzynę i Lydia przynosiła jej tyle, że starczało zarówno na codzienne potrzeby, jak i na zapasy.

Thorn, Hal i Stig bardzo starannie przeglądali całą łódź, wyszukując w takielunku wszelkich przegniłych czy wystrzępionych fragmentów, sprawdzali złączenia, czy aby nie przeciekają i w razie czego natychmiast je uszczelniali.

Olinowanie stałe – ciężkie liny podtrzymujące masz i rejki – było w dobrym stanie. Przed wypłynięciem z Hallasholmu porządnie je nasmokowali; gruba czarna warstwa nie dopuściła do gnicia. Z olinowaniem ruchomym sprawa miała się zgoła inaczej. Fały i szoty, za których pomocą ustawiano żagle, z racji swej funkcji były stale narażone na tarcie. Ponieważ przechodziły przez drewniane bloki i jufersy, ciągle ocierały się o nie, strzępiły i traciły ochronną

powłokę ze smoły. Wszystkie uszkodzone fragmenty trzeba było skrupulatnie odnaleźć i wymienić.

Na koniec, podczas przyływu Hal przeciągnął łódź na wody zatoki podczas przyływu. Podczas odpływu łódź została na piasku, a wtedy przewrócili ją na bok i zdrapali warstwę pąkli i wodorostów, która narosła na kadłubie poniżej linii zanurzenia, oraz uszczelnili złączenia między klepkami, by na pewno nie przeciekały.

Mogli wykonać całą tę pracę dopiero teraz, kiedy poznali miejscową ludność i nabrali pewności, że nic im nie grozi. Wcześniej Hal nie dopuszczał myśli, że miałby wyciągnąć swoją ukochaną „Czaple” na brzeg, taką bezbronną, gdy nie wiadomo było, czy z lasu zaraz nie wyskoczy jakaś dzika agresywna horda.

Stig czas wolny przeznaczał na spotkania z Tecumszą. Często było ich widać, jak spacerują za rękę w lesie czy po plaży. Czasem wypływali canoe na zatokę. Stig bywał też u niej na obiadach – siadywali wówczas całą rodziną przed chatą, śmiali się i żartowali. Rodzice Tecumsy natychmiast polubili wysokiego jasnowłosego przybysza z obcych stron, przyjęli go do swego grona i traktowali jak starego przyjaciela. Młodszy brat Tecumsy, który miał dwanaście lat, darzył Stiga szacunkiem i uwielbieniem, traktował go niemal jak bohatera i wzorzec do naśladowania. Dla Stiga, którego młodość w Hallasholmie upłynęła pod znakiem hańby i odrzucenia, było to nowe i bardzo przyjemne doświadczenie. Rodzinna atmosfera rozgrzewała mu serce.

A przede wszystkim była Tecumsa – piękna, urocza, niezależna i pełna życia. Znalazł w niej idealną towarzyszkę, ich związek szybko się rozwijał.

– Co on robi, kiedy nadejdzie czas pożegnania? – zapytał Hal Thorn, patrząc na Stiga i Tecumcę, którzy siedzieli opodal, zaśmiewając się z czegoś, co właśnie powiedziała.

Thorn nie odpowiedział. Popatrzył tylko na szczęśliwą parę i powoli pokręcił głową.

A wizja odjazdu, powrotu do domu, jeszcze niedawno zdawałoby się niemożliwa, z każdym dniem nabierała coraz wyraźniejszych kształtów. W miarę jak rosły góry zapasów i naczyń z wodą, wśród załogi narastała atmosfera wyczekiwania. Jak tylko zmieni się wiatr, będą mogli postawić żagle i wyruszyć do domu. Nie mieli najmniejszych wątpliwości, że dotrą do celu. Niebicie wierzyli w umiejętności Hala, wiedzieli, że odnajdzie drogę.

Orvik wyczuwał napięcie panujące wśród jego młodych ziomek. Pomagał im przy naprawie łodzi, nauczył też Edvina, jak się robi pemikan – mieszkankę suszonego mięsa, jagód i tłuszczu, która potrafiła przetrwać długie tygodnie i stanowiła dobry zapas jedzenia na czarną godzinę, gdyby wszystko zjedli przed końcem podróży. W miarę jak Czaple czuły się coraz bardziej podekscytowane, Orvik z kolei coraz robił się coraz bardziej milczący. Wreszcie któregoś dnia podeszedł do Hala.

– Znajdzie się dla mnie miejsce? – zapytał, wskazując na łódź zakotwiczoną tuż przy brzegu. Hal uznał, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo i przeniósł ją tam na stałe z kryjóWKi między drzewami. W ten sposób łatwiej było ładować zapasy wody i jedzenia.

– Ależ oczywiście! – odparł bez wahania. – Będziemy bardzo szczęśliwi, jeśli do nas dołączysz!

Ale jego słowa wprawiły Orvika w jeszcze większe pomieszenie. Przywykł do nowego domu wśród Mawagów. Miał wśród nich wielu przyjaciół, na czele z Mohegasem, i myśł, że ma ich opuścić, wprawiała go w przygnębienie, tak jak niegdyś perspektywa pozostania wśród nich na zawsze.

Podniósł się i ruszył przed siebie, dręczony myślami. Kiedy nie miał szans na powrót do Skandii, tęsknił za znajomymi widokami, za ziemią rodzinną. Ale teraz z kolei wcale nie miał ochoty opuszczać Mawagów. Z rozmów z Czaplami wywnioskował, że w Hallasholmie sporo się zmieniło pod jego nieobecność. Wilcze okręty już nie najeżdżały krain za zachodzie i południu. Erak stworzył specjalną flotę, coś w rodzaju międzynarodowych sił obrony morskiej, która miała za zadanie walczyć z piratami i eskortować statki kupieckie z innych krajów na obszarach, gdzie istniało ryzyko ataku.

W dodatku wielu jego znajomych odeszło – poumierało bądź wyprowadziło się z Hallasholmu. Kiedy wypytywał Thorna o swych dawnych kompanów, ten tylko potrząsał głową. Nie wspominając już o tym, że jego najbliżsi przyjaciele, członkowie drużyny, wszyscy zginęli.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że być może jego miejsce jednak znajduje się pośród Mawagansettów.

W tych dniach toczyło się bardzo intensywne życie towarzyskie. Czasem Czaple chodziły do wsi całą grupą, czasem pojedynczo, na zaproszenie miejscowych rodzin. Oczywiście odwiedzali się zaproszeniami na wspaniałe obiady przyrządzane przed Edvina. Ulf i Wulf byli stałymi gośćmi we wsi i spędzali dużo czasu w towarzystwie Milliki i Pilliki. Przyjaciele i rodzina dziewczyn mieli bezustanny ubaw ze skandyjskich bliźniaków, którzy w ogóle nie dostrzegali, kiedy Millika i Pillika zamieniają się tożsamością. Co zaskakujące, w przeciwieństwie do Skandian Mawagansettowie odróżniali Ulfa i Wulfa bez pudła.

Pewnego wieczoru Hal, Thorn i Lydia siedzieli w obozowisku, czekając, aż Edvin ogłosi, że obiad podano, gdy ku ich zaskoczeniu z wizytą przyszła Tecumsa. Była sama – rzecz bardzo zastanawiająca, ponieważ Stig nie odstępował jej właściwie na krok. Widząc pytającą minę Hala, uśmiechnęła się i odpowiedziała na pytanie, którego nie zdążył zadać:

– Stig je z moją rodziną. Skorzystałam z okazji, by z wami porozmawiać. – Uniosła wysoko przykrytą tacę, którą trzymała w dłoniach i dodała: – Przyniosłam jedzenie. – Zauważyła, że reszta drużyny przygląda im się z zaciekawieniem i wskazała na miejsce kilka metrów dalej. –

Usiądźmy tam. Chciałabym porozmawiać z wami trojgiem na osobności.

Zaintrygowani, podnieśli się i przeszli kawalek dalej. Tecumsa postawiła tacę na ziemi i zabrała tkaninę. Ukazały się trzy naczynia z jedzeniem oraz cztery drewniane puste miseczki i łyżki. Kiedy uniosła pokrywkę, w powietrzu rozeszły się smakowite aromaty. Naczynia kryły w sobie potrawkę z królika, mieszankę warzyw – kukurydzy, słodkich ziemniaków i fasoli – oraz gęstą pikantną zupę z ryb i owoców morza. Tecumsa zreżymnie napełniła nią naczynia i podała całość trójce.

Hal nabrał zupy na łyżkę, podmuchał, skosztował i uśmiechnął się do Tecumсы.

– Pyszna – powiedział.

Tecumsa kiwnęła głową w podziękowanie.

– Mama ją ugotowała. Jest lepszą kucharką ode mnie.

– Już wiem, czemu Stig spędza tyle czasu w waszej chacie – powiedział Thorn, pospieszny mi ruchami wkładając kolejne łyżki do ust i chlapiąc przy tym dokoła.

Lydia popatrzyła na niego, unosząc brwi.

– Spróbuj czasem trafić do ust – rzuciła wyniośle, a Thorn wyszczerzył się szeroko, ani trochę nie przejawszysię uwagą, i otarł wargi wierzchem dłoni.

Kiedy Hal odstawił pustą miskę, Tecumsa zapraszającym gestem dała mu znak, by częstował się pozostałymi daniami. Widząc, że miska Lydii również jest pusta, sięgnął po naczynie, napełnił je potrawką z królika i warzywami, podał Lydii i dopiero wtedy nałożył sobie.

Tecumsa przyglądała się temu z zaciekawieniem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała.

Hal wzruszył ramionami.

– Mama dałaby mi po uszach, gdybym najpierw nałożył jedzenie sobie, a nie damie – wyjaśnił.

Tecumsa kiwnęła głową, zapisując tę informację w pamięci.

– W naszym pleminiu wszyscy są równi – powiedziała.

Thorn uśmiechnął się szeroko.

– U nas jest tak samo – odparł, sięgając po naczynie z potrawką. – Tylko Lydia jest równiejsza od reszty.

Lydia tylko wywróciła oczami, nic nie mówiąc.

Hal skosztował potrawy, która okazała się nawet smaczniejsza od zupy rybnej. Potem odstawił miskę i popatrzył na piękną dziewczynę z pleminia Mawagansettów.

– A więc, Tecumso, o co chodzi?

Uśmiechnęła się niewinnie.

– Czyżby nie smakowało ci jedzenie? – W jej głosie pobrzmiwała łobuzerska nutka i Hal

mimo woli musiał się uśmiechnąć.

– Jest wyśmienite. Ale przypuszczam, że nie przysłałaś tylko po to, by nas nakarmić.

Nie mógł również nie zauważyć, zresztą nie po raz pierwszy, jej niezwyklej urody: oliwkowej nieskazitelnej cery i ciemnobrazowych oczu lśniących figlarnie.

– Jesteście przyjaciółmi Stiga. Chciałabym bliżej was poznać. Pragnę, byście zostali również moimi przyjaciółmi.

Thorn radośnie czknął i powiedział:

– Dalej przynoś nam takie pyszności, a na pewno się zaprzyjaźnimy.

Tecumsa uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała.

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś o waszej drużynie – zwróciła się do Hala. – Sporo tych braci. – Wskazała na pozostałych członków załogi, siedzących opodal przy ognisku.

– Nie jesteśmy prawdziwymi braćmi – odparł Hal. – Chociaż sądzę, że pod wieloma względami jesteśmy sobie bliżsi niż prawdziwe rodzeństwo. Stworzyliśmy tę grupę, by razem trenować, żeglować i walczyć. Darzymy się wzajemnym zaufaniem. Zależymy od siebie. I wiemy, że żaden z członków drużyny nigdy nie zawiedzie pozostałych.

– Stig powiedział, że to ty stworzyłeś drużynę?

Hal powoli pokłwał głową, wracając we wspomnieniach do czasów, które zdawały się tak odległe.

– Zgadza się. Wszyscy jesteśmy wyrzutkami. Tamtego dnia, kiedy tworzyły się drużyny, nas nikt nie chciał przyjąć, uznałem więc, że potrzebujemy się nawzajem. Pewnie dlatego łączące nas więzy są takie mocne.

– Tamtego roku wygrali zawody drużyn – wtrącił Thorn z wyraźną dumą w głosie. Hal niedbale machnął ręką.

Tecumsa spojrzała na Lydię, która po słowach Thorn'a uważnie popatrzyła na Hala.

– A ty? Raczej nie jesteś bratem? – spytała Tecumsa z uśmiechem.

Lydia też się uśmiechnęła.

– Ja dołączyłam później – odparła. – Pewnie jestem siostrą wszystkich braci. Kimś w rodzaju członka honorowego.

– Wcale nie honorowego – wtrącił Hal. – Należysz do drużyny na takich samych zasadach jak pozostali.

Lydia skłoniła głowę, biorąc te słowa za wielki komplement.

– Dziękuję – powiedziała.

Tecumsa zwróciła się teraz do Thorn'a:

– Ale ty nie jesteś jednym z braci?

Lydia zaśmiała się.

– W pewnym sensie jest największym wyrzutkiem z nich wszystkich.

Thorn posłał jej rozbawione spojrzenie, po czym odparł:

– Tym razem Lydia ma rację. Był taki czas w moim życiu, kiedy całkiem dałem za wygraną, raz położyłem się w śniegu z nadzieją na rychłą śmierć, ale matka Hala zlitowała się nade mną i mnie ocaliła.

Tecumsa przekrzywiła głowę i popatrzyła na niego z zacięciem.

– A jak tego dokonała?

Thorn uśmiechnął się szeroko.

– Kazała Halowi wylać na mnie wiadro wody – odparł.

Tecumsa zrobiła nieco zdziwioną minę.

– Niezwykły sposób jak na rozwiązanie takiego problemu – stwierdziła, wyraźnie rozbawiona.

Thorn zgodnie pokiwał głową.

– Bo to jest niezwykła kobieta.

– Co masz na myśli, mówiąc, że dałeś za wygraną?

Thorn zamyslił się i po chwili powiedział:

– Użalałem się nad sobą. Sądziłem, że świat wyrządził mi wielką niesprawiedliwość.

– Przez twoją biedną rękę – powiedziała Tecumsa, tak po prostu, i delikatnie dotknęła palcami drewnianego haka.

Lydia i Hal zastygli, nie wiedząc, jak Thorn zareaguje. Ludzie zwykle nie poruszali tego tematu. Wyczuwali, że nie jest to temat do rozmów. Ale w głosie Tecumсы nie było śladu nachalności i wścibstwa, wyłącznie współczucie i szczerze zainteresowanie. A jej ciemne oczy patrzyły z takim zrozumieniem, że Thorn nie mógł poczuć się urażony. Spojrzał na jej szczupłe palce spoczywające na drewnianym haku, gładko wypolerowanym, ale noszącym blizny i ślady wielu miesięcy użytkowania i ciężkiej pracy.

Ku wielkiej uldze Hala i Lydii uśmiechnął się do Tecumсы.

– Tak z powodu ręki.

– Musiałeś bardzo to przeżyć – powiedziała. – Stig mówi, że byłeś wspaniałym wojownikiem.

Nim Thorn zdążył odpowiedzieć, Hal wtrącił:

– Nadal jest.

Tecumsa posłała mu uśmiech.

– Stig też tak twierdzi. – Potem znów zwróciła się do Thorn: – A więc jaką pełnisz rolę w drużynie?

– Trenuję ich, dyscyplinuję. Kopię po tyłkach, kiedy się lenią i wydieram się, kiedy zrobią coś głupiego – wyjaśnił, a po chwili dodał: – Czasem mam roboty po uszy, zapewniam.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

– A mnie się wydaje, że wcale nie jesteś taki groźny i porywczy, za jakiego próbujesz uchodzić.

Thorn lekko poczerwieniał i nic nie powiedział.

Lydia przerwała milczenie:

– Ależ owszem, uwierz mi. Bywa naprawdę straszny.

Teraz Tecumsa przeniosła spojrzenie na Lydię. Popatrzyła jej prosto w oczy.

– Odnoszę wrażenie, że darzysz go wielką sympatią, podobnie jak on ciebie.

Tym razem to Lydia się zarumieniła. Zorientowała się, że dziewczyna przejrzała ich kłótnie i ciągle przekomarzania – i dostrzegła, że tak naprawdę są wyrazem głębokiego przywiązania.

– No, może nie jest aż taki zły – rzuciła Lydia, uciekając wzrokiem przez poważnymi oczami Tecumсы.

Hal cicho się zaśmiał.

– Tak się cieszę, że ktoś wreszcie was zdemaskował.

Gawędzili przez kolejną godzinę, odpowiadając na pytania Tecumсы dotyczące drużyny, ich wspólnego działania, „Czapli” i umiejętności Hala w precyzyjnym nawigowaniu łodzi. Ten temat z dużym zaangażowaniem omawiał Thorn. Tecumsa dostrzegła, że stary wilk morski darzy młodego skirla wielkim szacunkiem i uwielbieniem. Mówili również o Stigu, o jego niezwykłych umiejętnościach w starciach bitewnych i o początkach przyjaźni z Halem. Tecumsa słyszała historię o tym, jak uratował Stiga przed utonięciem, ale chciała usłyszeć ją jeszcze raz z ust samego Hala. Jego skromność zrobiła na niej wielkie wrażenie. Dobrze wiedziała, że wielu młodych mężczyzn z jej plemienia w takiej sytuacji strasznie by się przechwalało.

Wieczór powoli zmienił się w noc. Cała trójka była pod wielkim urokiem Tecumсы, jej urody, wrażliwości i naturalnego niewymuszonego ciepła. Jeśli, tak jak twierdziła, przyszła, by zawiązać z nimi przyjaźń, to odniosła sukces przerastający wszelkie oczekiwania. Odprawdzili ją do ścieżki wiodącej między drzewami do wsi Mawagansettów i tam się pożegnali.

– Odprawdzę cię do samego domu – zaproponował Hal, Tecumsa jednak uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Nie trzeba. Stig czeka na zakręcie.

I rzeczywiście, kiedy popatrzyli w tamtą stronę, ujrzeli wysoką postać opartą o drzewo. Tecumsa podeszła do niego, złączyli dłonie i znikli w ciemności.

– Cóż za niezwykła dziewczyna – powiedział miękko Thorn. I dorzucił z uśmiechem: – Gdybym był kilka lat młodszy...

– ...nadal mógłbyś być jej ojcem – uprzejmie dokończyła Lydia.



ROZDZIAŁ 30



Kilka dni po spotkaniu z Tecumszą Hal poruszył w rozmowie ze Stigiem temat powrotu do domu. Stig właśnie wrócił z wyprawy wędkarskiej w towarzystwie Simsinneta i przyniósł cały stos ryb. Kiedy Simsinnet się pożegnał i ruszył ścieżką przez las w stronę wsi, Stig zaczął obrabiać ryby.

– Robi sympatyczne wrażenie – rzucił Hal, wskazując na Mawaga, który zatrzymał się przy grupce Czapli, by powiedzieć dobranoc.

Stig kiwnął głową.

– Zdumiewające, jak dobrze można się z kimś porozumieć, kiedy zacznie się znajomość od bójk – stwierdził. – Okazało się, że wiele nas łączy.

– Pewnie po naszym odjeździe znów zacznie zalecać się do Tecumsy – rzucił Hal od niechcienia.

Stig podniósł wzrok, jego czoło przecięła zmarszczka. Nic nie powiedział.

– Bo chyba nie planujesz się z nią ożenić czy coś w tym stylu? – ciągnął Hal.

I tym razem Stig nie odpowiedział. Cisza była nie do zniesienia. Zdawała się sugerować, że w powietrzu wisi coś ważnego – coś, na co Hal nie jest przygotowany.

– Nie jestem pewien, czy z wami popłynę – powiedział Stig.

Z przerażenia Hal aż odskoczył do tyłu. Różnych rzeczy się spodziewał, ale na pewno nie czegoś takiego.

– Jak to? – wykrzyknął. – Ale musisz! Jesteśmy twoją drużyną. Jesteśmy jak rodzina! Ciebie wybrałem pierwszego! Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Stig unikał jego spojrzenia, uparcie kręcił głową.

– No wiesz, pewne rzeczy się zmieniają.

Hal był na granicy hysterii.

– Nie! Nie wiem! Jak to, się zmieniają? Jesteś jednym z nas. Jesteś Czapłą. To się nigdy nie zmieni!

– Ale Kocham Tecumse – odparł Stig bardzo cicho. Po raz pierwszy głośno to przyznał, nawet przed sobą.

Hal rozłożył ręce w bezradnym rozpaczliwym geście.

– To zabierz ją ze sobą! Może popłynąć z nami do Hallasholmu!

Ale Stig już kręcił głową.

– Nie byłyby tam szczęśliwa. Wszystko byłoby dla niej obce.

– A tutaj wszystko jest obce dla ciebie – zauważył Hal. Stig uśmiechnął się ze smutkiem.

– Nie całkiem. Mam tu przyjaciół. Jest Simsinnet i cały krąg jego znajomych, a rodzina Tecumsey mnie zaakceptowała. Wiem, że będę tu szczęśliwy.

Hal poczuł szczypiące łyżki pod powiekami na myśl, że go straci. Stig – wielki, silny, godny zaufania. Główny maszt całej załogi, prawa ręka Hala, zawsze obok, kiedy potrzebne było jego wsparcie.

– Ale... – zaczął Hal. Nie wiedział jednak, co powiedzieć.

Stig pochylił się, chwycił go za ramię i mocno ścisnął.

– Wszystko się ułoży. To nie koniec świata. Znajdziesz kogoś na moje miejsce. W Hallasholmie jest mnóstwo młodych mężczyzn, którzy z radością skorzystają z okazji, by stać się częścią drużyny Czaplów.

– Ale ja nie chcę nikogo na twoje miejsce. Chcę ciebie! Proszę, powiedz, że się jeszcze zastanowisz. – Hal nie potrafił pogodzić się z myślą, że miałby zostawić Stiga na obcej ziemi. Jakby tkanina tworząca obraz jego świata nagle się porwała.

– Różne rzeczy się zmieniają. Ludzie się zmieniają. Sytuacja się zmienia. Spędziłem kilka wspaniałych lat z tobą i całą drużyną. Ale teraz czas ruszyć dalej, wkroczyć w kolejną fazę życia. Z Tecumse. Tutaj.

– A twoja mama? Będzie zrozpaczona! – powiedział Hal w nadziei, że tym argumentem przekona przyjaciela.

Twarz Stiga zasnuł cień smutku.

– Tak żałuję, że nie pozna Tecumsey. Ale rozumie. – Uśmiechnął się słabo. – Wy tłumaczysz jej.

Hal źle spał tej nocy, przewracał się z boku na bok, nie mógł przestać myśleć o decyzji Stiga. Przypomniawszy sobie, co powiedziała matka wiele lat temu, kiedy obiecał, że zawsze będzie przy niej.

– Ruszysz dalej. Młody mężczyzna poślubia nie tylko swoją wybrankę, lecz również jej rodzinę. Tak to już jest. A matkę dobrze o tym wiedzą i akceptują ten fakt.

Teraz Hal uświadomił sobie, że miała rację. Postanowił jednak, że mimo wszystko będzie namawiał Stiga, by zabrał Tecumse do Hallasholmu. Lydia mogłaby pomóc. W końcu sama

opuściła swój kraj rodzinny i zamieszkała w Skandii. Mogłaby opowiedzieć Tecumsi, jakie to wspaniałe miejsce do życia.

Zaraz jednak pojawiły się wątpliwości. Lydia nie zostawiła rodziny. W dodatku raczej spaliła za sobą wszystkie mosty i nie było dla niej powrotu do tamtejszej społeczności, ponieważ „uwolniła” woreczek diamentów, by zapłacić Czaplom za pomoc. Oczywiście nie zapytała uprzednio o pozwolenie. Tecumsa zaś zostawiłaby rodziców, brata i całą gromadę wujów, ciotek i kuzynów. Tych dwóch sytuacji nie dało się porównać.

– Ale wszyscy byśmy ją wspierali. – Hal nie zdawał sobie sprawy, że wypowiedział te słowa na głos, do chwili gdy Stefan śpiący na drugim końcu chaty, zawołał cicho:

– Hal! Wszystko w porządku?

– Tak Przepraszam. Śpij dalej.

Usłyszał, jak Stefan naciąga kocy i przewraca się na drugi bok. Próbował zrobić to samo, ale jego umysł wciąż pracował na pełnych obrotach. Godzinę przed świtem wreszcie przysnęła, ale gadał i rzucał się przez sen – śniło mu się, że odpływają do domu, a Stig zostaje na obcej ziemi i macha im na pożegnanie.

Coś obudziło go tuż po wschodzie słońca. Wyraźnie poczuł, że coś się wydarzyło. Usiadł na posłaniu, przekrzywiając głowę i nasłuchując. Odrzucił koc, wstał, wymknął się z chaty i ruszył w kierunku palisady. Ulf, który stał na straży, spojrział z zaciekawieniem na skirła. Hal nie powiedział reszcie drużyny o wstrząsającej decyzji Stiga, większość jednak zauważyła, że dzieje się coś złego.

– Hal! Wszystko w porządku? – zapytał Ulf, nieświadomie powtarzając słowa Stefana.

Hal nie odpowiedział. Wciągnął w nozdrza rześkie poranne powietrze.

– Słyszałeś coś? – zapytał.

Ulf potrząsnął głową i ziewnął.

– Nie. Ale chciałbym usłyszeć kroki Wulfa zmierzającego tutaj, by mnie zmienić. A czemu pytasz?

Hal zrobił kilka kroków, wysoko unosząc głowę, nasłuchując i rozglądając się uważnie. Czuł, że coś się zmieniło. I po chwili już wiedział. Przez cały czas ich pobytu wiatr z północnego wschodu przez wąski przesmyk nagoniał do zatoki fale, które nieustannie rozbijały się o brzeg. Ich szum wraz z szelestem wiatru w koronach drzew tworzył akompaniament stale przygrzywający w tle.

Teraz morze milczało. Drzewa milczały.

Wiatr zmienił kierunek. Wiał teraz z południowego zachodu.



ROZDZIAŁ 31



Po przebudzeniu reszta załogi również dostrzegła zmianę w przyrodzie. Nawet Lydia, niezbyt wyczulona na takie sprawy, zauważyła, że coś się stało.

– Wiatr zmienił kierunek – wyjaśnił Ingvar. – Możemy wracać do domu.

Kiedy wszyscy uświadomili sobie, że już wkrótce będą mogli wyruszyć w drogę powrotną, w obozie zapanował podniosły nastrój. Tylko Stig wydawał się przygnębiony. Widmo rychłego pożegnania z przyjaciółmi stawało się coraz bardziej realne. Odszedł na bok, zwiesił głowę i ramiona. Hal popatrzył za nim z ciężkim sercem.

Thorn wyczuł, że coś jest nie tak. Wziął Hala na bok, by mogli porozmawiać na osobności.

– Dobra. Gadaj, co się dzieje. Pokóciłeś się ze Stigem? – zapytał. Spodziewał się usłyszeć, że poszło o jakiś drobiazg. I kiedy usłyszał odpowiedź, po prostu oniemiał.

– Zamierza zostać.

– Zostać? Gdzie? Tutaj? O czym ty mówisz?

– Twierdzi, że kocha Tecumse.

Thorn z namysłem pogładził brodę. Pamiętał, jak jego przyjaźń z Mikkelem, ojcem Hala, przeszła poważną próbę wraz z przybyciem pięknej niewolnicy imieniem Karina. Później naprawili kontakty, ale przez jakiś czas wyglądało to bardzo źle, Thorn już myślał, że ich przyjaźń nie przetrwa.

– O... – powiedział tylko. Już rozumiał gniewną minę Hala i przygnębienie bijące od Stiga, samotnie spacerującego po plaży. – To nieco komplikuje sprawy. Czy on jest pewny, że tego chce?

Hal bezradnie wzruszył ramionami.

– Na to wygląda. Najwyraźniej wszystko dokładnie przemyślał. Mówi, że jego miejsce jest tutaj, u jej boku, wśród jej rodziny. Twierdzi, że będzie tutaj szczęśliwy.

– Nie wątpię. Taka dziewczyna każdego mężczyzny uczyniłaby szczęśliwym – odparł Thorn.

– Szłoda, że się w ogóle urodziła! – wykrzyknął Hal. Thorn położył mu dłoń na ramieniu.

– Też kiedyś tak życzyłem jednej dziewczynie. – Kiedy Hal spojrzął na niego z zaciekawieniem, dodał: – Twojej mamie.

– Mojej mamie? – powtórzył Hal, zaskoczony.

Thorn nie od razu odpowiedział. Sam zadał pytanie:

– Przede wszystkim, przecież nie czujesz nienawiści do Tecumсы? Tak naprawdę?

Hal zawahał się, gotów do kłótni, ale spuścił wzrok i odparł:

– Nie. Tecumса jest wspaniałą dziewczyną. I jestem pewien, że Stig będzie z nią bardzo szczęśliwy.

– Uświadomiłem sobie to samo, jeśli chodzi o twoją mamę, kiedy Mikkel postanowił się z nią ożenić. Poczułem się niepotrzebny, odsunięty na bok

– Ale przecież wcale tak nie było. Mieszkałeś w pobliżu, mogłeś spotykać mojego ojca, kiedy tylko chciałeś. To zupełnie inna sytuacja. Kiedy odplyniemy, już nigdy nie zobaczę Stiga.

– Możesz kiedyś wrócić – powiedział Thorn.

Hal potrząsnął głową.

– Nie. Nie zamierzam robić notatek – Hal zauważył zaskoczoną minę Thorną. Zawsze dokładnie zapisywał przebieg podróży: kierunki wiatrów, prądy i tak dalej, by móc w przyszłości odtworzyć trasę. Hal wyjaśnił: – Jeśli wrócimy, inni ruszą w ślad za nami, kolejni i kolejni. Nie sądzę, by Mawagansettowie życzyliby sobie napływu obcych z drugiego końca świata, którzy wedrą się w ich dotychczasowe życie, zaczną zmieniać obyczaje. Nas jest tylko dziesięcioro, ale pomyśl, co by się stało, gdyby przybyła tu setka Skandian czy dwie? Miejsce bezpowrotnie by się zmieniło i niekoniecznie na lepsze. Mawagansettowie okazali nam wielką serdeczność, postąpilibyśmy nielojalnie, gdyby z tego powodu ich świat miał się rozpaść.

Thorn popatrzył na niego z podziwem.

– Zawsze powtarzałem, że z ciebie prawdziwy myśliciel. To bardzo mądra postawa, zwłaszcza jak na kogoś w tak młodym wieku.

Hal pozwolił sobie na smętny uśmiech.

– Hm, kto wie? Może Stig jednak zmieni zdanie, jak przyjdzie co do czego.

– Może – powiedział Thorn, ale bez przekonania. Pomyślał, że w sprawie takich dziewczyn jak Tecumса raczej nie zmienia się zdania. I przy puszczał, że Hal też to przeczuwa.

Ruszyli z powrotem do obozu. Edwin właśnie podawał śniadanie. Wzięli po kawałku chleba z kukurydzianej mąki i kilka plasterków wędzonego pstrąga. Kawa już się kończyła, zamiast niej dostali aromatyczny napar z ziół, gorący i odprężający. Siedli z kubkami w rękach na ziemi, opierając się plecami o pień drzewa.

Lydia podeszła do nich i zapytała, rozglądając się dokoła:

– Gdzie Stig? – Zaraz sama sobie odpowiedziała: – Pewnie z Tecumśą. – Polubiła dziewczynę z plemienia Mawagansettów. Rościła sobie pewne prawa do Stiga i Hala, traktowała ich jak braci i początkowo obserwowała rozwijający się związek z pewną rezerwą. Ale im bliżej poznawała Tecumśę, tym większą czuła do niej sympatię – za jej szczerość, otwartość i radosne nastawienie do życia. Zastanawiała się, co będzie z tą dwójką, kiedy nadejdzie czas, by wyruszyć w drogę powrotną. Ale nie traktowała swych wątpliwości zbyt poważnie. W głębi serca była przekonana, że Stig pożegna się i odpłynie razem z nimi. Rozstanie będzie smutne, lecz na pewno jakoś to znieśie. Lydia nie zamierzała za bardzo się tym martwić. Jakoś go rozwesela. W końcu od czego są przyjaciele.

Ani Hal, ani Thorn jej nie odpowiedzieli, więc zabrała się za śniadanie.

Kiedy wszyscy dostali swoje porcje, Edvin napełnił swój talerz i podszedł do ich trójki.

– Kiedy zamierzasz wypłynąć? – spytał Hala.

Ten podniósł głowę i popatrzył na linię drzew za obozowiskiem, których korony przyginał wiatr z południa.

– Nie ma pośpiechu – odparł. – Spokojnie zdąży sz zgromadzić wszystkie potrzebne zapasy.

Po namyśle Edvin odparł:

– Właściwie niewiele więcej nam potrzeba. Chciałbym dodać jeszcze kilka naczyń z wodą i trochę świeżych warzyw i możemy ruszać.

Beczki będące stałym wyposażeniem łodzi już jakiś czas temu napełnili wodą – wcześniej naprawiwszy tę przeciekającą – a Mawagansettowie dodatkowo dali im gliniane naczynia odpowiednie do przewożenia wody. Na pokładzie nadal było miejsce na więcej. Hal chciał zabrać, ile tylko się da.

– Zaczekajmy jeszcze kilka dni – powiedział. – Chciałbym się upewnić, że ta zmiana pogody nie jest chwilowa.

Edvin kiwnął głową. Pomyślał, że to sensowna decyzja. Nie chcieliby przecież, by podczas podróży wiatr znów zaczął wiać z północnego wschodu i zepchnął ich z obranego kursu.

W milczeniu dokonali śniadania. Hal nie pierwszy raz stwierdził w myślach, że mają prawdziwe szczęście. Bez względu na to, w jakim zakątku świata by się nie znaleźli i jakimi produktami dysponowali, Edvin zawsze potrafił wyzaczarować pyszne, pożywne posiłki.

– Pewnie zaraz oznajmi, że zostaje i otwiera restaurację na spółkę z miejscowymi damami – ponuro mruknął Hal pod nosem.

Odstawił brudny talerz i kubek na drewniany stojak. Tym razem obowiązki w kuchni pełnili Stefan i Ingvar. Jednym z przywilejów związanych z pozycją skirła było to, że nie musiał pełnić dyżurów związanych z życiem obozowym. Oczywiście za to w razie konieczności stał przy sterze przez osiem-dziesiąt godzin z rzędu.

Podszedł do palisady i popatrzył na zatokę. Wiatr ciągle wiał z południa. Powierzchni wody już nie marszczyły fale. Hal przesunął wzrok i zobaczył Stiga, wolnym krokiem idącego w stronę obozowiska po mokrym piachu wzdłuż linii wody, z opuszczoną głową i smętnie zwisającymi ramionami.

– Wiem, jak się czujesz – powiedział cicho. Nagle z ponurego zamyślenia wyrwał go radosny głos.

– Dzień dobry, Halu.

Czujnie uniósł głowę. Obok drabiny stał Simsinnet. Ostatnio przestali ją wciągać na noc, ale młody Mawag uważał, że poważnie naruszyłyby etykietę, gdyby wspiął się na palisadę bez zaproszenia.

– Dzień dobry – odparł Hal i zapraszająco machnął ręką. – Wejdz.

Ale Simsinnet pokręcił głową.

– Mohegas pyta, czy zechcecie przyjść do wioski.

Hal z zacięciem przekrzywił głowę. Raczej nie zdarzało się, by domagano się wizyt całej ich trójki naraz. Pomyślał, że może ma to coś wspólnego ze zmianą kierunku wiatru.

– Jakś problem? – spytał.

Simsinnet wzruszył ramionami.

– Nie powiedział. Ale ostatniej nocy przybył posłaniec z północy. Może o to chodzi.

Hal odwrócił się i uchwycił wzrok Thorny, który zauważył Simsinneta i przyglądał im się z zainteresowaniem. Hal machnął do niego i wskazał na ścieżkę wiodącą do wsi. Thorn dał znak, że zrozumiał, i ruszył w ich stronę. Hal wspiął się po drabinie wewnętrznej i przystanął na ostatnim szczeblu. Stig nadal znajdował się kilkaset metrów dalej. Hal wsadził palce do ust i przenikliwie zagwizdał.

– Też chciałbym tak umieć. – Simsinnet uśmiechnął się.

Stig podniósł wzrok, a Hal przywołał go niecierpliwym gestem. Stig przyspieszył kroku.

– Co się dzieje? – zapytał Thorn.

– Mohegas chce się z nami spotkać.

Thorn kiwnął głową.

– Pewnie zamierza zapytać, kiedy wyruszamy.

– Też tak pomyślałem – odparł Hal. – Ale Simsinnet wspomniał, że w nocy przybył posłaniec z północy.

Zeszli na plażę i zaczęli na Stiga. Simsinnet wesoło go powitał, a Stig kiwnął głową w odpowiedzi. Spojrzał na Hala pytającym wzrokiem.

– Mohegas chce z nami rozmawiać – wyjaśnił Hal. Potem ruszyli za Simsinnetem ścieżką biegnącą przez las do wioski Mawagansettów.

Słońce wisiało jeszcze zbyt nisko na niebie, by przebić się przez korony drzew. W milczeniu kroczyli pośród ciemnozielonych cieni. Drobne ptaki i zwierzęta umykały im z drogi, poszyście szeleściło.

W końcu wyszli na polanę, na której stały chaty Mawagansettów. Mieszkańcy witali ich jak zwykle, ale Hal wyczuwał napięcie. Wydawali się podenerwowani, na twarzach brakowało uśmiechów.

– Coś jest nie tak – powiedział cicho.

Mohegas pojawił się w wejściu do chaty, zapewne uprzedzony o ich przybyciu przez kogoś ze strażników. Pochylił się w niskim przejściu i stanął w porannym słońcu. Kiedy podeszli bliżej, przywitał ich i zaprosił do środka.

Powietrze w chacie było ciepłe i zasnuite dymem. Nad paleniskiem znajdował się otwór, ale nie do końca spełniał swoją funkcję. Podeszli za Mohegasem do ognia i usiedli na ziemi, krzyżując nogi, a żona Mohegasa, Pacahan, przyniosła kubki z ziołowym naparem.

Stig i Thorn utkwili spojrzenia w Halu, czekając, aż zacznie rozmowę.

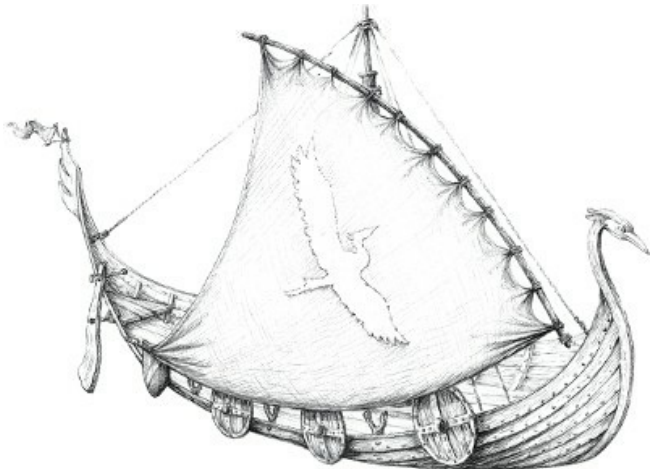
– O co chodzi, Mohegasie? – zapytał.

Mohegas wziął głęboki wdech, jakby obawiał się, że kiedy przedstawi problem, stanie się on bardziej realny.

– Ludzie-Upiory wrócili – powiedział. – Są w osadzie oddalonej o pięć dni stąd. I zmierzają dalej na południe.



CZĘŚĆ CZWARTA



LUDZIE-UPIORY

ROZDZIAŁ 32



To była nieprzyjemna niespodzianka. Stig wymruczał pod nosem przekleństwo. Czuł się bardzo związany z plemieniem Mawagansettów i nie mniej od nich bał się nadejścia Upiorów.

Thorn zachował spokój i obojętność, jak to on. I zadał zasadnicze pytanie:

– Co zamierzacie zrobić?

Mohegas wzruszył ramionami, a Stig impulsywnie wykrzyknął:

– Będziemy walczyć! – Jego twarz ściągnął gniew na myśl o wypacykowanym na białą agresorach zagrażających jego nowemu domowi.

Mohegas uniósł jedną brew.

– Jest ich ponad setka – powiedział. – Sami wojownicy. My jesteśmy w stanie zebrać zaledwie czterdziestu. A nasi młodzieńcy ćwiczą się raczej w sztuce łowiectwa i rybołówstwa niż w sztukach wojennych.

– Pięćdziesięciu razem z nami – odparł Stig. – A my jesteśmy wytrenowani w boju. Poza tym mamy lepszą broń niż Upiory. To w znacznym stopniu zrównoważy ich liczebną przewagę.

Mawagansettowie posługiwali się włóczniami, łukami i maczugami. Nie znali jednak żelaza. Groty robili z kamienia bądź krzemienia, maczugi również z kamienia lub bardzo twardego drewna. Można było przypuszczać, że Upiory dysponują podobną bronią. Topory i miecze Czaplci z pewnością mogły okazać się znacznie skuteczniejsze. W dodatku, jak już zauważył Stig, członkowie drużyny byli wyćwiczeni w sztuce wojennej i potrafili walczyć jako grupa, co również łagodziło przewagę liczebną wroga. Mohegas spojrział z zaciekawieniem na Hala i Thornę, którzy przez cały czas milczeli. Stigowi umknął jeden zasadniczy szczegół. Po chwili Mohegas powiedział:

– Wieje wiatr z południa. Możecie w każdej chwili wypłynąć. To nie jest wasza walka.

Stig zareagował bardzo gwałtownie:

– Ależ oczywiście, że to jest nasza walka! Okazaliście nam wielką serdeczność i gościnność.

Nie zamierzamy odwrócić się do was plecami i zwiać w takim momencie! – Zaapelował do Hala: – Prawda? Nie zostawimy ich w potrzebie. To nasi przyjaciele!

Hal potrząsnął głową.

– Nie. Nie uciekniemy. Jeśli Mawagowie potrzebują pomocy, musimy im pomóc.

Stig odetchnął z ulgą. Od początku założył, że jego towarzysze go wesprą. Słowa Mohegasa uświadomiły mu, że wcale nie jest to takie oczywiste.

– Będziecie walczyć? – spytał Thorn.

Mohegas zawahał się, popatrzył na swoją chatę, taką przytulną i schludną. To był jego dom. Czuł się tutaj szczęśliwy, myślał, że miałby oddać to miejsce na pastwę Upiorów, spokojnie czekać, aż wszystko spłądrują i spalą, napełniała go wielką goryczą.

– W przeszłości – powiedział – zawsze ukrywaliśmy się w lesie.

– I patrzyliście, jak niszczą wasze domy – rzucił Thorn. – Przypuszczam, że raczej nie bawicie się przy tym zbyt dobrze.

Brwi Mohegasa złączyły się w jedną ciemną linię.

– Nienawidzę tego – odparł cicho, ale głosem pełnym gniewu.

– Cóż, może nadszedł odpowiedni moment, by wreszcie coś z tym zrobić – stwierdził Thorn. – Trenowałem tych chłopców do walki i wiem, że są dobrzy. Rzekłbym, że nasza dziesiątka spokojnie może się równać z trzydziestką tych wymalowanych na biało gołodupców. Prawie na pewno nie wiedzą o naszej obecności, więc mamy przewagę w postaci elementu zaskoczenia. I jeśli tym razem przytrzymamy im nosa, to następnym dwa razy się zastanowią, nim ponownie was zaatakują.

Mohegas zrobił zamyśloną minę.

– Może gdybyśmy mogli pożyżyć waszą specjalną broń. Tę, którą nazywacie Zaganiaczem?

– Zadymiarzem – poprawił Hal. Po namyśle stwierdził: – Na pewno przeżyliby niezły szok. Ale czy to by wystarczyło, żeby zyskać przewagę? Nie jestem pewien. Może... – zawiesił głos. W jego głowie powoli formował się zarys planu. Thorn i Stig wbili w niego wyczekujące spojrzenia. Dobrze znali tę roztargnioną, nieobecną minę.

– Co wymyśliłeś? – zapytał Thorn, ale Hal tylko machnął ręką. Potrzebował jeszcze trochę czasu. Thorn dał Mohegasowi ostrzegawczy znak. Mohegas w milczeniu kiwnął głową. Wpatrywali się w Hala, który siedział z opuszczoną głową, pogrążony w intensywnych rozmyśleniach. W końcu podniósł wzrok. Pytanie, które zadał, kompletnie ich zaskoczyło. Jak zwykle w takich sytuacjach jego umysł wykonywał niezłe akrobacje.

– Wasze łuki – zwrócił się do Mohegasa. – Z jakiego drewna je robicie?

Brwi Mawaga podjechały do góry. Nie spodziewał się takiego pytania.

– Z drzew rosnących w okolicy, ale nie wiem, jak je nazywacie. Drewno jest twarde

i sprężyste, dla wzmocnienia pokrywamy je skórą.

Hal kiwnął głową. Łuki Mawagansettów miały krótkie grube ramiona zrobione z mocnego drewna i mimo niewielkich rozmiarów wyrzucały strzały z zaskakującą siłą i prędkością.

– A możecie zrobić takie większych rozmiarów? – zapytał. – Takie? – Tu rozłożył ramiona. – I znacznie grubsze? Może dwa razy grubsze od zwykłego łuku?

Mohegas odparł po namyśle:

– Nie widzę przeszkód. Po prostu trzeba użyć grubszych gałęzi. Ale nikt nie zdoła naciągnąć łuku tej wielkości. Drewno będzie zbyt sztywne – zauważył.

Hal jednak odparł:

– To niemożliwe. Wymyślę jakiś sposób. – Zwrócił się do Thorny: – Czy ta wieś stanowi dobry punkt obronny?

Thorn z namysłem wykrzywił wargi.

– W tym momencie nie – odparł. – Ale gdyby zbudować palisadę taką jak wokół obozowiska, to od razu zmieniliby sprawę. Można by przeciągnąć oba krańce aż do strumienia, który płynie za wsią, umieścić ostatnie paliki w wodzie, co powinno zniechęcić napastników do obchodzenia palisady.

– Doskonale. Dobry plan. Zbudujemy palisadę wokół wsi. – Hal rozejrzał się, dostrzegł kawałek kory na stosie drewna przeznaczonego na opał i wziął je do ręki. Kawałkiem zwęglonego drewna z ogniska zaczął rysować na korze i tłumaczyć:

– Możemy wykorzystać materiały z obozowiska. Nie chcę, żeby napastnicy wiedzieli, że tu jesteśmy. – Spojrzał na Mohegasa. – Prócz tego chciałbym, żeby twoi ludzie zrobili dziesięć wielkich kuszy, na wzór Zadymiarza. Dam im projekt. To nie będzie nic skomplikowanego. Nie potrzebujemy specjalnej platformy ani mechanizmu do naciągania cięciwy. Możemy ustawić kusze na zwykłych drewnianych trójnogach. Dadzą sobie radę?

Pokazał Mohegasowi szkic uproszczonej kopii Zadymiarza.

Mohegas przyglądał mu się przez chwilę i wreszcie zawyrokował:

– Nie widzę przeszkód.

Następnie Hal narysował na korze dwie linie po obu stronach wcześniej narysowanego ogrodzenia.

– Ustawimy je w lesie, by nie było ich widać z daleka, z dwóch stron. W ten sposób, kiedy Upiory zaatakują palisadę, weźmiemy ich w krzyżowy ogień.

Stig gwizdnął z podziwem.

– Czeka ich bardzo niemiła niespodzianka – stwierdził. – Ostrzał z dziesięciu gigantycznych kuszy, z obu stron i od tyłu. Rozwalimy ich na strzępy.

– Zrobienie dziesięciu dużych kuszy w ciągu kilku dni może okazać się niewykonalne – ostrzegł

Mohegas. – Drewno jest twarde, a mamy tylko noże z krzemienia.

Hal znów rozwiął jego wątpliwości:

– Mamy ze sobą żelazne narzędzia. Toporki, dłuta, piły, heble i noże. To przyspieszy cały proces.

– Musisz zaprojektować nowy mechanizm spustowy – zauważył Thorn. – Nie ma czasu na konstruowanie czegoś na wzór tego w Zady miarzu.

Mechanizm Zady miarza składał się ze starannie dopasowanych okrągłych trybików zrobionych z cienkiego drewna i osadzonych w specjalnie wydrążonej części łoża kuszy. Skopiowanie go wymagałoby żmudnej drobiazgowej pracy. Nie starczyłoby im na to czasu.

Hal kiwnął głową.

– Mam pewien pomysł – powiedział. Jego płodny umysł już stworzył projekt uproszczonego mechanizmu, który przytrzymałby cięciwę w miejscu, a następnie ją zwolnił. – Kiedy pierwsza kusza będzie gotowa, wybierzesz jakichś dziesięciu-dwunastu strzelców i każesz im trenować.

Mohegas z powagą pokiwiał głową. Patrzył na Hala z wielkim szacunkiem. Początkowo był zaskoczony, że tak młody człowiek stoi na czele drużyny, szczególnie że należał do niej ten starszy mężczyzna bez ręki. Teraz, widząc, jak szybko działa umysł Hala, jak doskonale układa kolejność działań, w pełni sobie uświadomił, że istotnie jest to wyjątkowy młody człowiek.

– Przyślę Ulfa i Wulfa do pomocy przy budowie kusz – podjął Hal. – Świetnie sobie radzą z narzędziami i mają dobre oko.

– A nie lepiej, żebyś ty pomagał? – zapytał Stig. – Jesteś najlepszym rzemieślnikiem w naszej grupie.

– To prawda – przyznał Hal. – Ale mnie czeka inne zadanie. – Zanim Thorn zdążył zapytać, o co chodzi, Hal ponownie zwrócił się do Mohegasa: – Powiedz, czy dobrze zrozumiałem. Podczas wcześniejszych ataków Ludzie-Upiory przyплыwali canoe z góry rzeki? – Kiedy Mohegas kiwnął głową, Hal podjął: – Wyplývają na wody zatoki i dobijają do lądu, mniej więcej w miejscu, gdzie stoi nasz obóz, i stamtąd przy puszczają atak w głąb lądu?

Mohegas ponownie potwierdził.

Hal postukał kawałkiem węgla o swoje przednie zęby, nie chcący mażąc usta na czarno. Thorn uśmiechnął się. Za jakiś czas Hal zauważy swój nowy makijaż i będzie się zastanawiał, jak to się stało.

– Oto, co myślę. Zacumujemy „Czapłę” tuż za północnym cyplem, żeby nie było jej widać. Kiedy canoe Upiorów wyplývą na zatokę, wezmę Edvina i bliźniaków i narobimy trochę zamieszania. Ci, którzy zdołają uciec, na pewno skierują się w stronę waszej wsi, a tam będziecie czekać wy – zwrócił się do Thornia i Stiga – z resztą chłopaków. I Lydia, rzecz jasna.

– Nie bierzesz Ingvara? Jak zamierzasz ładować Zady miarza? – spytał Thorn.

Hal wzruszył ramionami.

– To nie będzie potrzebne. Walniemy w canoe jak taran. O ile wiatr będzie nam sprzyjał.

– Gorzej, jeśli jakieś Upiory dostaną się na pokład „Czapli” – zauważył Stig.

Hal uśmiechnął się.

– Dlatego zabieram również Kluf – odparł. Stig od razu się uspokoił.

– Wracając do mojego wcześniejszego pytania – wtrącił Thorn – dlaczego nie będziesz mógł pomagać przy budowie kuszy?

– Pomyślałem sobie, że moglibyśmy we trójkę, ty, Stig i ja, wybrać się na wycieczkę w górę rzeki i rzucić okiem na te całe Upiory. – odparł Hal. – I może trochę opóźnić ich nadejście.

Na twarzy Thorna pokazał się drapieżny uśmiech. Zawsze wolał pierwszy atakować przeciwnika niż prowadzić walkę czysto obronną. Od niechcenia przejechał dłonią po drewnianym haku u prawego ramienia, wyobrażając sobie na jego miejscu potężną maczugę, którą zawsze zakładał na takie okazje.

– Brzmi wprost idealnie – stwierdził.



ROZDZIAŁ 33



Simsinnet dołączył do ich trójki w roli przewodnika. Wsiedli do jednego z canoe spoczywających na piaszczystym brzegu strumienia za wsią i powiosłowali do zatoki. Canoe było lekkie i sterowne. Pchane siłą czterech par silnych ramion dosłownie przefrunęło przez zatokę, do ujścia rzeki płynącej na północ, w głąb łądu.

Hal zostawił bliźniakom szkic kuszy i powiedział, że mogą do woli korzystać z jego narzędzi. Wiedział, że o nie zadbają. Kiedy wypływali, prace przy kuszach już trwały. Hal sądził, że nie zajmą dużo czasu, projekt był bowiem bardzo prosty. Jedynie mechanizm spustowy wymagał bardziej skomplikowanych i staranniejszych czynności. Hal zaznaczył na projekcie, że w każdym łożu należy wywiercić dwa otwory – w miejscach, gdzie zaczepia się cięciwę. Pod spodem zaś przymocować drewniany blok z wystającymi kołkami, które przejdą przez otwory. Kołki zastopują naciągniętą cięciwę.

Blok przytrzyma w miejscu pasek elastycznej skóry. Między blokiem a łożem kuszy, na drewnianym kłocku, służącym za punkt podparcia, trzeba umieścić płaski kawałek drewna, który będzie działał jak dźwignia. Kiedy naciśnię się dłuższy koniec dźwigni, krótszy wywrze nacisk na blok i go opuści, a kołki zwolnią cięciwę. Na skutek tego cofnie się skórzany pasek a blok i kołki ponownie znajdą się w pozycji wyjściowej. Był to projekt prosty i skuteczny. Mohegas znów popatrzył z podziwem na młodego Skandianina.

Thorn zauważył jego minę i uśmiechnął się szeroko.

– Oto przykład jego możliwości – powiedział.

– Niesamowite. – Mohegas pokręcił głową.

Hal postanowił, że wyruszą na canoe, kiedy zacznie się przyplływ. Rzeka była pływowa na odcinku pięciu kilometrów od ujścia. Przyplływ tworzył na niej gwałtowną falę płynącą w górę rzeki, wbrew jej nurtowi. Wpłynęli na jej grzbiecie, a kiedy się skończyła, znów sięgnęli po wiosła i ruszyli dalej.

Posłaniec, który przyniósł wiadomość o Upiorach, powiedział, że znajdują się w odległości pięciu dni. Przez ten czas zapewne zdążyli podejść bliżej.

– Ile jest osad na tym odcinku, między zatoką i miejscem, w którym widziano Upiory? – zapytał Thorn Simsinneta.

– W chwili, kiedy posłaniec wyruszył w drogę, byli o dzień drogi od wsi Tillicumów. Dalej na trasie mieszka tylko plemię Limigina. Kolejny dzień drogi, może mniej.

Thorn z namysłem żuł wąsy, nie przerywając wiosłowania. Simsinnet podziwiał zręczność, z jaką Thorn ruchami lewej dłoni i ramienia odpowiednio obracał wiosłem, trzymając jego koniec w uścisku drewnianego haka.

– Ale pamiętajmy – dodał Simsinnet – że prawdopodobnie poruszamy się znacznie szybciej od nich.

Rzeczywiście. Ich canoe pchała siła czterech wiosł, a poza tym nie było bardzo obciążone. Tamci na pewno przewozili swoimi łodziami zapasy, broń i łupy. Poza tym trudniej jest zapanować nad grupą liczącą ponad stu ludzi. Na pewno zdarzają im się opóźnienia – a to ktoś zapomni sprzętu, a to ktoś nie może pozbierać się rano na czas. Podróżowanie dużą grupą zawsze wiąże się z takimi utrudnieniami.

Simsinnet przypomniał sobie o czymś jeszcze.

– W dodatku mają czasem w zwyczaju zostać na dłużej w zdobytej wsi, by przez kilka dni ucztować i świętować zwycięstwo.

– Zwycięstwo – prychnął Stig. – Setka mężczyzn przeciwko garstce, pewnie dwudziestu czy coś koło tego. – Pozostałe osady leżące nad rzeką liczyły mniej mieszkańców niż wieś Mawagów, pięćdziesięcioro w najlepszym wypadku.

Thorn kiwnął głową.

– A kiedy ruszymy w drogę powrotną, też będziemy musieli poruszać się szybciej od nich – zauważył.

Hal odwrócił się – Thorn siedział na rufie.

– A co zrobimy, kiedy ich spotkamy?

Stary wilk morski wrzuszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Zdecyduję w zależności od sytuacji. Na pewno musimy jakoś opóźnić ich podróż, tak by Mawagowie mieli czas dokończyć kusze i zbudować palisadę.

Wiosłowali aż do zapadnięcia nocy, aż wreszcie cicho przybili do brzegu, by rozbić obóz.

– Może nie powinniśmy się zatrzymać? – rzucił Stig. – Ja mogę jeszcze długo wiosłować.

Ale Thorn zdecydowanie odrzucił tę propozycję.

– Nie wiemy, co nas dalej czeka – stwierdził. – Musimy liczyć się z tym, że natkniemy się na Upiory i będziemy musieli stanąć do walki. Nie możemy stracić wszystkich sił podczas

wiosłowania. Poza tym, jeśli kilka godzin poświęcimy na odpoczynek, jutro będziemy w lepszej formie i szybciej dotrzemy do celu.

Zjedli szybki posiłek złożony z suszonego mięsa i zimnej wody z rzeki i zawinęli się w koc. Thorn wyznaczył warty. Wykazaliby się wielką lekkością, lekceważąc środki ostrożności, kiedy wróg być może czaił się w pobliżu.

– Skoro wciąż jesteś świeży jak skowronek – powiedział do Stiga – możesz stanąć jako pierwszy. Obudź mnie, kiedy księżyc znajdzie się nad twoją głową.

Księżyc zdążył pokonać jedną czwartą swojej trasy po niebie. Na powierzchni rzeki kładł się blady zimny blask Stig spojrział w górę, na punkt, który pokazywał Thorn, i kiwnął głową. Warta miała potrwać trzy godziny. Stig zarzucił koc na ramiona. Teraz, kiedy ciała nie rozgrzewało wiosłowanie, było mu chłodno. Znalazł wygodny płaski kamień, choć miał wielką chęć oprzeć plecy o któryś z pni leżących na brzegu. Wiedział, że jeśli będzie mu zbyt wygodnie, może zasnąć – mimo wcześniejszych deklaracji. Kiedy oddechy jego towarzyszy stały się głębokie i regularne, przyszło mu do głowy, że Thorn posiada niezwykłą instynktowną umiejętność dostosowywania oddechu do panujących warunków. W obozie czy na pokładzie, kiedy nic im bezpośrednio nie zagrażało, Thorn chrapał jak mors ze złamanym nosem. Ale tutaj, gdzie w każdej chwili mógł ich dopaść wróg, oddech Thorna brzmiał jak bardzo ciche westchnienie.

Stopniowo dźwięki, które ucichły, kiedy czterej mężczyźni wyciągali canoe na brzeg, zaczęły powracać. Drobne zwierzęta buszowały na dnie lasu, poruszając gałęziami i liśćmi. Raz Stig zauważył gwałtowny ruch pod drzewem rosnącym pięć metrów dalej. Przestraszył się, aż włosy stanęły mu dęba, dłoń zacisnęła się na rękojeści topora leżącego na kolanach. Ale zaraz potem usłyszał zadowolone mruczenie sowy, a po chwili triumfalne pohukiwanie.

Bezgłośnie przemknęła w powietrzu w pogoni za ofiarą. Jej skrzydła, miękkie i elastyczne, nie wydawały niemal żadnych dźwięków. Uszu Stiga dobiegł jedynie szelest poszycia, gdy potężne szpony chwyciły mysz, wiewiórkę czy nornicę, by unieść zdobycz na obiad dla swojego potomstwa. Stig uśmiechnął się. Lubił sowy – te zręczne łowczyźnie.

Lydia na pewno je uwielbia, pomyślał, a porównanie dziewczyny z sową wywołało na jego twarzy kolejny uśmiech.

Unióś głowę i ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że księżyc już prawie dotarł do miejsca wskazanego przez Thorna. Światło padało teraz prosto na ziemię, szczególnie jasne tam, gdzie nie tłumili go korony drzew. Kładło się srebrem na powierzchni rzeki i otwartych przestrzeniach na brzegu. Cienie wśród drzew zdawały się przez kontrast ciemne i nieprzeniknione.

Stig jeszcze raz rozejrzał się dookoła, by upewnić się, że wszystko w porządku. Przez cały czas trwania warty regularnie przeczesywał teren wzrokiem, automatycznie, nawet o tym nie myśląc. Podniósł się, mocniej otulił kocem, podszedł do posłania Thorna i przykłął. Ale nie musiał go

budzić.

– Stig?

Stig z podziwem pokręcił głową. Thorn chyba naprawdę posiadał szósty zmysł, który nawet przez sen podpowiadał mu, kiedy ktoś się zbliża.

– Twoja kolej – powiedział.

Thorn odrzucił koc, momentalnie rozbudzony i gotów do działania.

– Prześpij się – powiedział do Stiga.

Stig, kładąc się, słyszał, jak Thorn bardzo, bardzo cicho porusza się dokoła, obchodzi całą polanę, wypatrując oznak niebezpieczeństwa. Jak on to robi, że potrafi chodzić takim lekkim krokiem, zastanawiał się Stig. Był taki wielki, potężny i muskularny. A poruszał się z lekkością godną tancerza. Ta myśl wciąż frapowała Stiga, aż do chwili, gdy wreszcie zasnął.

Simsinnet, który pełnił ostatnią wartę, obudził ich o świcie. Zjedli szybkie śniadanie – podobnie jak kolacja złożone z suszonego mięsa i zimnej wody.

– Przydałaby się kawa – powiedział Stig.

– Żadnego ognia – odparł Thorn.

Stig posłał mu błady uśmiech.

– Ani ławy. – Po chwili dodał: – Tej jednej rzeczy na pewno będzie mi brakowało.

– A nie mojego uśmiechu o poranku? – zapytał Thorn.

Stig wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Na pewno nie.

I wkrótce znów znaleźli się na rzece. Tego dnia posuwali się nieco wolniej, ponieważ już nie pchała ich fala przypływu. Ale brzegi i tak mięły po bokach w imponującym tempie.

Simsinnet kazał im trzymać się wschodniego brzegu. Z dwóch powodów. Po pierwsze bliżej brzegu mogli uniknąć mocnego nurtu, który spowalniałby ich podróż. A po drugie w razie nagłego zagrożenia mogli prędko ukryć się pośród trzciny rosnącej wzdłuż brzegów bądź pod zwisającymi nad wodą gałęziami drzew.

Ale i tego dnia nie spotkali Upiorów. Las po obu stronach rzeki był milczący i spokojny, ciszę przerywały jedynie krzyki ptaków, plusk skaczącej ryby i szmer wody na cienkich ściankach canoe. Czuli się niemal jak jedyni ludzie na świecie.

Słońce powoli wstawało, przeganiając chłód nocy z ich dłoni i ramion. Regularne pchnięcia wiosłami również pobudzały krążenie i po niecałej godzinie wszyscy byli rześcy i rozgrzani.

Kiedy słońce wspięło się wyżej, Simsinnet skierował canoe pod gałęzie wierzby wiszące nad wodą i zatrzymał łódkę, ustawiając wiosło przeciwko nurtowi rzeki.

– Zjedzmy – powiedział i wszyscy posłusznie otworzyli woreczki z zapasem suszonego mięsa.

– Chyba nawet mógłbym do tego przywyknąć – powiedział Hal, siłując się z twardym

kawałkiem. Zauważył, że Simsinnet przytrzymuje mięso w ustach i odcina je tuż przy ustach nożem z krzemienia. Następnym razem też muszą spróbować, obiecał sobie w myślach Hal.

Stig spojrział na niego. Uważał suszone mięso za bardzo niesmaczne, wiedział jednak, że jest pożywne.

– Doprawdy? – zapytał.

Hal odpowiedział uśmiechem.

– Aha. Za jakieś dwadzieścia lat.

Obaj zaśmiali się, na co Thorn zmarszczył brwi.

– Nie róbcie hałasu – upominał ich ostrym tonem. Grzecznie pokiwali głowami. W końcu znajdowali się na terytorium wroga.

– Przepraszamy – szepnęła Hal.

Thorn burknął coś w odpowiedzi. Wiedział, że żarciki i przekomarzenia doskonale wpływają na morale. Jednakże mogły też niepotrzebnie odwracać uwagę i zmniejszać czujność. A w obecnej sytuacji nie mogli sobie na to pozwolić.

Simsinnet przełknął ostatni kawałek mięsa, łyknął wody z bukłaka i schował go, po czym dał sygnał, że mają ruszać dalej. Odepchnął się od gałęzi, aż canoe wypłynęło na rzekę. Wszyscy zanurzyli wiosła w wodzie. Smukła łódź szybko nabrała tempa, znów rozległo się ciche rytmiczne pluskanie, *bok bok bok* fal uderzających o poszycie z kory.

Późnym popołudniem, Hal przerwał wiosłowanie i wydał cichy ostrzegawczy okrzyk. Wszyscy spojrzeli na niego i pozwolili, by canoe przez chwilę dryfowało po rzece. Powoli zaczęło skręcać, unoszone prądem. Hal odchylił głowę i mocno wciągnął powietrze.

– Dym – zawyrokował. Wszyscy poszli za jego przykładem.

– Masz rację – zgodził się Thorn. – Zapach palonego drewna.

Zaraz potem poczuli go również Stig i Simsinnet. Canoe, pozbawione siły wiosła, zostało zniesione na środek rzeki. Simsinnet krótkim ruchem ręki dał znak, by znów chwycili za wiosła. Skierowali się z powrotem do brzegu i po chwili znaleźli się pod osłoną kępy wierzb.

– Jak daleko do osady ludu Limigina? – zapytał Stig.

Mawag zawahał się, powiódł wzrokiem wzdłuż brzegu, spojrział w niebo i zmarszczył brwi.

– Już niedaleko – stwierdził w końcu. – Może dwie godziny. Może mniej.

– Cóż, wyglądają na to, że Ludzie-Upiory zdążyli tam przed nami – powiedział Thorn. – Od tej chwili lepiej siedzieć cicho.

To było trochę niesprawiedliwe, bo właściwie przez cały czas, od kiedy zwrócił im uwagę, zachowywali milczenie, tylko od czasu do czasu cicho jęcząc z wysiłku.

Thorn zanurzył wiosło w wodzie, a pozostali poszli za jego przykładem. Canoe ponownie wypłynęło z kryjóWKi i pomknęło dalej w górę rzeki, wciąż trzymając się prawego brzegu. Woń

dymu przybierała na sile. A pod wieczór zauważyli na niebie dziwny blask, odbijający się od nisko wiszących chmur.

– Zachować czujność – szepnął Thorn. – Chyba jesteśmy na miejscu.

ROZDZIAŁ 34



Wiosłowali przez kolejną godzinę. Słońce schowało się za wysokie drzewa porastające brzegi rzeki, którą zasnuły głębokie cienie. Ale luna nad lasem stale przybierała na sile, a z oddali dobiegł słumiony pomruk ludzkich głosów – głosów złączonych w pieśni – i pulsujący rytm bębnow.

– Chyba urządzili imprezę – zauważył Stig.

Sim sinnet odwrócił się i odparł ponuro:

– Nie chciałbyś dostać zaproszenia. To Upiory świętują zwycięstwo.

Dźwięk stale narastał, a po krótkim czasie ujrzeli również migotanie płomieni między drzewami.

– Czas wyjść na brzeg – powiedział cicho Thorn.

Skierowali canoe prosto w dużą kępę wierzb. Przy monotonnym wtórze śpiewu i bębnow przywiązali canoe do gałęzi i jak najciszej ześliznęli się do sięgającej pasa wody. Wciąż starając się robić jak najmniej hałasu, wyszli na brzeg i odczekali, by trochę wyschnąć. Sim sinnet przyglądał się z wielkim zainteresowaniem, gdy Thorn zamienił drewniany hak na potężną maczugę. Mawag miał do obrony kamienny topór i sztylet z krzemienia. Stig – topór, a Hal – miecz. Ci dwaj ostatni zabrali też tarcze.

– Jak daleko do wsi? – spytał Thorn bardzo cichym głosem, chociaż istniało niewielkie ryzyko, że jego głos przebiję się przez śpiew i bicie bębnow. Sim sinnet po namyśle wyciągnął rękę przed siebie.

– Jakies pięćdziesiąt metrów w górę rzeki. Plus trzydzieści w głąb lądu. Po drodze jest takie piaszczyste miejsce, zapewne zostawili tam swoje canoe.

Thorn kiwnął głową.

– Pójdziemy wzdłuż brzegu, aż znajdziemy się na tym samym poziomie, co wieś – powiedział, po czym wskazał na topór w dłoni Stiga i podjął: – Kiedy tam dotrzemy, zrobisz otwory w dnie łodzi. Naprawa powinna zatrzymać ich tutaj na dzień czy dwa. Ja ruszam prosto do wsi.

Chciałbym rzucić okiem na tych łysych imprezowiczów. Hal, będziesz osłaniał Stiga. Simsinnet, pójdziesz ze mną.

Wszyscy trzej kiwnęli głowami. Thorn dał znak Simsinnetowi, by szedł pierwszy i pokazywał drogę. Ruszyli za nim gęsiego. Blask ognia przybierał na sile, podobnie jak odgłosy świętowania. Po pewnym czasie zobaczyli płomień między drzewami, skaczące do góry na wysokość jakichś dwudziestu metrów.

– Niezłe ognisko – mruknął Stig.

– Zamknij się – syknął Thorn. Oczywiście nie chodziło mu o to, że mogą ich usłyszeć we wsi. Musieli jednak liczyć się z tym, że przy łodziach stoją strażę. W końcu wyszli na otwartą przestrzeń nad brzegiem rzeki. Tak jak przewidział Simsinnet, stał tam rząd canoe.

– Osiemnaście. – Hal prędko je przeliczył. Zauważył, że łodzie Upiorów są większe niż te należące do Mawagów. W każdej mogło się zmieścić pięciu-sześciu mężczyzn i spory bagaż.

Thorn kiwnął głową. Podszedł bliżej do Stiga, by mówić cicho, ale przebić się przez dźwięki bębnow i śpiewające głosy nieprzerwanie dobiegające z głębi łądu.

– Zrób w każdej z nich spory otwór – polecił. – Pod linią zanurzenia.

Stig kiwnął głową. Hal dorzucił:

– I uszkodź szkielet. Naprawa zajmie więcej czasu niż załatanie zwykłej dziury w poszyciu.

Stig spojrział na niego – w jego oczach odbijał się blask ognia – i ponownie kiwnął głową.

– Dobra. Do dzieła. Idę rzucić okiem na osadę. Chodźmy, Simsinnecie – rzucił Thorn i bezgłośnie wśliznął się między skaczące cienie rzucające przez ogromne ognisko. Simsinnet ruszył za nim. Kiedy znikli, Hal wskazał na rząd canoe i powiedział:

– Zaczynj z tamtego końca i posuwaj się w stronę miejsca, gdzie teraz stoimy.

W ten sposób w razie konieczności mogli szybko i sprawnie ratować się ucieczką. Ruszyli szybkim krokiem wzdłuż łodzi, na ugiętych nogach, wpatrzeni w migotliwe cienie, wypatrując ewentualnych straży. Halowi wydawało się nieprawdopodobne, by najeźdźcy zostawili łodzie bez nadzoru. Ale, pomyślał, może uznali, że nie mają czego się bać. Mohegas mówił, że żadne z tutejszych plemion nigdy nie próbowało stawiać im oporu. A członków plemienia Limigina zapewne schwytyli, pozabijali bądź zmusili do ucieczki. Z tej strony nie groziło im niebezpieczeństwo.

Dotarli do końca i Stig zabrał się do pracy. Ciosy topora były szybkie i skuteczne. Kora brzoza, z której zrobiono poszycie łodzi nie stanowiła wielkiej przeszkody dla ostrej głowicy. A szkielet łodzi – tylko odrobinę większą.

Wywalenie otworu w dnie każdej z łodzi trwało zaledwie kilka sekund i Stig szybko posuwał się do przodu.

Hal stał zwrócony twarzą w kierunku osady, skąd najprawdopodobniej mogło nadejść

zagrożenie. Tarczę trzymał na lewym ramieniu, w dłoni ścisnął miecz, ostrze połyskiwało czerwinią w blasku ogniska.

Atak nadszedł z niespodziewanej strony. Czterech wojowników wyskoczyło spośród drzew rosnących na brzegu – z tej samej strony, skąd przed chwilą przyszedli Skandianie. Jeden krzyknął, jakby wyzywał ich do walki, rozwścieczony widokiem obcych niszczących łódzie.

Gdyby najpierw pomyśleli, wysłaliby jednego do wsi po pomoc. Ale, przyzwyczajeni do szybkich i łatwych zwycięstw, błędnie ocenili przeciwnika. Mieli dwukrotną przewagę. Wydając wojenne okrzyki, przypuścili atak.

Hal pomyślał, że faktycznie mogą budzić przerażenie. Dokładnie ogolone głowy mieli pomalowane białą farbą, tworzącą kontrast z czarnymi kręgami wokół oczu i smugami w zagłębieniach policzków. Malunek dawał efekt ludzaco przypominający ludzką czaszkę. W nieostrych świetle ten widok z pewnością mógł wywołać u zaatakowanej ofiary paniczny strach. Wszyscy byli nadzy od pasa w górę, mieli na sobie tylko nogawice z jeleniej skóry i miękkie buty, które Mawagowie określali mianem mokasyków.

Na czele kroczył przywódca, mężczyzna wysoki i potężnej budowy ciała. Białka jego oczu lśniły obłąkańczo w czarnych obwódkach. Zamachnął się od góry potężną maczugą, mierząc prosto w głowę Hala.

Wieś wyglądała jak scena wyjęta z koszmaru sennego. W blasku płomieni ogromnego ogniska i kilku mniejszych, płonących pośród chat, wojownicy tańczyli w kręgu, wirując i skacząc do rytmu bębnow. Pośrodku, na skraju paleniska, stał wielki kocioł. Od czasu do czasu któryś z tancerzy podchodził do niego chwiejnym krokiem, zanurzał czerpaki odchylając głowę do tyłu, wlewał sobie zawartość w usta.

– Zrobili mocny napój ze sfermentowanej kukurydzy – szepnął Simsinneth Thornowi do ucha. W gruncie rzeczy wcale nie musiał zniżać głosu, bębny i śpiew i tak zagłuszały wszystkie inne dźwięki.

Thorn spojrział w bok, poza krąg tancerzy. W cieniu, z dala od blasku ognia, kłęzczało na ziemi kilkunastu mężczyzn. Nie podnosili wzroku, głowy trzymali nisko opuszczone, ręce mieli splecione na plecach, a wokół szyi każdego z nich zawiązano rzemieniową pętlę. Kilka metrów dalej znajdowała się grupa złożona z kobiet i dzieci, potraktowanych w podobny sposób. Między jeńcami przechadzał się wojownik z drewnianą pałką w dłoni i nożem u pasa. Czasami pochylał się, podsuwał swe groteskowe oblicze któremuś z mężczyzn pod nos i wykrzykiwał obelgi i przekleństwa. Ofiary znosiły upokorzenia ze stoickim spokojem.

– Co tam się dzieje? – spytał Thorn, chociaż chyba sam się domyślał.

Simsinneth wskazał na grupę kobiet i dzieci.

– Ich zabiorą do niewoli.

– A mężczyźni?

– Kiedy Upiory zakończą swój taniec, stracą ich wszystkich – odparł Simsinnet ponuro. Thorn przez chwilę nic nie mówił, tylko mocniej zacisnął szczękę.

– Czyżby? – powiedział w końcu. – Miej oko na tych mistrzów tańca. – I ruszył bezgłośnie w stronę grupy jeńców na ugiętych nogach. – Dobry wieczór – powiedział, zachodząc strażnika od tyłu.

Upiór, sądząc, że to któryś z pojmany ch mężczyzn zdołał się oswobodzić, obrócił się, wściekły, i zamierzył pałką. Thorn spojrział na przerażające białe oblicze i oczy błyszczące pośród czerni.

– Straszna z ciebie pasłuda, nie uważasz? – rzucił tonem niewymuszonej konwersacji.

Na widok nieznamomej postaci strażnik totalnie zgłupiał. Ten człowiek z pewnością nie należał do plemienia Limigina ani żadnej innej lokalnej grupy. Był wysoki i barczysty, miał siwiejące potargane włosy i brodę, a skórę całkiem białą. Strażnik obrócił się w kierunku pobratymców tańczących jakieś dwadzieścia metrów dalej i wziął głęboki wdech.

Ale nie zdążył krzyknąć. Maczuga Thorny, zrobiona z bardzo twardego drewna, trafiła prosto w splot słoneczny. Powietrze uszło z mężczyzny w potężnym *huf!* Zgiął się w pół, a drewniana pałka wysunęła się z jego dłoni. Thorn zamierzył się maczugą z boku i trafił strażnika w skroń – nie aż tak mocno, by zniaździć kość i go zabić, ale wystarczająco, by stracił przytomność. Mężczyzna osunął się bezwładnie na kłęczki, a potem padł bokiem na ziemię.

Thorn prędko kucnął i przykroczył do jednego z pojmany ch, lewą ręką wyciągnął nóż saksoński i przeciął więzy. Mężczyzna powiedział coś w swoim języku, na co Thorn tylko potrząsnął głową. Za pomocą dwóch szybkich cięć nożem uwolnił następnego jeńca. Rozejrzał się i ruchem głowy przywołał Simsinneta. Kiedy ten podbiegł, Thorn powiedział:

– Wy tłumacz, że przyszliśmy ich uwolnić.

Simsinnet prędko przełożył wiadomość. Oczy mężczyzn zaśniły nadzieją. Simsinnet również wyciągnął nóż i zaczął przecinać kolejne więzy.

Thorn popatrzył na nieprzytomnego strażnika, pochylił się i zabrał nóż, który ten nosił u pasa. Wykonano go z krzemienia, dość niedbale, okazał się jednak zaskakująco ostry. Thorn podał go pierwszemu z uwolnionych jeńców i wytłumaczył gestami, żeby uwolnił swych pobratymców.

– Powiedz im, żeby rozwiązali kobiety i dzieci i przygotowali się do ucieczki. Kiedy Upiory ruszą w stronę rzeki, mają schować się w lesie. Będą mieć dobry start, bo Upiory najpierw rzucają się w pościg za nami.

Simsinnet pospiesznie przetłumaczył instrukcje na miejscowy język. Więźniowie zasypali go gradem pytań, ale dał im znak, żeby byli cicho. Wreszcie umilkli i siedzieli nieruchomo, za wyjątkiem jednego, który poczołgał się w stronę grupy kobiet i dzieci i zaczął przecinać więzy, jednocześnie upominając, by nawet nie pisnęli.

Jeden z mężczyzn o coś zapytał. Simsinnet przetłumaczył, wskazując kciukiem na nieprzytomnego strażnika:

– Co z nim zrobimy?

Thorn pochylił się i odsunął kciukiem powiekę mężczyzny. Nadal był nieprzytomny.

– Wolałbym, żeby pozostał przy życiu i powiedział swoim kumratom, że załatwił go jakiś obcy. Niech się głowią, kim mogą być ci nieznajomi z długimi włosami i białą skórą. Dobrze im zrobi trochę niepewności. Ale jeśli się poruszy lub będzie próbował podnieść alarm, powiedz, że mają go zabić.

Simsinnet powtórzył instrukcje. Mężczyzna spojrzął na swego byłego oprawcę i dotknął kciukiem czubka noża. Najwyraźniej bardzo chciał, żeby mężczyzna odzyskał przytomność.

– Zwiążcie go – polecił Thorn. Limigina podniósł przecięte więzy i ciasno spętał dłonie i stopy strażnika. Thorn jeszcze raz powiódł wzrokiem dokoła. Większość mężczyzn i połowa kobiet i dzieci była już wolna. – Powiedz, żeby zaczęli na sygnał. Kiedy się rozlegnie, mają biec ile sił w nogach do lasu.

Simsinnet ściągnął brwi.

– A jak rozpoznają ten sygnał?

– O, na pewno z niczym go nie pomylą. – rzekł Thorn A teraz wracamy nad rzekę.

ROZDZIAŁ 35



Potęźny wojownik zamierzył się do ciosu, a Hal uniósł tarczę, by sparować uderzenie maczugi. Rozległ się ogłuszający brzęk, gdy maczuga zsunęła się po twardej powierzchni tarczy, a Upiór, którego cios nie napotkał większego oporu, o twarzy wykrzywionej w groźnym grymasie, stracił równowagę i poleciał do przodu.

Wtedy Hal zadał cios mieczem. Ostrze wyskoczyło do przodu niczym atakujący wąż i trafiło mężczyznę prosto w brzuch. Groźnie ściągnięta twarz nagle rozluźniła się w wyrazie totalnego zaskoczenia. Hal cofnął miecz, a Upiór osunął się na kolana, przyciskając ręce do brzucha.

Drugi z Upiorów zamierzył się do ciosu, zataczając kamiennym toporem potężny łuk w poziomie. Tym razem Hal odparował cios, blokując ostrze topora mieczem, wysoko nad głową, potem szybko obrócił tarczę poziomo i pchnął ją w przód, aż jej twarde brzeg z drewna i stali uderzył w szczękę napastnika. Mężczyzna zachwiał się, oczy uciekły mu w głąb czaszki i padł na ziemię, w poprzek ciała swego towarzysza.

Hal wyczuł za sobą obecność Stiga. Trzeci z Upiorów zamierzył się na nich długą dzidą. Stig chwycił ją bez trudu we wcięcie między głowicą a toporzykiem i zakręcił gwałtownie toporem, wyrzuwając broń z ręki napastnika. Upiór sięgnął po nóż u pasa i zrobił krok w stronę Stiga. Wtedy Hal przyskoczył do niego i walnął rękójescią miecza tuż powyżej ucha. Na stosik trafiło trzecie ciało.

Czwarty wojownik zahałał się, jego oczy i usta rozwarły się szeroko ze strachu – widział, że nie ma szans. Dziwni nieznajomi rozprawili się z jego towarzyszami w ciągu zaledwie kilku sekund i teraz mieli nad nim przewagę dwóch na jednego. Obrócił się na pięcie, by uciec, ale stanął mu na drodze trzeci białoskóry wojownik. Nim zdążył zareagować, obcy walnął go prosto w twarz drewnianą maczugą i posłał między kolegów.

Simsinnet przyglądał się okrągłymi ze zdumienia oczami, zaskoczony szybkością i siłą, które zademonstrowali Skandianie. Czterech napastników leżało na ziemi – jeden martwy, trzech

u nieszkodliwionych. A wszystko stało się tak szybko, że Simsinnet ledwo zdążył wyciągnąć nóż z pochwy. Teraz włożył go z powrotem, kręcąc głową. Skandianie rozprawili się z Upiorami bez najmniejszych trudności. Zaczął wierzyć, że z taką pomocą Mawagansettowie mają sporą szansę, by wreszcie pokonać znieawidzonych wrogów.

Głos Thorn'a wyrwał go z zamyślenia.

– Skończyłeś? – spytał Stiga, wskazując na łódzie.

Stig pokręcił głową.

– Zostało jeszcze pięć. Coś... odwróciło naszą uwagę – powiedział z szerokim uśmiechem.

Thorn niecierpliwie machnął ręką.

– Cóż, teraz już nic nie odwróci. Do roboty.

Jeśli Stig oczekiwał słów pochwały ze strony Thorn'a, to rzecz jasna na próżno. W jego mniemaniu Hal i Stig nie zrobili więcej, niż od nich oczekiwał. Sam nieraz stawał naprzeciw dwa razy liczniejszego przeciwnika.

Stig podszedł do najbliższego canoe i wałnął toporem, aż pękł szkielet, a w poszyciu pokazała się połazna szpara. Poprawił jeszcze dwa razy, powiększając ją do sporej trójkątnej dziury. Potem podszedł do kolejnego canoe i powtórzył całą operację.

– Zbierz trochę gałęzi na ognisko – powiedział Thorn do Hala, wskazując na drugi koniec rzędu łodzi, tam, gdzie rozpoczęli pracę. Ten posłusznie pobiegł we wskazane miejsce, zebrał trochę uschłych gałęzi i ułożył z nich stos między pierwszym i drugim canoe. Thorn przyglądał się temu przez chwilę, po czym przyklęknął obok nieprzytomnych Upiorów.

Pierwszy, który rozpoczął atak, już nie żył. Miecz Hala zadał ostateczny cios. Drugi mamrotał coś niespójnie. Trzeci, którego Hal uderzył ręką jeścią miecza, odzyskiwał przytomność. Thorn podciągnął go do pozycji stojącej i poklepał po policzkach.

– Hej! Obudź się! No już. Nic ci nie jest.

Mężczyzna jęknął i rozwarł powieki, pokazując oczy świecące jasno pośród czarnych kręgów farby. Na widok brodatego oblicza demona zaledwie kilka centymetrów od własnej twarzy wydał wrzask przerażenia.

– Powiedz mu, żeby się zamknął – polecił Thorn Simsinnetowi. Mawag powtórzył i mężczyzna momentalnie się uspokoił. Przynajmniej jest to człowiek, pomyślał. Prędko pokiwał głową, a okrzyki przestraszenia zmieniły się w ciche popiskiwanie.

– Powiedz, że puszcza go wolno – podjął Thorn. Kiedy Simsinnet przetłumaczył te słowa, w oczach Upiora pokazał się błysk nadziei. Thorn prychnął z pogardą. – Niesamowite, co? Proszę, taki dzielny, wymalowany w czachę, a sika przede mną ze strachu.

– Wcale mu się nie dziwię – mruknął Simsinnet.

Thorn posłał mu drapieżny uśmiech.

– Nie jestem taki zły przy bliższym poznaniu. – Podniósł się i popatrzył na rząd canoe i stos z gałęzi.

Stig właśnie dokończył dzieła, wywalając w dnie ostatniej z łodzi otwór o średnicy trzydziestu centymetrów. Wsunął topór za pas i ruszył w stronę Thorna i Simsinneta. Upiór na widok białoskórej istoty cofnął się o krok.

Stig zrobił urażoną minę.

– O co mu chodzi? – spytał Thorn.

– Widać uważa, że wcale nie potrzebujesz łysej głowy i białej farby, żeby wyglądać przerażająco.

Upiór wyjął coś pytającym tonem.

– Co on mówi? – zapytał Thorn Simsinneta.

Mawag uśmiechnął się od ucha do ucha. Bardzo mu się podobało, że dręczyciel wreszcie dostał za swoje.

– Pyta, czy zamierzasz zjeść jego serce.

Thorn udawał, że rozważa ten pomysł, w końcu potrząsnął głową.

– Raczej nie. Powiedziałem przecież, że puszcze go wolno.

– Uważa, że go nabierasz, a kiedy będzie chciał odejść, zabijesz go i zjesz jego serce.

Thorn podrapał się po głowie.

– Skąd ta obsesja z sercem?

Simsinnet wzruszył ramionami.

– Demony jedzą ludzkie serca – wyjaśnił.

Thorn gniewnie potrząsnął głową – co w żadne sposób nie uspokoiło Upióra.

– Nie jestem demonem. Jestem mną.

– Wielkim miłym kociakiem – dorzucił Stig z uśmiechem.

Thorn rzucił mu groźne spojrzenie.

– Uważaj, przy jacielu – powiedział ostrzegawczym tonem.

Uśmiech Stiga zrobił się jeszcze szerszy.

Thorn ponownie zwrócił się do Simsinneta:

– Powiedz mu, że nie zjem jego serca.

Simsinnet zawahał się.

– A mam powiedzieć, że nie jesteś demonem?

Thorn po namyśle potrząsnął głową.

– Nie. Lepiej niech tak myśli. Powiedz, że nie jestem tak całkiem demonem.

– Powiedz, że Thorn jest pół-niby-demonem – rzucił wesoło Stig.

Thorn zignorował go.

– Powiedz, że nie zjem jego serca. Ale chętnie skubnę jego paluchy, jeśli nie zacnie się ruszać na mój rozkaz.

– Dlaczego chcesz go puścić wolno? – zapytał Stig.

Thorn wskazał na rząd canoe.

– Chcę, by wiedzieli, że nie zrobili tego członkowie plemienia Limigina, którym udało się uciec na samym początku. Jeśli będą wiedzieć, że to sprawka tajemniczych obcych...

– Pół-niby-demonów? – wtrącił Stig.

Thorn spiorunował go spojrzeniem i po chwili odparł:

– Skoro nalegasz. Jeżeli tak pomyślą, nie zemszczą się na członkach plemienia.

Stig po przemyśleniu sprawy pokiwał głową.

– Niezły pomysł – stwierdził. – Ale czy z kolei nie dojdą do wniosku, że współpracujemy z Mawagami?

Thorn wzruszył ramionami.

– Nie przypuszczam. Ich wieś znajduje się trzydzieści kilometrów stąd. Czemu niby mieliby nas z nimi łączyć?

– Może i tak. Może powiedz Simsinnetowi, by przelażał temu dzielnemu wojownikowi – tu Stig wskazał na drżącego Upiora, który przyglądał się im wyraźnie zdenerwowany, nie rozumiejąc ani słowa z tego, co mówią – że przysliśmy z nieba i zamierzamy zjeść ich serca.

– Niezły pomysł. – Thorn spojrział na Simsinnet. – Powiedz mu coś w tym stylu. Może to ich przekona, że powinni się stąd jak najszybciej wynosić.

Simsinnet kiwnął głową i powiedział kilka słów do Upiora, który skulił się ze strachu i odsunął nieco dalej od Stiga i Thorn. Stig odsonił zęby, a mężczyzna cofnął się jeszcze trochę.

– A teraz przelaż mu, że zamierzamy spalić ich canoe i jeśli nie zdążą ugasić ognia, zostaną tu w pułapce, zdani na naszą łaskę – dodał Thorn. Simsinnet przetłumaczył, a Upiór kiwnął głową. Thorn podciągnął go za ramię do pozycji stojącej. Dał Halowi znak, by rozpałił ogień. W ciemności rozbłysła skrzesana iskra, a kilka sekund później język ognia buchnął z pierwszej łodzi. Thorn odczekał, aż płomień porządnie się rozpałi, po czym wyciągnął rękę w kierunku wsi i krzyknął do Upiora:

– Ruszaj! – Ten zawahał się, a wtedy Thorn groźnie pomachał maczugą. To wystarczyło. Wojownik obrócił się na pięcie i popędził we wskazanym kierunku.

Thorn zobaczył Hala biegnącego wzdłuż rzędu łodzi.

– Dobra. Ruszamy! – zarządził, wskazując na ścieżkę wiodącą do miejsca, gdzie zostawili swoje canoe.

Zanurzyli się w cieniu między drzewami i ruszyli biegiem w drogę powrotną. Hal pomyślał, że jeśli uda im się szybko umknąć, Upiory nie zdążą się zorientować, w którym udali się kierunku.

Kiedy dotarli do swoich canoe, bicie w bębny i śpiewy gwałtownie ucichły. Słysząc było tylko jeden głos, wykrzykujący coś histerycznie – zapewne należał do mężczyzny, któremu Thorn przed chwilą kazał wracać do wsi. Potem podniósł się chóralny wrzask wściekłości, a jeszcze chwilę później dobiegły ich odgłosy sporej grupy ludzi przedzierających się przez las w kierunku rzeki.

Weszli do wody, Simsinnet przytrzymał canoe, aż cała trójka wsiadła, sam wskoczył lekko na swoją ławkę i odwiązał linę od gałęzi.

Wyłynęli na środek rzeki. Od strony brzegu doszedł wściekły wrzask – a więc jednak ich zauważyli.

– Machajcie wiosłami! – zawołał Thorn, prędko zamieniając maczugę na drewniany hak Hal obejrzał się przez ramię. Tamci właśnie rzucili na wodę trzy czy cztery canoe i zaczęli wsiadać. Po chwili rozległy się okrzyki wściekłości i zaskoczenia – pod ciężarem ludzkich ciał łodzie zaczęły tonąć, woda wlewała się do środka przez dziury, które wyrąbał Stig.

– To powinno ich zatrzymać na dzień czy dwa – stwierdził Hal.

– Oszczędzaj oddech na wiosłowanie – upomniał go Thorn.

Zanurzali wiosła głęboko i canoe szybko mknęło w dół rzeki, dodatkowo pchane jej nurtem. Okrążyli zakręt i po chwili widzieli już tylko lunę ogniska na niebie.

– Chyba przestali śpiewać – zauważył Stig.



ROZDZIAŁ 36



Tym razem płynęli z prądem, canoe dosłownie frunęło w dół rzeki, brzegi migały po bokach w niesamowitym pędzie.

Wstawał nowy dzień i światło wciąż przybierało na sile. W pewnym momencie Thorn zdecydował:

– Simsinnet i Hal, wy dwaj teraz odpoczniecie, a ja i Stig będziemy wiosłować dalej. Potem nas zmienicie.

Hal z ulgą wciągnął wiosło i ułożył na dnie łodzi. Ramiona i barki płonęły z wysiłku. Owszem, był młody i sprawny, ale nie przywykł do długiego wiosłowania, szczególnie że w przypadku canoe czynność ta angażowała inne partie mięśni niż w przypadku zwykłej łodzi. W niewielkim canoe nie było miejsca, żeby się położyć. Przygarbił się lekko, opuszczając głowę i ramiona, by się rozluźnić. Zauważył, że Simsinnet przybrał podobną pozycję.

– Daj znać, kiedy będziesz chciał się zmienić – powiedział do swojego następcy.

Thorn zaśmiał się krótko.

– Nie martw się, na pewno powiem.

Canoe, teraz pchane tylko siłą mięśni dwóch wiosłarzy, nieco zwolniło, lecz nadal płynęło w szybkim tempie. Posuwali się tak w dół rzeki przez kolejne sześć godzin. Kiedy zaczęło się zmierzchać, Thorn zarządził postój, podczas którego zjedli szybki posiłek złożony z suszonego mięsa i zimnej wody z bułaków. Nie przybili jednak do brzegu, pozwolili, żeby nurt unosił ich dalej w kierunku oceanu. Simsinnet położył sobie wiosło na kolanach i od czasu do czasu zanurzał je w wodzie, by canoe nie skręcało.

– Dobra, ruszamy dalej – zarządził Thorn, kiedy skończyli jeść. – Jeszcze trzy godziny, a potem zatrzymamy się na prawdziwy odpoczynek

– My ślisz, że odpłynęliśmy wystarczająco daleko? – zapytał Stig.

Thorn odruchowo spojrzął przez ramię na ciemną gładką wstęgę rzeki.

– Przypuszczam, że nadal siedzą na brzegu. Naprawa canoe potrwa wiele godzin. Muszą połączyć szkielet, a potem wyszukać nowe kawałki kory, zasłonić dziury i uszczelnić miejsca złączeń. Simsinnecie, czym mogą się posłużyć? – W Skandii używano w tym celu płynnej smoly.

– Woskiem – odparł Simsinnet. – Stopią wosk i nasmarują nim złączenia, by poszycie nie przepuszczało wody.

Thorn mruknęła, po czym zauważyła:

– Będą musieli zacząć, aż wosk stwardnieje. Trochę to potrwa. Tymczasem jednak możemy jeszcze zwiększyć dzielącą nas odległość.

Unióśł wiosło i zaczął, aż Simsinnet zacznie wiosłować. Cztery pióra zanurzyły się głęboko. Canoe jakby zawahało się na sekundę, dziób powoli zwrócił się we właściwym kierunku, a potem łódka pomknęła do przodu jak strzała przy akompaniamencie drobnych fal wybijających prędkim rytmem na burtach.

Płynęli tak, aż zaszło słońce i nad rzeką zapadła ciemność. Porośnięte drzewami brzegi zmieniły się w niewyraźne czarne smugi. Tylko rozciągająca się przed nimi gładka wstęga rzeki połyskiwała w słabym blasku gwiazd. Na szczęście rzeka nie zastawiała na podróżnych żadnych pułapek – w każdym razie nie występowały na niej płycizny, które mogłyby zatrzymać canoe. Simsinnet przez cały czas trzymał się środka, gdzie prąd był najbystrzejszy, a widoczność najlepsza. Ciszę zakłócał jedynie plusk wiosła, wody rozbijającej się o kadłub i rytmiczne postępowanie czterech wiosłarzy pracujących w nieprzerwanym stałym rytmie.

Nagle nad wysokimi drzewami porastającymi brzegi ukazał się księżyc w trzeciej kwadrze i niespodziewanie, z niemal namacalną siłą uderzyła w nich fala światła. Rzeka skąpała się w zimnym bladym blasku, barwa wody zmieniła się z czarnej na srebrną. Księżyc, wiszący nisko nad horyzontem, zdawał się ogromny. Hal mimo woli wydał okrzyk zaskoczenia na widok białej kuli tuż nad koronami drzew. Siedzący na dziobie Simsinnet odwrócił się, by sprawdzić, co wywołało taką reakcję.

– Księżyc jest dla nas boginią – wyjaśnił cicho.

Hal kiwnął głową.

– Doskonale rozumiem. Piękny. Wydaje się żywy.

– Poezję zostaw na później – rzucił cierpko Thorn. – Wiosłujemy, aż bogini znajdzie się w najwyższym punkcie.

Ostry blask księżycyca sprawiał, że cieniste brzegi przez kontrast zdawały się pograżone w nieprzeniknionych ciemnościach. Nie dało się rozróżnić żadnych konkretnych kształtów. Księżyc unosił się coraz wyżej, coraz bardziej oddalając się od horyzontu i stopniowo tracąc imponujące rozmiary. W końcu Thorn zarządził postój.

– Simsinnet, skieruj canoe do brzegu – polecił. Simsinnet dostrzegł pośród ciemności białą linię

wąskiej piaszczystej plaży. Po chwili dziób zarył o piach. Wszyscy wyskoczyli z canoe do płytkiej wody. – Kładźcie się – powiedział szorstko Thorn. – Biorę pierwszą wartę.

Ale Hal zaprotestował:

– Nie, ja to zrobię. Ty też potrzebujesz snu.

Thorn popatrzył na niego w milczeniu, w końcu kiwnął głową.

– Masz rację – odparł. – Potrzebuję. – Podeszedł do zwalonego pnia na skraju linii drzew i rozciągnął się na piasku, traktując pień jak poduszkę. Otulił się mocniej baraním kubaikiem i westchnął z zadowoleniem, przymykając powieki. – Tylko nie zaśnij – upomniał Hala. I zaraz potem sam zasnął.

Simsinnet, który znów stał na straży jako ostatni, obudził ich o świcie. Stig przeciągnął się, by pobudzić do pracy zeszywniałe mięśnie, wstał, przeczesując palcami potargane włosy i pociągnął łyk z bukłaka. Zmierzył go wzrokiem z obrzydzeniem.

– Naprawdę przydałby się kubek mocnej kawy – stwierdził.

– Nie pijemy kawy już od kilku tygodni – zauważył Hal.

Stig rzucił mu mordercze spojrzenie.

– No to choćby kubek tej cienkiej ziołowej herbatki produkcji Mawagów.

Simsinnet uśmiechnął się szeroko.

– Lepiej żeby Tecumsa tego nie słyszała – powiedział. – Jest bardzo dumna ze swojej herbaty.

Stig odchrząknął.

– Spróbuję znaleźć coś, co można by uprzyżyć i zrobić z tego napój choćby odrobinę przyominający kawę. Może kukurydza by się nadała?

– Powodzenia – odparł Thorn, po czym wskazał kciukiem na canoe. – Ruszajmy dalej.

Prędko zwinęli koca i ułożyli je na dnie łodzi. Noc była zimna, Hal żałował, że nie zabrał drugiego koca. Czuł się przemarznięty i zeszywniał, ramiona i barki pulsowały bólem. Ale postanowił nie skupiać się na fizycznym dyskomforcie.

– Bywało gorzej – mruknął do siebie, przypominając sobie, jak sztorm rzucał „Czapłą” przez długie dni i noce. Zdawało mu się wtedy, że już nigdy nie będzie mu ciepło i sucho.

Zajęli miejsca na ławkach i odbili od brzegu. Poranek był chłodny, słońce jeszcze nie wstało.

– Mam mokre stopy – poskarżył się Stig.

Thorn współczująco zacmokał.

– Biedne małeństwo – powiedział. – Jak wrócimy do domu, wujek Thorn zawinie cię w kocyk i włoży do środka gorący kamień, żeby było ci ciepło.

Mimo woli Stig uśmiechnął się szeroko.

– Naprawdę byś to dla mnie zrobił?

Thorn łyknął na niego z drapieżnym uśmiechem.

– Ale najpierw walnąłbym cię tym kamieniem w łeb – odparł.

Ich ciała szybko przystosowały się do rytmu wiosłowania, mięśnie się rozluźniły i rozgrzały od wysiłku. Niebo na wschodzie pojaśniało, ukazały się na nim szerokie pasma różu. A po chwili wstało słońce. Podobnie jak księżyc w nocy, wytoczyło się ponad korony wysokich drzew rosnących na wschodnim brzegu rzeki i napełniło ciepłem zmarznięte kości wiosłarzy.

– Już niedaleko – stwierdził Simsinnet ku ich zaskoczeniu.

Hal sądził, że przed nimi jeszcze kilka godzin podróży. Zapomniał jednak uwzględnić prąd, dzięki któremu podróż powrotna trwała znacznie krócej.

Jak na zawołanie rzeka rozszerzyła się, a kiedy minęli kolejny zakręt, ukazały się wody zatoki. Przerwali wiosłowanie i odchylił się na siedzeniach.

Jak dobrze wrócić do domu, pomyślał Hal. I uśmiechnął się krzywo na myśl, że nazwał domem to miejsce, leżące tak daleko od Skandii. Jakiś głos zawołał do nich od strony brzegu, wyrывая go z zamyślenia. Dostrzegł płynące ku nim niewielkie canoe, w którym siedziało trzech mężczyzn. Hal odruchowo położył dłoń na rękojeści miecza, który leżał oparty o ławkę – był zbyt długi, by nosić go u pasa w tych warunkach.

– To przyjaciele – prędko powiedział Simsinnet, wyczuwając ruch za plecami.

Kiedy canoe zbliżyło się, Hal rozpoznał znane stroje plemienia Mawagansettów. Mężczyźni byli uzbrojeni, każdy z nich miał na ramieniu krótki łuk i kołczan pełen strzał zakończonych krzemionymi grotami.

– Witaj w domu, Simsinnecie – powiedział wojownik siedzący na rufie. – Zależście Upiory?

– Znaleźliśmy ich. Walczyliśmy z nimi. Nasi przyjaciele... – tu wskazał na Skandian – podziurawili ich łodzie i unieszkodliwili kilku z nich.

Mężczyźni spojrzeli z szacunkiem na Stiga, Thornę i Hala.

– A więc tu nie przyjdą? – zapytał najmłodszy. – Zawrócili?

Thorn jednak szybko rozwił płonne nadzieje.

– Ależ owszem, przyjdą. Zjawią się za kilka dni. A wy co tu robicie? – spytał, chociaż domyślał się odpowiedzi.

– Mohegas kazał nam tu czekać na wasz powrót. Albo na przybycie Upiorów – powiedział ten pierwszy.

– W razie gdyby nam się nie udało? – spytał Thorn.

Wojownik uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

– Tak – przyznał.

– No to wypatruj ich dalej – odparł Thorn.

Poczekali, aż strażnicy wrócą do ukrytego punktu obserwacyjnego na brzegu rzeki. Potem znowu wzięli wiosła do ręki i skierowali canoe na szerokie wody zatoki.

Na widok ukochanej łodzi stojącej przy brzegu serce Hala aż podskoczyło.

To jest dom, pomyślał, nieważne, w jakim miejscu na świecie akurat się znajduję.

ROZDZIAŁ 37



Teraz, kiedy dotarli do celu, zwolnili tempo i pozwolili, by canoe łagodnie sunęło po wodach zatoki w stronę „Czapli”. Przybili do brzegu tuż obok i wciągnęli canoe na plażę. Hal powiódł wzrokiem dokoła.

– Widzę, że nasi koledzy nieźle się napracowali – powiedział. Palisada znikła, podobnie jak chata i dobudówka, w której mieszkała Lydia. Wszystko rozmontowano i przeniesiono. Jedyńm śladem ludzkiej obecności były poczerniałe kamienie w miejscu, gdzie Edvin rozpałał ogień. Ale rozrzuciono je, takby najeźdźcy nie zauważyli, że niedawno ktoś tu rozbił obóz.

Thorn rozejrzał się i z uznaniem kiwnął głową.

– Dobra robota – przyznał. – Domyślał się, że palisadę przenieśli do osady i tam postawili ją od nowa. – Wskazał na prześwit między drzewami, gdzie zaczynała się ścieżka prowadząca do wsi Mawagów. – Chodźmy.

Z trudem posuwali się do przodu przez cienisty las, zmęczeni wielodniowym wiosłowaniem. Na miejscu zastali gorączkową krzątanicę.

Jesper, Stefan i Ingvar wraz z grupą młodych Mawagów kończyli wznosić palisadę, która rozciągała się szerokim półkolem wokół zabudowań. Na placu zebrała jedna z nowych kuszy. Lydia właśnie uczyła kolejną grupę sztuki celowania i strzelania – oraz ładowania nieznaney im maszyny. Podobnie jak w przypadku Zadymiarza, Hal zaprojektował wystające dźwignie, dzięki którym łatwiej było odciągnąć cięciwę i zaczepić ją na mechanizmie spustowym. Jeden z Mawagów stał pochylony nad kuszą, mierząc według instrukcji Lydii do celu – sterty ciasno związanych gałęzi leżącej pięćdziesiąt metrów dalej. Rozległ się trzask zwolnionego spustu, łożo kuszy drgnęło, bełt wyleciał z cięciwy, śmignął w powietrzu i trafił prosto w stertę, aż poleciała kilka metrów w tył. Lydia poklepała Mawaga po ramieniu. Chłopak uśmiechnął się szeroko i niechętnie odszedł na bok.

– Następnym – powiedziała Lydia i kolejny wojownik podeszedł do kuszy, sięgając po dźwignie. –

Pomóż mu – poleciała Lydia trzeciemu z Mawagów, który natychmiast podszedł do kuszy. We dwóch unieśli dźwignię i odciągnęli cięciwę do tyłu. Sznur i ramiona kuszy i zaskrzyptały z wysiłku. W końcu Mawagowie zaczęli cięciwę o kółki wystające ponad łożem.

– Bełt – rozkazała Lydia. Drugi z mężczyzn pochylił się, z niewielkiego stosu ciężkich drewnianych pocisków wybrał jeden i wsunął w karb wycięty w górnej części kuszy, zaczepiając cięciwę o rowek z tyłu bełtu. Hal podszedł bliżej, zacieławiony. Bełt wyglądał nietypowo – mianowicie nie miał lotki.

Lydia uniosła wzrok i na jej twarzy pojawił się uśmiech, będący jednocześnie powitaniem i wyrazem ulgi.

– Wróciście.

Hal uśmiechnął się, popatrzył po sobie, jakby chciał się upewnić, że istnieje.

– Najwyraźniej – odparł, po czym zapytał, wskazując na bełt: – Nie zrobiliście lotek?

Lydia potrząsnęła głową.

– Postanowiłam trochę przyspieszyć prace – oznajmiła, wyjmując bełt i podając go Halowi. W miejscu trzech brzechw, które zwykle umieszczała na końcu pocisków, tkwiło duże pojedyncze pióro przywiązane kawałkiem rzemienia. Lydia wzięła je do ręki i wyjaśniła: – Pióro sprawia, że bełt leci w prostej linii. Nie jest aż tak skuteczne jak lotki, ale spełnia swoją funkcję. Będziemy strzelać z bliskiej odległości i nie musimy trafiać bardzo precyzyjnie.

Hal z namysłem pokiwał głową.

– To prawda. Dobry pomysł.

Lydia podjęła:

– Zbudowanie kusz poszło dość łatwo. Ulf i Wulf dobrze się spisali, a Mawagowie okazali się sprawnymi cieślami. Ale praca przy bełtach strasznie się przedłużała. Osadzanie brzechw to pracochłonne zajęcie, a potrzebujemy naprawę dużo pocisków.

Hal oddał jej bełt i wskazał na kuszę.

– Pokaż.

Lydia ponownie umieściła bełt w karbie i dała znak strzelcowi, by zajął pozycję. Kusza stała na ramie wspartej na czterech nogach. Nie dało się za bardzo obracać nią ani jej podnosić. Ale do zadań, które ich czekały, nadawała się doskonale. Strzelec przykucał, opierając końcówkę kuszy na ramieniu i spojrzął na cel.

– Zrobiłam celownik z prostych elementów, V z tyłu i języczka z przodu, by wyznaczyć linię celowania – wyjaśniła Lydia. – Nie da się go ustawiać, ale powoli uczą się, że trzeba celować wyżej, bo pocisk opada.

Hal kiwnął głową i spojrzął na Stiga, który podszedł do nich chwilę wcześniej i przyglądał się wszystkim z zainteresowaniem.

– Wygląda na to, że nie jesteś już jedynym wynalazcą w naszej drużynie – zauważył, a Hal kiwnął głową.

– Harowatta, przygotuj się do strzału – powiedziała Lydia do Mawaga. Jego dłoń zacisnęła się na spuście. Dwa wystające kołki weszły w otwory, zwalniając cięciwę. Siła odrzutu zatrzęsła kuszą.

Kiedy bełt znalazł się w powietrzu, Hal zobaczył, że Lydia miała rację. Wielkie pióro nadawało bełtowi odpowiedni kierunek. Pocisk, tak jak poprzedni, trafił z trzaskiem równo w stos gałęzi, niektóre łamiąc, a niektóre rozsypując na boki. To był idealnie wymierzony strzał, jego siła pchnęła stos o jakiś metr do tyłu.

– Dobra robota – pochwalił Hal Mawaga, który odpowiedział uśmiechem. Potem Hal zwrócił się do Lydii: – Ile kusz jest gotowych?

– Szczęść – odparła. – I powinniśmy dzisiaj dokończyć kolejne dwie. Tę ukończyliśmy jako pierwszą i ćwiczymy na niej z wszystkimi strzelcami. Całkiem niezłe im idzie.

– Widziałem.

Hal pomachał do Jespera i Stefana, którzy właśnie zauważyli ich powrót. Stefan powiedział coś do Ingvara, który taszczył stos długich ostro zakończonych palików, które mieli umieścić pod kątem po zewnętrznej stronie palisady. Ingvar podniósł głowę i pomachał, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Hal również pomachał w odpowiedzi.

– Widzieliście Upiory? – zapytała Lydia.

Hal przytaknął.

– Zakładam, że zjawią się tu za jakieś trzy dni.

Simsinnet nie zamierzał jednak przestać na tak skromnym opisie wyprawy.

– Czy ich widzieliśmy? Mało, że widzieliśmy! Hal, Stig i Thorn walczyli z sześcioma z nich i – tu urwał, niepewnie wyciągnął dłonie, jakby szukał właściwego słowa – po prostu ich rozwalili! – zakończył.

Lydia uśmiechnęła się szeroko.

– Taak Są w tym całkiem dobrzy – powiedziała i spoglądając na Stiga, dodała: – Szczególnie ten tu pan Mięśniak oraz budzący trwogę sławny Haczyk – Posłużyła się określeniem, którego użył Thorn kilka lat wcześniej, przedstawiając się królowi Araluenu.

Simsinnet był nieco zaskoczony jej niefrasobliwym stosunkiem do męstwa towarzyszy.

– Hal też! – powiedział z naciskiem. – Zabił jednego z Upiorów, a drugiego pozbawił przytomności, w ciągu zaledwie kilku sekund. Nigdy nie widziałem czegoś takiego jakta trójka!

Hal i Stig skromnie wzruszyli ramionami. A kiedy Lydia powiedziała:

– Zaczęłaj, aż zobaczysz Ingvara w akcji. – Obaj zgodnie pokiwali głowami.

Potem Lydia zwróciła się do grupy strzelców czekających na swoją kolej:

– Cóż, lepiej wracajmy do naszych zajęć, skoro Upiory wkrótce mają się tu zjawić.

Hal kiwnął głową.

– A my pójdziemy zdać raport Mohegasowi i upewnimy się, że wszystko jest gotowe, by należyście przyjąć miłych gości.

Ruszyli w stronę chaty Mohegasa, któremu już przekazano wiadomość, że wrócili, i wyszedł im na spotkanie. Uderzył ramieniem o ramię każdego z nich po kolei w powitalnym geście i powiedział z uśmiechem:

– Dobrze widzieć was całych i zdrowych! Znaleźliście Upiory?

Hal przekazał wszystkie potrzebne informacje: o miejscu, w którym widzieli najeźdźców i akcjach, które podjęli, by opóźnić ich przybycie. Simsinnet znów opowiedział z zachwytem o niebywałych umiejętnościach, którymi wykazali się trzej wojownicy z Północy.

– A więc może tym razem walka nie będzie jednostronna? – rzucił Mohegas. Hal, Stig i Thorn wzruszyli ramionami, a Simsinnet entuzjastycznie zgodził się z jego słowami.

– Możesz mi wierzyć, wuju – było to słowo wyrażające szacunek, którym zwracano się do starszych osób w plemienu Mawagansettów – tym razem Upiory czeka prawdziwy szok.

Mohegas przez chwilę bacznie przyglądał się Skandianom. Nie mieli w sobie ani cienia arogancji, nie przechwalali się swymi wyczynami. Biła od nich spokojna pewność siebie. Znali swoje możliwości i wierzyli w nie. Pomyślał, że Simsinnet może mieć rację. To byli wyćwiczeni w sztuce walki wojownicy. Tych dziesięciu ludzi mogło sprawić, że nadchodzący atak Upiorów będzie bardzo różnił się od poprzednich. Ich dziesięciu i osiem potężnych kusz. W chwili, kiedy o tym pomyślał, rozległo się BAM! – kolejny bełt wyleciał z kuszy – a zaraz potem jego uszu dobiegły radosne wiwaty wojowników ćwiczących się w sztuce strzelania. Widocznie ten strzał również okazał się trafiony.

– Cieszę się, że tu jesteście – powiedział Mohegas.

Thorn uśmiechnął się drapieżnie i odparł:

– Zróbmy tak, żeby Upiory się nie cieszyły.

Zadowoleni z pomyślnego przebiegu przygotowań, czterej uczestnicy wyprawy przez resztę dnia odpoczywali, nadrabiając zaległości w spaniu, których narobili podczas intensywnej podróży w górę rzeki. Następnego ranka Hal obudził się świeży i wypoczęty, ale jego ramiona wciąż były zeszywniałe, a mięśnie bolały. Stig skarżył się na podobne objawy, Thorn za to nie ucierpiał ani trochę, jakby potężne muskuły były w stanie znieść każde obciążenie.

– Oto rezultat czystego trybu życia – powiedział tonem pełnym wyższości.

Hal uniósł jedną brew.

– Może to być rezultat wielu rzeczy – odparł – ale w twoim przypadku raczej nie czystego trybu życia.

Tecumsa posmarowała ich ramiona i barki silnie woniejącą maścią, trochę piekącą, ale jak się okazało, niezwykle skuteczną na skurcze i bóle. Thorn wciągnął zapach w nozdrza i zrobił cierpiętniczą minę.

– Może wy dwaj też powinniście spróbować czystego trybu życia. Cuchnicie jak stajnia pełna osłów.

Wiele lat wstecz, podczas wyprawy do Iberionu, Thorn miał okazję widzieć, a co ważniejsze, poczuć, dość liczne stado osłów. Wspomnienie wciąż było żywe. Stig i Hal popatrzyli na niego, nic nie rozumiejąc. W Hallasholmie osłów nie znano.

– A jak one cuchną? – zapytał Stig.

Thorn potrząsnął głową, usiłując przegonić mocne opary bijące od jego młodych przyjaciół.

– Jak wy. Tylko nie aż tak straszliwie.

Czuli się nieco zażenowani, wysłuchując komentarzy na temat higieny od Thorny, który nie należał do najpiękniej woniejących osób. Ale maść Tecumasy okazała się niezwykle skuteczna i Hal uznał, że warto dla tego efektu wycierpieć każdą zniewagę.

– Chodźmy zobaczyć, jak przebiegają przygotowania – zaproponował.

Lydia, Ingvar, Stefan i Edvin zabrali ich na obchód. Osiem kusz podzielono na dwie baterie i ustawiono na dwóch krańcach wsi, za linią drzew rosnących wokół palisady, pod kątem czterdziestu pięciu stopni, tak by strzelcy mogli wziąć atakujących palisadę w ogień skrzydłowy – zasypać ich gradem pocisków z obu stron naraz.

Obok każdej z kusz leżał spory stos bełtów. Hal wziął do ręki jeden z nich i zbliżył do oczu. Zrobiono go z twardego drewna, a na końcu zatknięto ostry krzemienisty grot. Jak już wcześniej zauważył, na drugim końcu tkwiło długie pióro, mające za zadanie ustabilizować lot pocisku. Hal policzył, że w każdym stosie znajduje się tuzin bełtów.

– To razem prawie sto. A istnieje spora szansa, że jeden bełt załatwi więcej niż jednego napastnika naraz.

– Istnieje też spora szansa, że kiedy zaczniemy strzelać, zawrócą i nas zaatakują.

Hal kiwnął głową.

– Najlepiej również tutaj zbudować ogrodzenie – stwierdził. – Palisada z ostrych palików zwróconych na zewnątrz powinna spełnić swoje zadanie. – Spojrzał na Stefana. – Możesz to zorganizować?

Stefan przytaknął.

– Zaraz zbiorę kilku Mawagów.

Teraz Hal zwrócił się do Lydii:

– Obejmiesz dowodzenie nad tą baterią. Thorn, ty zajmiesz się drugą. – Wskazał na grupę czterech kusz, stojącą nieco dalej pośród drzew.

Stig z zaciekawieniem przekrzywił głowę i zapytał:

– A ja co mam robić?

– Ty będziesz dowodzić przy głównym ogrodzeniu. Przygotuj awaryjny oddział złożony z sześciu Mawagów, w razie gdyby Upiorom udało się przebić przez linię obrony.

– A ty gdzie będziesz? – spytała Lydia.

Hal wyciągnął rękę w stronę plaży.

– Zabiorę Edvina i bliźniaków i ukryjemy łódź za północnym cyplem, a kiedy pojawią się łodzie Upiorów, przypuścimy atak, staranujemy i zatopimy, ile tylko się da. – Z namysłem zagryzł wargi. – Trzeba będzie zaczekać, aż wszystkie wypłyną na zatokę. I zaatakować od tyłu. To znaczy, że będziecie musieli stawić czoło mniej więcej połowie sił wroga, czyli tym Upiorom, którym uda się zbiec na plażę, nim zdążymy ich załatwić.

– To raczej nie będzie problem – stwierdził Thorn, a pozostali zgodnie mruknęli.

Hal spojrział na niego.

– Czy o czymś zapomniałem?

Stary wilk morski potrząsnął głową.

– Wydaje mi się, że to wszystko. Oczywiście, kiedy rozpocznie się walka, może zdarzyć się mnóstwo nieprzewidywanych rzeczy. Zawsze tak jest.

Pozostali popatrzyli na niego z powagą. Doświadczenie podpowiadało, że Thorn ma rację.

W końcu Stig przerwał milczenie:

– Nawet jeśli odniesiemy połowiczny sukces, to i tak sprawimy, że już nie wrócą.

– A jeśli odniesiemy pełen sukces – dodał Hal – sprawimy, że nie wrócą do domu.



ROZDZIAŁ 38



Nadchodzą! – krzyknął Ulf, głosem łamiącym się z podekscytowania, a może ze strachu – bądź obu tych rzeczy naraz.

Od powrotu Hala z wyprawy w górę rzeki minęły trzy dni. Mohegas podzielił ludzi na dwuosobowe zespoły, rozstawione co dwa-trzy kilometry w punktach obserwacyjnych nad rzeką, których zadaniem było wypatrywać nadejścia wroga. Na widok nieprzyjacielskich łodzi każda para obserwatorów miała rozpalic ostrzegawczy ogień i uciekać – w głąb łądu, jeśli Upiory znajdą się za blisko, bądź w dół rzeki, łodzią, o ile uznają ten wariant za bezpieczny. Canoe napastników, wyczerpanych długą podróżą, będą poruszać się znacznie wolniej niż pojedyncze lekkie canoe obciążone jedynie dwójką wioślarzy i mające do pokonania krótki dystans.

Teraz Hal dostrzegł cienką smugę dymu unoszącą się nad szóstym, ostatnim punktem obserwacyjnym, w miejscu, gdzie rzeka wpadała do zatoki. Wcześniejszy odcinek liczący dwa kilometry był pozbawiony zakrętów, co znaczyło, że Upiory znajdują się w odległości mniejszej niż dwa kilometry. W tym momencie niewielkie canoe oderwało się od brzegu i skierowało w stronę plaży, tak szybko, jak na to pozwalała siła wioślarzy.

Hal, Edwin i bliźniacy znajdowali się na pokładzie „Czapli” cumującej tuż za północnym cypłem. Każdego dnia zabierali Kluf, przepływali w canoe przez zatokę i czekali na pokładzie na sygnał o nadejściu wroga. Obłożyli łódź pnączami i liściastymi gałęziami, by trudniej było ją dostrzec. Rejki leżały opuszczone – ale gotowe, by w każdej chwili je podnieść, gdy z ujścia rzeki wynurzą się łodzie Upiorów i skierują na szerokie wody zatoki, mimowolnie wystawiając się na atak Skandian.

Hal przysłonił oczy przed porannym słońcem i popatrzył w stronę plaży. Tuż przy granicy drzew uniosła się wstęga dymu – potwierdzenie, że sygnał odebrano. Strażnik wbiegł między cienie pod drzewami, kierując się w stronę wsi, by przekazać wszystkim wiadomość.

– Szukajmy się – powiedział Hal. Jego trzej towarzysze sprawdzili broń. Kluf widocznie

wyczuwała napiętą atmosferę, bo zjeżyła się na grzbiecie i wydała z siebie niski pomruk

– Spokojnie, dziewczyno – powiedział Hal, gładząc jej łeb. Nie chciał, żeby przypadkiem zaczęła szczekać, to mogłoby zdradzić ich kryjówkę przed wrogiem.

– Mamy zdjąć kamuflaż? – spytał Wulf, wskazując na pokrywającą łódź płataninę gałęzi.

Hal potrząsnął głową.

– Jeszcze nie. Chcę, żeby najpierw wszystkie ich łodzie znalazły się na zatoce. Jeśli dostrzegą nas zbyt wcześnie, mogą zawrócić i uciec w górę rzeki.

A szybkie i zwrotne canoe rozwinęłyby większe tempo niż „Czapla”. Pośród wąskich brzegów, broniących dostępu wiatrom, duża łódź nie zdołałaby utrzymać odpowiedniego kursu. Za to na wodach zatoki sprawa miała się zupełnie inaczej. Żagle dawały jej znaczną przewagę, zapewniały o wiele większą szybkość. Powinna błyskawicznie dopaść canoe Upiorów, staranować je i rozwalić w drobny mak

Hal czekał na nadejście wroga ze ściśniętym żołądkiem. Pomyślał, że zawsze tak jest. Dostajesz pierwszy sygnał i wszyscy natychmiast się spinają. A potem długo nic. Znow przy słonił oczy, próbując dojrzeć ujście rzeki, wypatrzeć ruch. Ale nadal nic się nie działo.

Kiedy strażnik przybiegł do wsi i ogłosił wiadomość o przybyciu Upiorów, nastąpiło natychmiastowe ożywienie. Thorn z ponurym uśmiechem przyglądał się biegającym dokoła Mawagom. Nie mieli powodów do pośpiechu i zdenerwowania. Wszyscy byli gotowi do ataku – i to od kilku dni. Osiem kuszy czekało pośród drzew w dwóch grupach, każda z nich ustawiona w ten sposób, by łatwo oddać strzał między pniami. Początkowo nawet zastanawiano się, czy nie lepiej wyciąć kilka drzew, ale Thorn stanowczo się temu przeciwstawił. Napastnicy mogliby wówczas dostrzec kusze, a tak deszcz bełtów spadnie na nich jakby znikąd. A w przypadku, gdyby postanowili najpierw zaatakować baterie, drzewa będą tworzyć doskonałą linię obrony.

Przyglądał się, jak rodzice pospiesznie zaganiają dzieci do chat w środku osady, gdzie podczas bitwy mieli pilnować ich starsi oraz młode kobiety.

– Nie ma pośpiechu – mruknął. – Będą tu najwcześniej za godzinę.

Lydia, stojąca przy drugiej baterii, myślała dokładnie o tym samym. Ona też uważała, że najgorsze jest czekanie. I podobnie jak Thorn wiedziała, że jeszcze trochę to potrwa. Przypatrywała się Mawagansettom, którzy zaczęli zajmować pozycje przy otaczającej wieś barykadzie ze splątanych gałęzi i naostrzonych palików. Rozpoznała sylwetkę Tecumсы, która zebrała grupę dzieci i zaprowadziła je do jednej z położonych centralnie chat, zapewniających względne bezpieczeństwo. Poprzedniego dnia podeszła do Lydii wraz z grupą innych młodych kobiet.

– Zamierzasz brać udział w walce? – zapytały.

Kiedy potwierdziła, Tecumsa wystąpiła naprzód i powiedziała:

– Naucz nas walczyć. – A pozostałe kobiety zgodnie jej zawtórowały.

Kiedy Lydia pokręciła głową, zrzędy im miny.

– To niemożliwe w tak krótkim czasie. Jeśli staniecie przy barykadzie, może to podziałać rozpraszająco na waszych wojowników. Zaczną się o was martwić, a to może kosztować ich życie.

Widziała, że rozumieją sens tego, co powiedziała, niemniej jednak były bardzo zawiedzione.

– Ale oto, czego mogę was nauczyć – dodała, a ich oczy natychmiast załśniły z zaciekawieniem. – Przygotujcie sobie rodzaj broni, którą możecie łatwo się posługiwać. Najlepsze będą włócznie. Są lżejsze od maczug czy toporów. Jeśli któryś z Upiorów przebije się przez linię obrony i was zaatakuje, włócznia utrzyma go na dystans.

Kobiety pokiwawały głowami, nie odrywając wzroku od Lydii i chłonąc każde jej słowo.

– Jeśli tylko możecie, atakujcie w parach. Dźgajcie i kłujcie. Mierzcie w łdyki i uda. Trudniej odparować nisko wymierzony cios. A jeśli traficie, wojownik będzie wyłączony z walki, równie skutecznie, jakby już nie żył. – Urwała. Widziała, że jej słowa trafiły im do przekonania. Kobiety wciąż wpatrywały się w nią uważnie. – Jeszcze jedno – dodała. – To najważniejszy aspekt walki. I najtrudniejszy. Nigdy nie cofajcie się przed wrogiem. Nieważne, jak bardzo będziecie przerażone, a będziecie, zapewniam, nieważne, jak strasznie wyglądają te ich białe twarze i czarne oczodoły, za nic nie ustępujcie pola. Atakujcie. Przez cały czas posuwajcie się do przodu. Krzyczcie. Dajcie upust nienawiści. A przede wszystkim atakujcie. Na pewno się tego nie spodziewają. Sądzą, że uciekniecie, piszcząc ze strachu. W żadnym wypadku tak nie róbcie. Zawsze do przodu.

Zauważyła, że Tecumsa bezgłośnie powtarza jej słowa, widziała jej zdecydowanie zaciśnięte szczęki i wyraz determinacji w oczach. Ona z pewnością nie ucieknie przed Upiorami, pomyślała Lydia.

Spojrzała na wojowników zgromadzonych wokół czterech kuszy.

– Wszyscy gotowi? – spytała, na co odpowiedział jej zgodny chór głosów. Widząc ich napięcie, posłała im dodający otuchy uśmiech. – Będą tu najwcześniej za godzinę. Rozluźnijcie się, nie denerwujcie. Jeszcze będzie na to czas, kiedy się zjawią.

Kilku młodych mężczyzn nerwowo pokiwawało głowami. Lydia uświadomiła sobie, że prawdopodobnie brała udział w większej liczbie bitew niż którykolwiek z nich.

– Wszystko będzie dobrze – dodała z uśmiechem. – Już nie mogę się doczekać, by zobaczyć miny tych wypacykowanych łysoli, kiedy zaczniemy do nich strzelać. – Podobnie jak Thorn wiedziała, że warto przed walką pomniejszyć groźbę przeciwników, pozartować sobie z ich groźnego wyglądu. Niektórzy z mężczyzn uśmiechnęli się niepewnie.

Stefan i Jesper towarzyszący Lydii kiwnęli głowami na znak, że rozumieją jej strategię. Stefan ziewnął i niedbale oparł się o jedną z kusz, obracając topór w dłoniach. Ostrze pochwytiło promienie słońca sączące się przez korony drzew. W jego dłoniach zdawało się lekkie jak piórko. Swobodna postawa Skandian niosła wyraźny przekaz. Mawagowie słyszeli od Simsinneta o niezwykłych umiejętnościach, którymi przybysze wykazali się podczas walki. Idąc za ich przykładem, również nieco się rozluźnili.

Stig powoli kroczył wzdłuż palisady, wyszukując słabe miejsca, przez które mogliby przebić się atakujący. Tarczę trzymał zarzuconą na plecy. Od czasu do czasu rzucał krzepiące uwagi do wojowników, którzy stali przy ogrodzeniu gotowi do walki, z włóczniami i drewnianymi maczugami w rękach. Większość miała też tarcze z drewnianych ram obciążone jelenią skórą. Mniej więcej jeden na trzech trzymał charakterystyczny dla Mawagów krótki mocny łuk, a na ramieniu kłoczan.

– Nie marnujcie strzał – powiedział. – Zaczekajcie, aż Upiory podejną blisko, i dopiero wtedy strzelajcie. I pamiętać, kiedy rozlegnie się sygnał rogu, macie natychmiast się schować.

Kiwnęli głowami w odpowiedzi. Kilku oblizało wargi. Suchość w ustach – stały problem przed walką.

Sygnał, o którym wspomniał, stanowił ważny element, który dodał Hal do planu obrony. Tuż przez rozpoczęciem salwy z kusz Lydia i Thorn mieli zadać w róg. Wojownicy mieli wówczas schować się za palisadą – by żaden zabłąkany bełt nie trafił w obrońców zamiast w najeźdźców.

Stig poczuł czyjś dłoń na ramieniu, odwrócił się i zobaczył Tecumse. Uśmiechnął się do niej, po czym ruchem głowy wskazał na chaty.

– Lepiej wracaj do dzieci – powiedział. Tecumsa odwzajemniła uśmiech. Było widać, że się denerwuje, ale bardzo stara się tego nie okazywać.

– Chciałam życzyć ci powodzenia – powiedziała. – Wróć do mnie cały i zdrowy, mój kochany.

Wspięła się na palce i złożyła delikatny pocałunek na wargach Stiga. Kilku stojących najbliżej wojowników zaczęło gwizdać i pohukiwać. Stig wiedział, że takie publiczne gesty czułości raczej nie są spotykane wśród Mawagansettów. Dotyk jej warg był miękki i przelotny, ale nawet kiedy się odsunęła, wciąż czuł go na ustach.

– Wszystko będzie dobrze – odparł. – Ty też na siebie uważaj.

Znów się uśmiechnęła, a potem obróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do wsi, aż dotarła do jednej z większych chat, gdzie zebrały się kobiety i dzieci. Przystanąła w wejściu i pomachała. Stig uniósł dłoń w odpowiedzi. Potem Tecumsa znikła w środku.

– Do zobaczenia po wszystkim – powiedział Stig.

Czas ciągnął się koszmarnie. Hal chodził w tę i z powrotem po polądzie, co chwila spoglądając

ku ujściu rzeki. Ale Upiorów wciąż nie było widać. Dymny sygnał rozwiewał się w powietrzu, została z niego tylko wąska wstążeczka unosząca się do nieba. Za chwilę już miało jej nie być.

Hal popatrzył na południe, by po raz chyba dziesiąty sprawdzić kierunek wiatru. Wiatr oczywiście nadal wiał z południowego zachodu. Zatoka w południowej części była gładka i nieruchoma, skutecznie osłaniana przez wysokie cyple. Ale na szczytach widać było kołyszące się drzewa. I jakieś sto metrów od brzegu powiew marszczył powierzchnię wody w drobne fale. Hal pomyślał, że nie zabraknie im wiatru do wykonywania manewrów.

– Są – powiedział Edvin. Hal obrócił się i znów spojrział na ujście rzeki. Na widok pierwszych canoe wypływających na wody zatoki poczuł przypływ adrenaliny. I lekkie rozczarowanie – łodzie płynęły bowiem jedna za drugą. Miał nadzieję, że będą płynęły większymi grupami i szybko znajdą się na zatoce. Niestety, te pierwsze pewnie zdążą dopłynąć na drugą stronę, nim ostatnie opuszczą ujście rzeki.

– Cóż – powiedział cicho – Thorn i Stig będą musieli poradzić sobie z pierwszą falą.

Nie miał wątpliwości, że przyjaciele poradzą sobie z atakiem Upiorów. Nawet bez wsparcia w postaci ośmiu kusz Skandianie z pewnością zdołaliby obronić wieś Mawagów przed napastnikami. Byli doskonale wyćwiczeni i sprawni, a broń z żelaza miała znaczną przewagę nad kamienną bronią miejscowych ludów. Ale byłoby prościej, gdyby mógł przypuścić atak na całą flotę, nim którekolwiek z canoe dotrze do brzegu.

Byłoby, gdyby, ponuro powtórzył w myślach. Zawsze tak jest, kiedy dochodzi do bitwy. Nic nie układa się tak, jakby się chciało.

Dojrzał ruch kątem oka – to Ulf podszedł do liny, podtrzymującej parawan z pnączy i gałęzi.

– Jeszcze nie – powstrzymał go Hal. – Dopiero kiedy wszyscy znajdą się na wodach zatoki.



ROZDZIAŁ 39



Pierwsze canoe przybiły do brzegu, a wojownicy wyskoczyli z nich w pośpiechu. Przywódca wyprawy, znany w języku Upiorów jako Ten, Który Trzyma Czarną Dwidę, czekał niecierpliwie. Kiedy na plaży znalazło się sześć canoe, zabrał grupę złożoną z trzydziestu dwóch mężczyzn i ruszył truchtem ścieżką prowadzącą przez las. To byli jego najlepsi ludzie – najsprawniejsi wojownicy i najszybsi wioślarze. Pierwsze z pozostałych canoe znajdowało się dopiero na środku zatoki, a reszta z trudem za nim nadążała.

– Kiedy znajdują się na brzegu, niech idą za nami – powiedział do swego zastępcy, niskiego, lecz masywnie zbudowanego mężczyzny imieniem Miażdżyciel Czaszek, z powodu ciężkiej kamiennej maczugi, którą zawsze posługiwał się w walce.

Na twarzy zastępcy pokazał się okrutny uśmiech.

– Będzie więcej łupów dla nas – stwierdził. Nie spodziewali się żadnego oporu. Jeśli sprawy potoczą się tak jak zwykle, miejscowi po prostu uciekną, zostawiając domy i cały majątek na pastwę najeźdźców.

Czarna Dzida dobrze znał teren. Brał udział w poprzednim najeździe na wieś Mawagansettów i teraz bez wahania prowadził swych ludzi cienistą ścieżką pośród drzew. Posuwali się w dwóch rzędach, lekkim truchtem, pokrzykując do rytmu, wybijanego stopami na miękkiej pokrytej liśćmi ziemi.

Wynurzyli się z lasu na załaną ostrym słońcem polanę. I zamarli ze zdumienia.

Spodziewali się wyludnionej wsi, pełnej łupów, które można sobie po prostu zabrać. A teraz stali naprzeciw palisady obronnej sięgającej piersi dorosłego mężczyzny i ciasno oplecionej krzakami i gałęziami. Otaczała stojące rzędami chaty i kończyła się w strumieniu płynącym za wsią. Na całej długości sterczały ostre paliki, niczym kolce jeżozwierza, grożąc nieostrożnym napastnikom. Czarna Dzida zauważył, że w płytkiej wodzie strumienia również tkwią takie paliki, uniemożliwiając przedostanie się do środka od tamtej strony.

Na widok głów i ramion Mawagansettów wystających ponad palisadą – a także na widok broni w ich rękach – poczerwieniał ze złości. Dał znak swoim ludziom, by ustawili się w długiej linii naprzeciw palisady. Ludzie-Upiory zwykle stosowali atak frontalny. Słynęli z okrucieństwa i żądzy krwi, liczyli więc, że w ten sposób obudzą przerażenie w ofiarach. Przybrali odpowiednią postawę, szykując się, by na dany sygnał równocześnie ruszyć do ataku. Od palisady dzieliło ich zaledwie dwadzieścia metrów. Czarna Dzida postanowił dać Mawagansettom szansę na dobrowolną kapitulację.

– Mawagansettowie! – zakrzyknął we własnym języku, wiedząc, że go rozumieją. – Poddajcie się. To wasza ostatnia szansa! Poddajcie się, a oszczędzimy wasze kobiety i dzieci!

W odpowiedzi usłyszał jedynie stłumiony pomruk sprzeciwu. Spróbował jeszcze raz.

– Poddajcie się! Inaczej wszystkich was zabijemy! I będziecie umierać powoli, w okrutnych cierpieniach!

Cisza. Wreszcie odezwał się pojedynczy głos – w obcym języku.

– Najpierw musisz nas dopaść, łysolku!

Nie zrozumiał słów, ale reakcja w postaci chóralnego śmiechu zza barykady podsyłała jego wściekłość. Nagle pojawiła się dziwna postać – jakaś istota o bladej skórze i jasnych włosach, wymachująca toporem o dziwnym połyskującym srebrem ostrzu, z wielką okrągłą tarczą na ramieniu.

Czarna Dzida zawahał się. Poczłł ciarki na plecach. Dziwna postać przypominała jednego z tych demonów, które zaatakowały obóz kilka dni temu. Jeden z jego ludzi przeżył i opisał napastników. Wtedy Czarna Dzida sądził, że to kłamstwo, mające na celu zakamuflować tchórzostwo i skazał mężczyznę na śmierć. Ale oto miał przed sobą postać wyglądającą dokładnie tak jak w opisie. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Przez sekundę rozważał, czy nie wycofać się na plażę. Ale jakoś wziął się w garść. W ten sposób tylko dałby swoim ludziom zaproszenie, by go pojmać i zabić. Demon, nie demon, trzeba przypuścić atak. Słyszał, jak jego ludzie przestępują z nogi na nogę i wrzasnął z wściekłością:

– Upiory! Do ataku! Zabić Mawagansettów! Zabić Białe Włosy!

Uniósł dzidę i ruszył do ataku. Jego plemię od wielu, wielu lat nie poniosło porażki w bitwie. Wojownicy poszli za przykładem wodza, wykrzykując obelgi i groźby i wydając dziwny zawodzący przenikliwy dźwięk – okrzyk bojowy Upiorów.

Czarna Dzida, zbliżając się do palisady, nieznacznie skręcił w prawo, by nie spotkać się z tym dziwnym wojownikiem. Niech ktoś inny się nim zajmie, pomyślał. Widział, jak Mawagansettowie szykują się do odparcia ataku. Obrął sobie za cel jednego z młodszych wojowników, zamierzył się dzidą, gotując się do rzutu.

Ale zamarł w połowie ruchu, zdjęty strachem na widok kolejnej bladej istoty, która

niespodziewanie wychyłała zza palisady tuż przed nim. Ten osobnik miał zamiast oczu wielkie czarne kręgi i był jeszcze potężniejszy od pierwszego, a w rękę trzymał dziwną włócznię – z grotem zrobionym z tego samego lśniącego metalu co topór tamtego. Kiedy się uśmiechnął, Czarna Dzida aż zagotował się z wściekłości. Zapominając o strachu, skoczył naprzód.

– Mierzy prosto w ciebie – ostrzegł Stig Ingvara.

– Niech mierzy – odparł Ingvar, ustawiając halabardę w pozycji ukośnej, tak jak wiele lat temu nauczył go Thorn.

Upiór dzierżył długą czarną dzidę zakończoną ostrym grotem z krzemienia. Rzucił nią w Ingvara, ten jednak odpowiedział uderzeniem halabardy i odsunął dzidę w bok. Następnie, z szybkością zaskakującą u osoby o tak potężnej budowie, sam ruszył do ataku. Czarna Dzida spodziewał się tego i uskoczył w odpowiednim momencie, tak że lśniący grot ześliznął się po jego ramieniu.

Ale zaraz uświadomił sobie pomyłkę: Ingvar prędko szarpnął halabardą, aż ostry hak na końcu wbił się w nagą skórę dowódcy Upiorów, głęboko zarył w mięśnie na plecach i pociągnął go do przodu. Dowódca wrzasnął z bólu i mimowolnie unióśł ręce, przy okazji wypuszczając dzidę.

Dzięki długim treningom pod okiem Thorna Ingvar potrafił mistrzowsko posługiwać się tą niezwykłą bronią i doskonale wykorzystywać zalety potrójnego ostrza. Halabarda była bowiem wyposażona w grot, hak i ostrze topora. Ingvar wyrwał hak z ciała przeciwnika, unióśł halabardę i zadał krótki mocny cios toporem. Nawet nie musiał mierzyć z wysoko – zresztą pewnie wówczas odrąbałby napastnikowi głowę – siła jego mięśni i tak zrobiła swoje.

Czarna Dzida poczuł kolejne uderzenie, tym razem w łarkę tuż powyżej ramienia. Kolana się pod nim ugięły, wszystko zasnęła mgła i uświadomił sobie, że oto przegrał, po raz pierwszy i ostatni w całym swoim życiu. Zdażył jeszcze zobaczyć bladokórego demona wpatrzonogo weń tymi czarnymi tarczami, które wyglądały jak oczodoły pozbawione gałek. A potem zapadła ciemność.

Pozostali napastnicy, widząc to krótkie brutalne stracie, doznali prawdziwego szoku. Nigdy nie widzieli, by Czarna Dzida przegrał walkę. A teraz wisiał bezwładnie na jednym z ostrych palików wystających z barykady.

Thorn obserwował wszystko ze swego miejsca między drzewami, przy grupie gigantycznych kusz, kiwając z uznaniem głową, pełen podziwu dla siły i umiejętności Ingvara. Mawagansettowie byli spięci i zdenerwowani, chcieli natychmiast zacząć strzelać, więc powiedział kilka uspokajających słów. Pierwsza seria stanowiła najlepszą okazję, by poczynić maksymalne szkody. Chciał, żeby wszystkie kusze wystrzeliły jednocześnie i z jak największą precyzją. Jak wiedział, później, w ferworze walki, wszystko stanie się bardziej chaotyczne.

– Jeszcze nie – ostrzegł ludzi. – Zaczekajcie, aż zgromadzą się przy palisadzie, i celujcie bardzo

uważnie. – Killku Mawagów wybrało sobie precyzyjny cel spośród Upiorów i odpowiednio ustawiło kusze. Thorn spojrzął na mężczyznę, który trzymał róg, nerwowo oblizując wargi.

– Gotowy ... – powiedział, unosząc ramię.

Miażdźciel Czaszek, który teraz objął dowodzenie, wystąpił naprzód, stanął zwrócony w półbrocie do Upiorów i zakrzyknął, wysoko unosząc ogromny topór:

– Upiory! Pomścijmy naszego dowódcę! Do ataku! Zabijcie Białe Włosy! Mamy nad nimi przewagę!

Wojownicy poruszyli się niespokojnie. Słowa przywróciły im słabnącą odwagę. Ale w tym samym momencie stało się coś dziwnego.

Gdzieś z lewej strony dobiegł sygnał rogu i nagle twarze obrońców znikły za palisadą.

Miażdźciel Czaszek nie wiedział, co się dzieje i dlaczego, ale dostrzegł swoją szansę.

– Teraz! – wrzasnął i ruszył do ataku. Zaczął wspinać się po barykadzie ze splątanych gałęzi, trzymając topór gotów do ciosu, by rozwalić nim czaszkę każdego śmiałka, który odważy się stanąć na jego drodze.

Podczas gdy Miażdźciel Czaszek i Czarna Dzida prowadzili atak na centralną część palisady, niewielka grupa Upiorów pobiegła do jej wschodniego krańca, nisko kłęcząc, by nie zobaczyli ich Mawagowie. Korzystając z tego, że obrońcy skupili całą uwagę na głównym ataku, trzech z nich wyskoczyli nagle zza palisady, wyrzaskując obelgi i zawołania wojenne i mierząc prosto w zaskoczonych Mawagów. Dwóch natychmiast padło na ziemię, jeden martwy, drugi ciężko ranny.

Orvik podbiegł do niego i odciągnął dalej. Przydzielono mu zadanie ratowania rannych i przenoszenia ich w bezpieczne miejsce. Najpierw chciał stanąć do walki, ale Mohegas i Thorn stanowczo odrzucili ten pomysł. Swego czasu Orvik był bardzo cennym wojownikiem, ale lata odcisnęły na nim swoje piętno. Ruchy miał powolne, brakowało mu dawnej siły, mięśnie już nie były takie sprężyste i wytrzymałe. W dodatku prawe kolano sztywniało i bolało przy chłodniejszej aurze.

– Lepiej zajmuj się rannymi – powiedział Thorn i w końcu Orvik pogodził się z nieuniknionym. Pomyślał, że lepiej za coś się przydać niż stać się kolejną ofiarą Upiorów.

Umieścił rannego Mawaga na noszach, ułożył jego ramiona i nogi w możliwie wygodnej pozycji i odwrócił się, by zawołać jednego ze znachorów.

Ale nie zdążył. Jeden z Upiorów zeskokczył z palisady nad głowami obrońców i rzucił się na niego.

Orvik usłyszał krzyk, prędko się obrócił i stanął twarzą w twarz z napastnikiem, wyciągając nóż z pochwy – jedyny przedmiot, który ocalał z dawnego życia, po tamtej katastrofie wiele lat temu.

Rękojeść z mosiądzu i skóry leżała w jego dłoni solidnie i znajomo. Dobry stary przyjaciel, który towarzyszył mu w tyłu bitwach. Orvik spokojnie czekał na starcie z przeciwnikiem.

Upiór zaatakował lekkim ruchem dzidy od dołu, Orvik jednak, doświadczony w sztuce walki i mający na koncie wiele wygranych bitew, wyczuł nadchodzący cios i lekko uskoczył na bok, by dzida go nie dosięgła.

Tak przy najmniej zamierzał, lecz niestety, ciało go zawiodło. Przekłęte prawe kolano ugięło się w momencie skoku. Orvik potknął się, niezgrabnie poleciał do przodu i nagle poczuł gorące uderzenie bólu – dzida rozpruła jego brzuch. Na chwilę stracił oddech. A potem ranione miejsce jakby odrętwiało, już nie czuł bólu. Czuł tylko, jak grot rozrywa mu wnętrzności, gdy przeciwnik próbował wyszarpnąć dzidę. Ich oczy się spotkały. Orvik uśmiechnął się ponuro i machnął nożem, który ostrzył regularnie przez te wszystkie lata, w poprzek gardła napastnika, zdając mu śmiertelny cios.

Upiór wydał bulgoczący dźwięk i padł twarzą na ziemię. Sekundę później Orvik osunął się na ciało martwego wroga. W ostatnim momencie uświadomił sobie, że kolano już mu nie dokucza.

Miażdźciel Czaszek podciągnął się na sam szczyt palisady, której chwilowo nikt nie bronił. Poczul przyplw w triumfu i uznał, że Mawagowie nie wytrzymali napięcia i uciekli w panice.

Nagle jakby potężna pięść trafiła prosto w ciasne szeregi Upiorów. Ciężki pocisk ugodził Miażdźciela w ramię, zakręcił nim dookoła i rzucił na ziemię. Spojrzał w bok i zobaczył jednego ze swoich ludzi przebitego bełtem. Dwa kolejne bełty trafiły w grupę trzech wojowników, którzy z krzykiem osunęli się na ziemię, ranni bądź martwi. Nim Miażdźciele zdążyli się zorientować, co się stało, znów rozległ się dźwięk rogu – tym razem dochodził z prawej strony.

I na atakujących spadła następna porcja bełtów. Tym razem dwóch padło na ziemię. Miażdźciel dostrzegł jednak, że również palisada ucierpiała – dwa pociski zgruchotały fragment ściany z gałęzi i palików, aż drzazgi poleciały we wszystkie strony.

Odwrócił się i spojrział w prawo, próbując ustalić, skąd strzelano. Nie zdążył jednak dojrzeć nic więcej niż cień ruchu między drzewami – i cztery kolejne bełty walnęły w grupę jego ludzi – tym razem znów z lewej strony.

– Są w lesie! – krzyknął ktoś, wskazując w prawo. Miażdźciel Czaszek uświadomił sobie, że muszą unieszkodliwić atak z tamtej strony albo za chwilę nic z nich nie zostanie. Wyprostował się z trudem. Lewe ramię zwisało bezwładnie, ocielając kwią. Wskazał toporem na drzewa, tam, gdzie przed chwilą dostrzegł ruch.

– Za mną! – wrzasnął i ruszył biegiem. Słyszał kroki swoich ludzi tuż za plecami. Poczul przyplw w sił do działania, przyśpieszył, ignorując bolące ramię. Tego wroga są w stanie pokonać. To nie żadne białoskóre demony, tylko Mawagansettowie, ściśnięci dookoła jakichś czterech potężnych konstrukcji. Ludzie-Upiory zabijali ich od niepamiętnych czasów.

Niechący wpadł na pień, odsunął się nieco w tył. Ponieważ musieli kluczyć między drzewami, nie tworzyli już jednej zwartej grupy. Ku swemu zaskoczeniu dostrzegł, że wśród Mawagansettów znajduje się dziewczyna – smukła i krucha. Wrzasnęła gniewnie i ruszył prosto na nią.

Zobaczył, jak sięga prawym ramieniem do tyłu, po czym wysuwa je przed siebie. Nagle poczuł uderzenie w pierś, zachwiał się, uderzył o drzewo i stracił równowagę. Osunął się wzdłuż pnia, aż usiadł na ziemi. Z jego piersi sterczała strzałka. Nie miał pojęcia, skąd się wzięła.

Stig ostrożnie wystawił głowę nad palisadą, gotów w każdej chwili się schować. Nie rozległ się kolejny sygnał rogu – znak dla obrońców, że mają zająć pozycje – ale deszcz bełtów chyba ustał. Stig uświadomił sobie, że jeśli się pomylił, może nie zdążyć schylić głowy. Zauważył, że grupa około dziesięciu Upiorów właśnie niknie między drzewami po jego lewej stronie, zмирając w stronę baterii dowodzonej przez Lydię. Po chwili usłyszał szczękanie broni i krzyki rannych. A potem spojrział w prawo. I serce mu zadrżało.

Kolejna grupa, licząca pół tuzina wojowników, skorzystała z tego, że obrońcy podczas ostrzału schowali się za palisadą i zaatakowała jej zachodni kraniec. Teraz bezlitośnie zabrali się za Mawagów, kompletnie zaskoczonych atakiem. Jeden z napastników padł na ziemię pod ciosem dzidy, ale pięciu pozostałych pokonało palisadę i otoczyło obrońców, którzy padali ranni bądź cofali się przed atakiem.

Stig dostrzegł Mohegasa, który stał dziesięć metrów dalej, dziko wymachując rękami i wskazując na zabudowania. Stig nie słyszał, co mówi, ale kiedy obrócił się i spojrział w prawo, jego serce zamarło z przerażenia.

Trzech wojowników przeżyło krótkie starcie przy palisadzie. Teraz biegali między rzędami chat, otwierali drzwi, zagłądali do środka i biegli dalej, bo w chatach oczywiście nikogo nie było.

Ale Stig wiedział, że jedna z chat nie jest pusta. Największa chata stojąca w samym środku wsi.

W której schowały się kobiety i dzieci.

Gdzie była również Tecumsa.

Stig wydał ochryply krzyk, poprawił tarczę na lewym ramieniu i ściskając topór w prawej dłoni, rzucił się biegiem przed siebie. Wiedział jednak, że tamci mają nad nim znaczną przewagę.

Wiedział, że tego wyścigu z pewnością nie wygra.



ROZDZIAŁ 40



Hal patrzył, jak ostatnie canoe wylaniają się z ujścia rzeki i wypływają na wody zatoki. Łącznie z tymi sześcioma, które już przybiły do brzegu, naliczył siedemnaście. Pamiętał, że na plaży koło osady plemienia Limigina było ich osiemnaście – czekał więc na jeszcze jedno, ostatnie.

Ale nic się nie działo i w końcu doszedł do wniosku, że nie dało się go naprawić. Albo zajęło się ogniem, nim Ludzie-Upiory zdążyli przybiec i je ugasić. Tak czy inaczej, w stronę lądu płynęło teraz jedenaście łodzi.

Nadszedł czas działania.

– Usuńmy ten bałagan! – powiedział, zamierzając się na parawan z pnączy i gałęzi, za którym przez cały czas kryła się „Czapla”. Pozostała trójka ochnocho zabrała się do pracy i po chwili stos gałęzi i liści wylądował w wodzie.

– Edvin, odbierz cumy – polecił.

Bliźniakom nie trzeba było mówić, co mają robić – już podnosili prawą rejkę. Wiatr pochwycił luźny żagiel, który wydał się i zaczął dziko łopotać. Kiedy Edvin wyskoczył na ląd i odwiązał obie cumy, bliźniacy pociągnęli za szoty i żagiel napiął się i nabrał odpowiedniego kształtu. Znajdowali się bardzo blisko skał i prawa burta nieprzyjemnie otarła się o nie, gdy wiatr popchnął łodzią. Hal obrócił rumpel i „Czapla” pod mocno napiętym żaglem okrążyła cypel i skierowała się w stronę brzegu, stale nabierając prędkości. Płynęli półwiatrem, co w przypadku „Czapli” było najkorzystniejsze. Dziób wzniosł się i opadł na niewielkiej fali, prując wodę, aż z obu stron trysnęły pióropusze piany.

Ostatnie canoe znajdowało się w odległości zaledwie dwudziestu metrów. Siedziało w nim pięciu wojowników, wszyscy uzbrojeni w maczugi i topory. Hal pochylił się, by spojrzeć pod zasłaniającym widok żaglem na niczego niespodziewających się napastników i zbliżając się do nich od strony rufy.

W ostatnim momencie coś widać zaalarmowało siedzącego z tyłu wiosłarza. Odwrócił się i zrobił przerażoną minę, widząc ogromną jednostkę tuż za swoimi plecami, ostry dziób tnący fale i fontanny wody strzelające wysoko w powietrze z obu stron.

Krzyknął ostrzegawczo, ale było za późno. „Czapla” wzniosła się na niewielkiej fali, opadła i walnęła w kruche poszycie canoe, wywaliła dziurę blisko rufy, po czym przepłynęła nad canoe, zatapiając je i wrzucając wiosłarzy do wody.

Rozległy się kolejne krzyki przerażenia. Kiedy „Czapla” popłynęła dalej, ukazał się widok w postaci canoe wywróconego do góry dnem i głów wiosłarzy sterczących nad powierzchnią. Hal naliczył trzech. Pozostali widać znaleźli się pod wodą w chwili ataku.

– Nie potrzebujemy Zadymiarza – powiedział do Edvina z drapieżnym uśmiechem, po czym obrócił rumpel, by skierować „Czapłę” w kierunku następnego canoe.

Załoga, zaalarmowana krzykami towarzyszy, zauważyła, co się dzieje i próbowała uciec przed atakującą łodzią. Hal skręcił dziobem, by podążyć tym samym kursem, ponownie mierząc w część rufową. W ostatniej chwili wiosłarze zdolali odwrócić canoe, unikając uderzenia ostrym jak topór dziobem, który minął ich zaledwie o parę metrów i ześliznął się z prawej strony. Hal zaklął, wychylił rumpel, posługując się ciężarem całego ciała, aż dziób „Czapli” gwałtownie obrócił się w lewo – a rufa, rzecz jasna, w prawo. Kadłub łodzi walnął w canoe z boku. Podobnie jak pierwsze, poszło pod wodę i wywróciło się do góry dnem. Znów rozległy się krzyki przerażenia. Hal prędko zerknął za siebie. Nad wodą sterczały tylko dwie głowy. Wszystko wskazywało na to, że wielu spośród Upiorów nie potrafi pływać.

Spojrzał na pozostałych dziewięć canoe. Wciąż płynęły do brzegu – znajdowały się w połowie drogi. Pomyślał, że atak od rufy jest zbyt trudny. Istniało za duże ryzyko, że canoe zrobi unik w ostatniej chwili. Postanowił, że podpły nie bliżej i zaatakuje z boku, co dawało mniejszą szansę na ucieczkę.

– Wybrać szoty! – krzyknął do bliźniaków i skierował łódź na południowy zachód, czyli na kurs nieco różniący się od kursu płynących na zachód canoe. „Czapla”, pchana wiatrem pod wybranym żaglem dosłownie frunęła po wodach zatoki, prując fale i wznosząc wachlarze spienionej wody. Prędko dogoniła rozpaczliwie wiosłujących wojowników, którzy już doskonale zdawali sobie sprawę z jej obecności i zamiarów. Hal, mrużąc oczy w skupieniu, ocenił odległości i kąty, wybrał odpowiedni moment i skręcił tak, by łódź płynęła z wiatrem, wołając do bliźniaków, by maksymalnie poluzowali prawy żagiel.

Pchana wiatrem od rufy, „Czapla” popędziła prosto na trzy canoe płynące blisko siebie.

– Lepiej być nie może – mruknął Hal pod nosem. Liczył na to, że przy odrobinie szczęścia rozwali wszystkie trzy za jednym zamachem. Zobaczył, że pierwsze canoe, nieco wysunięte na prowadzenie, jest już blisko, zaraz przesunie się z prawej strony w lewą tuż przed dziobem

„Czapli”. Odczekał, aż wiosłarze nabiorą przekonania, że udało im się uciec, po czym zwrócił dziób łodzi w lewo, tak by przecięła kurs uciekającego canoe.

Jak się okazało, obliczył wszystko idealnie. Canoe, które początkowo płynęło po prawej stronie, wciąż poruszało się w lewo i znalazło się dokładnie naprzeciw dziobu „Czapli”. Rozległ się ogłuszający huk – łódź Skandian wałnęła w burtę pod kątem prostym. Znowu podniosły się krzyki gniewu i przerażenia. Łódź lekko zadrżała, a canoe znikło pod powierzchnią wody.

Minęli wrak i wycelowali w kolejne łódki. Upiory próbowały umknąć, ale „Czapla” znajdowała się za blisko i poruszała zbyt szybko. Z hukiem wbiła się w canoe, jakiś metr od dziobu. Woda napłynęła do środka i canoe natychmiast poszło na dno. Hal pomyślał, że są to szybkie i zwrotne jednostki, jednakże lekkie szkielety i delikatne poszycie z kory brzoźowej nie dawały im szans w zderzeniu z solidnym dębowym kadłubem „Czapli”.

Hal spojrzął na trzecie canoe i zdusił przekleństwo pod nosem. Wcześniej liczył na to, że załatwi wszystkie za jednym zamachem, ale okazało się, że były to próżne nadzieje. Wiosłarze, widząc, jak ich dwaj towarzysze wpadają do wody, skęcili na wschód, z powrotem do ujścia rzeki. Gdyby teraz za nimi popłynął, dałby reszcie floty wolny dostęp do brzegu. Pomyślał, że zrobi najlepiej, jeśli skęci szerokim łukiem w lewo i przypuści atak w tym samym stylu co przed chwilą.

Skęcił na wschód, jednocześnie wydając polecenia Ulfowi i Wulfowi, i skierował „Czapłę” pod wiatr, ostrząc tak mocno, jak tylko się dało. Wiedząc, że będzie musiał wykrzesać z niej jak największą prędkość, by wykonać kolejny manewr, pozwolił, by dziób lekko skęcił i poczuł, że łódź przyspiesza. Utrzymał ten kurs przez kilka minut, co jakiś czas oglądając się przez ramię, by płynąć odpowiednio do kierunku obranego przez Upiory, po czym wychylił rumpel, by skęcić w lewo.

– Luzujcie! – zawołał i bliźniacy puścili żagiel, który, w chwili gdy łódź skęciła, przestał stawiać opór wiatrowi od dziobu.

Z powodu ograniczonej liczebnie załogi nie mogli tracić czasu na bardziej wyrafinowanie operacje przy żaglu. Normalnie w momencie, kiedy łódź przecinała linię wiatru, opuściliby prawy żagiel i podnieśli lewy. Hal mógł jedynie liczyć na to, że łódź z rozpędu wykona skręt o sto osiemdziesiąt stopni, a żagiel, w tym momencie łopoczący bezwładnie, wypełni się wiatrem i pozwoli, by „Czapla” znów pomknęła w pogoni za Upiorami.

Dziób przesuwał się początkowo szybko, ale kiedy łódź przecięła linię wiatru, stopniowo coraz wolniej, aż w pewnym momencie niemal całkiem znieruchomiał i przez jedną straszłą chwilę Hal pomyślał, że jednak za mało rozpędził łódź, że nie zdoła wykonać pełnego zwrotu. W takim wypadku znaleźliby się w pułapce: z wiatrem od dziobu i żaglem łopoczącym bezużytecznie, bez szans, by zawrócić tak, by znów mieć wiatr od rufy.

Ale nagle dziób skręcił, a żagiel wypełnił się wiatrem.

– Wybrać szoty! – krzyknął, ale niepotrzebnie. Ulf i Wulf znali swoją pracę i powoli zaczęli wybierać żagiel, zapanowując nad wiatrem i kierując jego siłę dla swoich potrzeb. „Czapla” natychmiast pomknęła do przodu, jej dziób znów zaczął wznosić się i opadać na falach.

A przed nimi płynęły cztery canoe, wojownicy wiosłowali w desperackim zapamiętaniu, by dotrzeć do brzegu, nim dopadnie ich straszliwe przeznaczenie.

„Czapla” rąbnęła w pierwsze canoe przy wtórze jakże już znajomych krzyków i pękającego drewna. Hal poczuł siłę uderzenia pod podeszwami butów, cały pokład aż zadrżał. Drugie z kolei canoe przyspieszyło i znajdowało się teraz za lewą burtą. Odpowiednio ustawił rumpel, skręcił i zarył dziobem prosto w kadłub. Canoe rozpadło się na dwie części, które po chwili ukazały się na powierzchni po obu stronach dziobu skandyjskiej łodzi. Hal powiódł wzrokiem po zatoce, szukając kolejnego celu. Nagle usłyszał ostrzegawczy okrzyk

Spojrzał na dziób. Dwaj wojownicy właśnie próbowali dostać się na pokład. Widocznie w ostatnim momencie skoczyli z canoe i uczepili się dziobu „Czapli”. Zawahali się, rozejrzeli dookoła po nieznanym miejscu, w końcu zatrzymali wzrok na bliźniakach pracujących przy żaglach. Stracili większość broni podczas zderzenia, mieli jednak krzemienne noże u pasa i teraz wyciągnęli je i ruszyli w stronę bliźniaków.

Wulf stał przy grotszocie, przez cały czas robiąc wszystko, by „Czapla” nie wytraciła prędkości. Ulf dobył noża, szykując się na spotkanie z Upiorami. Jego topór leżał zbyt daleko, by po niego sięgnąć w tak krótkim czasie. Napastnicy dostrzegli błysk metalu i niepewnie przy stanęli. A potem rozdzielili się, by zająć go z dwóch stron.

– Przejmij ster! – krzyknął Hal do Edvina i rzucił się w stronę przyjaciół, dobywając miecza.

Kiedy puścił ster, łódź gwałtownie zoczyła z kursu, próbując ustawić się tyłem do wiatru. I nawet dobrze się złożyło, bo pod wpływem nagłego szarpnięcia pokład zakłótyła się, a jeden z Upiorów stracił równowagę i padł między ławki wiosłarskie, po stronie przeciwnej do tej, gdzie stał Ulf.

Drugi Upiór zadał cios od dołu. Ulf sparował go nożem saksońskim. Sygnęły iskry, gdy starły się metal i krzemień. Upiór nigdy czegoś podobnego nie widział. Cofnął się, mimowolnie spojrzął na nóż, na sekundę odrywając wzrok od Ulfa.

I to był jego błąd. Korzystając z chwili nieuwagi, Ulf zadał cios nożem i trafił go w bok. Mężczyzna jęknął z bólu i zaskoczenia, spojrzął na krew płynącą z potężnej rany i padł na deski pokładu.

Ale teraz jego towarzyszy odzyskał równowagę, schylił się pod żagle i rzucił do ataku na Ulfa. Hal, który wciąż znajdował się kilka dobrych metrów dalej, krzyknął ostrzegawczo. Ulf odwrócił się, niechcący zaplątał stopę w linę walającą się po pokładzie i poleciał do przodu. Oczy Upiora

zaślśniły triumfalnie.

Ale kiedy zrobił krok w stronę ofiary, rzuciła się na niego wielka góra czarno-brązowo-białego futra. Pięćdziesięciokilogramowy, warczący z wściekłości i szczerzący kły pies staranował go z całych sił, zwalając z hukiem na pokład. Nóż wypadł z dłoni Upiora i poleciał między ławki. Zdjęty przerażeniem, wojownik zaczął czołgać się do tyłu, byle dalej od kудłatego potwora. Kluf przyczyła się, gotowa do kolejnego ataku. Wielkie szczęki rozwarły się, ukazując ogromne śmiercionośne kły.

Z okrzykiem przerażenia wojownik zerwał się na równe nogi i przeskoczył przez reling, prosto do wody.

Hal wyciągnął rękę, pomógł Ulfowi wstać. Schował miecz i uśmiechnął się do bliźniaków.

– To było niezłe, co? – rzucił. Kluf podbiegła do niego, pomrukując z zadowolenia. Chyba niczego tak nie kochała jak napędzać nieprzyjaciółom stracha. Choć pewnie jeszcze chętniej zatopiłaby zęby w nieprzyjacielskim mięsie, nim uciekło do wody.

Ulf pochylił się i czule podrapał po łbie i za uszami.

– Dobry piesek – powiedział. – Łysy na pewno się tego nie spodziewał.

Wulf popatrzył na nich ze swego stanowiska przy grotzocie.

– Jak już skończysz bawić się z psem, to może przyjdiesz mi pomóc? – rzucił sarkastycznie.

Ulf uśmiechnął się szeroko.

– Lepiej pójdę. Straszne z niego chuchro, jeszcze wiatr go zwieje.

Wulf otworzył usta, by odpowiedzieć, ale przeszkodził mu krzyk Edvina, który przez cały czas stał przy sterze.

Przez tę chwilę, kiedy nikt nie trzymał rumpla, łódź odwróciła się z wiatrem i całkiem zeszła z kursu. Niepostrzeżenie podpłynęły do niej od strony rufy dwa canoe. Nad relingiem ukazały się sylwetki Upiorów.



ROZDZIAŁ 41



Thorn zatrzymał się, by pomyśleć, co dalej. Wieś zaatakowała grupa licząca nieco ponad trzydziestu mężczyzn. Z tego ośmiu zginęło bądź odniosło rany od bełtów wystrzelonych z ośmiu kusz podzielonych na dwie baterie.

Dziesięciu zaatakowało baterię pod dowództwem Lydii. Thorn widział migające między drzewami po swojej prawej stronie postaci – Lydia, Stefan i Jesper prowadzili obronę, stojąc na czele grupy ośmiu Mawagów.

Kolejna niewielka grupa Upiorów biegła w stronę wsi, Stig próbował ich dogonić.

To znaczyło, że za palisadą znajduje się jakichś ośmiu-dziesięciu ludzi. Thorn stwierdził w myślach, że oto po raz pierwszy Mawagowie zyskali przewagę liczebną nad odwiecznym wrogiem. Ale ta sytuacja mogła szybko się zmienić. Jeśli Hal nie zdoła zatrzymać pozostałych canoe, posiłki mogą przybyć lada chwila. Jak Thorn doskonale wiedział, w każdej bitwie następuje taki moment, kiedy jedna strona albo druga robią decydujący ruch. Ten moment właśnie nadszedł.

– Ingvar! – krzyknął Thorn i po chwili nad palisadą pojawiła się potężna sylwetka. Thorn zauważył plamy krwi na halabardzie. Widział wcześniej, że Ingvar walczył z dowódcą Upiorów i rozprawił się z nim z łatwością graniczącą z pogardą.

– Tak Thornie? – zapytał Ingvar, niepewnie spoglądając w stronę linii drzew.

Thorn podszedł bliżej i wskazał na grupę Upiorów.

– Mamy nad nimi przewagę. Do ataku! Zajdziemy ich od tyłu!

Ingvar nie odpowiedział. Uniósł halabardę nad głową i odwrócił się w stronę ludzi zgromadzonych za palisadą.

– Za mną! – krzyknął, po czym wskoczył na palisadę i ruszył biegiem w stronę Upiorów. Simsinnet biegł tuż za nim, a dalej reszta Mawagów. Ich kroki głośno stuknęły na plecionce z gałęzi. Ingvar przypuścił atak na osamotnioną grupkę wojowników, którzy, przerażeni jego widokiem,

odwrócili się i zaczęli zwiewać.

Ale wtedy spomiędzy drzew wynurzył się Thorn i zagroził im drogę. Zdezorientowani, osaczeni, odwrócili się, by odeprzeć atak ze strony Ingvara. Rzucił się na nich, wymachując halabardą, zataczał nią szerokie łuki, walił w marne tarcze, którymi próbowali się zasłaniać, wytrącał im broń z ręki, a potem cofnął ramię, obrócił halabardę i zaatakował samym grotem, jak włócznią.

Z impetem wpadł między Upiory, zadając im śmiertelne rany. Mawagowie pod wodzą Simsinneta dzierżącego długą drewnianą maczugę, ruszyli w jego ślady. Walili toporami i pałkami, miażdżyli wrogów, tłukli i dźgali nożami. A za każdym ciosem stały lata upokorzeń i nienawiści.

Thorn odwrócił się i ruszył w prawo, między drzewa, gdzie Lydia i jej ludzie próbowali dać odpór innej grupie Upiorów.

Lydia zestrzeliła z atlatla kolejnego napastnika i odsunęła się na bok, robiąc miejsce Jesperowi i Stefanowi, którzy rzucili się do ataku, prowadząc za sobą ośmiu Mawagów.

Stefan machał toporem na prawo i lewo, siejąc przerażenie wśród wojowników, którzy rozpięchli na wszystkie strony. Jesper z błyskawiczną szybkością siekł mieczem dokoła, dając najlepszy dowód na prawdziwość słów Thornia: *Trzy centymetry na czubku miecza potrafią zdziałać tyle samo co trzydzieści centymetrów klingi*. Wielkie okrągłe tarcze skutecznie chroniły ich przed ciosami, a broń ze stali, ostra jak brzytwa, cięła i siekla lekkie tarcze wroga. We dwóch skutecznie karczowali sobie ścieżkę pośród napastników. Lydia stała kilka metrów za nimi, na pniu zwalonego drzewa, z atlatlem gotowym do strzału, w razie gdyby któryś z Upiorów próbował przerwać linię obrony.

Jesper i Stefan okazali się tak skuteczni, że Mawagowie już niewiele mieli do roboty. Kroczyli za Skandianami z bronią w rękę – ale na razie ani razu jej nie użyli.

Przełomowy moment nastąpił, kiedy Thorn i jego ludzie pojawili się za plecami Upiorów – a zaraz za nimi Ingvar z kolejną grupą Mawagów. Stefan i Jesper zakrzyknęli z radości na widok starego wilka morskiego, który zaatakował wrogów od tyłu z siłą tarana. Schwytani jak w kleszcze, wybrali jedyne rozsądne rozwiązanie.

Mianowicie rzucili się biegiem w stronę plaży, gdzie zostawili canoe, w nadziei, że zdołają uciec.

Nadzieja okazała się płonną, bo po chwili usłyszeli za sobą bezlitosny loskot kroków – czterej straszliwi obcy wojownicy ścigali ich, prowadząc za sobą grupę Mawagów.

Wyczerpani i przerażeni, wybiegli w końcu spomiędzy drzew na zalaną słońcem plażę. Canoe nadal leżały na plaży powyżej linii przypływu. I, jak zauważyli z ulgą, właśnie dobiły do brzegu trzy kolejne, wojownicy wyskakiwali do sięgającej łydek wody i wyciągali canoe na brzeg.

Dalej na wodach zatoki unosiła się dziwna łódź. Miała długość równą czterem canoe i znacznie wyższe burty. Przy rufie stały dwa canoe, po zatoce niosły się odgłosy walki.

Nowo przybyli ze zdumieniem spojrzeli na przerażonych towarzyszy, którzy zbiegli nad wodę, by ich powitać.

– Z powrotem do canoe! – krzyknął jeden z nich, głosem piskliwym ze strachu. – Wróg jest tuż za nami!

Kamienna Pięść, dowódca wioślarzy, zaśmiał się wzgardliwie. Na tej ziemi zagrażali im jedynie Mawagansettowie, a do tej pory nigdy nie próbowali stawiać oporu.

Oczywiście, pojawienie się dziwnej łodzi na zatoce budziło pewien niepokój. Ale ich canoe skutecznie umknęły przed atakiem. Mawagowie stanowili bardzo łatwy łup.

– Co za baby! – warknął. – Baby, które zwiewają ze strachu przed kilkoma Mawagansettami! Stańcie za nami, panienki. Będziemy was osłaniać. W końcu...

Nie zdążył dokończyć, bo w tym momencie spomiędzy drzew wypadła grupa wojowników. Zatrzymali się i powiedli wzrokiem dookoła. Kamienna Pięść miał ze sobą czternastu ludzi, nie licząc grupki panikarzy, którzy właśnie do nich dołączyli. Policzył, że siły wroga liczą około dwudziestu wojowników. Byli to głównie Mawagansettowie, ale dostrzegł również czterech bladokórych i jasnowłosych. Nie, pięciu, stwierdził po chwili na widok smukłej postaci kroczącej z tyłu. A potem jego zdumienie jeszcze wzrosło, bo uświadomił sobie, że jest to dziewczyna.

– Utworzyć szereg! – rozkazał, wskazując drewnianą pałką, gdzie ów szereg ma stać. Potem uniósł ją, gotując się do ataku. Poczłł niemile ukłucie na widok obcych. Ludzie-Upiory przywykli do tego, że zawsze mają miazdzącą przewagę nad wrogiem. A tym razem było inaczej. Jednakże większość grupy tworzyli Mawagansettowie, których uważał za strachliwe króliki, całkowicie niezdadne podczas walki. Odwrócił się i zawołał do swoich ludzi:

– Zabić ich! To tylko Mawagan...

Nic więcej nie zdążył powiedzieć, bo nagle poczuł gwałtowne uderzenie powyżej biodra. Ze zdumieniem spojrział w dół i zobaczył metrową strzałkę i krew ciekącą wzdłuż lewego bólu.

Lydia posiadała niezawodny dar wyławiania dowódcy z grupy nieprzyjaciół. Kiedy jej ofiara osunęła się na piasek, wśród Upiorów rozległ się pomruk niepokoju. Thorn odwrócił się i bardzo cicho powiedział do Jespera, Ingvara i Stefana:

– Grot. – Wszyscy pospiesznie utworzyli formację w kształcie V za jego plecami, Ingvar po jednej stronie, Jesper i Stefan po drugiej. Twarz Thorna przybrała wyraz bliski szczęścia. Wydał ulubioną komendę:

– Bierzmy ich.

I ruszyli, a za nimi luźna grupa Mawagansettów. Nie biegli. Szli spokojnie, równym krokiem, co zrobiło na Upiorach jeszcze bardziej przerażające wrażenie – zaczęli się cofać i instynktownie

zbijać w ściślejszą grupę, co właściwie uniemożliwiało im posługiwanie się bronią. Skandianie przedstawiali straszny widok. Niektórzy z Upiorów przypomnieli sobie różne opowieści o demonach, niektórzy zaczęli lamentować i jęczeć ze strachu.

Słyszając to, Thorn uznał, że nadszedł idealny moment.

– Teraz! – ryknął, rzucił się do przodu, pokonał biegiem kilka ostatnich metrów i wałnął maczugą w jednego z pierwszych wojowników. Pod mężczyzną ugięły się kolana, padł na ziemię. Jesper zamierzył się do kolejnego – ten zaczął gwałtownie się cofać, w nadziei, że uniknie ostrza miecza, który rozpruł lekką tarczę.

– Czubkiem! – krzyknął Thorn, wałąc maczugą w żebra następnego Upiora, aż ten poleciał w bok. Stefan zamierzył się na jeszcze jednego, machnął toporem, jednocześnie rozłupując tarczę i zagłębiając ostrze w ciele Upiora, po czym wyszarpnął je, a mężczyźni wrzasnęli ze strachu i osunęli się na ziemię. Jesper, idąc za radą Thorna, trafił swego przeciwnika w brzuch.

Ingvar nie potrzebował żadnych rad. Jego halabarda śmigła we wszystkie strony, na przemian rąbiąc, kłując i tnąc.

W ciągu kilku sekund czterech najlepszych wojownicy leżeli na ziemi, martwi bądź ranni. A wcześniej zginął ich dowódca. Dla ocalałej reszty to było stanowczo zbyt wiele. Wydając okrzyki przerażenia, obrócili się i zaczęli uciekać. Thorn wskazał na nich i zawołał do Simsinneta i pozostałych Mawagansettów, żądnych zemsty na zienawidzonych wrogach:

– Bierzcie ich!

Natychmiast ruszyli za zbiegami, dzierżąc w dłoniach pałki, dzidy i topory.

Thorn odwrócił się i uśmiechnął do swoich towarzyszy.

– Tutaj chyba nie mamy już nic do roboty – powiedział. Potem spojrzął na zatokę. – Ciekawe, jakidzie Halowi?

Hal, Edvin i bliźniacy stali ramię przy ramieniu na pokładzie „Czapli”, spoglądając na wojowników ściśniętych na rufie. Było ich dziewięciu i ledwo się mieścili w ciasnej przestrzeni.

– Nie pozwólcie im się ruszyć – powiedział Hal. – Niech stoją ściśnięci. – A potem wydał rozkaz, który zawsze chciał wydać: – Bierzmy ich!

Całą czwórką rzucili się do przodu, napierając tarczami, tak że przeciwnicy mieli coraz mniej miejsca, i wymachując mieczami i toporami, podczas gdy wioślarze rozpaczliwie usiłowali wydostać się z ciasnego miejsca na rufie, gdzie tylko wchodzili sobie w drogę i nie mogli skutecznie posłużyć się bronią.

Po kilku sekundach siły zostały mniej więcej wyrównane – każdy ze Skandian unieszkodliwił jednego nieprzyjaciela i grupa Upiorów zmniejszyła się do pięciu. Ale teraz z kolei zyskali oni więcej przestrzeni i mogli swobodnie wymachiwać pałkami i maczugami. Ale Skandianie nadal mieli nad nimi przewagę dzięki lepszej broni. Walili, siekli i rąbali, zmuszając ich, by wciąż cofali

się w róg ciasnego trójkąta, tworzonego przez rufową część łodzi. Jeden z Upiorów nagle rzucił się do przodu, przełożył kawałek po pokładzie, przemykając pod ostrzami broni, podniósł się za plecami Skandian i z triumfalnym błyskiem w oku uniósł potężną pałkę, gotując się do ciosu i mierząc prosto w odsłonięte plecy Ulfa.

Ale nie zdążył, bo w tym momencie skoczyła na niego Kluf – uderzyła go w pierś przednimi łapami, groźnie szczerząc kły i kłapiąc paszczą.

W desperackiej próbie ucieczki przetoczył się po deskach pokładu. Podniósł się do kłęk, a kiedy Kluf przysiadła, wyraźnie szykując się do kolejnego skoku, wybrał drogę ucieczki, którą wcześniej wybierało wielu wrogów Czaplci.

Podbiegł do burty, przełożył nogi nad relingiem i skoczył do morza z głośnym pluskiem. Kluf, szczerząc jak szalona, stanęła przy burcie, opierając się o reling przednimi łapami i wyszczerzyła kły na Upiora, który ze strachu nauczył się pływać i rozpaczliwymi ruchami młócił wodę, byle dalej od przekłętej łodzi.

Dwaj kolejni padli ranni na pokład. Dwaj ostatni zawahali się, po czym rzucili broń, cofnęli się do burty i skoczyli, lądując w czekającym na dole canoe, którym gwałtownie zakłósało, a do środka przez niskie burty wiała się woda. Ich kompan, który szczęśliwie umknął przed kłami Kluf, zawołał na pomoc, ale zignorowali go, chwycili wiosła i zaczęli z trudem płynąć obciążonym wodą canoe w stronę ujścia rzeki. Stopniowo wołania o pomoc cichły, aż wreszcie rozległo się bulgotanie i mężczyzna znikł pod powierzchnią.

– Niech sobie płyną – powiedział Hal.

Nagle rozejrzał się i zauważył, że podczas tej krótkiej walki „Czapla” znalazła się niebezpiecznie blisko skał. Skoczył do steru i dał znak bliźniakom, by zajęli się żaglem. Edwin chwycił jedno z długich wiosel i pobiegł na dziób, w razie gdyby musiał odepchnąć łódź.

Zareagowali dosłownie w ostatniej chwili – od zdradzieckich skał dzieliło ich już ledwie kilka metrów. Hal wydał westchnienie ulgi i skierował dziób „Czapli” w stronę lądu, gdzie stali Thorn, Lydia i Ingvar. Jesper i Stefan wraz z Mawagansettami ścigali uciekających Ludzi-Upiorów. Na odległym końcu plaży walczyła niewielka grupa – w ostatniej desperackiej próbie przełamania linii obrony. Kiedy łódź zaryła o piasek, walka się skończyła. Trzej najeźdźcy uratowali życie – lecz musieli się poddać.

Hal zeskokczył z dziobu na plażę i uściskał przyjaciół. Thorn wskazała na zatokę, gdzie kołysały się zniszczone canoe, powoli unoszone falą odpływu na otwarte morze.

– Chyba całkiem nieźle poszło – stwierdził.

Hal kiwnął głową.

– Paru dostało się na ląd na samym początku – przyznał gwoili ścisłości. Potem rozejrzał się i zobaczył Stefana i Jespera ze znużeniem zmierzających w ich stronę. Stefan miał niewielką ranę

na nodze i siedł wsparty ramieniem o barki przyjaciela. Nagle lodowata łapa zacisnęła się wokół serca Hala.

– Gdzie jest Stig?



ROZDZIAŁ 42



Stig pędził przez wieś, ledwo zauważając ciężar topora i tarczy na ramieniu, biegł w prostej linii, byle szybciej, przeskakując przez ogniska i stołki stojące przed chatami, wreszcie skręcił w główną aleję wiodącą do chaty, gdzie ukryła się Tecumsa wraz z grupą innych młodych kobiet i dzieci.

Serce na chwilę zamarło mu w piersi – przed chatą stało trzech wojowników. Walili w prowizoryczną barykadę zbudowaną u wejścia z gałęzi, ram łóżka i stołków. Po chwili jeden z nich, krępy mężczyzna o szerokiej beczkowatej piersi i wielkich mięśniach ostatecznie uporał się z przeszkodą.

– Hej! – wrzasnął Stig. – Stój!

Odwrócili się, zaskoczeni. Nie spodziewali się, że ktoś za nimi pójdzie. Sądzili, że nikt z obrońców nie widział, jak skierowali się w stronę wsi.

A teraz stali naprzeciw jednego z tych dziwnych jasnowłosych wojowników, których widzieli wśród Mawagansettów. Zdążyli się przekonać o ich umiejętnościach. Krępy powiedział coś do towarzyszy, po czym znikł we wnętrzu chaty.

Ze środka dobiegł krzyk dzieci. Stig jeszcze przyspieszył, kierując się prosto na dwóch wojowników, którzy zostali na zewnątrz.

Pędząc co sił w nogach, rąbnął tarczą w jednego z nich, aż ten zatoczył się do tyłu. Drugi wymierzył cios dzidą, ale Stig sparował go toporem, zmuszając, by napastnik skierował grot w dół i w bok jednocześnie.

Stig prędko uniósł topór nad głowę i zamachnął się nim, by zadać cios od góry, co wymagało ogromnej siły i koordynacji mięśni. Ale Upiór zdążył uskoczyć, ostrze minęło go dosłownie o kilka centymetrów. Cofnął ramię z dzidą, szykując się do kolejnego ataku, ale wtedy Stig walnął toporem w drzewce i rozciął je na pół. Upiór ze zdumieniem popatrzył na dzidę. Była zrobiona z bardzo twardego drewna. Nigdy by nie przy puszczał, że można je przeciąć z taką łatwością.

Stig, korzystając z jego nieuwagi, zamierzył się toporem w poziomie i uderzył głowicą prosto w szczękę przeciwnika. Rozległo się paskudne chrupnięcie, mężczyzna osunął się na ziemię nieprzytomny i tak już został.

Z wnętrza chaty wciąż dochodziły okrzyki przerażenia. I nagle rozległ się jeszcze inny, znajomy głos. To była Tecumsa, wykrzykująca coś gniewnie do agresora. Stig natychmiast zebrał się w sobie i ruszył do wejścia.

Ale ostrzegł go jakiś instynkt – obrócił się i zasłonił tarczą, blokując cios długiego noża w dłoni pierwszego z Upiorów, który tymczasem zdążył się pozbierać i przypuścić kolejny atak. Ostrze zazgrzytało o tarczę, wyrzynając długie nacięcie w skórzanym pokryciu. Stig obrócił się i brzegiem topora zadał decydujący cios w żebra. Napastnik bezwładnie osunął się na ziemię.

Stig wbiegł szybko do środka, zatrzymał się, by jego wzrok przywykł do półmroku, powiół spojrzeniem dookoła.

Po chwili wyraźnie ukazała się przerażająca scena. Pod ścianą na końcu chaty kulila się grupa złożona z ośmiorga-dziesięciorga dzieci i trzech kobiet. Jedna z nich próbowała wyciąć otwór w twardej jeleniej skórze tworzącej ścianę chaty.

Między nimi i groźnym Upiorem siedziała w kucki Tecumsa z długą dzidą w dłoni, zadając krótkie ciosy, kolejno w łydki, pachwinę i twarz napastnika. Jednocześnie przesuwała się w przód drobnymi krokami, nieustępliwie, nie dając mu szans, by odpowiedział. Desperacko próbował parować ciosy, bacznie przyglądając się jej zmrużonymi oczami, wypatrując momentu, kiedy popełni błąd i wystawi się na cios.

Serca Stiga podskoczyło z przerażenia. Chwilowo Tecumsa miała przewagę, wiedział jednak, że w starciu z doświadczonym wojownikiem jest to przewaga krótkotrwała. I że jeśli chce ją uratować, musi odwrócić uwagę Upiora.

– Hej, ty! – krzyknął. – Ze mną walczyć, tchórze!

Ale strategia okazała się tragiczna w skutkach. Tecumsa, przez cały czas skupiona, słysząc głos ukochanego, spojrzała w jego stronę.

– Stig! – zawołała z ulgą, na krótką chwilę przerywając serię ciosów.

Upiór zareagował błyskawicznie i skwapliwie skorzystał z nadarzającej się okazji. Zamierzył się toporem, by roztrzaskać jej czaszkę.

Ale Tecumsa była zwinna i młoda, zdążyła więc uskoczyć przed śmiertelnie ciosem. Ostrze tylko lekko musnęło jej skroń. Trysnęła krew, Stig widział jednak, że to rana powierzchowna, z pewnością nie cios śmiertelny, który zamierzał oddać Upiór. Tecumsa krzyknęła z bólu i strachu, cofnęła się kilka kroków. Nim wojownik zdążył ruszyć za nią, dopadł go Stig.

Zasypał go gradem ciosów, które ten próbował rozpaczliwie parować. Topór zmienił się

w lśniący krąg światła, jeden cios zlewał się z kolejnym. Skandianin wkladał w nie całą swą siłę i umiejętności. Upiór ledwo miał czas zareagować – od czasu do czasu oddawał cios, ale bez skutku, Stig pogardliwie i od niechcienia parował je wielką okrągłą tarczą bądź toporem, który wciąż poruszał się z oszałamiającą prędkością i zdawał się żyć własnym życiem.

Tecumsa przyglądała się walce z wielkim przerażeniem w oczach, przyciskając dłoń do rany. Jak wszystkie rany głowy, ta również obficie krwawiła. Tecumsa wiedziała jednak, że jest to niewielkie drażnienie. Jedna z kobiet podeszła do niej i podała jej kawałek miękkiej tkaniny. Tecumsa przyłożyła ją do skroni. Wzrok miała nieco zamglony, domyślała się, że to drobny efekt uboczny niegroźnej rany.

Upiór ciężko dyszał, jego ramiona i pierś unosiły się i opadały, bardziej ze strachu niż z wysiłku. Wiedział, że ma do czynienia z wojownikiem przerastającym go umiejętnościami i rodzajem broni. Ta walka mogła mieć tylko jedno zakończenie.

I po chwili nastąpiło – Upiór niezgrabnie zamierzył się toporem, chybił, stracił równowagę i z rozpędu poleciał do przodu. Jego tarcza rozpadła się na drzazgi zaraz na początku starcia, więc był całkowicie bezbronny.

Stig mimo młodego wieku brał udział w wielu bitwach. Zawsze chodziło o to, by pokonać nacierających wrogów, osłabić ich siły i załatwić jak najszybciej i najskuteczniej się da. Jednakże w starciach jeden na jednego często oszczędzał przeciwnika, kiedy ten był skazany na jego łaskę i niełaskę, i zamiast go zabijać, po prostu ogłuszał, waląc płaską stroną ostrza. Tym razem jednak mając w świeżej pamięci cios, który trafił w głowę Tecumсы, nie odczuwał najmniejszych skrępowań.

Zamierzył się toporem do potężnego i precyzyjnie wymierzonego uderzenia i trafił Upiora dokładnie w miejsce między szyją a prawym barkiem. Ostrze weszło głęboko w ciało wroga, oczy zasnuły się mgłą. Upiór wypuścił kamienny topór z bezwładnej ręki i osunął się na ziemię jak szmaciana lalka.

Z ust kobiet i dzieci wyrwało się chóralne: „Aaaaaa!”. Tecumsa uśmiechnęła się do Stiga i wypowiedziała jego imię samym ruchem warg.

Poczuł przyływ miłości i ulgi, że nic jej się nie stało. Rzucił tarczę i topór, chwycił ją w ramiona i obyspał pocałunkami. Podała się jego objęciom, a wszyscy podeszli bliżej, tworząc krąg wokół zakochanej pary, zaczęli ich ścisnąć i wykrzykiwać ich imiona głosami pełnymi radości i ulgi.

Stig delikatnie dotknął skroni Tecumсы. Płytką rana wciąż krwawiła, chociaż mniej niż na początku.

– Nic mi nie jest – zapewniła, uśmiechając się i patrząc mu w oczy, w których widziała miłość i troskę. – Tylko mnie drasnął. Prawie nie poczułam.

– Jesteś pewna? – spytał zdławionym głosem. Myśl, że coś złego mogłoby jej się stać, była nie do zniesienia. Tecumsa znów się uśmiechnęła i pokiwała głową.

– Jestem pewna.

Stig odetchnął z ulgą, puścił ją i zrobił krok w tył, delikatnie odrywając dłonie dzieci, które obejmowały go w pasie i próbowały zwrócić na siebie uwagę.

– Widziałeś ją, Stigu? – zapytał jeden ze starszych chłopców, bardzo podekscytowany. – Przez cały czas szła do przodu i darła się na tego Upiora, tak jak Lydia jej kazała.

– Tak Widziałem – odparł z uśmiechem.

– Jest taka odważna. Jesteś z niej dumny?

– Bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić – odparł i uniósł wzrok, by pochwycić spojrzenie Tecumсы.

I uśmiech zastąpił na jego wargach. Tecumsa dziwnie potrząsnęła głową, przyciskając do czoła wierzch dłoni. Zachwiała się i spojrzała na niego.

– Stig? – powiedziała, głosem nagle pełnym lęku.

Podbiegł do niej i chwycił w ramiona, potem delikatnie ułożył na posłaniu z pledów i ukląkł, ściskając jej dłoń i gładząc piękną twarz. Nagle spostrzegł, że jest bardzo blada, a wzrok ma zamglony i rozbiegany.

– Stig... – powtórzyła. – Kocham cię.

– A ja kocham ciebie, Tecumso – odparł łamiącym się głosem. Spojrzał na jedną ze starszych kobiet. – Zawołajcie kogoś! – krzyknął. – Ona potrzebuje pomocy!

Kobieta kiwnęła głową i wypadła z chaty. Wybiegło za nią kilkoro dzieci. Słyszał, jak woła o pomoc, biegnąc ścieżką w stronę palisady, gdzie przebywali znachorzy, w każdej chwili gotowi zając się rannymi.

Stig mocniej ścisnął jej dłoń.

– Zaraz przybędzie pomoc – powiedział.

Lekko się uśmiechnęła.

– To dobrze – odparła.

A potem powoli zamknęła powieki i po prostu przestała oddychać.



ROZDZIAŁ 43



Hal, powiadomiony przez dzieci, wbiegł do chaty kilka minut później.

Stig siedział na podłodze, tuląc w ramionach martwe ciało Tecumсы. Łzy strumieniami ciekły mu po twarzy. Hal przystanął w wejściu, odwrócił się i dał znak reszcie, by zaczęła na zewnątrz.

Ukląkł obok płaczącego przyjaciela. Cierpiał wraz z nim. Wiedział, jak bardzo Stig kochał piękną Tecumсę, widział w niej nowy rozdział swego życia, wolny od hańby, która ciążyła nad nim w Hallasholmie z powodu czynów ojca. Tutaj, w dalekim kraju, wszyscy darzyli go miłością i szacunkiem. Rodzinne historie nie kładły się na nim cieniem.

– Stig – powiedział cicho Hal. – Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro.

Ale Stig jakby go nie słyszał. Kołysał się powoli, wciąż tuląc nieruchome ciało Tecumсы i cicho jęcząc z bólu. Hal lekko dotknął jego ramienia.

– Stig – powiedział. Przyjaciel wreszcie uniósł głowę i spojrzał na niego. Z oczu Stiga wyzierał ból, jakiego Hal jeszcze nigdy nie widział.

– Kochałem ją – powiedział Stig z wielkim trudem, jakby każde słowo musiał siłą wyrwać ze swego wnętrza. – Tak bardzo ją kochałem, a nie mogłem jej ocalić.

W głowie Stiga kołatała się okropna myśl, że ponosi odpowiedzialność za śmierć Tecumсы. Zawołał do Upiora, by odwrócić jego uwagę, a w rezultacie to Tecumса straciła czujność, wystawiając się na cios przeciwnika. Gdyby nie zawołał, powtarzał dręczącym szeptem robak wyrzutów sumienia, Tecumса nadal by żyła. Jednakże ta myśl była zbyt straszna, by dopuścić ją do świadomości, a tym bardziej wypowiedzieć na głos.

Hal nic więcej nie powiedział. W takich chwilach nie ma odpowiednich słów. Mógł tylko ofiarować swą przyjaźń, wsparcie, a przede wszystkim swoją obecność u boku najlepszego przyjaciela.

Siedzieli tak przez kilka minut. Nagle w chacie zrobiło się ciemno – jakiś kształt zasłonił wejście.

To był Thorn, poruszał się w zadziwiająco cichy sposób jak na kogoś tej budowy ciała. Ukłąkł z drugiej strony i otoczył lewym ramieniem plecy Stiga. W końcu przemówił, a jego zwykłe szorstki i donośny głos brzmiał miękko i łagodnie.

– Wstań. Musimy oddać ją rodzinie.

Stig spojrział na niego i Thorna, podobnie jak Hala, poruszył wyraz bezgranicznego smutku w jego oczach.

– Ledwo ją musnął. Ledwo dotknął. Właściwie prawie spudłował. – Spojrzął na pobladłą twarz dziewczyny. – A ona nie żyje.

Thorn ścisnął ramię Stiga.

– Czasem tak bywa. Widziałem ludzi, którzy doznali straszliwych ran, a wyszli z tego cało. Widziałem też takich, których zabiło lekkie draśnięcie. Nie da się tego zrozumieć. Nawet nie próbuj.

– Ledwo ją musnął – powtórzył Stig.

Thorn pochylił się i delikatnie oderwał jego ręce od ciała Tecumсы.

– Tak To straszne. Ale musisz pozwolić jej odejść. Pomyśl o jej rodzinie.

Stig niechętnie pozwolił, by Thorn uwolnił Tecumсы z jego objęć i wziął ją na ręce. Thorn podniósł się, tuląc do siebie martwe ciało dziewczyny. Stig również wstał, powoli, nie odrywając wzroku od pięknej twarzy. Hal czuł gulę w gardle i lży szczypiące pod powiekami. Zamrugał, by je przepędzić, ale po chwili przestał. Niech płyną, pomyślał. Należą się Tecumсы. Należą się Stigowi.

Powoli wyszli z chaty wprost na bezlitośnie jaskrawe słońce. Stig zamrugał i powiódł dookoła wzrokiem. Jak to możliwe, że słońce świeci tak jasno, tak radośnie w takim strasznym dniu?

– Chodźmy – powiedział Thorn. – Zabierzmy ją do matki.

Ruszyli ścieżką prowadzącą między chatami, kierując się w stronę domu rodzinnego Tecumсы, gdzie czekali jej rodzice, wstrząśnięci tragiczną wieścią.

Pozostali członkowie załogi kroczyli za nimi w milczącej ponurej procesji, z pochylonymi głowami, pogrążeni w smutku.

Cztery dni później ciało Tecumсы przygotowano do pogrzebu zgodnie z obyczajami panującymi wśród Mawagansettów.

W chacie należącej do jej rodziców szaman odprawił modły, machając nad marami palącym się piórem orła i miseczką pełną parujących ziół. W krótkiej ceremonii wzięli udział członkowie najbliższej rodziny i Stig. Potem, na sygnał dany przez szamana, czterech młodzieńcy, z płaczącym Simsinnetem na czele, weszli do chaty, podnieśli mary i wyszli przed chatę, gdzie w równych rzędach stali członkowie plemienia i Skandianie. Ci ostatni z szacunkiem pochylili głowy przed zmarłą. Mawagansettowie, jak zauważył Hal, trzymali głowy uniesione

i obserwowali, jak Tecumsa udaje się w swą ostatnią podróż.

Potem szaman i jego czterech asystentów, rodzina Tecumсы i Stig ruszyli w stronę oddalonego od wsi zagajnika, gdzie znajdował się cmentarz Mawagów. Normalnie człowieka z zewnątrz, niewyznaającego tej samej wiary, nie dopuszczono by do udziału w takiej uroczystości, ale wszyscy wiedzieli o uczuciu łączącym Stiga i Tecumсę, więc wyjątkowo mu na to pozwolono.

W zagajniku stała niewielka chata z beli kryta kora, akurat tej wielkości, by pomieścić maryl. Wokół stało więcej podobnych konstrukcji w różnych stadiach zniszczenia. Kilka – najwyraźniej całkiem nowych. Leżały w nich ciała wojowników zabitych przez Upiory. Inne chaty pozapadały się, na pewno stały tam już od wielu lat.

Szaman, pobiegłszy za wzrokiem Stiga, wyjaśnił:

– Niedługo zbierzemy kości z tych chat i pogrzebiemy w specjalnym przeznaczonym na ten cel miejscu, gdzie leżą ciała wszystkich zmarłych członków plemienia. Za jakiś czas tak samo postąpimy z ciałem Ptaka Lasu.

Takim imieniem określano teraz Tecumсę. Wierzono bowiem, że nie wolno wypowiadać imienia zmarłej osoby, ponieważ można w ten sposób niechcący przywołać jej ducha, który odtąd będzie wędrował między światami, zagubiony i samotny.

Stig kiwnął głową i jeszcze raz rozejrzał się po zagajniku. Było to piękne tchnące spokojem miejsce. Stig pomyślał, że Tecumсie na pewno by się tu spodobało. Poczłł lekki dotyk czyjejś dłoni na ramieniu, odwrócił się i spojrzł prosto we współczujące oczy Simsinneta.

– Ja też ją kochałem, bracie Stigu – powiedział. – Dziękuję, że próbowałeś ją uratować.

Stig kiwnął głową. Gardło miał ściśnięte i nie mógł wydusić słowa. Serce ciążyło jak ołów. Pochylił głowę przed chatą, w której złożono ciało Tecumсы i pożegnał się z nią w myślach. Tak bardzo ją kochał. Wątpił, by kiedykolwiek potrafił pokochać kogoś równie mocno.

A potem, kiedy szaman i członkowie rodziny zaczęli wypowiadać ostatnie pożegnanie z Ptakiem Lasu, Stig odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę wsi. Nagle poczuł, że chce się znaleźć wśród swoich towarzyszy.

Mohegas i Hal stali obok siebie na plaży, podczas gdy Edwin nadzorował ostatnie przygotowania, przerwane nagłym nadejściem Upiorów. Dwunastu jeńców nosiło na pokład zapasy świeżego jedzenia i wody pod czujnym okiem Czapli. Byli to ci z Upiorów, którzy poddali się na plaży oraz ci, którzy ocalili z tonących canoe, wyłowieni z wody w różnych punktach zatoki.

Hal zapytał, wskazując na nich ruchem głowy:

– Co zamierzasz z nimi zrobić?

Wiedział, że w analogicznej sytuacji Ludzie-Upiory zabiliby swoich jeńców. Ale Mohegas miał inny pomysł.

– Zatrzymamy ich w niewoli i zabierzemy do zniszczonych osad nad rzeką, by je odbudowali.

– Mądra decyzja – odparł Hal.

Mohegas z powagą pokiwał głową. Po chwili zapytał:

– Wyprawacie jeszcze dzisiaj?

– Myślę, że Stig takby wołał. Niedługo zacznie się odpływ, skorzystamy z tego.

– A wróćcie kiedyś?

Hal uśmiechnął się.

– Będziemy mile widziani?

Mohegas zawahał się, nie chcąc urazić gościa. Ostrożnie dobierając słowa, odparł w końcu:

– Wy tak. Ale waszym śladem mogą przypłynąć inni. Nie wiem, czy sobie tego życzę.

W końcu wszyscy jesteście wojownikami, a wasza broń ze stali znacznie przewyższa naszą kamienną. Chyba nie chcielibyśmy takich gości.

– Też tak pomyślałem – odparł Hal. – Dlatego nie zamierzam robić żadnych notatek z podróży.

Nikt się nie dowie, jak tu trafiliśmy ani jak wróciliśmy.

Mohegas pokiwał głową.

– Tak chyba będzie najlepiej.

ROZDZIAŁ 44



Hal nagle zauważył, że bliźniacy i Stefan stanęli nie daleko i czekają, aż zwróci na nich uwagę. Spojrzał na nich, potem na dwa canoe wyciągnięte na plażę i uniósł brwi w milczącym pytaniu.

– Wszystko gotowe – powiedział Stefan.

Hal kiwnął głową w stronę Mohegasa i podszedł do swych towarzyszy.

W jednym z canoe leżał martwy Orvik, ramiona miał skrzyżowane na piersi, w prawej dłoni stary wysłużony nóż saksoński, o ostrzu wciąż splamionym zaschniętą krwią Upiora. Był ubrany w miękką tunikę z jeleniej skóry, nogawice i sięgające kolan mokasyny. Spoczywał na stosie nasączonego olejem drewna. Prócz tego wzdłuż burt ustawiono kilka naczyń z olejem. Thorn kończył przygotowania. Hal i reszta przyłączyli się do niego i razem zepchnęli ciężko wyładowane canoe na wodę. Potem Hal i Thorn wsiedli do niego, Stefan i bliźniacy zaś zajęli miejsca w drugim canoe. Ujęli wiosła i popłynęli w stronę otwartego morza.

Zatrzymali się u ujścia zatoki i ustawili oba canoe obok siebie, tak by stykały się burtami. Ulf przytrzymał burtę canoe z ciałem Orvika, a Thorn i Hal się przesiedli. Przez chwilę canoe gwałtownie się kołysało, a kiedy się uspokoiło, Hal wyjął krzesiwo i podpalił rozpałkę, którą Thorn trzymał w zagłębieniu dłoni. Thorn rozdmuchał żar, aż pokazał się płomień, po czym przechylił się nad burtą i wrzucił rozpałkę do drugiego canoe. Najpierw nic się nie działo. Ale po krótkiej chwili płomień buchnął do góry i zaczęła lizać nasiąknięte olejem drewno. Na znak Hala Ulf popchnął pogrzebowe canoe w stronę otwartego morza. Patrzyli, jak unosi je fala odpływu. Wulf i Stefan utrzymywali canoe w miejscu za pomocą ruchów wiosel.

Płomienie sięgnęły wyżej, wzniósł się słup czarnego dymu. A potem na znak Hala wszyscy ujęli wiosła i skierowali się z powrotem w stronę lądu.

Mohegas czekał na nich na plaży z nieodgadnioną miną, zapatrzony na zatokę i czarną chmurę dymu znaczącą trasę ostatniej podróży Orvika.

– To było dobre pożegnanie – powiedział.

Hal kiwnął głową.

– Tak nakazuje nasz obyczaj.

Thron przysłonił oczy dłonią i również spojrzął w dal. Canoe nadal unosiło się na wodzie, ale wiedzieli, że wkrótce spłonie i zniknie bez śladu.

– Wiesz – powiedział – wydaje mi się, że Orvik nie byłby szczęśliwy w Hallasholmie. Tyle rzeczy się zmieniło, większość jego znajomych nie żyje.

– Tutaj był szczęśliwy – zauważył Hal z uśmiechem. – Tak mi powiedział.

Mohegas nie odpowiedział, tylko wskazał na samotną postać idącą po plaży.

– A oto kolejna osoba, która mogła odnaleźć tu szczęście. Niestety, los zdecydował inaczej.

Stig zmierzał w ich stronę, jego twarz wykrzywił ponury grymas. Na ramieniu trzymał tarczę i worek z rzeczami osobistymi. Posłanie już wcześniej przeniesiono na pokład.

Zatrzymał się obok nich i pozdrowił Mohegasa lekkim skinieniem głowy.

– Mohegasie – powiedział – pragnę podziękować ci za twoją przyjaźń.

Mohegas również skłonił głowę.

– A ja dziękuję, że pomogliście nam stawić czoło nieprzyjacielowi – odparł, wskazując na jeńców. Ze smugami białej i czarnej farby na twarzy, którą niedbale starli Mawagansettowie, stanowili dość smętny widok.

Stig zwrócił się do Hala:

– Kiedy możemy wyruszyć?

Hal popatrzył na zatokę, przez chwilę przyglądał się powierzchni marszczonej wiatrem, badając jego kierunek.

– Zaczął się odpływ. Możemy ruszać choćby zaraz. Wsiadaj.

Wieści szybko się rozeszły i na plaży zaczęli gromadzić się Mawagansettowie. Millika i Pillika gorąco uściskały Ulfa i Wulfa. Cała czwórka spędziła razem sporo czasu. Ulf poczuł, że koniecznie musi przyznać się do występków, których dopuścił się wraz z bratem.

– Muszę wyznać – powiedział do Milliki, a może do Pilliki – że często zamienialiśmy się miejscami.

Uśmiech Milliki stał się jeszcze szerszy.

– Wiemy – odparła. – I dlatego za każdym razem robiliśmy to samo. A czasem również przy innych okazjach.

Blźniacy wyglądali na nieco zbitych z tropu. Dziewczyny rozwiązały problem, obejmując obu po kolei – i chichocząc przy tym z wielkim rozbawieniem.

Hal uśmiechnął się.

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak im przytarł nosa.

Ingvar odparł:

– Dobrze im to robi.

Poza tym jednak było to bardzo smutne pożegnanie, naznaczone cieniem dwóch pogrzebów i szeregu poległych, czekających na pochówek. Na plażę schodziło coraz więcej Mawagów, by życzyć Skandianom szczęśliwej podróży. Jesper wyciągnął kotwicę. Łódź nie ruszyła się z miejsca tylko dlatego, że leżała częściowo na piachu. Thorn bez namysłu zajął miejsce Stiga i zaczął wydawać polecenia wiosłarzom. Stig zaś zajął miejsce na rufie, niedaleko platformy ze sterem.

– Wiosła!

Rozległ się stukot drewna, gdy członkowie załogi wyjęli wiosła i ustawili je pionowo.

– Gotowi! – zawołał Thorn, na co opuścili wiosła do pozycji poziomej i umieścili w dulkach. Mohegasowi przyszło na myśl skojarzenie z orłem rozpościerającym skrzydła do lotu.

– Wstecz!

Wiosłarze z wysiłkiem unieśli wiosła i wykonali pierwszy ruch, aż dziób łodzi zsunął się z piasku. „Czapla” ślizgiem oddaliła się na kilka metrów od brzegu. Wtedy Thorn uznał, że mają wystarczająco dużo miejsca na wykonanie manewru.

– Prawa wstecz. Lewa naprzód. Dalej!

„Czapla” obróciła się za sprawą poruszających się w przeciwną stronę dwóch rzędów wiosel. Mawagansettowie zeszli niżej, aż stanęli nad samą linią wody. I zaczęli śpiewać pożegnalną pieśń dla nowych przyjaciół.

Piękne tęskne dźwięki płynęły w powietrzu, tworząc ostry kontrast ze stanowczymi okrzykami Thorna i Hala, skrzypieniem wiosel i fałów przesuwających się w blokach.

Hal wymierzył kąt w stosunku do ujścia między dwoma cyplami oraz dryf łodzi, pchanej wiatrem wypełniającym żagiel od strony bakburty. Ustawił odpowiednio rumpel, tak by pokonać wyjście na pełne morze jednym zwrotem. „Czapla” obrała wyznaczony kurs i zaczęła nabierać prędkości.

Stig stał samotnie na rufie, wpatrzony w ludzi zgromadzonych na plaży. Śpiew powoli cichł, zagłuszany dźwiękami wydawanymi przez płynącą łódź – poskrzypywaniem takielunku i pluskiem fal.

Wkrótce minęli przesmyk między dwoma cyplami. Gdy tylko opuścili bezpieczne schronienie zatoki, wiatr z południowego zachodu przybrał na sile. Pierwsze prawdziwe fale przesunęły się pod stępką. Stig poddał się kołyszącym ruchom łodzi, wciąż nie odrywając wzroku od lądu. Po chwili minęli kupkę spalonego drewna unoszącego się na powierzchni – w miejscu, gdzie canoe z ciałem Orvika zniknęło pod powierzchnią. Ląd zmienił się w długą zieloną linię na horyzoncie.

A kiedy znikł z pola widzenia, Hal cicho zawołał:

– Przydały mi się zmiennik!

Stig kiwnął głową, podszedł do steru, spojrzął na żagiel i wskaźnik wiatru, by sprawdzić jego siłę i kierunek. Lekko przekręcił rumpel i skorygował kurs. Hal uśmiechnął się. Nowa osoba przy sterze niemal zawsze tak robiła. Położył dłoń na muskularnym ramieniu przyjaciela.

– Zabierz nas do domu – powiedział.

EPILOG



Tym razem nie planowali żadnych hucznych obchodów z powodu powrotu do domu, żadnych sag opisujących wychny załogi w dalekich stronach. Hal tak wyliczył ostatni odcinek podróży, by wpłynęli do portu w Hallasholmie tuż przed północą.

Ich powrót odnotowała jedynie grupa senny ch strażników. Jeden pobiegł wzdłuż falochronu do miejsca, gdzie zwykle cumowała „Czapla”, by ich przywitać.

– My śleliśmy, że nie żyjecie! – powiedział.

Hal odpowiedział smutnym uśmiechem.

– My też tak czasem myśleliśmy.

– Na pewno będziemy hucznie obchodzić wasz powrót. Ludzie oszaleją!

Uśmiech znikł z twarzy Hala.

– Nie sądzę. Chcemy spokojnie rozejść się do domów. Popilnujesz „Czapli”? Rano wrócimy po rzeczy.

I tak pojedynczo lub parami, ruszyli ciemnymi uliczkami miasta. Tu i tam zapalały się światła, sły chać było okrzyki zaskoczenia i radości, i wybuchy łez ulgi. Hal, Thorn i Stig opuścili łódź jako ostatni.

– Powiedz mamie, że przyjdę za chwilę – powiedział Hal do Thorn a. – Odprowadzę Stiga.

Bardzo martwił się o przyjaciela. Przez całą drogę Stig prawie się nie odzywał, nie licząc koniecznych uwag i poleceń. Nadal przeżywał głęboki smutek po stracie Tecum sy i najwyraźniej nie potrafił o tym mówić.

Ruszyli razem w stronę niewielkiej chaty, którą zamieszkiwał Stig z matką. W oknach paliły się światła. Matka Stiga miała czujny sen i zwykle kładła się późno. Hal powiedział Stigowi, żeby poczekał na zewnątrz, zapukał i wszedł do środka. Krótko opisał wydarzenia kilku ostatnich miesięcy, opowiedział o miłości Stiga i o śmierci Tecum sy. Tym sposobem oszczędził Stigowi bólu, który na pewno by odczuwał, mówiąc o tych sprawach.

Matka Stiga wyszła za próg, objęła syna i zaprowadziła go do środka.

– Pójdę już – powiedział Hal.

Dotknęła jego ramienia.

– Dziękuję, Halu.

Wzruszył ramionami i poszedł.

Kobieta popatrzyła na syna ze smutkiem. Taki młody, pomyślała, a już przeżył tyle tragedii i bólu: najpierw jej mąż ściągnął na siebie hańbę, skazując Stiga na życie pełne goryczy i pozbawiając go swej opieki. A teraz ukochana dziewczyna zginęła na jego oczach. Zastanawiała się, jak ktoś w tak młodym wieku będzie potrafił unieść taki wielki ciężar. Potem spojrzała na znikającą w oddali postać Hala.

I odpowiedziała sobie: dzięki przyjaciom. Zniesie to dzięki ich przyjaźni.

Następnego dnia podczas zwykłego porannego spaceru oberjarl Erik i jego przyjaciel Svengal zobaczyli ku swojej radości, że w porcie cumuje jakże dobrze znana łódź, poplamiona solą i nosząca ślady trudów podróży. Na pokładzie kręcili się Hal, Ingvar i Edvin – zwijali żagle, zabierali resztki zapasów i wszystko porządkowali.

– Wróciście! – zaryczał Erak – Witajcie w domu!

Hal przerwał pracę i pomachał do biegnącego w ich stronę oberjarla. Hal wyjął ze schowka plik papierów zawiniętych w nasączony olejem kawałek skóry i szedł na molo, by przywitać się z oberjarlem, który zamknął go w niedźwiedzim uścisku. Kiedy go puścił, Hal aż się zatoczył – i trafił prosto w objęcia Svengala, którego twarz jaśniała szerokim uśmiechem.

– Myśleliśmy, że nie żyjecie – powiedział Erak, ocierając oczy wierzchem dłoni i wcale nie wstydząc się łez.

– Cztery wilcze okręty zginęły w tym sztormie – dodał Svengal. – Jak wam się udało?

Hal wzruszył ramionami.

– Wyprzedziliśmy go. Popłynęliśmy na Ocean Nieskończony.

– A gdzie by liście przez cały czas? – dopytywał Erak

Hal już miał odpowiedzieć, ale nagle uświadomił sobie, że obok stoi grupa zaciekawionych mieszkańców Hallasholmu i przypomniał sobie obietnicę daną Mohegasowi.

– Później ci powiem – odparł i podał Erakowi papiery. – Oto kontrakty z Hibernii, wszystkie podpisane i zapieczętowane. Sean z Clonmelu pragnie zatrudnić trzy okręty na okres dwóch lat, by chronić wybrzeże przed handlarzami niewolników i najeźdźcami z Sonderlandu.

Erak zważył pakiet na dłoni. Nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu. Był zropaczony zaginięciem „Czapli”. Uwielbiał całą załogę i jej wyjątkowego skirła. Wyczuwał, że Hal ma mu coś jeszcze do powiedzenia – ale na osobności.

– Przyjdź do Wielkiej Hali, kiedy skończysz. Opowiesz więcej o waszej podróży.

Hal kiwnął głową.

– Najpierw muszę załatwić kilka spraw.

Erak wielkodusznie machnął ręką.

– Sam wybierz odpowiedni moment.

Później tego samego dnia Hal przeżył niezłe zaskoczenie – do niewielkiej gospody prowadzonej przez jego mamę nagle wszedł Stig. Hal zerwał się od stołu, przy którym pisał raport dla oberjarla.

– Stig! Wejź! Co mogę dla ciebie zrobić?

Stig zawałał się. Nerwowo obracał w dłoniach czapkę, którą zdjął, wchodząc do sieni.

– Właściwie to chciałem porozmawiać z twoją mamą.

Karina, pracująca w kuchni, usłyszała głosy i zajrzała do sali.

– Tutaj jestem – powiedziała miękko. Ona i Stig byli sobie bliscy. Od kiedy Hal i Stig się przyjaźnili, łączyła ich szczególna więź. Pokazała, by poszedł za nią do kuchni i posadziła go przy wielkim sosnowym stole. Hal, zaciekawiony, ruszył za nimi, zatrzymał się w drzwiach i oparł o framugę.

– O co chodzi, Stigu? – zapytała Karina. Hal oczywiście opowiedział jej o Tecumsie. Czuli, że właśnie to sprowadza do niej Stiga. Otworzył usta, zaczął mówić, urwał i wreszcie zdołał wyduśić:

– Straciłaś męża.

W milczeniu kiwnęła głową. Jej przypuszczenia okazały się słuszne. Stig wbił wzrok w zniszczony blat, przesunął palcem wzdłuż rowka, który zostawił kiedyś topór kuchenny. Karina wy czuła, że Stig nie jest w stanie dalej mówić, powiedziała więc, by go ośmielić:

– A ty straciłeś Tecumse.

Uniósł głowę. Z jego oczu wy zierał ból.

– Jak można uporać się z czymś takim? – Słowa przypominały wybuch. – Minął ponad miesiąc! A ja nie mogę jej zapomnieć!

– A chciałbyś ją zapomnieć? – zapytała. Stig potrząsnął głową, znowu wbijając wzrok w stół. Karina podjęła miękkim głosem: – Kiedy tracimy ukochaną osobę, zostaje po niej wielka ziejająca dziura. Jest jak rana, otwarta rana w naszej duszy. Jeśli ktoś próbuje zapomnieć o tej osobie, rana tylko się zaognia. Nie można wymazać wspomnień, jakby nigdy nie istniały.

– To co można zrobić? – zapytał z żalem w głosie.

– Pamiętaj o niej. Musisz zachować w pamięci wszystkie wspaniałe chwile, które razem przeżyliście. Dbać o nie, tak jakbyś dbał o tę osobę. I nauczyć się żyć ze stratą. Nigdy nie zapomnisz, ale z każdym dniem będzie ci łatwiej nieść ten ciężar. – Urwała. – Zadaj sobie takie pytanie: czy wolałbyś jej nigdy nie spotkać?

– Nie. – Stig bez wahania potrząsnął głową.

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Po pewnym czasie uświadomisz sobie, że szczęście wspólnie spędzonych chwil przeważa nad cierpieniem z powodu straty.

Powoli pokiwał głową. Pomyślał, że jej słowa mają sens, ich logika nieco ukoła ból w jego sercu. Nie całkiem, ale przynajmniej odrobinę.

– Karino – powiedział – jakto zrobiłaś, że jesteś taka mądra?

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Jestem matką. To moja praca.

Wzięła go za rękę, podciągnęła do pozycji stojącej i zaprowadziła do okna.

– Jeszcze jedno – podjęła. – Nie odsuwaj od siebie przyjaciół, pozwól, by pomogli ci przez to przebrnąć. Rozmawiaj o niej. Wspominaj ją razem z nimi. Albo po prostu pozwól, by byli przy tobie, by wspierali cię w milczeniu. Zobaczysz, że to pomoże.

Rozsunęła zasłony i Stig ku swemu zdumieniu zobaczył niewielką grupkę siedzącą na trawiastym stoku przed domem.

Ingvar, Stefan, Jesper, Edvin, Ulf, Wulf i Lydia, byli tam wszyscy. Jego drużyna. Jego przyjaciele. Hal oderwał plecy od framugi i również podszedł do okna. Spojrzał ze zdumieniem na matkę.

– Skąd wiedziałaś, że tam są? – zapytał.

Pochyliła się ku niemu z tajemniczą miną.

– Mówiłam. Jestem matką. – Poklepała Stiga po ramieniu i wskazała na milczącą grupę za oknem. – Idź do nich. Przyszli tu, by cię wspierać.

Wszyscy podnieśli głowy na widok Stiga i Hala, którzy zeszli po schodkach przed wejściem. Niektórzy powiedzieli coś na powitanie, inni tylko skinęli głowami. A kiedy Stig usiadł na trawie, przysunęli się trochę bliżej, formując wokół niego ciasny krąg. Krąg, który jego też obejmował. Którego był częścią. I siedzieli tak jeszcze długo, prawie się nie odzywając. Lydia siedziała tuż obok Stiga, trzymając obie jego dłonie w swoich dłoniach, a Hal z drugiej strony, otaczając jego plecy ramieniem. A pozostali po prostu byli obok w każdej chwili gotowi udzielić wsparcia. Gotowi rozmawiać. Słuchać. Albo po prostu milczeć, trwać w pełnej współczucia ciszy, by wiedział, że go kochają.

A on czerpał siły z ich cichej obecności. Siły potrzebnej do tego, by poradzić sobie z ogromną stratą. Siły potrzebnej, by w końcu pozbierać się i ruszyć dalej. Siły potrzebnej, by pamiętać Tecumse i myśleć o niej z radością – choć zmieszaną ze smutkiem.

Słońce znikło za górami otaczającymi miasto, cienie się wydłużyły. Stig popatrzył na otaczające go twarze. To byli jego przyjaciele. Ale byli czymś więcej. Jego braćmi, związanymi razem nierozzerwalnymi, choć niewidzialnymi więzami, które miały trwać do końca

życia. Uśmiechnął się. Był to smutny słaby uśmiech. Ale uśmiech. Coś, czego nie widzieli na jego twarzy od wielu tygodni.

– Prawdziwy ze mnie szczęściarz, że mam was wszystkich – powiedział.

NOTA OD AUTORA

Chciałbym przypomnieć czytelnikom, że świat przedstawiony w „Drużynie” i „Zwiadowcach” nie jest światem prawdziwym, lecz tworem fantazji – choć pod wieloma względami przypomina rzeczywiście, w której żyjemy.

Jest to szczególnie ważne, jeśli chodzi o ludy opisane w tych książkach. Bystry czytelnik z pewnością szybko skojarzy, jakie prawdziwe grupy etniczne zainspirowały te fikcyjne. Ale pamiętajcie, proszę, one nie są identyczne. Dlatego nie posłużyłem się żadnym istniejącym językiem, by stworzyć słowa i nazwy własne, którymi posługują się te grupy w mojej opowieści. Wszystko jest tworem literackim.

Próbowałem unikać wszelkich stereotypów czy potencjalnie obraźliwych wyrażań, czy to dotyczących wyglądu czy zachowania tych ludzi. Jeżeli ktoś poczuł się urażony, muszę zaznaczyć, że absolutnie nie było to moją intencją, lecz wynikiem zwykłej ignorancji i w takim przypadku bardzo proszę o wybaczenie.

John Flanagan.